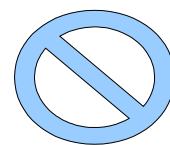


David Morrell



# Akt desperacji



Z angielskiego przełożył PAWEŁ WIECZOREK

DAVID MORRELL (ur. 1943 w Kitchener w Kanadzie) - światowej sławy autor powieści sensacyjnych. Od 1966 mieszka w USA. Ukończył Penn State University i obronił pracę doktorską z literatury amerykańskiej. W latach 1970-1986 pracował jako wykładowca na Iowa University. Zafascynowany twórczością Ernesta Hemingwaya, Richarda Mathesona, Johna Bartha. Prezes The International Thriller Writers Organization. Autor ponad 20 powieści, 3 książek niebeletrystycznych (m.in. monografii poświęconej twórczości Johna Bartha), a także licznych opowiadań z gatunku grozy i sensacji. Jego najbardziej znane thrillery to Pierwsza krew (1972; sfilmowana jako Rambo z Sylwesterem Stallone w roli tytułowej), Testament (1975), trylogia Bractwo Róży (1984), Bractwo Kamienia (1985), Bractwo Nocy i Mgły (1987) oraz Piąta profesja (1990), Podwójna tożsamość (1993), Infiltratorzy (2005), Łowca (2007) i najnowszy - The Spy Who Came for Christmas (2008). Na podstawie Bractwa Róży powstał niezwykle popularny miniserial telewizji NBC z Peterem Straussem i Robertem Mitchumem w rolach głównych.

Dla Mela Parkera,  
nie tylko wspaniałego redaktora, ale i przyjaciela, o jakim marzy każdy pisarz

1

W magazynku samopowtarzalnego pistoletu kalibru 45 mieściło się siedem pocisków, ale teraz tkwił tam tylko jeden. Pittman załadował go do komory jednym szybkim ruchem zamka i dobrze naoliwiony metal przesunął się z cichutkim trzaśnięciem. Bohaterem pierwszej historii, jaką opisał dla gazety osiemnaście lat temu, był emerytowany policjant, który popełnił samobójstwo. Pittman nigdy nie zapomniał usłyszanej przypadkiem na komisariacie rozmowy. Była to wymiana zdań przy automacie do kawy między dwoma mundurowymi policjantami, rozmawiającymi o śmierci swojego byłego kolegi.

— Nie wytrzymał emerytury...

— Miał problem z alkoholem.

— Żona go zostawiła.

— Ale odszedł w dobrym stylu. Zapasowa broń, samopo-  
wtarzalna czterdziestkapiątka z jednym nabojem.

To ostatnie stwierdzenie zdziwiło Pittmana, ale kiedy poznał podstawy działania ręcznej broni palnej, dowiedział się, że po wystrzale pistolet samopowtarzalny wyrzuca zużytą łuskę i załadowuje do komory następny nabój. Równocześnie iglica sama wraca na swoje poprzednie miejsce, co sprawia, że w razie potrzeby można znowu strzelać. Emerytowany policjant najwyraźniej uznał, że pozostawienie obok swojego ciała załadowanego pistoletu byłoby niewłaściwe. Nie mógł przewidzieć, kto go znajdzie. Mogła to być gospodyni, ale równie dobrze

broń mógł podnieść jego dziesięcioletni syn. Aby uniknąć ryzyka, że może jeszcze komuś zaszkodzić, załadował pistolet jednym nabojem. Po strzale zamek zatrzyma się w pozycji przesuniętej do tyłu, komora będzie pusta, a broń bezpieczna.

„...odszedł w dobrym stylu”.

Właśnie dlatego Pittman również załadował pistolet jednym nabojem. Kilka tygodni wcześniej wystąpił o pozwolenie na broń. Dziś po południu, kiedy komisja weryfikacyjna ustaliła, że nie był karany, nigdy nie przebywał w ośrodku psychiatrycznym z powodu agresywnego zachowania i tak dalej, otrzymał pozwolenie na udanie się do sklepu sportowego i zakup pistoletu — takiej samej czterdziestkopiątki, jaką miał emerytowany policjant-samobójca. Sprzedawca zapytał, ile ma dać pudełek amunicji i Pittman odparł, że jedno zdecydowanie wystarczy.

— To znaczy, że zamierza pan trzymać pistolet w domu jedynie do ochrony?

— Właśnie — odparł Pittman.

W myśli dodał: do ochrony przed koszmarami.

Siedział teraz w swoim malutkim mieszkanku na drugim piętrze, za zamkniętymi drzwiami, przyglądał się zabezpieczonemu pistoletowi i słuchał odgłosów wieczornego ruchu ulicznego. Stojący na kominku zegar zaterkotał i cyfry przeskoczyły z 8:12. Zza ściany dobiegał sztuczny śmiech publiczności telewizyjnego sitcomu. Śmierdziało smażoną cebulą — zapach przesączał się szparą pod drzwiami wejściowymi z jednego z mieszkań w głębi korytarza. Pittman uniósł broń.

Nigdy nie był na kursie strzeleckim, ale dobrze odrobił lekcję. Poczytał sobie trochę o anatomii czaszki i dowiedział się, gdzie są miękkie miejsca. Skronie, zagłębienia za uszami i podniebienie były miejscami najbardziej nadającymi się do tego, co zamierzał zrobić. Przy okazji dowiedział się jednak, że wielu niedoszłych samobójców po strzale w głowę, zamiast się zabić, zrobiło sobie lobotomię. Choć nie zdarzało się to często, naciśnięcie spustu przystawionego do skroni pistoletu mogło czasem spowodować lekkie przesunięcie się lufy w kierunku czoła.

10

Pocisk uderzał wtedy w grubą płytę kostną nad brwiami i odbijał się od niej, a nieudolny samobójca zamiast w trupa zamieniał się w warzywo.

Mnie to się na pewno nie przydarzy, pomyślał Pittman. Przeprowadzi wszystko do końca. Emerytowany policjant, na którym się wzorował, włożył sobie lufę do ust, co uniemożliwiało zarówno ruch ciała, który spowodowałby przejście kuli obok mózgu, jak i odwrócenie lufy. Podobnie jak on, wybrał broń o dużej sile rażenia — czterdziestkopiątkę.

W drodze do sklepu z bronią wstąpił na drinka, wracając do domu — na jeszcze dwa w innym barze. W szafce obok lodówki miał butelkę jacka danielsa, ale po zaryglowaniu drzwi mieszkania nic już nie pił. Nie chciał, aby podczas sekcji stwierdzono w jego organizmie obecność alkoholu i uznano, że odebrał sobie życie, ponieważ się upił. Chciał zachować jasny umysł. Zamierzał wykonać tę ostatnią w życiu czynność z pełną świadomością.

Nagle przyszła mu do głowy pewna sprawa natury porządkowej: jak uzasadni bałagan, który po sobie zostawi? Wybierając sposób zadania sobie śmierci, w wyniku kilkusetapowej selekcji uznał, że najlepiej będzie, jeśli użyje broni palnej, nie do końca jednak przemyślał, gdzie powinno to nastąpić. Przy kuchennym stole? Zakrwawi drewno, podłogę, lodówkę i być może nawet sufit. Po chwili zastanowienia wstał — cały czas trzymając w dłoni pistolet — i przeszedł do łazienki. Powoli i uważnie, aby nie stracić równowagi, wszedł do wanny, zaciągnął zasłonkę i usiadł. Był gotów.

Kiedy przystawił pistolet do warg, poczuł słodkawy zapach metalu. Otworzył usta i przez sekundę musiał walczyć z odrazą, ale w końcu wsunął lufę do środka. Była grubsza, niż się spodziewał, i musiał jeszcze szerzej otworzyć usta. Gdy metal zawadził o jeden z przednich dolnych zębów, Pittman zadrżał.

Wszystko gotowe.

Myślał o samobójstwie od chwili złożenia wniosku o pozwolenie na broń. Był tak wyczerpany emocjonalnie, że każdy kawałek jego mózgu domagał się ulgi, przerwania nieustannego bólu. Oczekiwanie na decyzję komisji dawało mu możliwość

11

sprawdzenia, jak bardzo jest zdecydowany, pozwoliło wiele razy rozpatrzyć każdy z argumentów za i przeciw.

Zacisnął palec na spuście — opór okazał się silniejszy, niż się spodziewał. Musiał pociągnąć mocniej.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Pittman zmarszczył czoło.

Telefon zadzwonił ponownie i za chwilę odezwał się po raz trzeci.

Rozpaczliwie próbował zignorować jego terkot, jednak po chwili — choć niechętnie — doszedł do wniosku, że powinien odebrać. Nie miało to nic wspólnego z wahaniem czy potrzebą zyskania na czasie. Jako człowiek z zasadami obiecał sobie, że nie zostawi żadnych nieopłaconych spraw: niezapłaconych rachunków, nieodwzajemnionych przysług czy nieuprzejmości, za które nie przeprosił. Zostawił testament — cały swój skromny majątek przekazywał byłej żonie, do której napisał także krótki list wyjaśniający. Jego obowiązki wobec pracodawcy zakończyły się wczoraj wraz z dwutygodniowym okresem wypowiedzenia. Zadbął nawet o zorganizowanie swojego pogrzebu.

Kto mógł do niego dzwonić? Ktoś się pomylił? Ktoś chce mu coś sprzedać? Czyżby nie zajął się jakimś szczegółem? Możliwe, choć starał się jak najlepiej zakończyć swoje życie.

Telefon nie przestawał dzwonić. Pittman wyszedł z wanny, przeszedł do salonu i z niechęcią podniósł słuchawkę.

— Halo? — odezwał się. Mówienie przychodziło mu z wy różnym trudem.

— To ja, Burt. — Burt Forsyth nie musiał się przedstawiać.

Z jego zniszczonego przez papierosy gardła wydobywał się charakterystyczny chropawy głos. — Tak długo nie odbierałeś, że w końcu pomyślałem, że cię nie ma.

— Więc dlaczego nie odłożyłeś słuchawki?

— Nie włączyłeś automatycznej sekretarki.

— Czasami bywam w domu także wtedy, gdy jest włączona.

— Skąd miałbym o tym wiedzieć, gdybyś nie odebrał?

Pittman miał wrażenie, że nie uczestniczy w tej rozmowie, tylko jej się przysłuchuje. Czuł się, jakby był po silnych lekach uspokajających.

12

— Czego chcesz, Burt?

— Przysługi.

— Przykro mi. Nie mogę.

— Nie odmawiaj, póki się nie dowiesz, o co chodzi.

— To nie ma... Burt, jesteśmy kwita. Nic sobie nie jesteśmy winni i niech tak zostanie.

— Mówisz to tak, jakbyśmy mieli się już nigdy nie spotkać,

tylko dlatego, że się zwolniłeś. Wczoraj byłeś ostatni raz w pracy, więc prawdopodobnie nic nie wiesz. Powiedziano nam o tym dziś rano. Od piątku „Chronicie” zamyka swe podwoje.

Jego głos zdawał się dolatywać z bardzo daleka.

— Co takiego?

— Wszyscy zdawali sobie sprawę, że gazeta jest w złym stanie, ale nie sądziliśmy, że aż tak złym. Jest bankrutem. Nikt nie chciał jej kupić. Nasze analizy nie mogą konkurować z wiadomościami telewizyjnymi „USA Today”, więc właściciele zamykają firmę. Za dziewięć dni, po stu trzydziestu ośmiu latach, do naszych czytelników trafi ostatnie wydanie „Chronicie”.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, co...

— Chcę, żebyś wrócił do pracy. Mamy za mało ludzi, żeby spróbować cokolwiek zrobić. Posłuchaj... spędziłem trzydzieści lat w tej gazecie i nie chcę, żeby skończyła jak śmieć. Proszę, wróć do nas i pomóż mi. To tylko dziewięć dni. Dział nekrologów jest tak samo ważny, jak każdy inny. Po komiksach i wiadomościach sportowych to trzeci w kolejności dział, do którego zagląda większość ludzi. Nie mam czasu na wprowadzanie kogoś nowego, poza tym i tak bym nikogo nie znalazł, zwłaszcza że lada dzień nas już nie będzie, a ludzie biorą sobie wolne, żeby szukać nowej roboty. Bądź kumplem, Matt. Nie dla mnie, ale dla „Chronicie”. Pracowałeś z nami czternaście lat... musisz coś czuć do tej gazety.

Pittman w milczeniu wpatrywał się w podłogę.

— Matt?

Twarz Pittmana stężała.

— Matt... jesteś tam?

13

Pittman popatrzył na pistolet.

— Burt, zgłaszasz się do mnie z tą sprawą w nie najlepszym momencie.

— Ale zrobisz to dla mnie?

— Nawet nie wiesz, o co prosisz.

— Wiem. O to, żebyś zachował się jak przyjaciel.

— Niech cię cholera, Burt.

Odłożył słuchawkę. Czekał przez chwilę, spodziewając się, że telefon znowu zadzwoni, ale aparat milczał. Podeszedł do szafki przy lodówce i nalał sobie whisky. Bez lodu, bez wody. Wypił ją szybko i wlał do szklanki następną porcję.

Biorąc pod uwagę to, co zamierzał zrobić, wydawało mu się mocno ironiczne, że pracuje w dziale nekrologów umierającej gazety. Jego biurko — jedno z wielu oddzielonych jedno od drugiego niewysokimi ściankami — znajdowało się w pokoju na trzecim piętrze, naprzeciwko windy, w połowie drogi do toalety. Choć redakcja „Chronicie” nie miała pełnej obsady, wszędzie panował ruch i hałas — wokół Pittmana chodzili ludzie, dzwoniły telefony, stuknęły klawiatury komputerów. Za plecami miał „Sztukę i rozrywkę”, po lewej „Porady domowe”,

po prawej „Kalendarz usług komunalnych”. Miał wrażenie, że od wszystkiego oddziela go szara mgielka.

— Wyglądasz okropnie, Mart — powiedział jego kolega z działu biznesu.

Pittman wzruszył ramionami.

— Chorowałeś?

— Trochę.

— Od tego, co się dzieje z „Chronicie”, pewnie jeszcze ci się pogorszy.

— Pewnie tak...

Przysadzisty redaktor położył dłonie na biurku Pittmana i spojrzał na niego z góry.

— Może słyszałeś także, że zagrożone są nasze cholerne emerytury. I... ale skąd miałbyś to słyszeć? Zapomniałem, że dwa dni temu się zwolniłeś. Wyczułeś pismo nosem, co? Muszę

15

ci pogratulować. Pewnie dogadałeś się na kilka tygodni dodatkowej pracy albo...

— Nie — odparł Pittman. — O niczym nie wiedziałem.

— Więc dlaczego to zrobiłeś?

— Po prostu byłem zmęczony.

Kolega gapił się na niego, nic nie rozumiejąc.

— Zmęczony? Więc co tu robisz?

Pittman miał kłopoty z koncentracją.

— Wróciłem, żeby wam pomóc. Na osiem dni. Do tego czasu będzie już po wszystkim — odparł. Kiedy to powie dział, poczuł, jaką wiecznością wydaje mu się ta perspektywa.

— Cóż, na twoim miejscu... gdybym miał jakieś pieniądze w banku... a zakładam, że je masz, bo inaczej pewnie byś się nie zwalniał... nie marnowałbym tu czasu, ale znalazłbym sobie inną robotę.

Pittman nic na to nie odpowiedział.

Kolega redaktor pochylił się tak mocno, że poła jego rozpiętej marynarki zakryła telefon, który nagle zadzwonił. Zaskoczony, popatrzył w dół, na ukryte źródło dźwięku, i wyprostował się.

Pittman podniósł słuchawkę.

Telefon — sądząc po głosie, dzwoniła kobieta w średnim wieku — dotyczył siedemdziesięciopięciolatka (przypuszczalnie jej ojca), który zmarł we własnym domu.

Pittman wziął do ręki formularz i wpisał imię oraz nazwisko zmarłego.

— Mogłaby pani określić przyczynę śmierci?

— Słucham? — Kobieta mówiła niewyraźnie, jakby płakała. — To było takie trudne... Co pan ma na myśli?

— Czy chce pani, aby w nekrologu zostało napisane, z jakiego powodu umarł? Może chciałaby pani użyć określenia: „Po długotrwałej chorobie”. A może nie chce pani podawać przyczyny śmierci?

— Miał raka.

Słowa te wbiły się w Pittmana niczym lodowate ostrze. Nagle przed oczyma stanął mu Jeremy. Silny, z gęstymi, długimi rudymi włosami, rozwiewanymi przez wiatr. Kruchy, pozba-

wiony włosów, leżący w zastawionej urządzeniami sali oddziału intensywnej opieki medycznej.

— Bardzo pani współczuję.

— Słucham?

Pittmanowi ścisnęło się gardło.

— Straciłem syna z powodu raka. Naprawdę pani współczuję.

Zapadła kłępująca cisza.

— Długotrwała choroba — powiedziała w końcu kobieta. —

Niech pan nie pisze o raku.

Podawała mu kolejne informacje: kogo pozostawił, gdzie pracował, gdzie i kiedy odbędzie się pogrzeb.

— Jakież datki? — spytał.

— Na co? Nie rozumiem.

— Czasami bliscy krewni zmarłego wolą, aby zamiast kwiatów ludzie przekazywali datki na określony cel. W tym przypadku może to być Stowarzyszenie Walki z Rakiem.

— Ale w ten sposób wszyscy dowiedzą się, że miał raka.

— Ma pani rację.

— Długotrwała choroba. Zmarł w wyniku długotrwałej choroby. Nie chcę nic innego. Jeżeli wymienię Stowarzyszenie Walki z Rakiem, wszystkie organizacje charytatywne w mieście zaczną do mnie wydzwaniać. Niczego więcej pan ode mnie nie potrzebuje? Proszę też wspomnieć, że należał do kręglarskiej drużyny seniorów East Side.

— W porządku, zapisałem.

— W takim razie...

— Potrzebny mi jeszcze pani adres.

— Przecież już mówiłam, gdzie ojciec mieszkał.

— Chodzi mi o pani adres, żeby redakcja mogła przesłać tam wyciąg za wydrukowanie nekrologu.

— Wyciąg?

— Tak, proszę pani.

— Ma pan na myśli rachunek?

— Właśnie, proszę pani.

— Wasza gazeta nie drukuje bezpłatnych nekrologów?

— Nie, proszę pani.

— Cholera...

—

Pittman doszedł do wniosku, że popełnił błąd. Nie wyobrażał sobie, że tyle wysiłku będzie go kosztowało wykonywanie najprostszych czynności i udawanie, że z zaangażowaniem wykonuje swoją pracę. Nawet podnoszenie słuchawki i robienie notatek wymagało takiej siły woli, że czuł się jak po maratonie, których trochę przebiegł, zanim Jeremy zachorował.

Odebrał cztery kolejne telefony — każdy następny był bardziej męczący od poprzedniego, bardziej wykańczający. Śmierć w wypadku, utonięcie, powieszenie, naturalna śmierć ze starości. Przygotowując się do samobójstwa, rozważał powieszenie się. Kiedy jednak zbierał

materiały do artykułu o samobójcach, dowiedział się, że u mężczyzn wieszanie się może powodować wzdów, ale główny problem polegał na tym, że śmierć nie następowała natychmiast. Poza tym sznur nie dawał stuprocentowej gwarancji: mogła się zsunąć pętla albo — nie daj Boże — przypadkowy znalazca mógł zdążyć z reanimacją. Wtedy trzeba by było zaczynać wszystko od nowa.

Ktoś zakaszał, przerywając te rozmyślenia.

Pittman uniósł głowę. Przed nim stał krępy, ostrzyżony na jeża pięćdziesięciolatek o pooranej zmarszczkami twarzy i krzaczastych brwiach. Granatową marynarkę zarzucił na ramiona, pod podwiniętymi rękawami koszuli rysowały się grube bicepsy. Poluzował pasiasty krawat i rozpiął górny guzik koszuli, odsłaniając byczy kark. Sprawiał wrażenie wojskowego, który na

18

chwilę przebrał się w cywilne ubranie, ale — podobnie jak Pittman — Burt Forsyth nigdy nie służył w wojsku. Od skończenia uniwersytetu pracował w „Chronicie”, aż dorobił się stanowiska redaktora naczelnego.

— Cieszę się, że przyjechałeś — powiedział. Jego głos był jeszcze bardziej chropawy niż poprzedniego wieczoru przez telefon.

Pittman wzruszył ramionami.

— Wyglądasz marnie — dodał Burt.

— Wszyscy mi to mówią — odparł Pittman.

— Sądziłem, że po wolnym dniu będziesz bardziej wypo częty.

— Miałem sporo spraw na głowie.

Burt popatrzył na niego uważnie.

— Pewnie tak...

Pittman zastanawiał się, czy Burt coś podejrzewa.

— Doceniam, że poświęcasz swój czas dla „Chronicie”.

— Robię to tylko dla ciebie.

— Ta gazeta to ja.

Kiedy Jeremy zachorował, Burt Forsyth zawsze służył pomocą Pittmanowi. „Chcesz iść do szpitala? Weź tyle wolnego, ile ci potrzeba. Chcesz posiedzieć u syna na oddziale? Idź i nie martw się, twoje biurko zawsze będzie na ciebie czekało”. Sam również odwiedzał Jeremy'ego w szpitalu. Załatwił także, żeby najlepszy gracz Narodowej Ligi Futbolu zadzwonił do Jere-my'ego do szpitala. A kiedy Jeremy umarł, towarzyszył Pittmanowi w drodze do kostnicy i z kostnicy do domu. Upijał się razem z nim. Choć Pittman próbował sobie wmówić, że spłacił wszystkie długi, Burta nie mógł spłacić. Ze wszystkich ludzi na świecie, którzy by zadzwonili do niego poprzedniego wieczoru, Burt był jedyną osobą, której nie mógł odmówić.

— Masz chwilę? — zapytał Burt.

— Mój czas należy do ciebie.

— U mnie w gabinecie.

Pittman nie wiedział, o co chodzi. Czyżby szef zamierzał udzielić mu reprimendy?

4

W redakcji „Chronicie” od wielu lat palenie było zakazane i Pittman zawsze się zastanawiał, jak Burtowi udaje się omijać ten zakaz. A nie ulegało wątpliwości, że go jakoś omija, bo nieustannie załatwiał dymem papierosowym. Śmierdziało nim również w jego gabinecie,

mimo braku popielniczek i petów w koszu na śmieci. Poza tym gabinet miał oszklone ściany i gdyby naczelnicy tu palili, zauważyliby to siedzący na zewnątrz reporterzy.

Z powodu swoich gabarytów Burt miał pewne trudności z wepchnięciem się w stojący za biurkiem fotel. Mebel zaskrzypiał.

Pittman usiadł na stojącym przed biurkiem krześle.

Burt obserwował go przez chwilę.

— Za dużo alkoholu? — zapytał.

Pittman odwrócił wzrok.

— Zadałem ci pytanie.

— Gdybyś był kimkolwiek innym...

— Powiedziałbyś mi wtedy, że to nie mój interes, ale ponieważ waż to ja pytam... Więc jak, za dużo alkoholu?

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, jak zdefiniować „za dużo”.

Burt westchnął.

— Widzę, że nie będzie to zbyt konstruktywna rozmowa.

20

— Poprosiłeś mnie o dziewięć dni. Dam ci je, ale to nie znaczy, że możesz kierować moim życiem.

— Chyba raczej tym, co z niego zostało. Jeśli będziesz w dalszym ciągu tyle pił, szybko się zabijesz.

— To jest myśl — stwierdził Pittman.

— Picie nie przywróci Jeremy'emu życia. Twoje samobójstwo też nie.

Pittman ponownie odwrócił wzrok.

— Słuchaj... ja wcale nie próbuję kierować twoim życiem.

Chcę tylko, żebyś coś dla mnie zrobił, coś innego niż zazwyczaj.

Chcę, żebyś napisał specjalny nekrolog, i muszę mieć pewność, że sobie poradzisz. Jeśli nie czujesz się na siłach, powiedz.

Będziesz wtedy siedział przy biurku, odbierał telefony i wypełniał formularze.

— Co tylko sobie życzysz.

— Nie dosłyszałem...

— Wróciłem do pracy, ponieważ mnie poprosiłeś. Jeżeli czegoś potrzebujesz, zrobię to. O jaki specjalny nekrolog chodzi?

— Podmiot jeszcze nie umarł.

—

Pittman poprawił się na krześle. Nie był zaskoczony, ponieważ „obywatele” — jak nazywał czytelników „Chronicie” — często kazali sobie pisać nekrologi z wyprzedzeniem. Na przykład starzejące się gwiazdy kina albo inne sławy — śmiertelnie chore lub w bardzo zaawansowanym wieku. Zdrowy rozsądek mówił, że lepiej przygotować nekrolog za wcześnie niż za późno. Czasami się zdarzało, że „podmiot” okazywał się bardzo odporny. Pittman pamiętał historię długiego nekrologu, napisanego dla starszego aktora komediowego, który był zdrowy jak ryba jeszcze po dziewięćdziesiątce — dwadzieścia lat po napisaniu pożegnalnego tekstu.



Jednak poważna mina Burta kazała mu sądzić, że nie został wezwany do napisania nekrologu jakiegoś nie-całkiem-martwego gwiazdora kina. Burt tak mocno marszczył swoje krzaczaste brwi, że oczy zasnuł mu cień i zrobiły się znacznie ciemniejsze, poważniejsze.

— Rozumiem — mruknął Pittman. — Podmiot jeszcze nie umarł.

Burt kiwnął głową.

— Ale najwyraźniej jesteś przekonany, że umrze w ciągu dziewięciu dni, tak?

Twarz Burta nawet nie drgnęła.

— Inaczej nekrolog nie miałby sensu — dodał Pittman. — Za tydzień od jutra „Chronicie” przestanie istnieć, a nie słysza-

22

łem, aby jakakolwiek gazeta kupowała nekrologi pisane przez ludzi z zewnątrz.

— To mój prezent dla ciebie.

— Jezu! Nie wiem, co powiedzieć. Cóż za szczodrość!

— Nikogo nie oszukasz. Wydaje ci się, że się nie domyśliłem, co chcesz zrobić?

Pittman nic na to nie odpowiedział.

— Wczoraj zadzwoniła do mnie Ellen — oświadczył Burt. Pittman poczuł falę gorąca w okolicy pępka, nie zamierzał jednak niczego po sobie pokazać.

— Twoja była żona powiedziała, że dziwnie się zachowujesz, choć nie musiała mi tego mówić. Mam oczy. Chyba zauważył to każdy, kto uważa się za twójgo przyjaciela. Łaziłeś po ludziach, rewanżując się za wyświadczone przysługi, zwracając pożyczone pieniądze i tak dalej. Przepraszałeś za wszystkie krzywdy, jakie kiedykolwiek komuś wyrządziłeś, a wiem, że nie robiłeś tego, by oczyścić swoje konto przed wstąpieniem do AA... Do tego ten wypadek sprzed trzech tygodni... Trzecia rano. Pusta droga w Jersey. Przypora mostu. Gdzie mogłeś jechać o tej porze? Nie wyobrażam sobie, że nawet tak zalany mogłeś nie zauważyć takiej przeszkody. Chciałeś w nią uderzyć, a nie zginąłeś tylko dlatego, że twoje mięśnie były tak rozluźnione gorzałą, że kiedy wyrzuciło cię z samochodu, pacnąłeś na ziemię jak szmaciana lalka.

Pittman dotknął jeszcze nie całkiem zagojonej rany na wierzchu dłoni, nic jednak nie odpowiedział.

— Nie chcesz wiedzieć, czego Ellen ode mnie chciała? — spytał Burt.

Pittman wbił wzrok w podłogę.

— Daj spokój — ofuknął go Burt. — Nie zachowuj się, jakbyś już nie żył.

— Popełniłem błąd.

— Co takiego?

— Popełniłem błąd, wracając do pracy — odparł Pittman i wstał.

— Poczekaj. Daj mi skończyć.

W drzwiach stanął reporter.

23

— Za minutę! — rzucił do niego Burt.

Reporter popatrzył na nich obu, kiwnął głową i poszedł sobie. Inni dziennikarze patrzyli zza swoich biurków w kierunku szklanego boksu Burta. Dzwoniły telefony.

— Ellen prosiła, żebym ci powiedział, że jest jej przykro.

Chce, żebyś do niej zadzwonił.

— Napisz o tym w moim nekrologu.

— Daj jej szansę...

— Nasz syn umarł, a potem skończyło się nasze małżeństwo.

Nie chcę o tym rozmawiać. Skończyłem z tym. Zostało dziewięć

dni... nie, dziewięć było wczoraj, więc od dziś jest osiem.

Tylko tyle czasu zamierzam ci dać, Burt. Jesteśmy kwita.

Opowiedz o tym nekrologu, który mam napisać.

—

6

Burt przez długą chwilę milczał, patrząc na niego. Potem wzruszył ramionami, westchnął i wziął z biurka teczkę.

— Jonathan Millgate — powiedział.

Pittman miał wrażenie, jakby wzdłuż jego nerwów pomknęły iskry.

— To nazwisko powinno brzmieć dla ciebie znajomo z czasów, kiedy pracowałeś w dziale krajowym, zanim...

— Chcesz powiedzieć: „zanim się załamałeś”? Albo: „rozpadłeś na kawałki” albo... jak brzmi ten modny eu femizm?

— Potrzebowałeś odpoczynku.

— Nie mąci mi się jeszcze na tyle w głowie, aby nie pamiętać jednego z Wielkich Doradców.

Burt uniósł brwi.

Od lat czterdziestych XX wieku, czyli od początku zimnej wojny, pięcioosobowa grupa patrycjusza ze Wschodniego Wybrzeża wywierała wpływ na politykę rządu amerykańskiego, pełniąc rolę doradców kolejnych prezydentów. Na początku byli jedynie członkami gabinetu i ambasadorami, potem prywatnymi konsultantami prezydentów z ramienia Partii Republikańskiej — ale nie tylko. Podczas rządów demokratów w drugiej połowie lat siedemdziesiątych Carter konsultował z nimi podobno sprawę zakładników w Iranie. Krążyły plotki, że to właśnie za ich poradą wyraził zgodę na akcję odbicia zakładników.

25

Akcja się nie powiodła, co otworzyło Ronaldowi Reaganowi drogę do Białego Domu. Z czasem cała piątka uzyskała przydomek Wielkich Doradców.

— Jonathan Millgate ma chyba teraz z osiemdziesiąt lat — powiedział Pittman. — Matka: dama z towarzystwa pochodząca z Bostonu. Ojciec: potentat kolejowy i telekomunikacyjny. Jonathan Millgate skończył studia jako prymus. Magisterium z prawa uzyskał w Yale. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Specjalizacja: prawo międzynarodowe, co podczas drugiej wojny światowej bardzo mu się przydało. Zaczął pracować w Departamencie Stanu i błyskawicznie awansował. Został mianowany ambasadorem w ZSRR, a po tem ambasadorem przy ONZ. Następnie był sekretarzem stanu i wreszcie doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Był w bliskich stosunkach z Trumanem. Zmienił partię, został republikaninem i stał się prawą ręką Eisenhowera. Nie był blisko z Kennedym, ale Johnson, mimo różnic partyjnych, korzystał z jego porad przy kształtowaniu polityki dotyczącej Wietnamu. Kiedy republikanie powrócili do steru, również Nixon często zasięgał jego opinii. Potem nagle zniknął ze sceny politycznej. Wycofał się do swojej posiadłości w Massachusetts. Ale mimo życia w odosobnieniu zachował wszyskie swoje wpływy.

— Dziś rano miał zawał.

Pittman milczał, czekając na więcej.

— Jest teraz w naszym mieście — dodał Burt.

— Najwyraźniej zawał nie był śmiertelny, bo powiedziałaś, że podmiot jeszcze żyje.

— Ponieważ „Chronicie” i tak padnie, możemy poeksperymentować. Chcę, żeby nekrolog był długi i pełen szczegółów. Inteligentny, w dobrym stylu. To była twoja specjalność.

— Stawiasz na to, że Millgate nie dotrwa do końca przy szłego tygodnia i umrze jeszcze przed „Chronicie”?

— Tak naprawdę stawiam na to, że to zlecenie wyda ci się wystarczająco interesujące, abyś zechciał napisać tekst, który spodoba się ludziom, że zaangażujesz się w coś innego niż żałoba i nie umrzesz wraz z „Chronicie”.

26

— Hazard jest dla frajerów...

— A zbyt długie zajmowanie się nekrologami może pomieścić w głowie.

— Masz rację — odparł sucho Pittman. — W odróżnieniu od pisania o sprawach krajowych, od których nie może się w niej pomieszać — dodał i wstał.

— Zaczekaj, Matt. Jest jeszcze coś...

Pittman popatrzył na kopertę w dłoni naczelnego i nagle zrobiło mu się zimno.

— Gość, który cię wczoraj zastępował, znalazł to w twojej szufladzie. — Burt otworzył kopertę. — Jest na tym moje nazwisko, więc uznał, że najlepiej będzie, jeżeli trafi to do mnie. — Położył na biurku kartkę papieru. — Podejrzewam, że dotarło to do mnie zbyt wcześnie... zwłaszcza po tym, co razem przeszliśmy.

Pittman nie musiał czytać, znał tekst na pamięć.

Matthew Pittman, lat 38, zam. przy Dwunastej Zachodniej Ulicy, zmarł w środę po południu w wyniku zadanej samemu sobie rany postrzałowej.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się w sobotę o godzinie 12.00 w Donovan 's Tavern przy Dziesiątej Zachodniej Ulicy. Zamiast kwiatów można wpłacać datki na rzecz fundacji leczenia raka u dzieci, działającej przy szpitalu Sloana-Ketteringa, ku pamięci Jeremy 'ego Pittmana.

— Więcej nie byłem w stanie wymyślić — mruknął.

— Zwięzłość to cnota. — Burt postukał palcem w kartkę. —

Tak samo jak staranność. Ale czemu nie wspomniałeś, że pracowałeś dla „Chronicie”?

28

— Nie chciałem stawiać gazety w złym świetle.

— Nie napisałeś też, że przeżyła cię twoja była żona, Ellen.

Pittman wzruszył ramionami.

— Jej też nie chciałeś stawiać w złym świetle, tak?

Pittman ponownie wzruszył ramionami.

— Kiedy miałem wymienić nowe nazwisko Ellen, zablokował mnie. Postanowiłem machnąć na to ręką.

— Szkoda, że nie umiesz machnąć ręką na inne swoje problemy. Obiecałeś mi jeszcze osiem dni.

— Zgadza się.

— Jesteś mi je winien — powiedział z naciskiem Burt.

— Wiem — odparł Pittman. — Nie zapomniałem, co zrobiłeś dla... — Zerknął na zegarek, aby uciąć rozmowę. — Zaraz będzie południe. Zacznę pisać nekrolog Millgate'a po lunchu.

—

8

Knajpa miała trzy plusy: znajdowała się na uboczu, nie miała wielu klientów i nie byli to pracownicy „Chronicie”. Pittman mógł się napić w spokoju, ze świadomością, że nikt mu nie będzie przeszkadzał. Lokal był punktem kontaktowym sprzedawców kuponów nielegalnych zakładów bukmacherskich i kiedy Pittman wszedł i zamówił drinka, barman był bardzo zdziwiony, że trafił mu się zwykły klient.

Aby zająć czymś myśli, Pittman zaczął rozwiązywać krzyżówkę, wypijając przy tym dwa jackie danielsy z lodem. Krzyżówka nie odwróciła jego uwagi od zadania, jakie mu zlecił Burt, i ciągle powracały mu na myśl dwa słowa: Jonathan Millgate.

Pracował kiedyś nad artykułem o nim, w czasach, kiedy jeszcze siedział w dziale wydarzeń krajowych. Przed śmiercią Jeremy'ego. Siedem lat wcześniej zaczęły krążyć pogłoski, że Jonathan Millgate działa jako pośrednik w tajnej operacji Białego Domu, polegającej na nielegalnym dostarczaniu amunicji pravicowym rządowi południowoamerykańskiemu w zamian za ich współpracę w wojnie z handlarzami narkotyków. Przebąkiwano także, że za pośrednictwo w tym procederze otrzymał od południowoamerykańskich rządów i producentów broni znaczące sumy pieniędzy.

Jednak potwierdzenie tych pogłosek okazało się niemożliwe, ponieważ Millgate zrezygnował z działalności publicznej i stał

30

się prywatną, bardzo starannie chronioną osobą. Ostatniego wywiadu udzielił w 1968 roku po ofensywie Tet w Wietnamie. Rozmawiał wtedy z dziennikarzem „The Washington Post” i wyraził zdecydowane poparcie dla polityki Nixona, aby wysłać do Wietnamu więcej wojska. Wypowiedź tę uznano za opinię innych konserwatywnych politologów, przede wszystkim pozostałych czterech Wielkich Doradców. Było to zresztą prawdą. Millgate lansował politykę, którą wypracował wraz ze swoimi czterema kolegami i do realizacji której zamierzał nakłonić niksonowski Biały Dom: do zwiększenia zaangażowania Ameryki w Wietnamie.

Kiedy Pittman zainteresował się Millgate'em z powodu skandalu związanego z zakupem broni, jego wpływ na prezydenta był tak dyskretny i jednocześnie tak silny, że żadna instancja rządowa nie mogła — ani nie chciała powiedzieć nic na jego temat. W efekcie Pittman —

pełen chęci i energii, w drodze na szczyt kariery — poszedł do Burta Forsytha i poprosił o zgodę na zbadanie tej sprawy.

Rejestr wykonanych przez Pittmana rozmów telefonicznych składał się ze stu prób dodzwonienia się do partnerów biznesowych Millgate'a i ludzi z rządu, z którymi mógł współpracować. Jednak wszyscy odmówili udzielenia wywiadu. Pittman skontaktował się także z kancelarią prawną Millgate'a, aby za jej pośrednictwem spróbować umówić się z nim na wywiad. Kazano mu czekać przy telefonie na połączenie. Jedna sekretarka łączyła go do następnej. Podawano mu numery telefonów, które okazywały się głuche. W końcu zadzwonił do Departamentu Sprawiedliwości — mając nadzieję, że zespół badający sprawę Millgate'a zdradzi mu, w jaki sposób nawiązać z nim kontakt. Odpowiedziano mu, że departament nie musi kontaktować się z Millgate'em, gdyż plotki o jego rzekomym udziale w zakupie broni zostały sprawdzone i okazały się bezzasadne, więc dochodzenie zostało zakończone.

?— Czy może mi pan powiedzieć, który adwokat reprezentował go w trakcie waszego wstępnego dochodzenia? — spytał Pittman swojego rozmówcę z departamentu.

W słuchawce zapadła długa cisza.

31

— Nie. Nie mogę — odparł w końcu tamten.

— Kiedy pan odebrał telefon, nie usłyszałem nazwiska. Czy mógłbym wiedzieć, z kim rozmawiam?

Połączenie zostało przerwane.

Pittman udał się wtedy do pewnego hakera. Napisał o nim kiedyś artykuł, przedstawiający motywy, jakimi kierował się ten człowiek, włamując się do tajnych baz danych Departamentu Obrony. Haker twierdził, że zrobił to, aby pokazać, jak słabo chronione są tajne dane dotyczące obronności kraju, i choć zapewniał, że działał z pobudek patriotycznych, dostał trzy lata więzienia. Kiedy Pittman się do niego zwrócił, był świeżo po odsiadce i czuł żal do rządu za to, jak go potraktowano. Ucieszyła go więc wizyta człowieka, który próbował go bronić, i bez oporów zgodził się wejść do bazy danych firmy telefonicznej z Massachusetts.

— Ma zastrzeżony numer? To żaden problem. Zobacz... ma aż cztery.

Pittman popatrzył na ekran monitora i zaczął zapisywać numery.

— W jakich czasach ty żyjesz? Zaraz ci wydrukuję wszystko, co wiadomo o gościu.

W ten sposób Pittman poznał nie tylko numery telefonów Millgate'a, ale także adresy jego rezydencji w Bostonie i posiadłości w Martha's Vineyard. Zadzwonił pod wszystkie zastrzeżone numery i za każdym razem wysłuchiowano go grzecznie — dopóki nie ujawniał, czego chce.

— Żądam wyjaśnień, w jaki sposób zdobył pan ten numer!

— Proszę pozwolić mi porozmawiać z panem Millgate'em.

— Z jakiej pan jest gazety?

Kwadrans po ostatniej próbie Pittman został wezwany do gabinetu Burta Forsytha.

— Zabieram ci sprawę Millgate'a — oświadczył naczelny.

— Chyba żartujesz!

— Chciałbym. Otrzymałem właśnie telefon od wydawcy „Chronicie”, który dostał telefon od kogoś ważnego... Kazano mi dać ci wyraźne polecenie, abys zajął się czymś innym.

— I właśnie mi to polecenie wydajesz.

32

Burt popatrzył na dym unoszący się ze swojego papierosa — w owych czasach palenie w budynku redakcji nie było jeszcze zabronione.

— Musisz wiedzieć, kiedy należy być twardym, a kiedy elastycznym. Właśnie nadeszła chwila, gdy trzeba zgiąć kark. Nie masz nic konkretnego, przyznaj się... tylko weszylesz w na dziei, że za którymś zarzuceniem wędki złapiesz coś, co nada się na artykuł. Ale zajmowałeś się tym w nieco większym zakresie niż się spodziewałem. Muszę też wziąć pod uwagę jeszcze jedno: zasugerowano, że zdobyłeś numery telefonów Millgate'a w sposób niezgodny z prawem. To prawda? Pittman nic na to nie odpowiedział.

Przez kilka dni chodził zły na Burta, ale obiekt jego złości się zmienił, kiedy okazało się, że brutalność policji — był to nowy temat, nad którym miał pracować — dotknęła jego samego. Podczas weekendu poleciał do Bostonu, aby pokrażyć pod rezydencją Millgate'a i pojechać za nim, gdy będzie opuszczał swoją posiadłość. Zamierzał pojechać za jego limuzyną, po czym podejść do Millgate'a, kiedy wysiadzie. Minutę po tym, jak zaparkował swój samochód na wysadzanej drzewami ulicy, przy której znajdowała się rezydencja, zatrzymał się za nim radiowóz. Po godzinie był przesłuchiwany w komendzie głównej pod zarzutem kradzieży. Po dwóch godzinach siedział w celi, gdzie zaatakowało go dwóch współwięźniów i dotkliwie pobiło, łamiąc mu przy tym szczękę. Dentysta kosztował go tysiąc dolarów. Odwiedzając go w szpitalu, Burt pokręcił głową.

— Uparciuch z ciebie.

Druty, którymi zabezpieczono jego pogruchotaną szczękę, nie pozwoliły mu odpowiedzieć.

Skończył drugiego Jacka Daniela i popatrzył przez pustą salę na barmana, który najwyraźniej nie otrząsnął się jeszcze z szoku, że ma zwyczajnego klienta. Do lokalu wszedł mężczyzna z pękatą papierową torbą, rozejrzał się, na widok Pittmana uniósł brwi, popatrzył na barmana, który wzruszył ramionami, po czym ruszył w kierunku pomieszczenia w głębi.

Pittman zastanawiał się, czy nie zamówić jeszcze jednego burbona, ale gdy spojrzął na zegarek, okazało się, że minęło już wpół do drugiej. Siedział w knajpie dłużej, niż sądził. Od wielu lat nie myślał o Millgacie — od czasów sprzed choroby Jere-my'ego. Kiedy jego szczękę się wygoiła, musiał zająć się innymi sprawami, a Millgate znów zapadł się pod ziemię. Co z oczu, to z serca. Jedynym wspomnieniem pozostały okresowe bóle szczęki podczas zimna. Czasami, kiedy przeciągał palcem po linii złamania, przypominało mu się, jak próbował przeprowadzić dochodzenie w sprawie dwójki współwięźniów, którzy go pobili. Przydzielono ich do jego celi pół godziny po tym, jak sam został w niej umieszczony. Oskarżono ich o pijaństwo w miejscu publicznym, choć kiedy go bili, nie czuł od nich alkoholu. Po pobiciu go zostali omyłkowo zwolnieni, co wynikało z bałaganu w dokumentach. Mieli bardzo często spotykane nazwiska i tymczasowe adresy i Pittmanowi nie udało się nigdy ich odnaleźć ani ustalić, czy to Millgate ich wynajął, aby go pobili.

34

Kiedy wychodził z mrocznego baru, od nagłego uderzenia jaskrawego słonecznego światła zabolęła go głowa. Poczuł, jak do rozpaczyny dołącza paląca złość. Nie cierpiał ludzi, którzy uważali, że ich pieniądze i pozycja społeczna czynią z nich kogoś porównywalnego do członków rodziny królewskiej. Czuli się całkowicie bezkarni, byli przekonani, że nie można ich pociągnąć do odpowiedzialności za to, co robią. Kiedy był u szczytu kariery i pracował w dziale wydarzeń krajowych, jego najlepszymi artykułami były te, w których ujawniał przestępcze działania wysoko postawionych osób. Jonathan Millgate byłby najwyżej postawioną postacią, którą zrzuciłby z piedestału — gdyby był bardziej wytrwały.

Nagle cała jego złość odpłynęła. Na skrzyżowaniu, do którego się zbliżał, wśród czekających na czerwonym świetle przechodniów ujrzał wysokiego chłopaka z długimi włosami, szczupłymi ramionami i wąskimi biodrami, uderzającego lekko stopą w chodnik w rytm muzyki, którą tylko on słyszał. Wyglądał na piętnaście lat. Miał na sobie pomiętą dżinsową kurtkę z wizerunkiem jakiejś gwiazdy rocka na plecach, wyblakłe dżinsy i sportowe buty za kostkę, pomalowane na zielono i pokryte jakimiś napisami. Od tyłu tak bardzo przypominał Jeremy'ego, że Pittman znowu poczuł ból w sercu. Kiedy jednak chłopiec odwrócił głowę, aby powiedzieć coś do stojącego obok kolegi, okazało się, że wygląda całkiem inaczej — miał znacznie mocniej zarysowaną szczękę, czystsza cerę i nie nosił aparatu ortodontycznego. Jeremy nie był doskonały fizycznie, ale był idealnym synem. Nie wynikało to tylko z tego, że nigdy się w nic nie pakował, zawsze miał znakomite oceny i okazywał szacunek starszym. Miał mnóstwo zniewalającego wdzięku i niezwykle poczucie humoru i tego właśnie najbardziej brakowało Pittmanowi po jego utracie. Wszędzie, gdzie się pojawiał, było wesoło, i Pittman zawsze uważał, że dzięki jego synowi życie jest lepsze. Już nie było.

Złość, jaką poczuł na myśl o Millgacie, przeminęła. To były inne czasy, inne życie — zanim Jeremy zachorował. Miał jednak

35

żał do Burta — jak mógł sądzić, że dochodzenie w sprawie Jonathana Millgate'a może odwrócić jego uwagę od żałoby po utracie Jeremy'ego?

Powinien był mu powiedzieć, żeby wsadził to sobie gdzieś.

Nie! Dotrzyma słowa i zakończy tę sprawę. Nie będzie niczym dłużnikiem.

10

Parę lat wcześniej musiałby zejść do piwnicy, gdzie przechowywano mikrofilmy archiwalnych wydań gazety. Rejestr główny zawierał fiszki z napisem MILLGATE oraz WIELCY DORADCY wraz z odnośnikami do opublikowanych w prasie artykułów na ich temat. Miejsce, w którym przechowywano mikrofilmy, nazywano w redakcji „kostnicą” i choć mikrofilmy zostały zastąpione przez komputerowe bazy danych, Pittman był tak pochłonięty myślą o śmierci, że kiedy włączał komputer i wchodził do bazy danych, miał wrażenie, jakby naprawdę znalazł się w kostnicy.

Informacje na temat Millgate'a były bardzo skąpe, co — biorąc pod uwagę jego pilnie strzeżoną prywatność — nie mogło dziwić. Przez siedem lat od zakończenia nieudanego dochodzenia Pittmana pojawiło się o nim jedynie kilka małych wzmianek. Millgate i pozostała czwórka Wielkich Doradców — którzy mimo braku oficjalnych powiązań z rządem w dalszym ciągu mieli ogromną władzę polityczną — zostali przyjęci w Białym Domu, gdzie po uroczystej kolacji prezydent wręczył Millgate'owi Medal Wolności, najwyższe cywilne odznaczenie Stanów Zjednoczonych. Potem Millgate poleciał razem z prezydentem Air Force One na międzynarodową konferencję w Genewie, poświęconą problemom ekonomicznym. Po erze rządów komunistycznych utworzył instytut zajmujący się badaniem zagadnień dotyczących odbudowy Rosji. Złożył też oświad-

37

czenie przed komisją senacką, w którym w superlatywach wypowiadał się o kandydacie na sędziego Sądu Najwyższego, synu jednego z Wielkich Doradców. Zadzwoił telefon.

— Nekrologi — powiedział Pittman.

Pięćdziesięciodwuletnia kobieta zginęła w pożarze. Nie miała męża ani dzieci, nie pracowała, nie należała do żadnych organizacji. Poza bratem (z którym Pittman właśnie rozmawiał), nie miała żadnych krewnych. Zanosilo się na to, że nekrolog

będzie bardzo lakoniczny — zwłaszcza że brat nie chciał, aby wymieniano w nim jego nazwisko z obawy przed ludźmi, którym siostra była winna pieniądze.

Pustka życia tej kobiety przygnębiła Pittmana. Szara mgła, która zwykle go otaczała, jeszcze bardziej zgęstniała. Rozłączył się i popatrzył na zegarek. Dochodziła trzecia.

Telefon ponownie zadzwonił.

— Co z nekrologiem Millgate'a? — zapytał chropawy głos Burta Forsytha.

— Czy on już...

— W dalszym ciągu jest na oddziale intensywnej terapii.

— Nie zostało mi wiele. Skończę przed wyjściem do domu.

— Chcę, żeby to było treściwe. Siedem lat temu tak łatwo byś się nie poddał. Pokop trochę. Wtedy ciągle narzekałeś, że nie możesz się z nim zobaczyć. Tym razem nie może uciec przed wywiadem. W szpitalu na pewno będącys krewni albo inni ludzie... pogadaj z nimi. Spróbuj też dostać się jakoś do jego sali i porozmawiać z nim samym.

—

11

Pittman przez dwie minuty stał po drugiej stronie ulicy. Budynek szpitala wyglądał jak okopcony. Kwietniowe słońce mocno przygrzewało, kiedy jednak zaszło za wieżowce, zrobiło się tak chłodno, że Pittman musiał rozmasować przedramiona.

W tym samym szpitalu umarł Jeremy. Pittman stał naprzeciwko izby przyjęć, w miejscu, w którym często się zatrzymywał po wyjściu od Jeremy'ego. Widział stąd okno jego sali na dziewiątym piętrze. Zazwyczaj patrzył wtedy przez kilka godzin w górę i modlił się, żeby Jeremy nie miał nudności po chemioterapii.

Przez hałas ruchu ulicznego przebiło się wycie syreny. Z zatłoczonej ulicy skręciła karetka na sygnale i zatrzymała się przy wejściu do izby przyjęć. Z samochodu wyskoczyli sanitariusze i w pośpiechu wyciągnęli ze środka pacjenta na noszach. Przechodnie obejrzeni się, jednak nikt się nie zatrzymał.

Pittman przełknął ślinę, spojrział w górę, na okno, które w duchu w dalszym ciągu nazywał „oknem Jeremy'ego”, i odwrócił się. W tym samym szpitalu przebywał Jonathan Mill-gate — na oddziale intensywnej opieki medycznej dla dorosłych, znajdującym się na tym samym korytarzu na piątym piętrze, gdzie mieścił się oddział dziecięcy — na którym umarł Jeremy. Pittman czuł, że nie będzie w stanie wejść do środka, wjechać na piąte piętro i znowu patrzeć na ludzi, czekających na informacje o ukochanych osobach.

39

Nie wytrzymałby tego.

Poszedł do domu na piechotę, aby jakoś wypełnić czas. Kiedy zrobiło mu się zimno, zatrzymał się na kilka drinków — aby zapełnić jeszcze trochę czasu. Winda, którą jechał do swojego mieszkania na drugim piętrze, trzeszczała i skrzypiała. Zamknął się na klucz, usiłując ignorować mechaniczny śmiech z telewizora, dolatujący przez cienką ściankę z mieszkania obok, i nalał sobie kolejnego drinka.

Aby zabić czas.

Siedział w ciemności i próbował wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby Jeremy żył. Pewnie w najbliższe sobotnie popołudnie graliby z Jeremym w koszykówkę jeden na jednego. Potem poszliby na pizzę i do kina, może do Tower Records — w zależności od tego, na co właśnie mieliby ochotę. Przyszłość należałaby do nich.

Pittman zapłakał.

Poszedł do kuchni, zapalił światło, wysunął szufladę i wyjął pistolet.



Zarejestrował mimowolnie, że minęła ósma, ponieważ za ścianą właśnie skończył się jeden sitcom i zaczynał następny. Popatrzył na broń. Skupił wzrok, jakby ustawiał ostrość okularów mikroskopu, i po chwili widział już tylko błyszczący oksydowany metal, spust, kurek i wylot lufy, z którego...

Do rzeczywistości przywołał go nowy dźwięk — głęboki głos, dobiegający z sąsiedniego mieszkania. Ten głos przypominał...

Lektora wiadomości? Pittman odwrócił głowę od czter-dziestki i popatrzył na stojący na kuchence zegarek. Była 10:04. Zmarszczył czoło. Czyżby tak bardzo skoncentrował się na pistolecie, że stracił poczucie czasu? Odłożył broń. Telewizyjny prezenter powiedział coś o Jonathanie Millgacie.

12

— Dawno cię nie widziałem, Matt — przywitał Pittmana potężny mężczyzna z warząchwią, którą mieszał w kotle z czymś pachnącym jak rosół z kury. Był Włochem, miał na sobie bluzę Yankeesów i czapkę baseballową z logo Yankeesów, spod której wystawały siwe włosy.

Bar mieścił się w długim, wąskim pomieszczeniu — wzdłuż jednej ściany biegł kontuar, a pod drugą stały pokryte laminatem stoliki. Jarzeniowe światło sprawiało, że po wejściu z ciemnej ulicy Pittman musiał kilka razy zamrużyć, aby przyzwycząić wzrok. Dochodziłajedenasta. Usiadł przy bufecie i skinął głowąjedynemu klientowi poza nim — pijącemu kawę przy stoliku Murzynowi.

— Byłeś chory? — spytał kucharz. — Dlatego się nie pokazywałeś?

— Wszyscy mnie o to pytają... Wyglądam na chorego?

— Albo skacowanego. Popatrz, jak wisi na tobie ubranie. Ile straciłeś na wadze? Pięć, osiem kilo? Sądząc po worach pod oczami, niewiele też śpisz.

Pittman nic na to nie odpowiedział.

— Co chcesz?

— Na początek przysługę.

Potężny Włoch dalej mieszał zupę, jakby tego nie usłyszał.

— Mógłbyś to dla mnie przechować?

— Co? — Kucharz popatrzył na ladę przed Pittmanem. — To pudełko?

41

Pittman kiwnął głową. Wcześniej w pudełku był papier do drukarki, a teraz pistolet i pudełko naboji. Pittman wypchał pustą przestrzeń podartymi gazetami, aby przy przechylaniu pudełka pistolet się nie przesunął i nie stukał o ścianki, po czym wielokrotnie owinął je taśmą samoprzylepną.

— Dużo miejsca ci to nie zajmie — powiedział. — Mogę zapłacić, jeśli...

— Nie ma potrzeby — odparł Włoch. — Co jest w środku? Dlaczego nie możesz trzymać tego w domu? Nie ma tam nic podejrzanego?

— Nie. To tylko pistolet.

— Pistolet?

Pittman uśmiechnął się.

— Piszę książkę. W środku jest wydruk i dyskietki. Mam

paranoję na punkcie pożarów. Poprosiłbym o pomoc moją dziewczynę, ale właśnie się pokłóciliśmy. Chcę mieć kopię poza domem.

— Tak? Książka? A o czym?

— O samobójstwie. Możesz dać mi trochę tej zupy?

Był to jego pierwszy posiłek od trzydziestu sześciu godzin.

13

Zaniósł pistolet do baru, ponieważ obawiał się, że mając go w domu, straci nad sobą kontrolę do tego stopnia, iż może się zastrzelić, zanim spełni daną Burtowi Forsythowi obietnicę. Przeżycie każdego dnia kosztowało go wiele wysiłku, a gorycz i poczucie pustki były tak silne, że nie miał pewności, czy uda mu się przetrwać osiem kolejnych dni. Zostawiając pistolet u Włocha, miał szansę, że nawet jeśli ogarnie go rozpacz, idąc do baru po pudełko i wracając do mieszkania, będzie miał czas na odzyskanie równowagi.

Musiał wykonać to, o co prosił Burt Forsyth, choć Jonathan Millgate nic już dla niego nie znaczył. Własna kariera zawodowa też nie miała znaczenia. „Chronicie” również. Ale liczył się Burt Forsyth. Na cześć Jeremy'ego spełni daną przyjacielowi obietnicę. Jeszcze osiem dni.

Mimo niechęci wrócił do szpitala. Tym razem pojechał taksówką. Nie dlatego, że się spieszył. Miał mnóstwo czasu i wołałby iść na piechotę, ale musiałby wtedy przejść przez wiele miejsc, które o tej porze bywały niebezpieczne. Aby odłożyć śmierć na osiem dni, musiał uważać, żeby w tym czasie nie zginąć.

Wrócił do szpitala, ponieważ spiker telewizyjny wymienił nazwisko Millgate'a. Przez cienką ścianę wyraźnie słyszał, co mówiono w dzienniku. Z początku sądził, że Millgate umarł i lektor czyta jego życiorys. Burt byłby wściekły, gdyby nie

43

zdażył dostarczyć nekrologu na czas, okazało się jednak, że Millgate w dalszym ciągu przebywa na oddziale intensywnej terapii.

Wiadomość podana w dzienniku dotyczyła kolejnego związanego z nim skandalu. Ku rozpaczy rządu wieczorem do mediów przeciekła treść raportu specjalnego prokuratora Departamentu Sprawiedliwości. Informacje zawarte w brudnopisie, który nigdy nie miał zostać opublikowany, sugerowały, że Millgate jest negocjatorem w tajnym — niezakończonym przez Kongres — zakupie broni atomowej od rządów różnych krajów byłego Związku Radzieckiego.

Podejrzenie to nie zostało niczym poparte, brudnopis był jedynie wskazówką, w jakim kierunku powinno pójść ewentualne dochodzenie Departamentu Sprawiedliwości. Jednak powaga, z jaką spiker odczytał tę informację, sprawiła, że ponure domniemanie zabrzmiało jak dowiedziony fakt. Zgodnie z zasadą: jest winien, dopóki nie udowodni swej niewinności. Był to drugi przypadek w ciągu ostatnich siedmiu lat, kiedy Jonathan Millgate został uznany za pośrednika w tego rodzaju transakcji, i Pittman doskonale wiedział, że jeżeli tym razem nie uda mu się niczego dowiedzieć, jeżeli przynajmniej nie spróbuje dotrzeć do jego ludzi i wyciągnąć od nich jakiegoś oświadczenia, Burt Forsyth oskarży go o niedotrzymanie obietnicy. Dla Burt i w imię tego, co Burt zrobił dla Jeremy'ego, musiał podjąć tę próbę.

14

Stał na rogu naprzeciwko izby przyjęć nagłych przypadków. Właśnie minęła północ. Zimna mżawka sprawiała, że powietrze wydawało się jeszcze chłodniejsze. Zapiał pomięty płaszcz marki London Fog, niewiele to jednak dało — czuł, że wilgoć przenika nawet przez podeszwy butów. Mżawka tworzyła mgliste aureole wokół ulicznych latarni i świetlówek przy wejściu do szpitala. Jakby dla kontrastu, w wielu szpitalnych oknach światło było

przyciemnione i Pittmana ogarnęło poczucie samotności. Spojrzał w „okno Jeremy'ego” na dziewiątym piętrze — było zupełnie ciemne. Jego poczucie samotności jeszcze się nasiliło. Wziął głęboki wdech i przeszedł przez ulicę.

O tej porze ruch uliczny nie był zbyt duży, a strefa przed wejściem do szpitala niemal zupełnie opustoszała. Z daleka doleciało wycie syreny. Mżawka wzmożła się, krople deszczu spadały Pittmanowi na kark. Kiedy Jeremy chorował, Pittman dobrze poznał rozkład całego szpitala — dowiedział się, gdzie są poszczególne oddziały i najspokojniejsze w nocy poczekalnie, gdzie stoją automaty z kawą, gdzie można dostać kanapkę po zamknięciu kafejki. Przyjeżdżając z Jeremym na chemioterapię, zawsze czuł się nieswojo przed głównym wejściem i w holu. Z powodu swojej choroby Jeremy zrobił się bardzo delikatny i Pittman bał się, że mu się coś stanie, jeśli się z kimś zderzy. Nawet zwykły siniak utrzymywał się u niego znacznie dłużej niż u zdrowych dzieci. Poza tym Pittman dostawał szału na

45

widok spojrzeń ludzi w holu, zszokowanych widokiem wychudzonego, łysiego piętnastolatka o zapadniętej twarzy, na którego głowie widać było pod skórą siatkę fioletowawych żył. Właśnie z tego powodu wymyślił inną drogę — od tyłu, przez małe drzwi znajdujące się za rogiem. Były one używane głównie przez stażystów i pielęgniarki, a windy w tej części szpitala jeździły znacznie szybciej, może dlatego, że nie były tak obciążane.

Ponowne przemierzanie tej drogi przywołało tak intensywne wspomnienia, że kiedy Pittman mijiał zaparkowany prywatny ambulans, miał wrażenie, że Jeremy idzie obok niego. Ambulans był szary, nie miał szpitalnych oznakowań, ale przez szparę w firance szyby tylnych drzwi widać było w palącym się w środku świetle zestaw do podawania tlenu i aparaturę do monitorowania pacjenta. Mężczyzna w białym kitlu sprawdzał wszystkie urządzenia.

Kiedy Pittman minął ambulans, stojący z zapalonym silnikiem, ale ze zgaszonymi światłami, ujrzał krępego mężczyznę w ciemnym garniturze, który na jego widok rzucił w kałużę palonego przez siebie papierosa. Pittman pomyślał, że jeżeli wyszedł zapalić na deszcz, musiało mu naprawdę brakować nikotyny.

Skinął mężczyźnie głową i sięgnął do klamki. Ze zdziwieniem stwierdził, że światło nad wejściem się nie pali. Wszedł do środka, pokonał cztery stopnie i kiedy znalazł się na betonowym półpiętrze, ujrzał kolejnego krępego mężczyznę w ciemnym garniturze — opartego o ścianę w miejscu, gdzie schody skręcały i szły dalej w górę. Mężczyzna miał kamienną twarz i zimne oczy.

Pittman nie zamierzał wchodzić dalej schodami — ruszył przed siebie, w kierunku drzwi wychodzących na jasno oświetlony szpitalny korytarz. Natychmiast zaatakował go przenikliwy, kwaśny, dobrze znajomy odorek jedzenia, środków od-1 każących i leków. Kiedy przychodził tu codziennie do Jeremy'ego, przesiąkło nim całe jego ubranie. Przez kilka tygodni po śmierci Jeremy'ego nadal czuł go w swoich marynarkach, spodniach i koszulach.

46

Bolesne wspomnienia wywołane przez ten zapach przytłoczyły go. Czy naprawdę chciał jeszcze raz przez to przechodzić? Od śmierci Jeremy'ego nie był w szpitalu. Czy ta tortura warta była zadowolenia Burta?

Drzwi windy znajdowały się dokładnie przed drzwiami, którymi wszedł na korytarz. Podejrzewał, że jeżeli pójdzie dalej, odruchowo skieruje się na dziewiąte piętro i wejdzie do pokoju Jeremy'ego zamiast na piąte piętro, na którym leżał Millgate i umarł Jeremy.

Kątem oka zauważył jakiś gwałtowny ruch po prawej stronie. W jego stronę szedł mężczyzna o klatce piersiowej jak beczka, który jeszcze przed chwilą opierał się o ścianę przy drzwiach. Miał na sobie za dużą o kilka numerów wiatrówkę.

— Mogę w czymś pomóc? — Jego głos brzmiał, jakby przed chwilą połknął kruszone szkło. — Zgubił się pan?

— Nie, nie zgubiłem się. Mam tylko mętlik w głowie. — Agresywne brzmienie głosu mężczyzny sprawiło, że Pittman cały się napiął. Instynkt podpowiadał mu, że nie powinien mówić prawdy. — Na dziewiątym piętrze leży mój chory syn. Pielęgniarki pozwalają mi przychodzić do niego w nocy, czasem jednak trudno mi się zmusić do wejścia na górę.

— Chory? Poważnie?

— Rak.

— To przykre.

Mimo tych słów najwyraźniej zarówno Pittman, jak i jego syn byli mężczyźni całkowicie obojętni, ale jego postawa była tak agresywna, że Pittman postanowił podać najbardziej wiarygodną wersję. Z pewnością powiedzenie prawdy temu byczkowi, którego wiatrówkę z lewej strony wypychało coś o dość charakterystycznym kształcie, nie wyszłoby mu na zdrowie.

Za jego plecami rozległ się odgłos kroków. Kiedy się obejrzał, ujrzał kolejnego krępego przyjemniaczka, tyle że w długim płaszczu. Obaj mężczyźni nie mieli na ubraniach ani śladu wilgoci, co oznaczało, że już dość długo stali w korytarzu. Jeśli dodać do tej dwójki mężczyznę na schodach i palacza przed szpitalem, wyglądało to dość dziwnie.

— Niech pan jedzie na górę do swojego chłopaka — powie dział mężczyzna w wiatrówce.

47

— Jasne — odparł Pittman, ale zanim zdążył wcisnąć klawisz przy windzie, rozległ się gong i drzwi kabiny się rozsunęły. Ze środka dobiegały głośnie głosy:

— Nie zamierzam za to odpowiadać!

— Nikt pana o to nie prosi. Od tej chwili jest moim pacjentem.

W kabinie było pełno ludzi. Dwóch sanitariuszy wywoziło z niej łóżko na kółkach, na którym leżał mężczyzna z maską tlenową na twarzy i z wlewem dożylnym umieszczonym w lewym przedramieniu. Za łóżkiem wyszła pielęgniarka, trzymająca wysoko plastikową butelkę, z której do żyły pacjenta spływał przezroczysty płyn. Chudy, wyraźnie zdenerwowany młody mężczyzna spierał się ze starszym rumianym ze stetoskopem na szyi i podkładką z przypiętymi papierami, prawdopodobnie dokumentacją medyczną.

— Ale ryzyko... — zaczął starszy z mężczyzn.

— Powiedziałem, że to teraz moja sprawa.

Młodszy mężczyzna wyszedł z windy i w tej samej chwili czyjeś ręce złapały Pittmana od tyłu za łokcie, odsuwając go z drogi. Łóżko, dwaj sanitariusze, pielęgniarka i chudy młodzieniec — wszystko pomknęło w kierunku drzwi, którymi Pittman minutę temu wszedł na korytarz. Kiedy mężczyzna ze stetoskopem spróbował podążyć za tą kawalkadą, z windy wyszło dwóch kolejnych dobrze zbudowanych mężczyzn w czarnych garniturach i zastąpiło mu drogę.

— Jasna cholera, jeśli zaraz nie zejdziecie mi...

— Spokojnie, doktorze... wszystko będzie dobrze.

Pittman szarpnął się, bo trzymające go od tyłu ręce sprawiały

mu ból. Przez okienko w drzwiach dostrzegł, że czekający na półpiętrze mężczyzna podbiega do drzwi, aby je otworzyć. Sanitariusze przepchnęli przez nie łóżko, podnieśli je szybko i zbiegli ze schodów prowadzących do wyjścia. Mężczyzna, który palił na zewnątrz papierosa, otworzył przed nimi tylne drzwi.

Sanitariusze, pielęgniarka i młodzieniec w kitlu zniknęli w mroku nocy. Mężczyzna, który przytrzymał Pittmana, puścił go i podążył za nimi.

48

Starszy mężczyzna ze stetoskopem cały się trząsł.

Na Boga, dzwonię na policję. Nie mogą...

Z zewnątrz doleciały odgłosy otwierania i zamykania drzwi szarego ambulansu. Pittman nie czekał, aż lekarz skończy zdanie. Wybiegł na zewnątrz. Ambulans właśnie odjeżdżał, a za nim ciemny oldsmobile.

Pittman ruszył za samochodami. Wiedział, że o tej porze najłatwiej złapać taksówkę na rogu naprzeciwko wejścia do izby przyjęć nagłych wypadków.

Kiedy przebiegał przez ulicę, zza rogu wyjechała taksówka, omal go nie potrącając.

— Uważaj, facet!

Pittman zatrzymał ją i wsiadł.

— W tamtym nieoznakowanym ambulansie jest mój ojciec! — zawołał, wskazując kierowcy następne skrzyżowanie, gdzie oba samochody zatrzymały się na czerwonym świetle. — Przewożą go na operację. Niech pan go nie zgubi!

— A co jest nie tak z tym szpitalem?

— Nie mają jakiegoś urządzenia, które jest niezbędne — odparł Pittman. — Niech się pan pospieszy. — Dał taksówkarzowi dwadzieścia dolarów i ruszyli.

Otarł z czoła krople deszczu i próbował uspokoić oddech. Co tu się działo? Choć maska tlenowa zasłaniała twarz chorego leżącego na łóżku, można było dostrzec pomarszczone, pokryte plamami wątrobianymi dłonie, chudą szyję i przerzedzone siwe włosy. Nie było to wiele, ale przecucie mówiło Pittmanowi, że właśnie widział Jonathana Millgate'a.

r

15

— Zdawało mi się, że mieli wieźć pana ojca do innego szpitala — powiedział taksówkarz.

— Zgadza się.

— W takim razie ten szpital chyba nie jest w Nowym Jorku. Jeśli jeszcze pan tego nie zauważył, właśnie dojechaliśmy do New Rochelle.

Wycieraczki stuknęły rytmicznie, opony syczały, trąc o mokry asfalt. Pittman gorączkowo zastanawiał się, co ma odpowiedzieć kierowcy.

— Może przez radio nawiązali kontakt z tym szpitalem i okazało się, że tam też nie ma tego urządzenia?

— Na Long Island, gdzie mieszkam, jest mnóstwo dobrych szpitali. Nie rozumiem, dlaczego mieliby przewozić go gdzieś dalej. Na co choruje pana ojciec?

— Na serce.

— Mój brat też ma kiepską pikawę. Trzydzieści lat papiero chów. Ledwie może przejść przez pokój. Oby pański ojciec wytrzymał, bo nie wygląda na to, że zatrzymają się w New Rochelle. Jezu, przy tej prędkości zaraz będziemy w Connecticut!

W deszczu zaświeciły reflektory nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu.

— Lepiej zawiadomię dyspozytora, co się dzieje — stwierdził taksówkarz. — Przykro mi z powodu pańskiego ojca i tak

dalej, ale taka długa jazda wymaga ustalenia specjalnej taryfy, jeśli trafimy do Stamford albo podobnego przeklętego miejsca, nie złapię klienta na powrót. Będzie mi pan musiał zapłacić za jazdę w obie strony.

— Zapłacę.

— Jak?

O dach załomotał deszcz.

— Co takiego? Przepraszam, nie słuchałem przez chwilę.

— Jak pan zapłaci? Ma pan gotówkę? Mówimy o... tak mniej więcej... ponad setce.

— Proszę się nie martwić. Dostanie pan pieniądze.

— Muszę wiedzieć, czy ma pan dość gotówki, żeby... Chwilę leczkę! Wygląda na to, że wreszcie się zdecydowali, gdzie mają jechać.

Znak przy prowadzącym na pomoc zjeździe informował: SCARSDALE/WHITE PLAINS.

50

16

— Co to za drzewa z prawej strony?

— Wyglądają jak park — mruknął Pittman.

— Albo cholerny las. Jezu, jesteśmy na wsi! Wiedziałem, że I nie powinienem był się zgodzić. Jak ja złapię tu klienta na powrót do miasta?

— Nie jesteśmy na wsi. Niech pan spojrzy na te wielkie domy z lewej strony. To jakieś drogie przedmieścia. Na górze jest tablica. No właśnie! SAXON WOODS PARK AND GOLF CLUB. Nie jesteśmy na wsi.

— W takim razie ci goście z ambulansu albo chcą dać pana ojcu pograć w golfa, albo... chwileczkę, zwalniają! — zawołał taksówkarz i również zwolnił.

— Skręcają w prawo — powiedział Pittman.

Minęli wysoki kamienny mur i kutą bramę, za którą zniknęły ambulans i oldsmobile. Tylne światła obu samochodów oddalały się w ciemności, a brama zaczęła się automatycznie zamykać.

— Śmieszne szpitale teraz budują... jak wiejskie posiadłości — stwierdził taksówkarz. — Co tu się dzieje, kolego?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Słucham?

— Naprawdę nic nie rozumiem. Mój ojciec jest ciężko chory i spodziewałem się, że...

— Ale to nie ma nic wspólnego z narkotykami?

pittman popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Zadałem panu pytanie.

Nie, to nie ma nic wspólnego z narkotykami — odparł pittman. — Sam pan widział, że ambulans odjechał spod szpitala.

Jasne. Ale nie zamierzam spędzić reszty nocy na krążeniu po Scarsdale. Koniec jazdy, kolego. Ma pan dwie możliwości: wracać ze mną albo wysiadać. Tak czy siak, płaci pan także za powrotny kurs — oświadczył kierowca i zawrócił.

— W porządku, proszę mnie wyrzucić w miejscu, w którym zjechali w bok.

Taksówkarz zgasił światła i zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy.

— Na wszelki wypadek... gdyby wołał pan nie afiszować się ze swoją obecnością — wyjaśnił.

— Przecież mówiłem, że to nie ma nic wspólnego z narkotykami.

— Oczywiście. Jest mi pan winien sto piętnaście dolarów.

Pittman zaczął grzebać po kieszeniach.

— Już dałem dwadzieścia.

— To był mój napiwek.

— Nie mam przy sobie tyle gotówki.

— Że co? Pytałem pana przed chwilą, czy...

— Mogę zapłacić kartą.

— Nie może pan! Nie mam terminalu!

— Więc dam panu czek.

— Sekundę! Czy ja wyglądam na idiotę? Kiedy ostatni raz wzięłem od gościa czek, okazał się...

— Niech się pan uspokoi! Powiedziałem, że nie mam tyle gotówki. Dałbym panu zegarek, ale nie jest wart nawet piętnastu dolarów.

— Czek... — mruknął taksówkarz. — Co za zaszara robota...

Kiedy Pittman wypisał czek, taksówkarz kazał pokazać sobie prawo jazdy. Porównał adresy z obu dokumentów i zanotował numer ubezpieczenia Pittmana.

— Jeśli ten czek nie ma pokrycia, kolego...

— Zapewniam pana, że ma.

53

— Gdyby się okazało, że jednak nie ma, zjawię się u ciebie w domu i połamię ci nogi.

— Proszę go tylko zrealizować w ciągu tygodnia od soboty.

— Bo co?

— Bo potem mnie nie będzie — odparł Pittman.

Wysiadł (na szczęście deszcz zamienił się w mżawkę) i przez chwilę patrzył na odjeżdżającą taksówkę. Po kilkuset metrach taksówkarz włączył reflektory.

17

Kiedy otoczyła go cisza i ciemność, poczuł się zupełnie odcięty od świata. Wsunął ręce do kieszeni, aby je nieco ogrzać, i ruszył poboczem. Piasek pod żwirem był tak mokry, że jego

kroki tylko cicho skrzypiały. Nie było tu ulicznych latarni. Mimo że wyteżał wzrok, z trudem dostrzegał mur po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy szarość nieco zmieniła odcień, uznał, że znalazł się na wysokości bramy.

Podszedł do niej i zajrzał przez pręty. Obrzeża podjazdu za bramą były obsadzone drzewami i krzewami, a w oddali migotały światła — chyba w rezydencji.

Co teraz? Była druga w nocy. Padało i było zimno. Nie wiedział, gdzie jest. Nie powinien był iść do szpitala. Nie powinien był śledzić ambulansu. Nie powinien był...

Gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, dokładnie przyjrzał się bramie. Na pewno zdołałby się na nią wspiąć, ale tak samo pewne było, że gdzieś ukryty był czujnik ruchu. Kiedyś pisywał do niedzielnego dodatku gazety i napisał artykuł o człowieku, którego nazwał „Mistrzem pluskiew”. Był on ekspertem od czujników antywłamaniowych i wszelkiego rodzaju sprzętu bezpieczeństwa, w tym także urządzeń podsłuchowych, zwanych popularnie „pluskwami” — stąd przydomek. Mistrz pluskiew ze szczegółami opowiadał o swojej profesji, a Pittman wszystko notował.

Posiadłość tej wielkości musiała mieć jakieś zabezpieczenia,  
55

zwłaszcza na murze i bramie. Jednak w tych ciemnościach i przy tej pogodzie niemożliwe było dostrzeżenie czujników lub kamer.

Co robić? Może trzeba było razem z taksówkarzem wrócić na Manhattan? Tkwiąc tu nocą w lodowatym deszczu, i tak nic nie osiągnie.

Za prętami bramy pojawiło się światło.

Dwa światła. Reflektory samochodu. Z początku Pittman chciał się ukryć za węglem, zmienił jednak zdanie i przylgnął do muru.

Sądząc po odgłosie, zbliżający się samochód miał dobrze wyregulowany silnik o dużej mocy. Gdy auto hamowało, jego opony zaskrzypiały na betonie. Po chwili zabuczał brzęczyk, zaterkotał mały silnik i zdalnie sterowana brama zaczęła się otwierać.

Silnik samochodu zawarczał głośniejsze i ulicę oświetliły reflektory. Ciemny ołdsmobile, który eskortował ambulans z Nowego Jorku, wyjechał z posiadłości, skręcił w lewo — w kierunku miasta — i pomknął w ciemność.

Pittman zamierzał tkwić w bezruchu, aż światła samochodu znikną w oddali, ale brama znowu zahuczała. Nie spodziewał się, że zacznie się tak szybko zamykać, rzucił się więc sprintem w kierunku coraz bardziej zwięzającego się przejścia.

Ledwie zdążył. Trzasnął zamek, brama została zablokowana i znowu zapadła cisza.

18

Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Choć posiadłość była ogromna, ciemność obejmowała go swoimi mackami i poczuł, że ogarnia go klaustrofobia. Na szczęście zimna mżawka wyostrzyła mu zmysły, orzeźwiła go. Głęboko zaczerpnął powietrza i rozejrzał się wokół, aby się upewnić, czy z cienia nie wychynie jakieś niebezpieczeństwo.

Wartownicy?

Nie, ale...

Psy?

Właśnie.

Nie przybiegły chyba za wyjeżdżającym z posesji samochodem?

Może tak, może nie. Mogły zostać tak wytresowane, aby nie biegały za samochodami.



Co mogą ci zrobić? Zagonią cię do kąta i będą czekać, aż ktoś się zjawi. Zostaniesz oskarżony o wtargnięcie na cudzy teren. Niewielkie zagrożenie dla kogoś, kto za osiem dni zamierza popełnić samobójstwo.

A jeśli psy tak wyszkolono, że atakowały obcych?

Rozluźnij się. To nie jest tajny ośrodek wojskowy, ale prywatna posiadłość w Scarsdale. Poza tym nawet gdyby te psy nauczone zabijać, co z tego? W czym śmierć od ran zadanych przez dobermanów ma być gorsza od śmierci od rany postrzałowej z czterdziestkiptki?

57

No właśnie.

Wszystko jest względne.

Ruszył przez deszcz. W pierwszym odruchu chciał podejść do rezydencji pod osłoną drzew, stwierdził jednak, że nie ma takiej potrzeby, bo ciemność wystarczająco go ukryje. Idąc podjazdem, minął nieoświetlony zakręt i stwierdził, że jest znacznie bliżej rezydencji, niż mu się wydawało.

Stał przy dużej jodle i przyjrzał się ceglanemu budynkowi. Był bardzo duży, zwieńczony licznymi mansardowymi daszkami i kominami. W oknach na parterze paliło się sporo świateł, ale na piętrze jedynie w kilku. Po lewej stronie znajdował się garaż na pięć samochodów, na którego dachu był taras. Przez podwójne balkonowe drzwi wchodziło się z niego do oświetlonego pokoju — choć nie można było dostrzec, co jest w środku. Uwagę Pittmana przyciągnął szary ambulans, stojący przed kamiennymi schodkami, prowadzącymi do frontowych drzwi posiadłości. Samochód miał zgaszone światła, najwyraźniej nikogo w nim nie było.

I co teraz?

Jaka to różnica, co robi, mając przed sobą jedynie osiem dni? Świadomość, że tak niewiele mu zostało, dawała poczucie szczególnej wolności. Co miał do stracenia? Świadomość, że wkrótce ma umrzeć, sprawiła, że przestał się bać.

Ruszył w kierunku domu. Musiał uważać, aby nie poślizgnąć się na dość stromym zboczu na mokrej trawie. Podchodził ostrożnie, wykorzystując zasłonę z krzewów, fontanny i małej altanki. Miał przemoczone buty i skarpetki, nie zwracał jednak na to większej uwagi, skupiając się na obserwacji oświetlonych okien. W jednym z nich ktoś właśnie zaciągał zasłony, co zmusiło go do przejścia na drugą stronę podjazdu. Kiedy podbiegał do rosnących pod frontowymi oknami krzewów, czuł się jak na oświetlonej scenie z powodu jaskrawego światła zewnętrznych lamp sodowych.

Z gałęzi spadło mu za kołnierz kilka kropli wody. Gdy znowu ukrył się w cieniu, przykucnął i precyzyjnie się przesunął przez lukę między krzakami. Podeszedł pod frontowe drzwi od lewej strony i ostrożnie się wyprostował, aby zajrzeć do środka przez szparę w za-

58

ślonych. Zobaczył fragment luksusowo umeblowanego salonu. Nikogo w nim nie było.

Przesunął się do następnego okna, znajdującego się bliżej wejścia.

Zasłony w tym oknie były rozsunięte. Kiedy ostrożnie wystawił głowę ponad parapet, stwierdził, że zagląda do tego samego pokoju co przed chwilą. Ciekawe, dlaczego w jednym oknie zaciągnięto zasłony, a w drugim pozostawiono je rozsunięte? Ponownie przykucnął. Być może ten, kto czekał na przyjazd ambulansu, usłyszał podczas zaciągania zasłon, że karetka nadjeżdża, i wybiegł z pokoju, nie dokończywszy tego, co zaczął?

Ale dokąd pobiegł? Pittman uświadomił sobie, że kiedy zaglądał do salonu, zobaczył na stojącym przed kominkiem rzeźbionym mahoniowym stoliku kilka filiżanek. A więc nie jedna osoba, lecz kilka. Dokąd jednak...

Popatrzył na schody przed frontowymi drzwiami. Były to szerokie kamienne schody. Nad drzwiami umocowano silny reflektor i obserwującą teren przed wejściem kamerę. Nie zauważył innych kamer, ale na pewno nie powinien wchodzić w pole obserwacji tej nad drzwiami.

Zamiast iść dalej w prawo, musi zawrócić i obejść budynek w przeciwnym kierunku, niż zamierzał. Dotrze do wejścia od drugiej strony.

Nisko przykucnięty, zaczął sunąć wzdłuż ściany. Doszedł do okna, do którego jeszcze nie zaglądał — z rozsuniętymi zasłonami. Przez parę sekund uważnie słuchał, po czym uznał, że w środku nikogo nie ma, i ruszył dalej. Po chwili skręcił za róg.

Umieszczone z boku budynku oraz pod okapem znajdującego się na wielkim garażu tarasu sodowe reflektory otaczała migocząca deszczowa poświata. Trzymając się ściany, Pittman przeszedł kolejne trzy metry i znalazł się przy garażu. W przybudówce nie było okien, nie musiał więc uważać. Po minięciu następnego rogu stwierdził, że wszystkie bramy garażu są zamknięte.

Znajdował się teraz na tyłach domu. Teren oświetlały nieliczne lampy, było jednak wystarczająco widno, by dostrzec osło-

59

nięty folią wielki basen, przebiegalnię, zaniedbany ogród, krzewy i drzewa, a tuż obok, po prawej stronie, schody prowadzące na taras nad garażem.

Pittman przypomniał sobie, że za drzwiami balkonowymi paliło się światło. Uznał, że warto rzucić tam okiem, i zaczął wchodzić po drewnianych schodach.

19

Taras był ciemny, co go trochę zdziwiło.

Za to pokój, przed którego oknami stał, był dobrze oświetlony. Przykucnięty za bogato zdobionymi metalowymi krzesłami i stolikami, na których w cieplejszych porach roku podawano koktajle i obiady, Pittman przyglądał się wnętrzu. Całą lewą ścianę zajmował bar, a w prawą wbudowano telewizor o dużym ekranie.

Jednak w tej chwili pokoju nie wykorzystywano do celów rozrywkowych. Skórzane meble odsunięto na bok, aby pośrodku zrobić miejsce na łóżko z bocznymi poręczami. Na długim stole za łóżkiem stały elektroniczne urządzenia medyczne, których część Pittman poznał w trakcie wizyt u Jeremy'ego — do monitorowania pracy serca, ciśnienia krwi, oddechu, zawartości tlenu we krwi. Do jednego przedramienia podawała lek pompa infuzyjna, a do drugiego z wiszącej na stojaku plastikowej butelki skapywał bezbarwny płyn. Na łóżku leżał drobny, wychudzony mężczyzna. Dwaj sanitariusze, którzy przywieźli go ze szpitala w Nowym Jorku, regulowali przyrządy. Pielęgniarka sprawdzała, czy rurka podająca choremu tlen do nosa nigdzie się nie zagięła.

Maskę tlenową, która zasłaniała twarz chorego podczas jazdy ambulansem, odłożono na jeden z monitorów. Pittman w dalszym ciągu nie był stuprocentowo pewny, czy leżący na łóżku stary człowiek to Jonathan Millgate, ale bardzo go przypominał.

61

Młody mężczyzna, który wraz z chorym przyjechał z nowojorskiego szpitala, osłuchiwał stetoskopem klatkę piersiową pacjenta. W jednym z rogów pokoju stali ochroniarze.

W pomieszczeniu znajdowali się jeszcze inni ludzie. Pittman nie zauważył żadnego z nich w szpitalu, lecz wiele razy widywał ich na zdjęciach i filmach dokumentalnych. Czterech mężczyzn, bardzo dystyngowanych. Każdy miał na sobie konserwatywny trzyczęściowy garnitur — z pewnością szyty na miarę. Byli teraz znacznie starsi, ale przypominali swoje młodsze wersje.

Trzech było w okularach, czwarty miał siwe włosy. Dwóch było łysych, dwóch miało mocno przerzedzone siwe włosy. Wszyscy mieli surowe, napięte, pomarszczone twarze i obwisłą skórę na szyjach. Stali z poważnymi minami w szeregu, jakby znajdowali się na podium albo na dyplomatycznym przyjęciu. Gdyby zebrać wszystkie tytuły, jakimi mogli się poszczycić, byłaby to imponująca lista: ambasador w ZSRR, ambasador przy ONZ, ambasador w Wielkiej Brytanii, ambasador w Arabii Saudyjskiej, ambasador w RFN, ambasador przy NATO, sekretarz stanu, sekretarz obrony, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Niektóre z tych stanowisk każdy z nich zajmował wielokrotnie. Tak samo każdy z nich wiele razy wchodził w skład Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Żaden z nich nie został nigdy wybrany na urząd publiczny, ale na stanowiskach mianowanych mieli większą władzę niż inni wysoko postawieni politycy. Ich nazwiska brzmiały: Eustace Gable, Anthony Lloyd, Victor Standish i Winston Sloane. Byli dyplomatami, których wielu prezydentów — od Trumana po Clintona, zarówno z ramienia demokratów, jak i republikanów — często prosiło o radę i których przebiegłość dała im przydomek Wielkich Doradców. Było ich czterech, co mogło oznaczać, że leżący na łóżku starzec jest piątym z ich grupy, Jonathanem Millgate'em.

20

Młody człowiek ze stetoskopem powiedział coś do pielęgniarki, a ona mu odpowiedziała. Potem do rozmowy włączyli się dwaj sanitariusze. Przez szybę nic nie było słyhać. Mężczyzna ze stetoskopem odwrócił się do Wielkich Doradców i zaczął im coś wyjaśniać. Jeden z nich, o zapadłych policzkach i siwych włosach — Winston Sloane — kiwnął głową. Drugi — Eustace Gable — o pociętej licznymi zmarszczkami wąskiej twarzy, zadał jakieś pytanie. Mężczyzna ze stetoskopem odpowiedział. Trzeci z dyplomatów, Anthony Lloyd, postukał laską o podłogę w geście zniecierpliwienia. Choć wszyscy mieli blade twarze, w ich starych oczach płonął ogień. Eustace Gable coś jeszcze dodał i wyszedł. Pozostali podążyli za nim.

Pielęgniarka podeszła do okna. Kiedy pociągnęła za sznurek, zasłony nieco się przesunęły i zatrzymały. Kobieta pociągnęła mocniej, ale coś blokowało zasłony. Pittman obserwował to wszystko z narastającym zdumieniem. Za doradcami wyszli ochroniarze, potem sanitariusze i w pokoju — poza chorym — Pozostali jedynie młodzieniec ze stetoskopem oraz pielęgniarka. Kobieta przyciemniła światło i Pittman zrozumiał wreszcie, dlaczego nie oświetlono tarasu: aby po przyciemnieniu światła w pokoju zewnętrzne lampy nie oślepiały znajdujących się w nim osób. Czerwone podświetlenia monitorów nie były Jaśniejsze od przygaszonego światła. Najwyraźniej pacjent miał

63

odpoczywać — tyle przynajmniej dało się z tego wszystkiego wywnioskować.

Przykucnięty obok metalowego stolika Pittman starł krople deszczu z twarzy i zastanawiał się, co ma dalej zrobić.

Jego podejrzenia się potwierdziły: Jonathiana Millgate'a rzeczywiście wywieziono ze szpitala. Nie wiadomo, dlaczego to zrobiono, ale przynajmniej dowiedział się, gdzie chory przebywa. Więcej nie mógł działać. Powinien opuścić teren posesji. Jeżeli postoi jeszcze trochę na tym deszczu, z pewnością dostanie zapalenia płuc.

Uśmiechnął się gorzko na tę myśl. Wczoraj prawie odebrał sobie życie, a teraz przejmuje się zapaleniem płuc! Nic z tego — musi jeszcze przeżyć osiem dni. Nie umrze na zapalenie płuc.

Kiedy mężczyzna ze stetoskopem wyszedł z pokoju, a pielęgniarka zaczęła sprawdzać monitory i wlewy, Pittman ruszył ku schodom. W połowie drogi znieruchomiał, zaalarmowany nieoczekiwanym hałasem.

Dobiegał dokładnie spod miejsca, w którym stał. Było to połączenie mechanicznego warkotu i zgrzytania metalu. Dach tarasu zadrżał, a Pittmanowi załomotało serce.

Zaczęła się otwierać jedna z bram garażu. Pittman znowu przykucnął, aby jego sylwetka nie rzucała cienia na dach. Światło padające z garażu oświetliło kałuże, bombardowane kroplami deszczu. Po chwili silnik umilkł i brama się zatrzymała.

W ciszy, maconej jedynie przez szum deszczu, zastukały idące po betonie stopy, skrzypnęły otwierane drzwiczki samochodu

1 do Pittmana doleciał fragment prowadzonej pod nim rozmowy.

— ...księdzem — powiedział łamiący się starczy głos, na pięty z emocji.

— Nie martw się — odparł inny głos, równie stary. — Ksiądz nie dojechał. Jonathan z nim nie rozmawiał.

— Ale mimo wszystko...

— Zajęto się tą sprawą — powiedział z naciskiem drugi

2 głosów, szeleszczący jak suche liście. — Wszystko jest zabezpieczone.

—? Ale dziennikarze...

— Nie mają pojęcia, gdzie jest Jonathan. Wszystko jest pod kontrolą. Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to rozdzielić się i zachowywać pozory normalności.

Ktoś wsiadł do samochodu. Trzasnęły zamykane drzwi, zadudnił silnik.

Zapaliły się reflektory i z garażu wyjechała ciemna limuzyna która pomknęła w kierunku bramy.

Pittman poczuł, że łapią go skurcze w łydkach. Zaczął wstawać żeby rozprostować nogi, ale na dźwięk kolejnego głosu zamarł,

— Taksówka... — powiedział trzeci starczy głos.

— Jeśli się nie mylisz i naprawdę byliśmy śledzeni... ~- zaczął czwarty głos, mocno zaflegmiony.

Pittman nie dosłyszał reszty zdania, bo została zagłuszona zgrzytem następnej otwierającej się bramy garażowej. Deszczową mgiełkę rozświetliły kolejne samochodowe reflektory.

Kiedy silnik bramy ucichł, Pittman nadstawił uszu, w nadziei, że usłyszy coś ważnego.

— ... przypadek. Ktoś wracający późno z pracy na Manhat tanie.

— Taksówką?

— Może o tej godzinie nie ma już pociągów? Mogą być różne logiczne wyjaśnienia. Póki nie dowiemy się czegoś więcej, nie mam zamiaru panikować.

— Ale kiedy wjechaliśmy na teren posesji, widzieliśmy przesuające się obok bramy światła.

— Przecież kazałem Haroldowi zająć się tą sprawą. Jeżeli to była ta sama taksówka, ma nad Haroldem tylko minutę przewagi. Jeśli przyjechała z Manhattanu, będzie jedną z nie wielu tamtejszych taksówek w tej okolicy. Zawsze jest na nich nazwa dzielnicy, z której pochodzą. Harold na pewno ją przechwyci, zanim dotrze do autostrady.

— Informuj mnie na bieżąco.

— Oczywiście. Odpręż się. Zobacz, jak drżą ci ręce. Uspokój;

się, przyjacielu. Nigdy się tak nie denerwowałeś.

— Bo nigdy nie miałem tyle do stracenia.

— Ani my.

— Dobranoc, Eustace.

— Dobranoc, Anthony.

Choć w ich głosach słyhać było niepokój, ton tej rozmowy świadczył o zażyłości i przyjaźni łączącej tych ludzi.

Trzasnęły drzwi samochodu, ryknął silnik i z garażu wyjechała kolejna ciemna limuzyna.

22

Pittman obserwował oddalające się światła. Po chwili znik-nęły, a odgłos silnika rozplynał się w mroku. Usłyszał jeszcze tylko warkot silnika zamykającego bramy garażu, a potem powróciła cisza i niemal nieprzenikniony mrok.

Wyprostował się powoli. Gdy kuczał, zdrętwiały mu nogi, i teraz, kiedy krew zaczęła do nich dopływać, poczuł bolesne szczypanie. Odwrócił się do drzwi balkonowych, aby po raz ostatni popatrzeć na Jonathana Millgate'a, otoczonego sprzętem medycznym i kroplówkami.

To, co zobaczył, sprawiło, że zamarł.

Szlifowane kryształowe szybki w drzwiach zniekształcały obraz: wszystko, co widział przez szparę w zasłonach, wydawało się jednocześnie powiększone i bardzo dalekie. Pielęgniarki nie było w pokoju. Przypuszczając, że jej podopieczny śpi, zamknęła za sobą drzwi. Nie mogła się bardziej mylić — Millgate właśnie próbował wstać z łóżka.

Jego twarz wykrzywiało ogromne podniecenie. Rurki z tlenem wysunęły mu się z nosa. Oderwał wlewy prowadzące do tkwiących w obu przedramionach cewników. Machał rękami jak wiatrak, usiłując złapać poręczę łóżka i unieść tułów. Nie udało mu się to jednak, zrobił się tylko purpurowy na twarzy i po chwili zwałił się ciężko na plecy, z trudem łapiąc powietrze.

Nawet przez drzwi słyhać było jego chrapliwy oddech. Pittman odruchowo podszedł bliżej. Brzęczyk monitora powinien zaalarmować pielęgniarkę! Powinna już być w pokoju!

67

Stał na tyle blisko drzwi, że gdyby alarm się włączył, z pewnością by go usłyszał. Wyłączono go? Dlaczego? Przyjrzał się monitorom. Odwiedzając Jeremy'ego, nieraz prosił lekarzy, aby wyjaśniali mu, co znaczy to lub owo, więc bez trudu się zorientował, że puls Millgate'a znacznie przekroczył normę, wynoszącą od 70 do 90 uderzeń na minutę, i zbliżał się do 150. Krzywe elektrokardiogramu były chaotyczne — rytm komór serca zaczynał się załamywać.

Twarcz Millgate'a jeszcze bardziej spurpurowiała, a klatka piersiowa poruszała się z wyraźnym wysiłkiem. Chory wpijał palce w koc, próbując go z siebie zerwać. Nie mógł złapać powietrza.

Tlen! Jeżeli natychmiast nie zaczniesz znowu otrzymywać tlenu, dostanie kolejnego zawału serca!

Stary skurwieli umrze.

Pittman czuł rozpaczliwą chęć ucieczki. Zbiec ze schodów, pognać do muru, przeskoczyć go i uciec, gdzie pieprz rośnie!

Boże, nie powinienem być tu przyjeżdżać!

Odwrócił się na pięcie i popatrzył w kierunku schodów, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ciało nie chciało wykonywać poleceń mózgu.

Rusz się! Wynoś się stąd!

Zamiast tego znowu popatrzył na Millgate'a.

Chory próbował złapać choć odrobinę powietrza. Jego tętno doszło do 160. Czerwone cyferki na monitorze pokazywały ciśnienie krwi: 170/120. Norma to 120 na 80, a tak wysokie stanowiło szczególne zagrożenie dla osiemdziesięcioletniego mężczyzny po zawale.

Millgate ścisnął dłońmi klatkę piersiową, ciężko dyszał i wbijał przerażony wzrok w okno. Pittman był przekonany, że nie widać go w ciemności, zwłaszcza że przygaszone światła lamp w pokoju odbijały się w szybie, tworząc zasłonę niemożliwą do przebicia wzrokiem. Ale udręczone spojrzenie starca wbijało się w niego niczym rozżarzony pręt.

Nie patrz tak na mnie! Czego się spodziewasz? Nic nie mogę zrobić!  
Znowu się odwrócił, zamierzając uciec.

23

Nie zrobił tego jednak. Ku własnemu zaskoczeniu sięgnął do kieszeni i wyjął przyborek — narzędzie podobne do scyzoryka, które nosił na kółku z kluczami. Wyciągnął z obudowy dwa metalowe wąsy. Postanowił za osiem dni popełnić samobójstwo, ale nie mógł beczynnice patrzeć na śmierć bezbronnego człowieka — nie potrafił też uciec

1       przekonać siebie samego, że nie mógł nic zrobić. Chory wpadał w stan krytyczny, należało natychmiast z powrotem zamocować mu wlewy dożylnie i wsunąć do nosa rurki podające tlen.

Może Jonathan Millgate i tak umrze, ale musi spróbować mu pomóc. Nie chciał go mieć na sumieniu.

Pomyślał o przechowywanym w barze pistolecie. Cóż miał do stracenia?

Podszedł do drzwi i wsunął metalowe wąsy w zamek. Przyborek, z którego je wyjął, otrzymał w prezencie od człowieka, o którym pisał kiedyś artykuł. Sean O'Reilly, stary włamywacz, dostał zawieszenie dziesięcioletniego wyroku pod warunkiem, że weźmie udział w telewizyjnym programie edukacyjnym, w którym miał pokazać właścicielom domów i mieszkań, jak unikać włamań. Sean był malutki i szczupły jak dżokej, mówił

2       irlandzkim akcentem i miał złośliwie błyszczące oczka irlandzkiego krasnala. Trzy filmiki, które nagrał dla telewizji, okazały się tak wielkim sukcesem, że w Nowym Jorku stał się gwiazdą.

69

Oczywiście na krótko, bo zaraz wrócił za kratki za włamanie się do domu własnego adwokata.

Kiedy Pittman przeprowadzał z nim wywiad, podejrzewał, że Sean niebawem trafi z powrotem do więzienia. Jednak w trakcie długiej rozmowy włamywacz zdążył mu bardzo szczegółowo opisać różne sposoby forsowania zamków. Zainteresowanie, z jakim Pittman tego słuchał, tak go nakreśliło, że zaczął koloryzować. Wywiad trwał całe dwie godziny, a potem Sean подарował Pittmanowi „narzędzie pracy”.

— Daję to ludziom, którzy rozumieją, jakimi artystami są włamywacze — oświadczył.

Przyborek był bardzo cenny, ponieważ poza malutkimi cążkami, śrubokrętami i nożycami do drutu znajdowały się w nim także dwa metalowe wąsy do otwierania zamków. Kiedy Sean ze złośliwą satysfakcją pokazał, jak się ich używa, Pittman dobrze zapamiętał tę lekcję.

Wsadził wąsy w zamek. Był to masywny model z rygłem, ale Pittman był pewien, że sobie z nim poradzi. Jeden z wąsów służył do zwalniania zapadek w cylindrze, drugi do jego obracania. Po kilku próbach wykonanie tej operacji przestawało być trudne. Po krótkiej praktyce i kilku dodatkowych wskazówkach Seana Pittman nauczył się wchodzić do zamkniętych pomieszczeń w piętnaście sekund.

Zwolnił pierwszą zapadkę i wsunął pierwszy wąż głębiej. Jednocześnie z niepokojem obserwował przez szybę rozpaczliwą walkę Millgate'a o powietrze.

Skoncentrował się i zmusił do dokładniejszej pracy. Bał się, że otwarcie drzwi uruchomi alarm, ale przestał, kiedy zobaczył na ścianie panel z klawiszami. Sean powiedział mu, że właściciele domów często instalują kilka klawiatur aktywizujących i wyłączających alarm, które zazwyczaj znajdują się w pobliżu ważniejszych wyjść z domu.

Firma instalująca tutaj alarm zamontowała panel aktywacyjny w nieodpowiednim miejscu — w takim, że mógł go dostrzec każdy, kto stanął na tarasie przed wejściem. Walcząc z kolejną zapadką, Pittman bez trudu mógł odczytać widniejący na nim napis: GOTOWE DO UZBROJENIA. Ponieważ wcześniej po

70

posiadłości kręciło się wielu wchodzących i wychodzących i domu ludzi, alarm nie został jeszcze włączony.

Po chwili Pittman poczuł, jak ustępuje ostatnia zapadka. poruszył drugim wężem, cylinder się obrócił i zamek został otwarty. Szybko przekręcił gałkę i pociągnął.

Drzwi naprzeciwko były zamknięte, więc wiedział, że pielęgniarka go nie usłyszy. Millgate wyraźnie tracił siły, szarpał koc znacznie mniej energicznie. Pittman szybko podbiegł do niego i wsunął mu rurkę z tlenem do nosa.

W ciągu kilku sekund skóra chorego zaczęła odzyskiwać normalną barwę, a ciało się uspokoiło. Po kilku kolejnych sekundach ruchy klatki piersiowej stały się bardziej regularne. Pittman złapał wlewy, które Millgate wyrwał z cewników w przedramionach. Gdy powtykał je na miejsce, zauważył, że trochę płynu rozlało się na podłodze. Co sobie pomyśli pielęgniarka, kiedy tu wróci? Potem zauważył mokrą ścieżkę, którą zrobił, wchodząc do pokoju.

Musi jak najszybciej stąd wyjść.

Kiedy rzucił okiem na monitory, stwierdził, że ciśnienie krwi Millgate'a, jego oddech i puls wracają do normy. Stary jeszcze trochę pociągnie, pomyślał i z ulgą odwrócił się do wyjścia.

Nagle za prawy nadgarstek złapała go szponiasta dłoń. Obejrzał się, by zobaczyć, co się dzieje, i ujrzał wbity w siebie wzrok Jonathana Millgate'a.

Złapał pierwszy palec chorego, żeby go oderwać od swojego przegubu, ale stary wpijał się w jego rękę z zaskakującą siłą.

Jezu, jeśli teraz zaczniesz krzyczeć...

— Duncan. — Millgate wypowiedział to słowo z wyraźnym trudem, łamiącym się, zgrzytliwym głosem, przypominającym darcie celofanu.

Na pewno majaczył. Nie wiedział, z kim rozmawia.

— Duncan — powtórzył błagalnie chory.

Bierze mnie za kogoś innego. Jestem tu już za długo. Muszę uciekać.

— Duncan — wychrypiął Millgate. — Śnieg.

Pittman uwolnił dłoń.

71

— Grollier. — Gardło starego wypełniała flegma i wyp0. wiedziane przez niego słowo zabrzmiało jak parodia płukania gardła.

Niech to cholera, pomyślał Pittman i ruszył ku balkonowym drzwiom.

W tym momencie zalało go światło. Drzwi wejściowe otwarto, wpadające z korytarza światło obrysowywało postać pielęgniarki. Przez chwilę stała jak sparaliżowana, po czym wypuściła z dłoni tacę. Dzbanek z herbatą i filiżanka uderzyły o podłogę, a kobieta zaczęła krzyczeć.

Pittman rzucił się do ucieczki.

24

Krótki pobyt w pokoju rozgrzał go, więc kiedy wybiegł na taras, noc i deszcz wydały mu się znacznie zimniej sze niż dwie minuty temu. Zadrzał i popędził przez kałuże. Kluczył między metalowymi krzesłami, chcąc jak najszybciej dotrzeć do prowadzących w dół schodów. Nagle oślepiły go sodowe lampy na tarasie, których światło odbiło się w kałużach. Musiała je zapalić pielęgniarka albo ochroniarz. W budynku rozległy się krzyki.

Pittman przyspieszył. Na schodach omal nie stracił równowagi. Złapał się poręczy, jęknął, kiedy w dłoń wbiła mu się drzazga, i zbiegł na dół. Zamierzał uciekać w kierunku, z którego przybył, ale od frontu wciąż dolatywały krzyki. Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni, aby pobiec na tył domu, jednak i tam zapłonęły światła, oświetlając basen i ogród. Także stamtąd dolatywały krzyki.

Nie mając wyboru, pobiegł w bok — po betonie przed garażem i nasączonym wodą trawniku, w stronę majaczących w ciemności jodeł. Na schodach tarasu załomotały ciężkie kroki.

— Stój!

— Zastrzel go!

Pittman dotarł do jodeł. Któraś z niższych gałęzi pacnęła go w twarz z taką siłą, że był przekonany, iż wilgoć na jego twarzy to krew. Pochylił się, aby uniknąć uderzenia następnej gałęzi.

— Gdzie on...

73

— Tam! Chyba jest tam!

Za plecami Pittmana pękła jakaś gałąź.

— Mój nos! Chyba złamałem sobie ten pieprzony...

— Słyszę go!

— W tamtych krzakach!

— Zastrzel skurwysyna!

— Złap go! Jeśli się dowiedzą, że pozwoliliśmy komuś...

Pękła kolejna gałąź. Prześladowcy Pittmana przepychali się między drzewami.

Zatrzymał się w ostatniej chwili przy wysokim kamiennym murze, na który omal nie wpadł. Oddychał ciężko i gorączkowo próbował coś dojrzeć w otaczających go ciemnościach.

Co teraz? Na pewno nie ma tu furtki. Zresztą nie mógł iść wzdłuż muru, to byłoby zbyt oczywiste. Za chwilę otoczą go i złapią.

Zawrócić?

Nie! Wkrótce zjawi się tu policja. Wokół domu jest zbyt jasno. Zobaczą go.

Co powinien zrobić?

Podbiegł do najbliższej jodły i zaczął się na nią wspinać. Tupot stóp ścigających go ludzi wzmógł się. Złapał konar nad głową, oparł stopę na niższej gałęzi i podciągnął się w górę. Kora drapała mu dłonie, a terpentynowy zapach żywicy drażnił nozdrza. Przyspieszył wspinaczkę.

— Słyszę go!

Pittman chwycił rosnącą nad murem gałąź i wisząc na rękach, zaczął zbliżać się do muru. Gałąź ugiwała się pod jego ciężarem, a kora wbijała w dłonie.



— Jest niedaleko!

— Gdzie?!

Z gałęzi, której się trzymał, opadł deszcz wody.

— Tam!

— Tamto drzewo!

Pittman dotknął muru czubkami butów. Wyrzucił stopy do przodu, poczuł twarde oparcie, bez drutu kolczastego ani okruchów szkła, więc puścił się i rozpląszczył na szczycie muru.

74

Huk wystrzału był ogłuszający. Zaraz po nim rozległ się następny. Pittman, nie zastanawiając się, przerzucił nogi za jnur i zawisł na rękach. Nie miał pojęcia, co jest pod nim, ale jeden z prześladowców wspinał się już na mur.

— Do furtki! — krzyknął któryś ze ścigających go ludzi.

Pittman puścił się. Kiedy leciał w dół, żołądek podszedł mu do gardła.

25

Znalazł się na ziemi wcześniej, niż się spodziewał. Impet uderzenia wypchnął mu powietrze z płuc. Ziemia była porośnięta trawą i nasiąknięta wodą. Zgiął nogi w kolanach, przyciągnął łokcie do tułowia, przewrócił się na bok i przetoczył, aby zminimalizować siłę uderzenia. Spadochroniarz, z którym robił kiedyś wywiad, tak właśnie opisał technikę lądowania po skoku ze spadochronem: skulić się, schować głowę i przeturlać się.

Modlił się, aby mu się udało. Gdyby skręcił sobie kostkę albo coś złamał, po przejściu ścigających go ludzi na drugą stronę muru byłby bezradny. Nie miał pojęcia, gdzie mógłby się schować. Kiedy trzymając gałąź, wisiał nad szczytem muru, ciemna przestrzeń po drugiej stronie wydawała mu się otwartym terenem.

Na szczęście nie musiał od razu szukać kryjówki. Kiedy się , przeturlał, natychmiast wstał. Bolały go podrapane dłonie i kolana, ale to się nie liczyło. Najważniejsze, że stawy i kości wytrzymały. Nic sobie nie skręcił ani nie złamał.

Jego prześladowcy kłęli i biegali za murem. Dochodzące z jednego z drzew odgłosy świadczyły o tym, że ktoś się na nie wspina.

Pittman znowu zaczął biec. Ciemny trawnik zdawał się ciągnąć aż po horyzont. W odróżnieniu od posiadłości, z której

76

udało mu się uciec, nie było tu krzewów, tylko pojedyncze drzewa.

Co to za miejsce?

Kojarzyło mu się z cmentarzem, ale w ciemności nie wpadł na żaden nagrobek. Po chwili ujrzał przed sobą jaśniejszą plamę i pobiegł w jej kierunku. Nagle teren zaczął się obniżać, przechodząc w dość strome zbocze. Pittman potknął się, przewrócił i zaczął staczać w dół.

Zatrzymał się na plecach, znowu tracąc oddech. Z trudem wciągnął powietrze, stał z czoła mokry piasek i wstał.

Piasek. Dlatego to miejsce wydawało się jaśniejsze. Skąd jednak...

Nagle zrozumiał. Był na polu golfowym! Kiedy wjeżdżali do osiedla, widział przecież tablicę z napisem: SAXON WOODS PARK AND GOLF CLUB. Wpadł do tak zwanego bunkra, przeszkody w postaci zagłębienia wypełnionego piaskiem.

Znajdował się na zupełnie otwartym terenie. Jeżeli znowu zaczną do niego strzelać, nie będzie mógł się nigdzie ukryć.

Lepiej się stąd zbierać.

Kiedy się rozglądał, próbując się zorientować, w jakim kierunku ma uciekać, żeby nie pobiec z powrotem, w oddali, z lewej strony, dostrzegł światełka. Wypływały niczym widma

z otaczającego posiadłość muru. Pittman przypomniał sobie, że jeden ze ścigających go ludzi mówił coś o furgonce. Pewnie właśnie dotarli do niej i przechodzili na drugą stronę. Z początku pomyślał, że znaleźli gdzieś latarki — może w jakiejś szopie — jednak w tych światłach było coś nietypowego.

Niepokój, który poczuł po odkryciu, że jest na polu golfowym, zamienił się w falę lodowatego strachu, gdy z oddali doleciał warkot silników. Światła były za duże jak na latarki, ale przecież nie mogli korzystać z samochodów! Były zbyt ciężkie, natychmiast zakopałyby się w miękkiej ziemi. Poza tym silniki nie brzmiały jak samochodowe, raczej jak elektryczne motorki...

Jechali wózkami golfowymi! Właściciel posiadłości miał

77

dostęp do pola bezpośrednio ze swojego terenu! Tyle że wózki golfowe nie mają reflektorów — a to oznaczało, że używano szperaczy.

Wózki rozjechały się na boki, systematycznie przeszukiwano kolejne rejony pola. Pittman skręcił w bok, aby jak najbardziej oddalić się od wózków, wybiegł z piaskowego bunkra i ruszył w ciemność.

26

Zanim u Jeremy'ego zdiagnozowano raka, Pittman był namiętym biegaczem. Codziennie biegał przynajmniej przez godzinę, a w weekendy nawet po kilka godzin — najczęściej ścieżką biegnącą wzdłuż Upper East Side, nad rzeką. Mieszkał wtedy z Ellen i Jeremym przy Siedemnastej Wschodniej, a jego podejście do joggingu przypominało nawyk odkładania pięciu procent zarobków oraz zwyczaj posyłania syna na letnie kursy, choć Jeremy zawsze miał doskonale stopnie i nie potrzebował korepetycji. Bezpieczeństwo. Planowanie przyszłości. To był klucz do szczęśliwego życia. Kiedy pewnego roku udało mu się dotrzeć do mety maratonu nowojorskiego w środkowej grupie zawodników, Jeremy wiwatował, a Ellen starała się zachowywać odpowiednio entuzjastycznie.

Potem Jeremy zachorował i umarł.

Pittman i Ellen zaczęli się kłócić.

Ellen odeszła i wyszła ponownie za mąż.

Pittman zaczął chlać i przeszedł załamanie nerwowe.

Nie biegał od roku. Tak naprawdę w ogóle nie uprawiał żadnego sportu — jeśli nie liczyć nerwowego krążenia po pokoju. Teraz jednak adrenalina dała mu kopa, a ciało przypomniało sobie dawne nawyki. Jego mięśnie nie były tak silne jak po miesiącach ćwiczeń, ale techniki tak łatwo się nie zapomina, nie traci się poczucia rytmu ani umiejętności przetaczania stopy z P^ty na palce. Ciężko mu się oddychało, mięśnie protes-

79

towały, ale biegł, reagując na tętnienie krwi w żyłach i ogień w trzewiach, każące mu uciekać przed podskakującymi w oddali światłami, wyjąłymi silnikami i typami o byczych karkach.

Było to jednak tak wyczerpujące, że ciężko skłął sam siebie za to, że dopuścił do utraty formy. A potem skłął się za głupotę, przez którą wpakował się w tę sytuację.

Po jaką cholere pojechał za ambulansem? Gdyby sobie odpuścił, Burt i tak by o tym nie wiedział.

Nie! Obiecał przecież, że będzie pracował dla „Chronicie”.

Przez osiem dni.

A co z włamaniem do domu, z którego właśnie uciekł? To ma być standardowa procedura dziennikarska? Gdyby Burt się o tym dowiedział, dostałby ataku serca.

Ale co miał zrobić — pozwolić staremu umrzeć?

Kiedy jego sztywniejące nogi robiły, co mogły, próbując naśladować kroki znakomitego biegacza, którym kiedyś był, zaryzykował i spojrzął za siebie. Światła szperaczy na pędzących za nim wózkach golfowych były znacznie bliżej.

Dokładnie mówiąc, na dwóch. W sumie było pięć wózków, ale tylko dwa jechały za nim. Kolejne dwa rozjechały się na boki i najwyraźniej jechały skrajem pola, a trzeci pędził skosem do miejsca, w którym prawdopodobnie się kończyło.

Chcieli go okrążyć. Skąd jednak wiedzieli, gdzie się znajduje?  
Płaszcz! Jego jasny płaszcz.

Mimo ciemności udało mu się przecież dostrzec na tle trawy łąkę piasku. Tak samo oni musieli widzieć jego beżowy płaszcz na tle nieba.

Zaczął rozpinąć pasek, uważając, żeby się przy tym nie potknąć, nie stracić rytmu ani się nie przewrócić. Potem zaczął szarpać guziki. Jeden z nich nie dał się odpiąć, więc musiał go oderwać. Wyciągnął rękę z jednego rękawa i po chwili uwolnił drugą. Deszcz natychmiast zaczął wsiąkać w marynarkę.

W pierwszym odruchu Pittman chciał wyrzucić płaszcz, potem pomyślał, czyby dla zmylenia przeciwnika nie zawiesić go na krzaku. Uznał w końcu, że nie zyska w ten sposób zbyt wiele czasu. Poza tym — jeśli uda mu się uciec — będzie potrzebował płaszcza, żeby się ogrzać.

80

Minął kępę krzaków, lecz była zbyt mała, by mógł się za nią ukryć. Pobiegł dalej.

Kiedy znowu popatrzył za siebie, światła na wózkach były jeszcze bliżej, a wycie silników stało się głośniejsze. Zwinął płaszcz w kulę i wepchnął go pod marynarkę, po czym zmusił się do dodatkowego wysiłku. Miał nadzieję, że jego ciemnogrnatowa marynarka zleje się z otoczeniem i ścigający go nie zobaczą.

Chyba że złapią go w światło szperacza.

Część pola golfowego zmieniła barwę — była teraz niepokojąco szara. Po kilku minutach Pittman stwierdził, że dotarł do jeziora. Wiedział, że okrążając je, straci cenne metry przewagi, ale nie miał wyboru. Odbił w lewo, jednak mokra, śliska trawa na spadzistym brzegu okazała się zdradliwa i jego lewa stopa wysunęła się za daleko. Przewrócił się, sturlał w dół i omal nie wpadł do lodowatej wody. Na szczęście w ostatniej chwili udało mu się wbić palce w miękką ziemię i wyhamować.

Drapiąc rękami i nogami niczym oszalały pająk, wstał i wepchnął płaszcz głębiej pod marynarkę. Kiedy na ułamek sekundy odwrócił się i spojrzął do tyłu, na szczycie zbocza, z którego właśnie się stoczył, zobaczył promień światła. Wycie silnika było bardzo blisko. Pobiegł dalej, wpatrując się uważnie w ziemię, aby znowu nie upaść.

Okrążył jezioro i po przeciwnej stronie wbiegł na spadzisty brzeg. Kiedy znalazł się na szczycie, usłyszał za plecami wściekłe głosy i coś bzyknęło obok jego prawego ucha. Zabrzmiało to jak przelatujący trzmiel, ale Pittman wiedział, że to pocisk. Drugi trzmiel bzyknął koło lewego ucha. Nie słychać było odgłosu strzałów, więc ścigający go ludzie musieli mieć pistolety z tłumikami.

Zbiegł na dół zbocza, aby zejść z linii ognia. Od prawej strony zbliżały się szperacze. Były także z lewej. Nogi miał jak z waty i bał się, że zaraz zaczną się pod nim uginać. Płuca protestowały.

Nie wytrzyma tego długo.

Musi wydobyć z siebie resztki energii.

Musi biec dalej.

81

Zbyt późno zobaczył kolejną jasną plamę na trawie. Teren gwałtownie opadł. Rozpędzony Pittman wyleciał w powietrze, zamachał rękami i spadł w następne piaskowe zagłębienie. Uderzył w podłoże z taką siłą, że musiał zgiąć nogi i wylądował na kolanach. Wstał z trudem, czując ciężar klejącego mu się do spodni mokrego piasku.

Światła szperaczy podskakiwały, coraz bardziej się zbliżając. Resztką energii Pittman przebiegł na skraj bunkra. Jego buty zapadały się w miękki piach, pozostawiając głębokie ślady. Choć schował płaszcz, te doły na pewno go zdradzą.

Nagle przemknęło mu przez głowę, że właśnie te ślady mogą się okazać jego szansą. Kiedy dotarł do trawy, natychmiast zaczął wracać tą samą drogą, którą przyszedł. Wyciągnął płaszcz spod marynarki.

Wycie silników było już przerażająco bliskie. Światła szperaczy podskakiwały tuż-tuż. Pittman dotarł do miejsca, w którym trawa stykała się z piaskiem. Położył się pod porośniętą trawą stromym zboczem i przykrył płaszczem. Zgiął nogi, by ukryć łydki, bo płaszcz sięgał tylko do kolan. Wciągnął głęboko powietrze, próbując uspokoić oddech. Proszę... proszę...

Słyszał spadające na płaszcz krople deszczu i wycie silników. Nagle wycie przycichło — wózki golfowe się zatrzymały.

Pod płaszczem zbierała się para i po brodzie Pittmana spływała strużka wody. Wilgoć sprawiła, że zaczął drzeć, napiął więc wszystkie mięśnie, by nie dygotać. Nie mógł pozwolić, aby go dostrzegli.

Znowu zadrżał — tym razem nie z zimna, lecz w oczekiwaniu kuli.

Czyż nie tego właśnie chciał? Jeśli cię zastrzelą, zrobią ci I przysługę.

Nie — to ja mam wybrać czas i miejsce.

Zaczął się modlić w myślach: Niech ten płaszcz zleje się z piaskiem... Niech tamci patrzają przed siebie, a nie na dół... 1

— Tam!

Serce Pittmana zatrzymało się na chwilę.

— Ślady na piasku!

82

- Prowadzą w tamtą stronę!

Rozległ się elektroniczny trzask.

Alfa do Bety! Kieruje się na was. Dotarł do północno-wschodniego kwadratu!

Odpowiedź była tak zniekształcona że Pittman nic nie zrozumiał- Walkie-talkie pisnęło i zamilkło. Wycie silników wzmogło się i wózki odjechały tam, gdzie zdaniem ścigających uciekł.

jego ubranie coraz bardziej nasiąkało wodą od mokrego piasku, ale nie miał odwagi się podnieść. Choć pod płaszczem powoli zaczynało brakować tlenu, wciąż czekał. W końcu ostrożnie odsłonił twarz, wciągnął chłodne, świeże powietrze i popatrzył w ciemność, niemal spodziewając się ujrzeć stojącego nad nim uśmiechniętego draba z pistoletem.

Zobaczył jednak tylko ciemność i mżawkę. Zaczął się podnosić, próbując jednocześnie powstrzymać drżenie całego ciała. Ujrzał oddalające się światła wózków. Upchnął płaszcz pod marynarką, wypełził z piaskowego bunkra i ruszył w kierunku, z którego przyjechały wózki. Był przemoczony i wychłodzony, ale mimo zimna i strachu jakąś część jego mózgu przepełniała euforia.

Musiał jednak jeszcze wydostać się z tej okolicy. Wózki mogły w każdej chwili wrócić. Choć bolały go mięśnie, udało mu się wydłużyć i przyspieszyć krok.

Zaraz jednak powrócił niepokój, gdy uświadomił sobie, że zupełnie nie wie, gdzie się znajduje, i może krążyć w kółko, aż prześladowcy znów go dopadną. Niemal w tym samym

momencie ujrzał w oddali po lewej stronie poruszające się światła. Na szczęście okazało się, że nie są to szperacze na wózkach golfowych — były znacznie większe i jaśniejsze, głębiej penetrowały ciemność. Światła samochodu, może ciężarówki. Poruszały się przez chwilę równoległe do trasy Pittmana, po czym zniknęły.  
Droga.

1

— Miałem problem z samochodem...

— Człowieku, ależ pan dygocze! — zawołał recepcjonista w motelu.

— Zepsuł mi się samochód, więc wysiadłem, żeby poszukać jakiegoś warsztatu. Powiedzieli, że zrobią go do wieczora. Muszę się gdzieś wysuszyć.

— Pan chyba nie stąd? — Recepcjonista miał czterdzieści parę lat i był dość korpulentny. Jego pomarszczoną, zmęczoną całonocnym czuwaniem twarz pokrywała gęsta ruda szczecina. Pittman pokręcił głową.

— Dużo jeżdżę, sprzedaję podręczniki szkolne. Wieczorem wyjechałem z New Haven, mam spotkanie w Nowym Jorku.

— Wygląda na to, że pan nie zdąży.

— Ma się odbyć dopiero w poniedziałek — odparł Pittman. — Zamierzałem przyjemnie spędzić weekend, a tu taki pech.

Dał recepcjoniście kartę kredytową i wypełnił formularz meldunkowy, jako miejsce zamieszkania wpisując New Haven. Kłamiąc, czuł się dość dziwnie, ale nie miał wyboru. Musiał podać recepcjoniście wiarygodnie brzmiące wyjaśnienie swojego wyglądu, a nie mógł powiedzieć prawdy.

— Proszę, pańska karta i klucz.

Pittman kichnął.

— Człowieku, musi pan natychmiast zdjąć z siebie to mokre ubranie!

— O niczym innym nie marzę.

—

Nazwa brzmiała zachęcająco: Motel Serdecznie Wita. Pittman znalazł go pół godziny po tym, jak dygocząc z zimna i zmęczenia uciekł z pola golfowego. W domach, które mijał, nie paliły się już światła, a uliczne latarnie były na szczęście dość oddalone od siebie. Za każdym razem, kiedy pojawiały się reflektory samochodów, chował się za krzakiem lub węglem domu. Poganiał go strach.

Kiedy wreszcie zamknął za sobą drzwi motelowego pokoju, uleciała z niego resztką energii. Opadł na zniszczone krzesło i zaczął popijać gorzką, ale za to cudownie gorącą kawę, którą kupił w hałaśliwym automacie stojącym na końcu holu. Wykładzina dywanowa była zielona — przynajmniej kiedyś. Nie przeszkadzało mu to. Ściany pomalowano na niezbyt atrakcyjny odcień żółci, ale i to nie było istotne — tak samo, jak wyraźnie widoczne pod spłowieiałą narzutą zagłębienie w materacu. Liczyło się tylko jedno — ciepło.

Musiał się rozgrzać.

Potrzebował gorącej kąpieli.

Nastawił termostat w łazience na 24 stopnie Celsjusza i zdjął mokre ubranie. Powiesił spodnie, koszulę i marynarkę w szafie, zostawiając uchylone drzwi w nadziei, że ubranie wyschnie. Przemoczone buty postawił przy grzejniku, a skarpetki i bieliznę przerzucił przez oparcie krzesła i odkręcił kurek z ciepłą wodą nad wanną.

Obawiał się, że woda będzie zaledwie letnia, ale po chwili z wanny zaczęły unosić się kłęby pary. Pochylił się nad gorącym strumieniem, rozkoszując się ciepłem. Dopiero gdy wanna była prawie pełna, dodał trochę zimnej wody — tylko tyle, aby się nie poparzyć — i wszedł do cudownego gorąca. Zsunął się, aż dotknął lustra wody podbródkiem, po czym przekreślił się na bok, dzięki czemu kolana także znalazły się pod wodą.

Poddał się łagodnej pieśzczocie ciepła, wnikającego pod skórę, rozgrzewającego mięśnie i kości, wypierającego z ciała chłód. Powoli jego ręce i nogi przestały drżeć. Zamknął oczy i stwierdził, że tak wielkiej przyjemności fizycznej nie doświadczył od bardzo dawna, od...

Jego podświadomość zaprotestowała, ale myśl i tak się przebiła.

...od dnia, w którym zmarł Jeremy. Miał tak ogromne poczucie winy z powodu tego, że on żyje, a jego syn nie, że nie pozwalał sobie nawet na najprostsze przyjemności. Smak dobrego jedzenia stał się dla niego odrażający — ponieważ Jeremy już nigdy nie będzie mógł się nim cieszyć. Dotyk czystej pościeli, świeży powiew porannego wietrzyka, światło słońca wpadające przez okno — wszystko to było odrażające, ponieważ Jeremy nigdy nie będzie mógł czerpać z tego przyjemności.

Jedną z rzeczy, które wywoływały w Pittmanie szczególne poczucie winy, było ciepło wody leżącej z prysznicą. Zanim Jeremy zachorował, spędzał mnóstwo czasu pod prysznicem. Po jego pogrzebie Pittman nagle odkrył, że sama myśl o wzięciu prysznicą budzi w nim odrazę. Nie mógł oczywiście w ogóle zrezygnować z mycia się, ale rozwiązał ten problem, używając chłodnej wody. To, że musiał się kąpać, nie powinno oznaczać, że ma czerpać z tego przyjemność.

Teraz z zaskoczeniem stwierdził, że po raz pierwszy od śmierci Jeremy'ego pozwala sobie na coś przyjemnego. Wy tłumaczył sobie jednak zaraz, że robi to z konieczności, bo musi się rozgrzać. Pisał kiedyś artykuł o uczestnikach obozu survivalowego i pamiętał, jak instruktorzy stale podkreślali, że jednym z największych niebezpieczeństw, grożących ludziom przebywającym w dzicy, w ekstremalnych warunkach, jest

89

przemoczenie ubrania i wychłodzenie ciała, mogące skończyć się śmiercią. Tak więc uznał — chociaż niechętnie — że w tych okolicznościach może sobie pozwolić na odrobinę przyjemności.

Prawda była jednak taka, że nie tylko dopuszczał do siebie owo przyjemne odczucie, ale również delectował się nim. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zaakceptował to, co czuło jego ciało.

Wspomnienie Jeremy'ego sprawiło jednak, że jego duszę i serce ponownie spowiła czarna woalka przygnębienia. Z ponurą ironią pomyślał, jak szybko — mimo determinacji, z którą wcześniej dążył do samounicestwienia — zaczął się bać o własne życie. Wystarczyło niebezpieczeństwo, grożące mu podczas ucieczki z pola golfowego.

Powinien był pozwolić, aby go zastrzelili.

Nie! Ze złością przywołał myśl sprzed kilku godzin: to on sam ma wybrać czas i miejsce. Zrobi to po swojemu, w miejscu i w chwili, które sam wybierze. Według planu miało to nastąpić za osiem dni i nie zamierzał dopuścić, aby coś się zmieniło. Dotrwa do wyznaczonego dnia.

Gdy pomyślał o tym, dlaczego jeszcze żyje, poczuł, że ogarnia go melancholia. Dlatego, że obiecał coś Burtowi. Za to, co Burt zrobił dla Jeremy'ego.

Ta myśl przypomniła mu, z jakiego powodu śledził ambulans, i jego melancholia zamieniła się w niepokój, kiedy wyobraził sobie, jakie pytania zada mu Burt.

Dlaczego Millgate został wywieziony ze szpitala?

Dlaczego zawieziono go do posiadłości w Scarsdale?

Dlaczego ochroniarze próbowali zabić intruza?

Po jego ucieczce z terenu posiadłości powinni przestać uważać go za zagrożenie. Można było zrozumieć, że chcą go złapać i przekazać policji, ale zabijać? Coś tu mocno śmierdziało.

Kiedy woda ostygła, opróżnił wannę i nalał nowej, gorącej. Dopiero wtedy poczuł, że chłód zniknął wreszcie z najgłębszych zakamarków ciała. Wyszedł z wanny i wytarł się energicznie. Znowu przyłapał się na tym, że odczuwa przyjemność, i próbo-

90

wał to przeanalizować. Owinął się kocem, zgasił światło i wyrztał przez żaluzje na zewnątrz, na pełen kałuż motelowy parking. Kiedy zobaczył wjeżdżający na niego samochód, zaniepokoił się, że ochroniarze z posiadłości Jonathana Millgate'a zawiadomili jednak policję.

Ale samochód nie miał lamp na dachu i nie był oznakowany, jsjie wykluczało to oczywiście, że mógł przyjechać z posiadłości i ochroniarze przepytывali recepcjonistów w motelach.

Jednak kiedy drzwi samochodu się otworzyły, wysiadła z niego kobieta i poszła do jednego z pokoi po drugiej stronie parkingu. Pittman odetchnął z ulgą;

Policja... Biegając przez pole golfowe, nie słyszał policyjnych syren. Czy to oznaczało, że wcale jej nie zawiadomiono? Może ochroniarze obawiali się, iż nie będą umieli wyjaśnić, dlaczego strzelali do intruza, kiedy opuścił teren posiadłości.

Czy w dalszym ciągu go szukają? Mogli sprawdzać miejscowe motele, ale czy nie byłoby bardziej logiczne, gdyby założyli, że będzie chciał uciec jak najdalej?

Poza tym nie wiedzą przecież, kim jest ani jak wygląda.

Nogi uginały się pod nim ze zmęczenia i znowu zaczął drzeć z zimna. Wpełzł pod kołdrę, próbując się rozgrzać. Zamierzał przespać się kilka godzin. Burt zazwyczaj zjawiał się w redakcji około ósmej, więc zadzwoni do niego rano i opowie, co się wydarzyło.

W ciemnościach sięgnął po telefon, aby zamówić budzenie na ósmą, ale ręka opadła bezwładnie. Odpłynął w sen.

Budził się powoli, z trudem. Powieki nie chciały się unieść. Z początku sądził, że obudziło go wpadające przez nieszczelne żaluzje ostre słońce, potem jednak uznał, że sprawił to raczej stukot ramy okiennej, drżącej od przejeżdżających w pobliżu samochodów. Powoli usiadł i pomasaował nogi. Wciąż jeszcze bolały po nocnym bieganiu. Wstał z ciepłego łóżka i poszedł do toalety. Kiedy ponownie się położył i owinął kocem, poczuł wreszcie, że jest na tyle rozbudzony, by zadzwonić do Burta. Gdy sięgał po słuchawkę, jego spojrzenie padło na stojący przy łóżku zegarek. Pokazywał 14.38.

Boże, poranek już dawno minął! Było piątkowe popołudnie! Przespał prawie dziesięć godzin!

Poczuł, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Jakby coś stracił — co zresztą było prawdą: stracił jeden z pozostających mu jeszcze dni. Z leżącej przy aparacie kartki dowiedział się, że jeśli chce wykonać międzymiastową, musi wcisnąć dziewiątkę. Zrobił to, po czym wystukał numer centrali „Chronicie”.

Kiedy redakcyjna telefonistka podniosła słuchawkę po drugiej stronie, natychmiast przełączyła go do gabinetu Burta.

— Forsyth — rozległo się po chwili, choć jego głos był tak charakterystyczny, że nie musiał się przedstawiać.

— To ja, Mart. Przepraszam, że nie pojawiłem się wczoraj, ale w nocy wydarzyło się coś dziwnego. Byłem w...

— Nie mogę teraz rozmawiać. Mam spotkanie. Rozległ się trzask i rozmowa została przerwana.

92

Co to miało znaczyć?

pittman zmarszczył czoło i powoli odłożył słuchawkę.

Burt nigdy się tak nie zachowywał. Nie w stosunku do niego. Musiał być naprawdę wkurzony. Z pewnością uznał, że został wystrychnięty na dudka.

Ponownie podniósł słuchawkę. Musi Burtowi wszystko wyjaśnić. Połączył się ponownie.  
— Forsyth.

— Posłuchaj... Bardzo cię przepraszam i przysięgam, że to nie moja wina. Koniecznie muszę ci o czymś opowiedzieć. Wczoraj w nocy...

— Nie mam czasu. Rozmawiam właśnie z paroma ważnymi osobami — odparł Burt i po raz drugi przerwał połączenie.

Pittman poczuł pulsowanie pod czaszką. Ponownie zmarszczył czoło i odłożył słuchawkę.

No tak, Burt musiał być nieźle wkurzony. Ważni ludzie. Jasne. Za to, że go olałem, pokazuję mi teraz, jak mało jestem ważny.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić po raz trzeci, doszedł jednak do wniosku, że nie powinien tego robić. Bez względu na to, co mu leżało na wątrobie, jego szef najwyraźniej nie zamierzał niczego wyjaśniać przez telefon.

Wstał i sięgnął po ubranie. Było wilgotne, ale nie mokre. Powiesił wczoraj spodnie, marynarkę i koszulę na wieszakach, więc wszystko było mniej pogniecione, niż się spodziewał. Piasek na ubraniu wysechł i łatwo dał się szczyścić szczotką. Płaszcz był zupełnie zniszczony — w wielu miejscach się podarł i był niemiłosiernie brudny. Wepchnął go do kosza na śmieci, a potem zmoczył i uczesał potargane włosy. Choć zdecydowanie potrzebował golenia, nie miał czym tego zrobić, więc musiał odłożyć to na później. Przypomniał sobie, że kawałek dalej na tej samej ulicy widział McDonalda, Nie miał żadnych bagaży, wystarczyło wziąć klucz do ręki i wyjść.

Uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz, sprawdzając, czy nikt nie obserwuje jego pokoju. Kiedy przechodził przez parking w stronę recepcji, stwierdził, że choć słońce jasno świeci, jest chłodno. Wilgotna bielizna i skarpetki sprawiały, że nie czuł się zbyt komfortowo.

Ważni ludzie. W pociągu próbował odgadnąć, co tak naprawdę chciał mu powiedzieć naczelny. Stukot kół na szynach przypominał mantrę i pomagał mu się skoncentrować. Ważni ludzie.

Może jego szef mówił prawdę? Za tydzień „Chronicie” zamknie swe podwoje i prawdopodobnie Burt musiał w związku z tym podjąć różne skomplikowane działania. Możliwe, że w jego gabinecie siedzieli wtedy właściciel i wydawca gazety i zastanawiali się, jak godnie zakończyć jej żywot.

Czy jednak tacy ważni ludzie nie wezwaliby raczej naczelnego do siebie?

Pittman wrócił do poprzedniego toku myślenia i uznał, że Burt jest na niego zły.

W gąszczu samochodów przed Grand Central Station nie mógł znaleźć taksówki, więc postanowił pojechać metrem. Początkowo zamierzał pojechać prosto do redakcji, ale kiedy spojrzął na zegarek, okazało się, że jest już osiem po piątej. Słońce zaszło za wieżowce,



zrobiło się zimno. Resztki wilgoci w ubraniu sprawiały, że Pittman znów zaczął drżeć. Pomyślał, że Burt na pewno wyszedł już z biura i poszedł do ulubionego baru.

Doszedł do wniosku, że przed spotkaniem z Burtem powinien wrócić do domu i założyć suche ubranie. Głupio by wyglądało, gdyby próbował się tłumaczyć, nie mogąc powstrzymać szcęknięcia zębami.

94

Wysiadł z metra przy Union Square. Ponieważ tam też nie mógł złapać taksówki, przeszedł całą drogę do swojego mieszkania przy Dwunastej Zachodniej na piechotę. Zrobiło się jeszcze zimniej. Otworzył drzwi prowadzące do holu, potem następne, znajdujące się za skrzyżkami pocztowymi, i wszedł na korytarz.

Jak zwykle, natychmiast otoczyły go kuchenne zapachy. Wioząca go na drugie piętro winda — również jak zwykle — skrzypiała i piszczała. W sąsiednim mieszkaniu (też jak zwykle) wyl telewizor. Pittman z dezaprobatą pokręcił głową, otworzył mieszkanie, wszedł do środka, zamknął i zaryglował drzwi, a kiedy się odwrócił, zobaczył siedzącego w salonie mężczyznę, pogrążonego w lekturze czasopisma.

— Co to ma...

Nieznajomy odłożył czasopismo.

— Pan Matthew Pittman? — spytał.

— Co pan sobie...

Mężczyzna dobiegał czterdziestki, był szczupły, miał krótkie ciemne włosy, wąską twarz i ostry podbródek. Miał na sobie szary garnitur i buty na grubej podeszwie.

— Jestem z policji — powiedział, po czym wstał i wyciągnął portfel, aby pokazać odznakę i legitymację. Miał taki wyraz twarzy, jakby bardzo niechętnie robił to, co robił. — Detektyw Mullen. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Jak pan tu wszedł?

— Poprosiłem dozorcę, żeby mnie wpuścił.

Pittman poczuł ucisk w piersi.

— Nie może pan ot tak sobie... nie ma pan prawa... Do cholery, ma pan nakaz albo coś w tym rodzaju?

— Po co? Czyżby zrobił pan coś, co wymaga nakazu?

— Nie, ale...

— Więc lepiej nie marnujmy czasu. Usiądźmy i porozmawiajmy.

— O czym? W dalszym ciągu nie...

— Wygląda pan na zmarzniętego. Chyba przemoczył pan ubranie.

96

pittman gorączkowo zaczął szukać jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia.

— Wylała się na mnie woda i...

Detektyw kiwnął głową.

Dwa tygodnie temu przydarzyło mi się coś podobnego.

2 tym, że nie z wodą, a ze spaghetti linguini. Niech pan się lepiej przebierze. Proszę tylko nie zamykać do końca drzwi, będziemy mogli rozmawiać podczas pańskiego przebierania.

Przypuszczam też, że chciałby pan się ogolić.

— Próbuje zapuścić brodę — skłamał Pittman.

Poszedł do sypialni i zaczął się nerwowo rozbierać. Równocześnie przez uchylone drzwi słuchał, co tamten do niego mówi. Wrzucił ubranie do kosza, wyjął z szuflady świeżą bieliznę i skarpetki.

Kiedy założył spodnie, detektyw stanął w drzwiach.

— Ciekaw jestem, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan był w nocy.

Pittman poczuł ukłucie strachu. Sięgnął po koszulę.

— Trochę siedziałem w domu, a potem poszedłem na spacer.

Detektyw szerzej otworzył drzwi i Pittman poczuł się jeszcze bardziej zagrożony.

— O której poszedł pan na spacer?

— O jedenastej.

— A wrócił pan?

— Koło pierwszej.

Detektyw uniósł brew.

— To chyba dość niebezpieczne chodzić o tej porze po okolicy.

— Nigdy nie miałem żadnych problemów.

— Miał pan szczęście. Ktoś pana widział?

Pittman omal nie wspomniał o kucharzu w barze, ugryzł się jednak w język, bo gdyby detektyw z nim porozmawiał, na pewno dowiedziałby się o pudełku i mógłby znaleźć broń. Pittman miał pozwolenie na trzymanie czterdziestki w mieszkaniu, więc to, że przechowywał broń na zewnątrz, wyglądałoby podejrzanie.

— Nikt mnie nie widział — odparł.

97

— To niedobrze.

— Dlaczego? Nie podoba mi się pana wtargnięcie do mojego mieszkania ani przepytywanie mnie bez wyjaśnienia, o co właściwie chodzi. — Pittman nie potrafił ukryć irytacji. — Kto jest pana przełożonym? Jaki jest do niego telefon?

— Chyba rzeczywiście powinniśmy z nim porozmawiać.

Pojedźmy do niego i porozmawiajmy z nim osobiście.

— Zgoda.

— Doskonale.

— Ale dopiero wtedy, gdy porozmawiam z moim adwokatem.

— Sądzi pan, że będzie panu potrzebny adwokat?

— Kiedy policja zaczyna się zachowywać jak gestapo, na pewno.

— Auu... — Detektyw pokręcił głową. — Uraził pan moje uczucia. Proszę założyć buty i płaszcz. Przejedziemy się.

— Nic z tego, dopóki nie powie mi pan, o co chodzi — odparł Pittman.

— Nie był pan wczoraj na spacerze. Pojechał pan taksówką do posiadłości w Scarsdale i włamał się pan do niej.

— Że co? To jakiś absurd!

Mullen sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę. Popatrzył na Pittmana, otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru.

— Co to jest?

— Kserokopia czeku — wyjaśnił detektyw.

Kiedy Pittman zobaczył, że to kopia czeku, który wypisał poprzedniego wieczoru taksówkarzowi, poczuł skurcz żołądka. Skąd policja to miała?

Detektyw popatrzył na niego uważnie.

— Kierowca ambulansu, jadącego wczoraj z Manhattanu do Scarsdale, widział śledzącą go przez cały czas taksówkę. Nabral podejrzeń i zapisał umieszczony na jej dachu numer. Dzięki temu znaleźliśmy tę taksówkę, kiedy zostaliśmy zawiadomieni o włamaniu do posiadłości. Kierowca powiedział, że pasażer, którego wiozł, zapłacił czekiem. Właśnie tym. Z pana podpisem oraz pańskim nazwiskiem i adresem na górze.

Pittman w milczeniu gapił się na kopię czeku.

98

No więc jak? Potwierdzi to pan, czy chce mnie pan iść do przeprowadzenia konfrontacji z taksówkarzem, żeby zidentyfikował?

pana

pittman wypuścił powietrze. Włamał się do rezydencji, żeby uratować tamtemu staremu człowiekowi życie. Czy to takie wielkie przestępstwo? Co ma do ukrycia?

Jeszcze przez chwilę się wahał, a potem odpowiedział:

— Tak, to byłem ja.

— I co? Czuję się pan teraz lepiej?

— Mogę wszystko wyjaśnić.

— Oczywiście.

— Ale dopiero po tym, jak zadzwonię do mojego adwokata — odparł Pittman i poszedł do stojącego w salonie telefonu.

Detektyw ruszył za nim.

— Przecież nie musimy przez to wszystko przechodzić — stwierdził. — To prosta sprawa.

— I chcę, aby taka pozostała — oświadczył Pittman. —

Właśnie dlatego zamierzam zadzwonić do adwokata. Żeby nie było żadnych nieporozumień.

Podniósł słuchawkę.

— Niech pan tego nie robi — powiedział Mullen. — Mam tylko kilka pytań. Nie ma potrzeby angażować w to adwokata.

Czy kiedy był pan u starego, coś powiedział?

Pittman pokręcił głową.

— Nie rozumiem.

— Czy stary coś powiedział?

— Co to ma wspólnego z...

Detektyw podszedł bliżej. Miał bardzo poważną minę.

— Czy... stary... coś... powiedział?

— Majaczył.

— Co mówił?

Pittman mocniej ścisnął słuchawkę.

— To nie miało sensu. Coś o jakimś Duncanie. O śniegu.

A potem... nie pamiętam dokładnie, ale powiedział coś, co

brzmiało jak... Grollier.

Twarz detektywa stężała.

— Mówił pan komuś o tym?

99

— Czy komuś mówiłem? Jakie to ma znaczenie? Zaraz zaraz... co tu się dzieje? Proszę pokazać mi swoją legitymację.

— Już pokazywałem.

— Chcę ją zobaczyć jeszcze raz.

Detektyw wzruszył ramionami i sięgnął za pazuchę marynarki.

— To jedyna legitymacja, jakiej potrzebuję — syknął, wyciągając pistolet z niezwykle długą lufą.

Pittman nagle zrozumiał, że to tłumik. Policjanci nie noszą broni z tłumikami.

— Ty zasrany gnoju... jeśli będziesz podskakiwał, wpakuję ci kulę w łeb! Komu o tym powiedziałeś?!

Koniec tłumika zahaczył o jego marynarkę. Kiedy spojrzał w dół, Pittman zareagował odruchowo. Samobójstwo samobójstwem, ale instynktowne odruchy broniącego się ciała to zupełnie co innego. Zamachnął się słuchawką i z całej siły huknął nią rzekomego detektywa w czoło.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu, na jego czole pojawiła się krew. Zaklął i uniósł pistolet.

Przerażony Pittman uderzył ponownie. Tym razem złamał tamtemu nos. Trysnęła krew i intruz zatoczył się do tyłu. Upadł na stolik do kawy z takim impetem, że szklany blat rozprysnął się na kawałki i mężczyzna zwałił się jak wór na podłogę, uderzając głową w metalową krawędź stolika.

Wpatrując się w pistolet, Pittman ponownie uniósł słuchawkę do ciosu, okazało się jednak, że sznur jest już maksymalnie rozciągnięty. Puścił słuchawkę i rozpaczliwie zaczął się rozglądać za inną bronią. Złapał lampę, zamierzając przyłożyć nią mężczyźnie w głowę, ale stwierdził, że fałszywy policjant się nie porusza.

6

Miał otwarte oczy i usta. Jego głowa opierała się na metalowej ramie stolika, a zgięte w kolanach nogi zwisały bezwładnie z drugiej strony.

Trzymając wysoko lampę, gotów do zadania ciosu, Pittman podszedł bliżej. Klatka piersiowa mężczyzny nie poruszała się.

Jezu! Nieznajomy nie żył.

Czas gwałtownie przyspieszył, choć jednocześnie między kolejnymi uderzeniami serca Pittman miał wrażenie, że się zatrzymał. Przez kilka sekund, długich jak minuty, wpatrywał się w leżącego. Powoli odstawił lampę i ukląkł obok trupa, próbując się uspokoić.

Jak to się mogło stać? Nie uderzyłem go na tyle mocno, aby...

Jezu, musiał skrócić sobie kark, kiedy rozbijał szklany blat. Uderzył głową w metalową krawędź...

Pod zwłokami zbierała się krew. Dużo krwi.

Obawiając się, że mężczyzna nagle się poruszy i znowu wyceluje do niego z pistoletu, Pittman dotknął ramienia trupa i przesunął go. Kiedy ujrzał wbity w plecy mężczyzny, dokładnie między łopatkami, długi i wąski jak rzeźnicki nóż kawał szkła, żółć podeszła mu do gardła, a na twarz wystąpił zimny pot.

Miał trzydzieści osiem lat i nigdy nie służył w wojsku. Pomijając minioną noc oraz sobotę przed siedmioma laty, kiedy nasłane na niego zbiry złamały mu szczękę w areszcie, miał do 101

r

czynienia z przemocą jedynie w wywiadach przeprowadzanych z ludźmi, którzy zetknęli się z nią jako ofiary, przestępcy albo policjanci.

A teraz zabił człowieka. Przerażony krwią na telefonie, ostrożnie odłożył słuchawkę na widelki.

Co powinien zrobić?

Nagle zaniepokoił się, że ktoś mógł usłyszeć odgłos rozbijanego stolika. Odwrócił się do ściany, za którą ryczał telewizor sąsiada. Dobiegał stamtąd głośny śmiech, ktoś mówił coś o wycieczce na Jamajkę, ludzie klaskali — najwyraźniej był to jakiś teleturniej. Pittman w napięciu czekał na nerwowe kroki i pukanie do drzwi.

Zamiast tego usłyszał, jak prowadzący teleturniej przyznaje nagrodę. Jeśli nie liczyć ryku telewizora, w mieszkaniu obok nic się nie działo.

A co, jeżeli człowiek, którego zabił, naprawdę był policjantem?

Ciężko oddychając, rozpiął marynarkę zmarłego i wyciągnął portfel z policyjną legitymacją. Widniało na niej nazwisko WILLIAM MULLEN, a zdjęcie ukazywało twarz leżącego obok trupa. Kiedy jednak Pittman dokładniej przyjrzał się dokumentowi, stwierdził, że fotografia została naklejona na inną — przedstawiającą kogoś innego. Sprawdził portfel i poza czterystoma dolarami znalazł w nim prawo jazdy Edwarda Hallowaya, zamieszkałego w Alexandrii w stanie Wirginia. Nigdy nie słyszał, aby jakikolwiek nowojorski policjant mieszkał kilka stanów dalej. A więc nie miał do czynienia z policjantem.

Ale w takim razie z kim?

W tym momencie zadzwonił telefon.

Pittman wbił w niego wzrok.

Telefon ponownie zadzwonił.

Kto miałby...

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

Czy powinien...

Telefon zadzwonił po raz czwarty.

A może to Burt?

Podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał.

— Halo? — zapytał niespokojnie.

Odpowiedziała mu cisza.

KLIK! Połączenie zostało przerwane.

Jezu...

8

Wszedł szybkim krokiem do sypialni, złapał sportową kurtkę i wyciągnął z szafy walizkę. Natychmiast ją jednak odłożył i wziął sportową torbę, której zwykle używał, kiedy jeszcze biegał. Robił kiedyś wywiad z ekspertem od spraw związanych z ochroną, który powiedział mu, że jednym z poważniejszych problemów jest znalezienie czegoś niewzbudzającego podejrzeń, w czym można byłoby ukryć broń lub sprzęt. Walizka jest zbyt duża, poza tym

każdy, kto wchodzi do publicznego budynku z walizką (z wyjątkiem dworca kolejowego lub autobusowego), zwraca na siebie uwagę.

Aktówka wygląda bardziej naturalnie — zwłaszcza jeśli ma się na sobie garnitur — ale jest mało pojemna. Najlepsza jest odpowiednio wyglądająca sportowa torba. Wielu ludzi chodzi po pracy do siłowni, więc sportowa torba wygląda naturalnie nawet wtedy, gdy niesie ją człowiek w garniturze (choć sportowe ubranie jest oczywiście lepsze).

A do sportowej torby można zmieścić dużo rzeczy.

Drżącymi rękami Pittman włożył do torby komplet świeżej bielizny i skarpetki. Dorzucił koszulę, krawat, czarną bluzę, sportowe buty, maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów, pastę i szampon.

Co jeszcze?

Nie jedziesz na obóz letni. Musisz stąd jak najszybciej wiać. Ten telefon był prawdopodobnie od współnika faceta, którego zabiłeś.

104

Pobiegł do salonu i jeszcze raz popatrzył na zwłoki. Z trudem się powstrzymał, żeby nie zabrać z portfela nieznajomego czterystu dolarów w gotówce.

Policji pewnie bardzo by się to spodobało. Morderstwo połączone z rabunkiem.

A co z bronią?

Zabrać ją?

Za kogo ty się masz? Za Johna Wayne'a? Twoja znajomość broni wystarczy jedynie do zabicia samego siebie.

Kiedy telefon znowu zaczął dzwonić, Pittman złapał zapasowy płaszcz, otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz, wyszedł z mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Pittman pobiegł w kierunku windy. Gdy wyciągał rękę do przycisku, usłyszał brzęczenie. Po chwili winda jęknęła i ruszyła z parteru.

Pittman poczuł ucisk za uszami.

Ruszył ku schodom, natychmiast jednak znieruchomiał, bo z klatki schodowej dobiegł odgłos zbliżających się kroków.

Miał wrażenie, jakby jakieś niewidzialne ręce wpiły mu się w klatkę piersiową i ścisnęły ją jak imadło. Jeden człowiek w windzie, drugi na schodach. Doskonale zaplanowane. Nikt się nie przemknie.

Starając się zachowywać jak najciszej, cofnął się i ruszył schodami na wyższe piętro.

Kiedy tylko zniknął za rogiem, winda stanęła i ktoś z niej wysiadł. Nigdzie jednak nie poszedł — jakby się zastanawiał, co robić, albo na coś czekał. Po chwili dołączył do niego człowiek, który wchodził po schodach.

Żaden z przybyszów się nie odezwał, obaj w milczeniu ruszyli w stronę mieszkania Pittmana. Zatrzymali się przed nim, po czym rozległo się pukanie do drzwi. Jedno, drugie. Potem zgrzytnął metal — włamywali się do środka, korzystając z ta-

106

kiego samego narzędzia, jakiego użył Pittman, wdzierając się do posiadłości w Scarsdale. Kolejne metaliczne szczęknięcie mogło oznaczać odbezpieczenie pistoletu. Skrzypnęły otwierane drzwi.

— O kurwa... — jęknął jeden z mężczyzn, najwyraźniej na widok trupa na podłodze.

Odgłos kroków dało się teraz słyszeć z wnętrza mieszkania. Zamknięto drzwi.

Pittman zdawał sobie sprawę, że nie może stracić ani sekundy więcej. Pewnie za chwilę zaczną przeszukiwać budynek.

Podszedł do drzwi windy na trzecim piętrze i wcisnął guzik. Kiedy winda jęcząc i charcząc wjeżdżała z drugiego piętra, nie mógł opanować drżenia rąk.

Najchętniej zaczęłby zbiegać po schodach, ale tamci mogli akurat wtedy wyjść z jego mieszkania. Zjeżdżając windą, będzie bezpieczny — chyba że zatrzymają kabinę, żeby zjechać na dół, i dosięgną się do niego.

Musiał zaryzykować. Jeżeli w holu czekał trzeci bandzior, zjechać do piwnicy było jedynym sposobem, aby go ominąć. Kiedy Pittman wsiadał do windy i wciskał przycisk, był spocony jak mysz. Gdy kabina ruszyła, niemal czekał na brzęczyk, otwarcie drzwi i wejście dwóch bandytów.

Próbując opanować drżenie całego ciała, patrzył, jak wskazówka nad drzwiami dochodzi do cyfry „2”, mija ją i rusza w kierunku „1”.

Pittman wypuścił powietrze. Po jego piersi spływały strużki potu.

Wskazówka doszła do „P” i zaczęła się przesuwać do „— 1”.

Kabina stanęła i drzwi się rozsunęły. Pittman wbił wzrok w ciemność piwnicy.

Ledwie wysiadł, drzwi się zamknęły. Jeszcze nie dotarł do pieca centralnego ogrzewania, gdy ruszyła. Patrzył, jak wskazówka nad drzwiami mija „P”, a potem cyfry „1” i „2”.

Po chwili winda stanęła.

Równocześnie w holu rozległy się odgłosy kroków i krzyki.

— Widziałeś kogoś?

— Nie. Nasi właśnie dotarli na górę.

107

— Nikt nie schodził?

— Nie widziałem. Jestem tu dopiero od pięciu minut. Ale ktoś zjechał windą do piwnicy.

— Do piwnicy? Po co ktoś miałby tam zjeżdżać?

— Może jest tam jakiś magazynek?

— Sprawdź.

Pittman przeszedł obok pieca, a potem minął drzwi do boksów lokatorów. Na schodach za jego plecami rozległ się tupot nóg. Kiedy znalazł się przy wyjściu awaryjnym, przekreślił gałkę najciszej, jak umiał. Odgłos kroków dotarł do dołu schodów.

Pittman otworzył drzwi, znieruchomiał na moment, kiedy skrzypnęły, po czym wymknął się w ciemność, zamknął za sobą drzwi i zaczął biec. Wąską uliczką, na której się znalazł, można było dojść zarówno do Dwunastej Ulicy, albo — mijając kolejny apartamentowiec — do Jedenastej. Pittman założył, że ścigający go ludzie zostawili samochód przed jego domem stojącym przy Dwunastej, pobiegł więc w drugą stronę.

Uliczkę zamykały masywne drewniane drzwi. Przekreślił ich gałkę i pociągnął ją. Gdzieś za jego plecami rozległ się niepokojący hałas. Wyskoczył na Jedenastą i natychmiast zmrużył oczy, aby jego wzrok przyzwyczaił się do świateł latarni i reflektorów samochodów. Potem odwrócił się w lewo i minął zaskoczonych przechodniów, biegnąc dalej na zachód, gdzie był duży ruch i bezpiecznie zatłoczona Siódma Aleja.

Tym razem udało mu się złapać taksówkę.

10

Burt Forsyth nie był żonaty. Mieszkanie służyło mu jako miejsce do przebierania się, mycia i spania. Co wieczór po pracy robił to samo: wypijał kilka drinków i jadł kolację w Bennie's Oldtime Beefsteak Tavern. Stali klienci lokalu byli dla niego jak rodzina.

Znajdująca się przy Pięćdziesiątej Wschodniej Ulicy restauracja nie pasowała do swoich sąsiadów — sklepu z ekskluzywnymi wyrobami ze skóry po jednej stronie i salonu z

designer-skimi ubraniami po drugiej. W jej oknach świeciły jaskrawe neony oraz szyld informujący, że w lokalu znajduje się telewizor

0       dużym ekranie. Kiedy taksówka Pittmana zatrzymała się przy wejściu, restaurację opuszczało właśnie parę osób, a kilka innych wchodziło do środka.

Obok zatrzymała się jeszcze jedna taksówka. Pittman przyjrzał się człowiekowi, który z niej wysiadł, ale jego niepokój znikł, kiedy mężczyzna nawet na niego nie spojrział i od razu wszedł do lokalu. Pittman zapłacił taksówkarzowi resztką posiadanej gotówki, rozejrzał się, uznał, że nie jest śledzony,

1       szybkim krokiem ruszył do restauracji.

Gdy znalazł się w środku, zlustrował pełne ludzi, hałaśliwe, słabo oświetlone pomieszczenie. Zostało ono tak podzielone, że w wyłożonej boazerią prawej części była strefa, w której przede wszystkim jadano, a w lewej — oddzielonej cienką ścianką—pito. W części

przeznaczonej dla pijących znajdował

109

się długi kontuar, a stoliki były zwrócone w kierunku telewizora, zawsze ustawionego na jeden z kanałów sportowych. Pittman był tu kilka razy z Burtem i wiedział, że jego szef woli salkę z barem. Ale kiedy do niej zajrzał, stwierdził, że go tam nie ma.

Wszedł głębiej, mijając dwóch klientów płacących przy kasie niedaleko wyjścia. Przyglądał się wszystkim stolikom, jednak przy żadnym z nich nie dostrzegł charakterystycznej sylwetki Burta. Zaczynał się denerwować. Zdawał sobie sprawę, że powinien jak najszybciej skontaktować się z policją, ale to, co wydarzyło się w jego mieszkaniu, kazało mu uciekać. Kiedy wsiadł do taksówki i miał podać kierowcy adres, pierwsze słowa, jakie mu przyszły do głowy, brzmiały: Bennie's Tavern. Musiał jakoś poukładać sobie to wszystko. Musiał porozmawiać z Burtem.

Ale Burta nie było. Pittman próbował przekonać sam siebie, że może zrobić dziś wyjątek i postanowił coś zjeść w restauracyjnej części lokalu. Albo po prostu się spóźnia.

Wiedział jednak, że ma coraz mniej czasu. Jeśli zbyt późno zgłosi się na policję, na pewno go zapytają, dlaczego nie skontaktował się z nimi natychmiast po ucieczce z mieszkania.

Czuąc ucisk w klatce piersiowej, odwrócił się, aby przejść do salki restauracyjnej. W tym momencie mignął mu przed oczami krępy pięćdziesięciolatek o pociętej zmarszczkami twarzy, z ostrzyżonymi najeża włosami i krzaczastymi brwiami. Miał na sobie pomietą sportową marynarkę. Pittman zobaczył, że schodzi schodami, znajdującymi się za ścianką działową między dwiema częściami lokalu, i podążył za nim.

11

dudniły głucho. Minął szatnię, automat telefoniczny i drzwi z napisem LALKI. Otworzył następne drzwi z napisem FACECI i wszedł do toalety. Z jednej z kabin wychodził właśnie szczupły mężczyzna z wąsem. Poprawił bladobłękitną marynarkę i stanął przy umywalce obok długowłosego młodzieńca w skórzanej kurtce. Mężczyzna, za którym zszedł Pittman, stał przy pisuarze f z lewej strony, plecami do wejścia.

— Burt...

Zaskoczony mężczyzna spojrział przez ramię i papieros omal nie wypadł mu z ust.

— Co ty tu robisz?

Pittman podszedł do niego.

\* — Posłuchaj, chciałbym wyjaśnić, dlaczego nie zjawiłem się dziś w pracy. Muszę ci o czymś opowiedzieć. Uwierz mi, to poważna sprawa.

Dwójka myjących ręce mężczyzn z zainteresowaniem słuchała ich rozmowy.



— Nie rozumiesz, że to, w co się wpakowałeś, jest niebezpieczne? — spytał Burt. — Próbowałem ci to powiedzieć przez telefon.

— Niebezpieczne? To brzmiało, jakbyś mnie opieprzał. Spotkanie. Ważni ludzie.

Burt szybko zapiął spodnie i nacisnął spłuczkę. Kiedy woda

111

zaczęła lecieć, wrzucił w nią niedopałek i odwrócił się do Pittmana.

— Dla twojej informacji: tymi ważnymi ludźmi byli... — Spojrzał na przysłuchujących się ich rozmowie mężczyzn i urwał. — Chodźmy stąd.

Wyszli z toalety, przeszli do końca salki i zatrzymali się u stóp schodów.

— Tymi ważnymi ludźmi byli policjanci — wyjaśnił Burt.

— Co?

— Szukali cię.

— Co takiego?

— Nie słuchałeś radia? Nie widziałeś popołudniowych wiadomości?

— Nie miałem czasu. Kiedy wróciłem do domu, był tam...

— Nie wiem, co robiłeś w nocy, ale gliny uważają, że włamałeś się do rezydencji w Scarsdale i zamordowałeś Jonathana Millgate'a.

Pittman cofnął się i oparł plecami o ścianę.

— Że co?!

Z toalety wyszedł mężczyzna w skórzanej kurtce, przyjrzał się im uważnie, po czym ruszył na górę. Burt odczekał, aż zniknie.

— Posłuchaj — powiedział z poważną miną. — Nie powinniśmy tu rozmawiać. Policja może mnie obserwować, zakładając, że będziesz próbował się ze mną skontaktować. Paru gliniarzy siedzi przy sąsiednim stoliku.

— Więc gdzie?

— Spotkajmy się o jedenastej w Madison Square Parku.

Wejście od strony Piątej Alei. Postaram się zgubić ogon. W co ty się wpakowałeś? Muszę to wiedzieć.

— Ja też chciałbym to wiedzieć, Burt...

—

12

Był tak oszołomiony tym, co usłyszał, że dopiero kiedy wyszedł na ciemną ulicę, uświadomił sobie, że nie poprosił Burta o pieniądze. Na pociąg ze Scarsdale na Manhattan i taksówkę do restauracji wydał wszystko, co miał.

Spojrzał nerwowo za siebie — wyglądało na to, że nikt go nie śledzi — i ruszył szybkim krokiem w kierunku Piątej Alei. Kilka przecznic przed nią była siedziba jego banku. Bankomat znajdował się w niszy obok głównego wejścia. Włożył kartę i czekał na komunikat, że ma wprowadzić PIN.

Jednak ku jego zaskoczeniu na ekraniku pojawiła się zupełnie inna informacja: **PROSZĘ SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z PRACOWNIKIEM BANKU**. Potem bankomat zaszumiał i połknął kartę.

Co to miało znaczyć? Dlaczego?

Odpowiedź była tak samo przerażająca, jak oczywista. Policja otrzymała nakaz sądowy i zamroziła mu konto.

Burt się nie mylił.

„Nie słuchałeś radia? Nie widziałeś popołudniowych wiadomości?”. Przecież tak właśnie zapytał. Pittman szybko skręcił w boczną uliczkę, zajrzał do kilku barów i znalazł jeden z telewizorem. Ponieważ „Chronicie” i wszystkie inne nowojorskie gazety wychodzą rano, nie mogło być w nich żadnych informacji o tym, co się stało w nocy z Jonathanem Millgate'em. Ale w telewizyjnych wiadomościach na pewno coś powiedzą.

113

Usiadł w ciemnym, zadymionym kącie i z niecierpliwością czekał na zakończenie czwartej rundy walki bokserskiej. Nie był w stanie podzielić entuzjazmu pozostałych gości z powodu niespodziewanego nokautu i modlił się, żeby ktoś zdecydował się włączyć kanał informacyjny.

W końcu postanowił poprosić barmana o zmianę kanału na CNN. Gdy wstawał, aby podejść do kontuaru, zaczęły się wiadomości i ze zdumieniem ujrzał za plecami reportera swoje zdjęcie. Zostało zrobione przed laty, kiedy nosił wąsy i był nieco tęższy, jeszcze przed chorobą i śmiercią Jeremy'ego. Natychmiast cofnął się w cień.

— Autor nekrologów o skłonnościach samobójczych zabił dyplomatę — powiedział reporter, modulując głos, najwyraźniej zachwycony tym sformułowaniem.

Pittman słuchał przerażony. Reporter próbował uwiarygodnić swoją relację słowami „rzekomo” i „prawdopodobnie”, ale ton całej wypowiedzi nie pozostawiał wątpliwości, że Pittman jest winny. Zdaniem policji ze Scarsdale, współpracującej z wydziałem zabójstw policji manhattańskiej, Pittman — cierpiący na załamanie nerwowe po śmierci syna — postanowił popełnić samobójstwo i nawet napisał własny nekrolog. Dziennikarze, których stanowiska pracy znajdowały się niedaleko jego biurka, określali go jako człowieka depresyjnego i rozkojarzonego. Powszechnie znana była jego obsesja na punkcie Jonathana Millgate'a, która zaczęła się przed siedmiu laty, kiedy to pan Pittman doszedł do wniosku, że dyplomata jest zamieszany w skandal zbrojeniowy. Zaczął wtedy tak usilnie i natrętnie dążyć do przeprowadzenia z panem Millgate'em wywiadu, że ten został zmuszony do rozważenia, czy nie powinien poprosić policji o ochronę przed nim. Ostatnio stan psychiczny pana Pittmana bardzo się pogorszył — należy podejrzewać, że na tyle mocno, że dziennikarz mógł zechcieć zabić Jonathana Millgate'a przed popełnieniem samobójstwa. Poinformowani o tym asystenci polityka próbowali zapobiec nieszczęściu i zabrali go ze szpitala w Nowym Jorku, gdzie przebywał z powodu zawału. Jednak panu Pittmanowi jakimś sposobem udało się pojechać za panem Millgate'em do jego posiadłości w Scarsdale,

114

włamać do jego pokoju i odłączyć go od urządzeń podtrzymujących funkcje życiowe. Odciski palców na zewnętrznej stronie prowadzących do pokoju drzwi balkonowych oraz na urządzeniach medycznych potwierdzają jednoznacznie jego obecność, pielęgniarka pana Millgate'a stwierdziła, że widziała na własne oczy, jak dziennikarz stał przy łóżku chorego. Policji udało się odnaleźć nowojorskiego taksówkarza, który przewiózł go z Manhattanu do wspomnianej posiadłości. Ustalono to na podstawie czeku, którym pan Pittman zapłacił za kurs. Niestety jeszcze go nie zatrzymano.

Pittman wpatrywał się w ekran i usiłował powstrzymać dygot całego ciała. Bał się, że za chwilę zwariuje. Choć na zdjęciu wyglądał inaczej, wszyscy w barze na pewno zauważyli, że to on jest poszukiwaną osobą. Musi wyjść na ulicę, zanim ktoś wezwie policję.

Policja! Z kompletnym mętlikiem w głowie wyszedł z lokalu. Na szczęście nikt nie próbował go zatrzymać. Może się mylił. Może rzeczywiście powinien zgłosić się na policję i przedstawić prawdziwą wersję wydarzeń. Przecież próbował pomóc Mill-gate'owi, wcale nie zamierzał go zabijać!

Oczywiście. A co z mężczyzną, którego zabiłeś w swoim mieszkaniu? Jeżeli jeszcze tam jest, jeżeli jego kumple nie usunęli zwłok. Sądysz, że policjanci uwierzą we wszystko, co im powiesz? Jeśli wpadniesz im w ręce, natychmiast wsadzą cię do aresztu!

Ale właściwie co w tym złego? W areszcie byłbyś bezpieczny. Ludzie, którzy przyszedli do twojego mieszkania, nie mogliby cię tam dopaść.

Czy aby na pewno? Siedem lat temu dwóch ludzi złamało ci szczękę w areszcie! To samo mogłoby się zdarzyć także tym razem. Tyle że ze skutkiem śmiertelnym.

13

Kiedy wszedł do baru, rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt mu się podejrzliwie nie przygląda. Nic na to nie wskazywało. Albo nie oglądali wiadomości, albo nie łączyli jego osoby z treścią informacji. W końcu nikt tu nie znał jego nazwiska, nawet dla włoskiego kucharza był jedynie „Mattem”.

— Jak leci, Matt? — zapytał Włoch na powitanie. — Nie było cię przez dwa tygodnie, a teraz to już drugi wieczór, jak się zjawiasz. Zaraz cię odkarmimy. Co ma być?

— Mam problem z gotówką. Przyjmiesz czek?

— Zawsze było cię stać na płacenie gotówką.

— A powiększony o dwadzieścia dolców?

— Nie cenisz aż tak bardzo mojej kuchni. Przykro mi.

— O dziesięć?

Kucharz pokręcił głową.

— Pomóż mi.

— Naprawdę tak kiepsko stoisz?

— Gorzej niż kiepsko.

— Łamiesz mi serce. — Kucharz przez chwilę się zastana wiał. — No dobrze, zrobię dla ciebie wyjątek, ale nie rozpowiadaj tego.

— Będę milczał jak grób. Dzięki, Tony. Umieram z głodu. Daj mi sałatkę, pieczeń rzymską, piure ziemniaczane z sosem,  
116

toszek z marchewką, szklankę mleka i kawę, kawę, kawę. »otem porozmawiamy o deserze.

— Szybko cię odkarmimy. To na pewno wszystko?

— Jeszcze jedno.

— To znaczy?

— Pudełko, które ci wczoraj dałem.

14

Po wyjściu z baru ukrył się w pobliskim zaułku. Kucnął w ciemności, plecami do ulicy, otworzył pudełko, wyjął czterdziestkę i pudełko z amunicją i włożył wszystko do torby.

— Co masz w tej torbie, facet? — rozległ się za jego plecami groźny głos.

Kiedy Pittman spojrział przez ramię, ujrzał wysokiego, barczystego dwudziestolatka o zimnych, stalowych oczach.

— Rzeczy.

— Jakie rzeczy? — zapytał wyrostek, wyciągając nóż o dłu gim ostrzu.

— Takie — odparł Pittman i wycelował do niego z pistoletu.

Chłopak schował nóż.

— Spoko, facet. Masz cholernie fajne rzeczy — mruknął, cofnął się i odszedł pospiesznie.

Pittman schował pistolet do torby.

15

Niedaleko Madison Square Parku Edward Steichen zrobił jedno z ulubionych zdjęć Pittmana: sugestywny wizerunek wczesnych lat dwudziestych XX wieku, przedstawiający Flati-ron Building, stojący u zbiegu Piątej Alei i Broadwayu. Zdjęcie ukazywało zimową scenerię: śnieg padający na konne powozy, z lewej strony — zajmujące niewiele miejsca na fotografii, lecz odgrywające rolę równie ważną jak Flatiron Building — огоłocone z liści drzewa.

Pittman stanął na chodniku Piątej Alei w miejscu, w którym musiał stać podczas robienia swojego zdjęcia Steichen. Choć była wiosna, liście na drzewach jeszcze się nie rozwinęły i Pittman próbował sobie wyobrazić, iż cofnął się w czasie, a szum sunących obok samochodów został zastąpiony przez klekot końskich podków.

Do spotkania pozostało jeszcze pół godziny. Nie miał się gdzie podziać. Choć posiłek pozwolił mu odzyskać nieco energii, w dalszym ciągu czuł zmęczenie po poprzedniej nocy. Jednak mimo wyczerpania i dręczących go obaw czuł, że jest w znacznie lepszej formie fizycznej niż podczas całego ubiegłego roku. Ból mięśni niemal sprawiał mu przyjemność. Ale musiał choć na chwilę usiąść, nie wolno mu było doprowadzać ciała do granic możliwości. Najlepiej w jakimś ustronnym miejscu.

Przestał udawać Steichena i poszedł w głąb parku. W nocy ławki zajmowali głównie bezdomni.

119

Usiadł na jednej z wolnych.

Dokładnie o jedenastej z taksówki, która zatrzymała się na Piątej Alei, wysiadł Burt Forsyth. Zaczekał, aż taksówka odjedzie i włączy się do ruchu. Zapalił papierosa—prawdopodobnie po to, aby dać Pittmanowi znak, że przyjechał, i pokazać mu swoją twarz.

Wszedł do parku wejściem przy pomniku ofiar pierwszej wojny światowej i zatrzymał się. Najwyraźniej czekał na niego.

Pittman przez pół minuty obserwował, czy ktoś podejrzany nie kręci się w pobliżu Burta, po czym wstał z ukrytej w cieniu ławki.

Kiedy podchodził, Burt zmarszczył czoło, lekko pokręcił głową, dyskretnie wskazał dłonią przed siebie i minął go.

Pittman z trudem powstrzymał się przed zawołaniem go po imieniu. Miał za nim iść? Czyżby Burt obawiał się, że mogą mieć towarzystwo? Chciał, żeby zachowywał się szczególnie ostrożnie?

Starając się robić to w sposób niezwracający uwagi, ruszył równoległą ścieżką. Burt skierował się ku przeciwległemu rogowi parku, przy Dwudziestej Szóstej. Po kilku minutach

wyszedł z parku i skręcił w prawo. Pittman wyszedł za nim na Madison Avenue, minął zbudowany z białego marmuru gmach Sądu Apelacyjnego, po czym skręcił za Burtem w Dwudziestą Szóstą.

W połowie drogi między przecznicami Burt wszedł pod prowizoryczny daszek nad płotem wokół budowy. Kiedy Pittman dotarł do tego miejsca, zobaczył, że Burt ukrył się za dwoma pojemnikami na śmieci i labiryntem rusztowań.

Podszedł do niego.

— Burt, nie wiem, co robić. W wiadomościach zrobiono ze mnie szaleńca.

— Powiedziałem ci, że jest źle. Co się stało? Jak się w to wplątałeś?

— Nie zabiłem Millgate'a.

— Więc dlaczego widziano cię uciekającego z jego pokoju?

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Jestem niewinny.

— Niewinny? Na wszystkich urządzeniach medycznych są twoje odciski palców. Co tam robiłeś?

120

Burt, musisz mi uwierzyć. To jedna wielka pomyłka.

Niezależnie od tego, co spowodowało śmierć Millgate'a, nie miałem z tym nic wspólnego.

— Wierzę ci, ale to nie mnie musisz przekonać. Jak wyjaśnisz policji fakt, że...

Burt odwrócił się w stronę chodnika, do cienia, który się tam pojawił. Słyszając odgłos kroków, Pittman również spojrzał w tym kierunku. Zobaczył kontur ludzkiej sylwetki, oświetlony od tyłu przez światło padające z ulicy. Nie widział twarzy, ale natychmiast zauważył, że tamten ma na sobie o dwa numery za dużą kurtkę.

Mężczyzna wyciągnął coś zza pazuchy.

Pittman cofnął się gwałtownie i uderzył plecami w pojemnik na śmieci.

Nie miał gdzie uciekać, a napastnik trzymał w ręku pistolet. Pittman zasłonił się torbą.

Kiedy mężczyzna strzelił, odgłos strzału zabrzmiał, jakby ktoś uderzył pięścią w poduszkę.

Kula trafiła w torbę, przebijając ją na wylot. Na szczęście Pittman stracił równowagę, dzięki czemu pocisk o kilka centymetrów minął jego bok i wpadł między śmietniki, uderzając w beton.

Napastnik wszedł w cień. Leżący na ziemi Pittman patrzył na niego z przerażeniem, pewien, że następny pocisk trafi go między oczy. Jednak uwagę mężczyzny z pistoletem odwrócił jakiś metaliczny hurkot. Odwrócił się w jego kierunku — stał tam Burt, który się potknął i uderzył plecami o metalowe rusztowanie. Napastnik strzelił mu w pierś.

Burt stęknął i zatoczył się do tyłu.

Pittman gorączkowo szarpał się z zamkiem torby.

Kiedy napastnik ponownie odwracał się w jego stronę, Burt odbił się od rusztowania, zamachał rękami w powietrzu, usiłując odzyskać równowagę, i odruchowo złapał pierwszą rzecz, jaką miał przed sobą: mężczyznę z pistoletem. Bandyta odepchnął go, okręcił się na pięcie i znowu strzelił — tym razem prosto w twarz Burta.

Zamek torby Pittmana wreszcie puścił.

121

Bandyta odwrócił się i przesunął rękę z pistoletem.

Pittman złapał swoją czterdziestkępiątkę, odciągnął kurek i nacisnął spust.

Huk był ogłuszający. Pittman miał wrażenie, jakby dostał pięściami po uszach. Zamknięta mała przestrzeń jeszcze wzmocniła odgłos wystrzału. Przy każdym następnym strzale łomot w uszach Pittmana się nasilał.

W końcu przestał strzelać.

Cel zniknął.

Ciasna przestrzeń ułatwiła Pittmanowi celowanie. Napastnik leżał na plecach, z jego piersi, gardła i lewego oka leciała krew.

Pittman poczuł mdłości i smak żółci w gardle. Nie mógł jednak pozwolić sobie na słabość. Musiał pomóc Burtowi. Podpełzł do niego i poszukał tętna. Nic. O, nie! Burt!

Choć wciąż dzwoniło mu w uszach, usłyszał dobiegające z oddali krzyki i wycie policyjnej syreny. Czuł się jak sparaliżowany. Popatrzył na przyjaciela, czując napływające do oczu łzy. Kiedy wycie syren narosło, jego odrętwienie pękło. Złapał leżącą na ziemi torbę, wrzucił do niej pistolet i wybiegł na ulicę.

Po drugiej stronie Dwudziestej Szóstej rozległ się kobiecy wrzask; Pittman pobiegł w kierunku Park Avenue. Boże, pomóż mi, powtarzał w myślach jak mantrę.

Niestety nie był z Bogiem w najlepszej komitywie — zwrócił się więc do innej istoty w zaświatach:

Jeremy, posłuchaj mnie, proszę cię, synu! Musisz pomóc swojemu ojcu.

16

Ile jeszcze czasu zostało do przybycia policji?

Jeden wewnętrzny głos kazał mu uciekać i pod żadnym pozorem się nie zatrzymywać, ale drugi — brzmiący jak głos Jeremy'ego — ostrzegał, że biegnąc, będzie zwracał na siebie uwagę. Powinien się zachowywać jak gdyby nigdy nic.

Za plecami słyszał syreny. Policjanci lada chwila znajdą ciała. Porozmawiają z kobietą, która go widziała, i zaczną szukać mężczyzny ze sportową torbą, uciekającego Dwudziestą Szóstą w kierunku Park Avenue.

Wewnętrzny głos — Pittman znowu odniósł wrażenie, że brzmi bardzo podobnie do głosu Jeremy'ego — powiedział mu: pozbadź się torby.

Pozbyć się torby? Ale przecież mam w niej ubrania i pistolet!

Na co przydadzą ci się ubrania i pistolet w więzieniu?

Z trudem powstrzymując chęć natychmiastowej ucieczki, przeszedł spokojnym krokiem przez Park Avenue. Po drugiej stronie skrzyżowania, na dalszym odcinku Dwudziestej Szóstej, było znacznie mniej samochodów i przechodniów. Doszedł do kolejnej budowy. Syreny coraz bardziej się zbliżały. Rozejrzał się i kiedy stwierdził, że nikt go nie obserwuje, wrzucił torbę do pojemnika na śmieci.

Skręcił na południe, w Lexington Avenue. Pocił się jak mysz i wciąż z trudem powstrzymywał się od rzucenia do ucieczki. Minął zamknięty na noc Gramercy Park. Po jakimś czasie skręcił

123

na zachód i wkrótce dotarł do Union Square Parku. Ze zdziwieniem stwierdził, jak bardzo jego życie się zmieniło w ciągu ostatnich sześciu godzin — od chwili gdy wysiadł tu z metra, żeby wrócić do mieszkania.

Teraz nie mógł tam oczywiście pójść, a nie miał żadnego innego miejsca, gdzie mógłby się udać. Policja najprawdopodobniej obserwowała mieszkania przyjaciół, do których mógłby zwrócić się o pomoc. Z pewnością powiadomiono też hotele, aby zwracały uwagę na gości chcących płacić kartą kredytową. Co miał począć?

17

— Hej, co to za syreny? — spytał leżący na metalowej ławce mężczyzna z kilkudniowym zarostem.

Trzymał w ręku papierową torbę, w której prawdopodobnie była butelka z alkoholem. Ubrany był w granatowy płaszcz z dziurami na rękawach, miał brudne, potargane włosy i brakowało mu przednich zębów. Pittman podejrzewał, że choć wyglądał na sześćdziesiąt lat, w rzeczywistości mógł mieć trzydzieści.

— Niech mnie cholera, jeśli wiem — odparł i usiadł obok.

Mężczyzna przez chwilę milczał.

— Że jak? — burknął w końcu.

— Syreny.

— Co?

— Pytał pan o syreny, dlaczego wyją.

— Zakłócają mi spokój.

— Mnie też.

— Hej, nie mówiłem ci, że nie możesz tu siadać?

Obok parku przejechał radiowóz na sygnale, z zapalonym kogutem, i pomknął Broadwayem na pomoc.

— Następny... — wymamrotał mężczyzna z ławki. — Za kłócają mi... do cholery, ciągle jeszcze tu siedzisz?! To moja ławka. Nie pozwoliłem ci...

Po chwili ulicą przemknął kolejny radiowóz.

— Spokojnie, nie ma się czym denerwować — powiedział Pittman.

125

— Chcesz mi ukraść ławkę — burknął mężczyzna nieco głośniej.

— Powiedziałem, że nie ma się pan czym denerwować.

Zapłacę za wynajem.

— Czego?

— Tego miejsca. Ma pan rację, to pańska ławka, ale podzieli się pan ze mną. Co pan powie na dziesięć dolarów?

— Dziesięć?

— I zamienimy się płaszczami — dodał Pittman.

Kobieta, która widziała, jak odchodzi z miejsca, gdzie leżały dwa ciała, i zaczęła krzyczeć, na pewno zezna na policji, że podejrzany miał jasnopopielaty płaszcz. Musiał zamienić go na granatowy płaszcz kloszarda.

— Zamienisz się ze mną?

— Tak, ale chcę, żeby podzielił się pan ze mną ławką.

— Pokaż kasę.

Pittman dał mu obiecany banknot — dostał go od włoskiego kucharza. Jeśli nie liczyć kilku monet, była to jego ostatnia gotówka.

— Jeszcze płaszcz.

Zamienili się. Płaszcz kloszarda śmierział zastarzałym potem. Pittman usiadł obok.

Przekładając butelkę z ręki do ręki, mężczyzna założył zdobyty płaszcz.

— Ładny.

— Aha.

— Ciepły.

— Aha.

— To chyba mój szczęśliwy dzień. — Mężczyzna popatrzył na Pittmana, przystawił butelkę do ust, opróżnił ją i rzucił za

siebie w trawę. — Pójdę po następną. Pilnuj ławki.

— Będę tu, kiedy pan wróci.

— Lepiej niech tak będzie.

Zataczając się, wyszedł z parku i ruszył na południe Broad-wayem.

Kiedy pojawił się kolejny radiowóz, Pittman pochylił się nisko. Miał nadzieję, że go nie zauważą.

126

wała po długim funkcjonowaniu na dużej dawce adrenaliny, sprawiły, że zadrżał z zimna. Objął się ramionami. Kręciło mu się w głowie.

Burt powiedział, że być może obserwują go policjanci siedzący przy sąsiednim stoliku. Ale to wcale nie musieli być policjanci. Może to był bandzior, który przyszedł za nim do parku.

Ale czemu go zabił? Przecież Burt w niczym mu nie zagrażał. Widział go tylko w ciemności i na pewno nie potrafiłby go zidentyfikować.

Pittmanowi zrobiło się jeszcze zimniej, więc objął się jeszcze mocniej. Co za skurwiel — wcale nie musiał zabijać Burta!

Z prawej strony coś się poruszyło. Pittman odwrócił głowę i ujrzał dwie zbliżające się postacie. Nie były w mundurach. Nie policjanci — chyba że w cywilu. Nie poruszali się jednak jak policjanci, ich ruchom brakowało pewności siebie. Sprawiali wrażenie, jakby się skradali. Drapieżniki.

Musieli zauważyć, że dawał kłozardowi z ławki pieniądze, i przyszli po coś dla siebie. Wyprostował się. Tamci przez cały czas powoli się zbliżali.

Wstał, zamierzając odejść, ale byli już przy nim. Napiął mięśnie w oczekiwaniu ataku.

— Ssspiepszszaś — powiedział nieoczekiwanie bełkotliwy głos. — Otttwalcie się ottt niecho. Jest mój. Ja cho snalassłem.

Wynajmuje moooą awkę.

Intruzi popatrzyli na kłozarda w płaszczu Pittmana, który właśnie wrócił z nową butelką w papierowej torbie.

— Nie słyszysie? Spadaś! — Mężczyzna pogmerał w kieszeni brudnych spodni i wyciągnął wyglądający jak kościelny klucz otwieracz do butelek. Wycelował go w przybyszy i dźgnął nim powietrze. — Sabieraś stąd dupska. Ta ławka jest moja. Moja i jecho.

Dwaj obszarpańcy wahali się przez chwilę, a potem zniknęli w mroku, z którego wychynęli.

— Dranie. — Mężczyzna ciężko usiadł na ławce. — Saprali by mi ławkę w sechundę. Szeba jej pilnować.

127

— Chyba tak.

Mężczyzna pociągnął z butelki.

— Połósz się.

— Słucham...?

— Psześpij się. Wychładasz kiepsko.

Pittman nic na to nie odpowiedział.

— Nie dam ci nic zrobić. Nichdy nie śpię, sawsze pilnuje ławki.



Kiedy Pittman się obudził, nocne cienie zniknęły. Powietrze było blade, słońce jeszcze nie wyrzało sponad budynków. Na ulicy widać było tylko pojedyncze samochody.

Gdy przypomniał sobie wydarzenia minionej nocy, zadrżał i usiadł gwałtownie. Kłoszarda, któremu wczoraj dał swój płaszcz, już nie było.

Zamiast niego na ławce siedział dobrze ubrany, szczupły siwowłosy dżentelmen w okularach.

— Dobrze pan spał? — zapytał.

Pittman zastanawiał się, czy ma do czynienia z policjantem, czy ze zboczeńcem.

— Nie za bardzo — odparł w końcu.

— To zrozumiałe. Kiedy sypiałem na takich ławkach, zawsze budziłem się z bólem pleców.

— Kiedy co pan...

— Zanim odnalazłem właściwą drogę. Wygląda pan, jakby szczęście odwróciło się od pana dość niedawno. Jest pan dobrze ubrany, ale ten płaszcz... skąd pan go wziął?

Pittman zobaczył, że brudny granatowy płaszcz, który dostał od kłoszarda, leży na jego udach. Najwyraźniej kiedy zasnął, poprzedni właściciel przykrył go nim. Musiała być wtedy jakaś trzecia nad ranem.

— Dostałem od przyjaciela.

— Rozumiem... Pewnie dziwi się pan, co tu robię.

129

Pittman nie odpowiedział.

— Nazywam się Thomas Watley i jestem pastorem. Przy chodzę tu codziennie rano, aby sprawdzić, czy park nie wzbo gacił się o nowych mieszkańców. Wszyscy mnie tu znają. Prawdopodobnie są w tej chwili w moim kościele. Każdego ranka oferuję im skromne śniadanie. Mogą się też umyć, ogolić, załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Miałby pan ochotę do nas dołączyć?

Pittman w dalszym ciągu się nie odzywał.

— Odprawiam również nabożeństwo, ale udział nie jest obowiązkowy, jeżeli tego się pan obawia.

Pittman nadal bez słowa gapił się w przestrzeń.

— No cóż... — Thomas Watley wzruszył ramionami. — Chyba powinienem wrócić do kościoła — dodał i wyciągnął dłoń.

Z początku Pittman sądził, że pastor zamierza się z nim pożegnać, potem jednak zobaczył, że chce mu coś dać.

— Na wypadek gdyby postanowił pan do nas nie dołączać, zostawiam panu pięć dolarów. Wiem, że to niewiele, ale czasami nawet taka niewielka pomoc pozwala komuś powrócić tam, skąd odszedł. Pamiętaj: cokolwiek spowodowało twój upadek, nie jest nieodwracalne. Ten problem da się rozwiązać.

— Wątpię, pastorze — odparł gorzko Pittman.

— Dlaczego?

— Chyba że pastor umie wskrzeszać umarłych.

— Straciłeś...

— Syna.

Pastor pokręcił głową.

— Szczerze współczuję. Nie ma większego ciężaru.

— Więc dlaczego pastor sądzi, że mój problem da się rozwiązać? — zapytał Pittman.

Thomas Watley popatrzył na niego ze smutkiem, ale nic nie odpowiedział.

— Dziękuję za pieniądze, pastorze. Bardzo mi się przydadzą.

19

Założył płaszcz kloszarda, zgarbił się i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku Lexington Avenue. Słońce wychodziło już zza budynków. Ruch uliczny nasilał się, trąbiły klaksony.

Pittman chciał sprawiać wrażenie, że interesują go jedynie leżące na chodniku wyrzucone lub zgubione przedmioty. Udając, że z trudem utrzymuje równowagę, skręcił z Lexington w Dwudziestą Szóstą. Pochylił się i niby to podniósł monetę, z zadowoleniem popatrzył na znalezisko, po czym „włożył je” do kieszeni.

Zaryzykował podniesienie głowy i dostrzegł jakiś ruch między Piątą Aleją a Madison, niedaleko Madison Square Parku. Na dachu stojącego tam radiowozu migał kogut. Prawdopodobnie ciała już zabrano i kończono zbieranie materiałów dowodowych.

Burt... Pittman ruszył Dwudziestą Szóstą, wciąż się zataczając. Kiedy znalazł pierwszy śmietnik, podniósł pokrywę i zajrzał do środka. Poszedł dalej, zaglądając do następnych pojemników i starając się przy tym nie oddychać. W końcu dotarł do śmietnika, o który mu chodziło. Podniósł pokrywę, zajrzał do środka, złapał swoją torbę, zgarbił się i zaczął wracać w kierunku, z którego przyszedł. Był na tyle oddalony od miejsca, gdzie znaleziono ciała, że policja raczej nie powinna zwrócić na niego uwagi — zwłaszcza w jego obecnym stroju. Pomyślał z ironią, że bezdomni są niewidzialni.

131

20

Była sobota, więc przypuszczał, że człowiek, z którym zamierzał się spotkać, jest jeszcze w domu. Ale kiedy zajrzał do książki telefonicznej Manhattanu, okazało się, że nie ma w niej nazwiska Brian Botulfson. Zadzwoił do informacji i poprosił o sprawdzenie, czy ktoś taki mieszka w którejś z innych dzielnic Nowego Jorku.

Owszem, był ktoś taki na Brooklynie, w informacji nie chciano mu jednak podać adresu. Musiał więc udać się do Biblioteki Publicznej Nowego Jorku i zajrzeć do książki telefonicznej Brooklynu, by odszukać adres Briana. Mógł po prostu do niego zadzwonić, lecz jako reporter wiedział, że skuteczność rozmowy telefonicznej to zaledwie ułamek skuteczności bezpośredniego kontaktu. Kto chce przerwać rozmowę telefoniczną, odkłada po prostu słuchawkę, ale podczas spotkania można tak poprowadzić rozmowę, że nawet osoba niechętnie nastawiona często odpowiada na wszystkie pytania.

Pittman spotkał się z Brianem tylko kilka razy — zazwyczaj po jego kolejnych aresztowaniach za włamania do komputerowych baz danych Departamentu Obrony. Ostatnim razem miało to miejsce przed siedmiu laty, kiedy Brian wyświadczył Pittmanowi przysługę, zdobywając zastrzeżone numery telefonów Jonathana Millgate'a. Teraz Pittman potrzebował kolejnej przysługi, istniała jednak możliwość, że Brian go nie pamięta albo

132

odmówi, jeśli do niego zadzwoni. Dlatego musiał się z nim skontaktować osobiście.

Wyrzucił brudny płaszcz do śmietnika. Za pieniądze otrzymane od pastora Watleya kupił sobie sok pomarańczowy i kawałek ciasta, po czym wsiadł do metra jadącego do Brooklynu. Po drodze ogolił się maszynką na baterie, usiadł przy oknie i zaczął się zastanawiać, jak przekonać hakera.

21

Kiedy widzieli się ostatnim razem, Brian Botulfson mieszkał w podupadającym budynku przy Lower East Side. Miał u siebie mnóstwo drogiego sprzętu komputerowego, między którym ganiały karaluchy, ale udawał biednego studenta. Dom, w którym mieszkał teraz, wyglądał znacznie lepiej — był obłożony klinkierem, miał duże, czyste okna i znajdował się w atrakcyjnej okolicy — niedaleko Park Slope.

Pittman skinął głową mężczyźnie, który właśnie wychodził z budynku, po czym wspiał się po schodach, zatrzymał w holu, przyjrzał nazwiskom przy domofonie i wcisnął guzik oznakowany 4B,

Nikt nie odpowiedział, więc po chwili nacisnął guzik ponownie.

Bezpośredni kontakt, co? Świetny pomysł, pod warunkiem, że szukana osoba jest w domu. Cholera jasna, przejechał taki kawał drogi na nic!

Właśnie zamierzał nacisnąć guzik po raz trzeci, kiedy maleńki głośnik ożył.

— Tak? Kto to?

— Brian? To ty?

— Z kim mówię?

— Matt Pittman. Brian, pamiętasz mnie? Kiedy miałeś kilka lat temu problemy, napisałem o tobie kilka artykułów w „Chro nicie”.

134

Domofon zamilkł.

— Brian?

— Czego chcesz?

— Porozmawiać, Brian. — Starał się jak najczęściej używać imienia rozmówcy, bo tworzyło to pewną więź. — Dawno się nie widzieliśmy. Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co u ciebie.

Domofon znowu zamilkł.

— Brian, muszę o czymś z tobą pogadać.

— O czym?

— Dziwnie się czuję, gadając do domofonu. Możesz mi otworzyć? Wejść na górę.

Znowu cisza.

— Brian?

Po chwili zabuczał brzęczyk w drzwiach i zamek się otworzył.

Pittman szybko przekreślił gałkę, pchnął oszklone drzwi i wszedł do świeżo odmalowanego białego korytarza. W niczym nie przypominało to ponurego, odrapanego budynku, w którym sam mieszkał. Brian musiał mieć naprawdę dobrze płatną pracę.

Wjechał windą na trzecie piętro. Kiedy dochodził do drzwi z numerem 4B, doleciał zza nich płacz dziecka. Zapukał. Choć gospodarz się go spodziewał, drzwi otworzyły się dopiero po dziesięciu sekundach.

Zmiana w wyglądzie Briana zaskoczyła Pittmana. Siedem lat temu haker nosił sportowe buty, powyciągane bawełniane bluzy i rozdarte na kolanach dzinsy. W każdym jego uchu

tkwił kolczyk z zębem rekina, miał potargane włosy sięgające do ramion i bardziej przypominał członka grupy heavymetalowej niż specjalistę od komputerów.

Teraz miał na sobie czarne półbuty, szare spodnie i elegancką błękitną koszulę z dobrego materiału. Kolczyki zniknęły, dziurki w uszach również. Jego brązowe włosy były krótko przycięte i nosił dwuogniskowe okulary w dużych oprawkach. Ten bardzo konwencjonalny wygląd sprawiał, że wyraźnie widać było, jaki jest niski i po kobiecemu drobny, a miękkiej, mało męskiej linii szczęki nie był w stanie ukryć nawet cienki wąsik.

— Czego chcesz? — zapytał Brian, nie odsuwając się od drzwi.

135

W głębi pokoju, przy kuchennym stole, na krześle do karmienia siedziało płaczące dziecko. Pittman popatrzył na nie.

— Twoje, Brian? — zapytał. — Najwyraźniej wiele się zmieniło. Musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

Zrobił ruch, jakby chciał wejść, ale Brian nawet nie drgnął.

— Czego chcesz? — powtórzył.

— Brian, to niezbyt grzecznie z twojej strony. Zrobiłem taki kawał drogi, żeby się z tobą zobaczyć, a ty nawet nie chcesz pogadać.

Do płaczu dziecka dołączył głos spikera.

— Karmisz dziecko i przy okazji oglądasz telewizję?

— Wiadomości — odparł Brian z ponurą miną. — CNN.

— Aha.

Twarz Briana jeszcze bardziej spochmurniała. A więc wie, pomyślał Pittman.

— Mówili coś ciekawego? Mam wrażenie, że wspominali o Jonathanie Millgacie. Przypomniało mi to o naszym spotkaniu siedem lat temu, kiedy pomogłeś mi zdobyć jego numery telefonów.

Brian zmrużył oczy.

— Czego chcesz? — spytał po raz trzeci.

— Przysługi.

— Dlaczego?

— Czy to nie oczywiste? Potrzebuję pomocy.

— Nie to miałem na myśli. Dlaczego miałbym ci wyświadczyć przysługę?

— Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Chyba dlatego, że jesteś człowiekiem... Hej, ten maluch właśnie próbuje zejść z krzeselka!

Brian odwrócił się szybko, skoczył do dziecka i złapał je. Zapłakało jeszcze głośniejsze. Pittman wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

— Chłopiec czy dziewczynka?.

— Czy nie powiedziałem ci, że...

— Co my tu mamy? Zupka z brzoskwini... daj, pomogę ci.

Chłopiec czy dziewczynka?

— Chłopiec, ale to nie znaczy, że...

136

— Ile ma?

— Prawie rok, ale...

— Jest wspaniały. Jak ma na imię?

— Daniel. Posłuchaj...

— Brian, mam kłopoty, rozumiesz? Sądząc z twojej miny, dobrze wiesz, jakie to kłopoty. Pewnie usłyszałeś coś na ten temat w CNN. Założę się, że powiedziałeś sobie: „O nie, to nie może być ten sam gość, który robił ze mną wywiad. To nie może być ten sam gość, któremu wyświadczyłem przysługę i dla którego zdobyłem zastrzeżone numery telefonów Jonathana Millgate'a. Matthew Pittman. Tak, właśnie tak się nazywał”. I wtedy pojawia się przed twoimi drzwiami. Trochę to za skakujące, prawda?

Brian kurczowo obejmował dziecko.

— Jesteś żonaty, Brian? Gdzie twoja...

— Poszła po warzywa.

— Z przyjemnością ją poznam. — Pittman odstawił torbę na podłogę. — Nie żartowałem. Daj, pomogę ci nakarmić syna. Brian cofnął się o krok.

— Posłuchaj, Brian... chyba źle mnie zrozumiałeś. Nie przy szedłem narobić ci kłopotów. Potrzebuję tylko drobnej przysługi i zaraz się wynoszę.

— Co mam zrobić? — zapytał komputerowiec, patrząc na niego podejrzliwie.

— Masz miłe mieszkanko. Czyste i przestronne. — Pittman otworzył drzwi i zajrzał do pokoju, który prawdopodobnie był pracownią gospodarza. — Widzę, że w dalszym ciągu inte resujesz się komputerami...

— Jestem programistą i pracuję dla Nintendo.

— A co z hakowaniem? Też się tym jeszcze zajmujesz?

— To było dawno temu. Kiedy poznałem Gladys... Zaraz, zaraz... chcesz, żebym...

— I znikam.

Twarz Briana ściągnęła się.

— Jeżeli w Nintendo się dowiedzą, że to robię, wywalą mnie. A Gladys urwałaby mi jaja.

— Nikt się o tym nie dowie. Potrzebuję tylko jednej drobnej

informacji, Brian. Obiecuję, że potem zniknę. Jeśli będziemy mieli szczęście, załatwimy to, zanim Gladys wróci.

Chłopiec zaczął się wrywać, więc ojciec posadził go na krzeselku. Kiedy spróbował włożyć dziecku do buzi łyżeczkę papki z brzoskwini, mały wytrącił mu ją z dłoni, opryskując świeżo wyprasowaną koszulę.

— Pozwól mi, kiedyś byłem w tym dobry — powiedział Pittman.

Zrobił minę, która przyciągnęła uwagę małego. Potem przykucnął — tak, aby jego oczy znalazły się na wysokości oczu dziecka — pochylił się i dotknął nosem noska chłopca. Mały uważnie mu się przyglądał. Pittman odsunął się i otworzył usta.

Chłopczyk również otworzył usta.

Pittman włożył w nie łyżeczkę brzoskwiniowej papki.

— Jak to zrobiłeś? — spytał zdumiony Brian. — Na widok

obcych zawsze płacze, ale ty...

— Po prostu mam wprawę — odparł Pittman. Syn Briana przypomniał mu małego Jeremy'ego i zrobiło mu się smutno.

— Mówili, że go zabiłeś — powiedział Brian.

— Millgate'a? Nie. To nieprawda.

— I że zabiłeś także jakiegoś człowieka u siebie w mieszkaniu oraz swojego szefa.

— Ten człowiek w moim mieszkaniu wycelował we mnie z pistoletu. Walczyliśmy ze sobą i kiedy upadł, skrzył sobie kark. A jeśli chodzi o mojego szefa, to... — Pittman urwał, gardło ścisnęło mu się z żalu. — Nie zrobiłem Burtowi nic złego. Zabił go ktoś inny.

— Mówili również, że straciłeś kontrolę nad sobą. Że planujesz samobójstwo i jest ci obojętne, kogo ze sobą zabierzesz.

— To też nieprawda. — Pittman poczuł, że ogarnia go depresja. — Nie zamierzam nikogo skrzywdzić.

— Więc nie jesteś w samobójczym nastroju?

Pittman popatrzył na dziecko.

— Odpowiedz — naciskał Brian.

— To jedyna rzecz w tym wszystkim, która jest zgodna z prawdą.

Zapadła cisza. Nawet dziecko umilkło.

138

— Mówili, że straciłeś syna.

Pittman przełknął ślinę. Nie chciał na ten temat rozmawiać.

— Posłuchaj, Brian, naprawdę potrzebuję tej przysługi. Mam mnóstwo kłopotów, na które nie zasługuję, i chciałbym się z nich jakoś wyplątać.

— Dlaczego? Nie rozumiem, dlaczego ci na tym zależy, skoro zamierzasz się zabić.

— Sam zadawałem sobie to pytanie. Chyba dlatego, że... — ponownie przełknął ślinę — ...chciałbym być w porządku wobec wszystkich. Ale potrzebuję pomocy.

Dał małemu kolejną łyżeczkę brzoskwini.

— Co się właściwie stało? — spytał Brian.

Pittman wbił wzrok w podłogę, a potem głęboko zaczerpnął powietrza i opowiedział Brianowi całą historię.

22

Brian kręcił głową, zdumiony i oburzony.

— To jest...

— Przysięgam ci, że to prawda.

— Nie poradzisz sobie z tym. Musisz iść na policję. Powie dzieć im to samo, co powiedziałaś mnie.

— Jeśli ty nie potrafisz mi uwierzyć, to sądzisz, że oni uwierzą?

— Nie masz wyboru.

— Nie wierzę, że policja zapewni mi bezpieczeństwo.

— Człowieku, czy zdajesz sobie sprawę, jak brzmi to, co w tej chwili mówisz?

— Może w dzisiejszych czasach paranoja to jedyna zdrowa postawa?

Brian sprawiał wrażenie przerażonego.

— I spodziewasz się, że ja...

— Włamiesz się do bazy danych, do której sam nie mogę się dostać.

— Jakiej?

— W mojej redakcji. Przy wejściu do budynku trzeba pokażać legitymację i wpisać się do książki, więc strażnik by mnie poznał i wezwał policję. Ale znam hasła zdalnego dostępu.

Brian westchnął i kiwnął głową.

— To nie powinno być zbyt trudne. Właściwie to prawie legalne.

140

— No widzisz. — Pittman skończył karmić małego i zabrał się do zmieniania mu pieluszki.

— I to wszystko?

— Hmm...

— Chcesz coś jeszcze, tak?

— Muszę się dostać do miejskiego rejestru przestępstw.

— Boże...

W tym momencie otworzyły się drzwi i Pittman się odwrócił.

Ruda kobieta, bardzo chuda, o twarzy jakby wyrzeźbionej z marmuru, była wyraźnie zaniepokojona tym, że jakiś obcy mężczyzna trzyma jej dziecko.

— Co to ma...

— Gladys, to mój stary kumpel — powiedział Brian.

— Ed Garner — przedstawił się Pittman, mając nadzieję, że kobieta nie skojarzy go ze zdjęciami w telewizji.

Gladys podeszła do kontuaru w kuchni, postawiła na nim dwie torby z warzywami i odebrała Pittmanowi chłopczyka. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że uważa go za podejrzanego indywiduum i nie życzy sobie, aby dotykał jej dziecka.

— Ed Garner? — Popatrzyła na męża, mrużąc oczy. — Nigdy o kimś takim nie wspominałeś.

— Wiesz, długo się nie...

— Kolegowaliśmy się na uczelni — wyjaśnił Pittman. — Często bawiliśmy się razem komputerami.

— Komputerami? — Jej głos brzmiał jak przeciągany po osetce nóż, a oczy płonęły. — Mam nadzieję, że nie był pan hakerem.

— Nie miałem odwagi.

— Za to mój mąż miał jej zbyt wiele. Trafił z tego powodu do więzienia.

— Dowiedziałem się, że Brian mieszka w tej okolicy, a po nieważ mam tu niedaleko kuzynów, pomyślałem sobie, że wpadnę — powiedział Pittman, próbując zmienić temat. —

Brian właśnie zamierzał mi pokazać, co robi dla Nintendo. Ruda kobieta zmarszczyła brwi i znowu popatrzyła na męża.

141

— To prawda?

— Nie masz się czym martwić, kochanie. Nakarmiłem i prze-  
winałem małego.

Gladys wbiła w niego stalowe spojrzenie.

— Tylko żebyś nie zapomniał, że za godzinę mamy być  
u mojej matki.

— Na pewno nie zapomnę.

Obaj mężczyźni poszli do pracowni. Brian zamknął drzwi i ze złością popatrzył na Pittmana.

Pittman zdziwił się, skąd ta nagła agresja, ale po chwili zrozumiał, na kogo złości się Brian.  
Miał sojusznika.

23

I

Brian włączył komputer. Miał policzki zaczerwienione z wściekłości.

— Gdzie chcesz się dostać najpierw? Do gazety?

— Do rejestru przestępstw.

Brian zaczął wciskać klawisze.

— Znasz numer na pamięć? — spytał zdumiony Pittman.

— Nie. Łączę się z przyjacielem. Sam już nie hakuję, ale  
mam kontakt z kumplami, którzy nadal to robią. Ten ma świra  
na punkcie podglądania policji.

Po chwili na ekranie pojawił się napis:

DOTARŁEŚ DO STATKU MIĘDZYGWIEZDNEGO ENTERPRISE

— Ma też hopla na punkcie Star Treka — dodał Brian  
i znowu postukał w klawiaturę.

PAN SPOCK DO KAPITANA KIRKA

— „Spock” to mój kryptonim — wyjaśnił Brian.

W odpowiedzi pojawił się następny napis:

TU KIRK. TWOJE HASŁO?

143

Brian napisał jedno słowo:

TRIBBLES

„Kirk” odpowiedział:

KONTYNUUJ, PANIE SPOCK

Brian wystukał kolejny komunikat:

ŚCIŚLE TAJNA INFORMACJA Z DOWÓDZTWA FLOTY. OBAWIAM SIĘ, ŻE  
KLINGONI MOGĄ PRÓBOWAĆ PRZECHWYCIĆ ROZMOWĘ

Odpowiedź była błyskawiczna:

AKTYWUJ KODER

Brian włączył stojące obok komputera urządzenie i na ekranie komputera pojawiła się  
informacja:

KODER AKTYWOWANY

Przez następne dwie minuty Pittman patrzył z fascynacją, jak Brian pisze i odpowiada na  
pojawiające się na ekranie komunikaty. Na zakończenie wpisał szereg cyfr i krótki tekst.

SPOCK DO KIRKA. NIECH CI SIĘ WIEDZIE JAK NAJLEPIEJ. KONIEC WIADOMOŚCI

Brian ponownie zaczął wciskać klawisze.



— Przeciagam to przez Fairbanks na Alasce i Key West na Florydzie, choć i tak da się prześledzić drogę naszej rozmowy. Jeżeli komputer zarejestruje włamanie, będę się musiał natychmiast rozłączyć.

— Jak się o tym dowiesz?

144

Stąd — odparł Brian, wskazując stojące obok komputera Icolejne urządzenie. Wcisnął kilka klawiszy.

— No dobra... jesteśmy w środku. Co chcesz mieć?

— Akta Seana O'Reilly'ego.

O'Reilly był złodziejem, z którym Pittman robił wywiad kilka lat temu. To właśnie od niego dostał przyborek, za pomocą którego włamał się do pokoju Jonathana Millgate'a.

— Proszę bardzo — powiedział po chwili Brian.

Pittman spojrział na ekran. Kiedy szukał Briana w książce telefonicznej, próbował również sprawdzić adres O'Reilly'ego, ale go nie znalazł. Uznał, że stary włamywacz wrócił do więzienia, przeprowadził się albo...

Wziął kartkę i ołówek.

Z danych wynikało, że O'Reilly trzy miesiące temu został warunkowo zwolniony z więzienia — co oznaczało, że musiał na bieżąco informować władze o miejscu swojego pobytu.

Podał adres na Lower East Side. Pittman zapisał go i schował kartkę do kieszeni.

— Gdzie teraz? — spytał Brian.

— Tak sądziłam — usłyszeli nagle za plecami gniewny głos.

Odwrócili się gwałtownie.

Gladys musiała podsłuchać ich rozmowę i stała teraz w otwartych drzwiach.

— Nie mogę cię nawet na minutę zostawić samego! Zawsze musisz pakować się w kłopoty!

— Kłopoty?

— Hakujeś! Co się z tobą dzieje? Tak bardzo kochasz więzienie, że nie możesz bez niego żyć?

— Myli się pani — wtrącił Pittman. — Pokazywałem właśnie Brianowi coś, nad czym pracuję.

— Wynocha z mojego domu!

— Wchodziliśmy do bazy danych mojej...

— Niech pan nie kłamie! Nie nazywa się pan Ed Garner, ale Matthew Pittman. W CNN przed chwilą o panu mówili. Rozpoznałam pana na zdjęciu. Dzwonię na policję!

145

Kiedy ekran komputera pociemniał, podniosła słuchawkę i wystukała 911.

— Gladys... — zaczął Brian.

W pokoju obok zapłakało ich dziecko.

— Proszę... — jęknął Pittman.

— Nazywam się Gladys Botulfson i mieszkam przy... powiedziała Gladys do słuchawki.

Pittman wcisnął klawisz przerywający połączenie.

— Gladys, robisz coś bardzo głupiego — oświadczył.

— Nie zamierzam pozwolić na to, by w pobliżu mojego dziecka kręcił się morderca.

— Nic nie rozumiesz.

Popatrzeli na siebie ze złością.

W tym momencie zaczął dzwonić telefon. Gladys wzdrygnęła się.

— To na pewno policja — mruknął Pittman. — Mają auto matyczną rejestrację numerów, z których się do nich dzwoni.

Gladys spróbowała oderwać palec Pittmana od klawisza telefonu. Złapał ją drugą ręką za nadgarstek.

— Nie rób tego. Zastanów się. Chciałabyś posłać ojca swego dziecka do więzienia?

— Słucham...?

Telefon dalej dzwonił.

— Ukrywanie zbiega. Pomoc w uzyskaniu nielegalnego dostępu do danych komputerowych. Brian może siedzieć, aż wasze dziecko zacznie szkołę średnią.

Oczy Gladys omal nie wyszły na wierzch.

Telefon ponownie zadzwonił.

Pittman zabrał żonie Briana słuchawkę i zdjął palec z przycisku

— Halo? Tak, owszem, mieszka tu Gladys Botulfson... tak, wiem, że dzwoniła. Trochę się pokłóciliśmy i... oczywiście, już ją daję.

Popatrzył kobiecie w oczy i oddał jej słuchawkę.

Spojrzała w stronę pokoju, w którym płakało dziecko, a potem na męża i Pittmana. Tak mocno zaciskała wargi, że skóra wokół nich zbielała.

146

Tak, tu Gladys Botulfson. Przepraszam za kłopot. Tak, mąż mówi prawdę. Trochę się pokłóciliśmy i sądziłam, że przestraszę go, jeśli powiem, że wezwę policję. Tak, rozumiem, że pod ten numer należy dzwonić jedynie w uzasadnionych przypadkach. To się więcej nie powtórzy. Tak, już się uspokoił... nie, nie potrzebuję pomocy. Dziękuję. Odłożyła słuchawkę i pomasaowała sobie nadgarstek.

— Niech się pan stąd wynosi — wycodziła.

Pittman podniósł swoją torbę.

— Dzięki za pomoc w dostaniu się do bazy danych gazety, Brian — powiedział i popatrzył na niego, próbując go w ten sposób przestrzec, aby pod żadnym pozorem nie mówił żonie, o co naprawdę chodziło.

— Żaden problem.

— Nie zamierzam się powtarzać — oświadczyła Gladys.

— Miło było panią poznać — mruknął Pittman i wyszedł z mieszkania.

Kiedy wsiadał do windy, usłyszał dobiegający zza drzwi głośny potok oskarżycielskich słów.

24

Miał nadzieję, że uda mu się pożyczyć od Briana trochę pieniędzy, ale nic z tego nie wyszło. Z jednym dolarem, dzie-sięciocentówką i pięciocentówką w kieszeni ruszył w kierunku stacji, z której odjeżdżały pociągi na Manhattan, choć sam nie wiedział po co, bo nie stać go było na bilet. Z każdą minutą odczuwał coraz większe zmęczenie i głód. Czuł się pokonany.

Kiedy mijał dom pogrzebowy, zebrane wokół niego samochody przypomniały mu straszliwy dzień pogrzebu syna — zamkniętą trumnę ze zdjęciem Jeremy'ego, żałobników (w większości

kolegów chłopca ze szkoły), stojącego przy nim Burta (który też już nie żył) i kłótnię z żoną („To twoja wina! — wrzeszczała. — Powinieneś wcześniej zaprowadzić go do lekarza!”).

Po pogrzebie odbyła się stypa, podczas której wszyscy składali mu kondolencje. Czuł się tak otumaniony, że nie był w stanie dziękować ludziom, którzy mu je składali. Wziął od kogoś kanapkę, ale chleb i cienkie plasterki indyka stanęły mu w gardle. Miał wrażenie, że tkwi w czarnej chmurze rozpaczy-

Podobnie czuł się teraz. Strach zmusił go do działania, a adrenalina dostarczyła paliwa, na którym przez jakiś czas jechał, ale cała jego siła i wytrzymałość szybko się wypaliły-Nie miał pomysłu, co robić dalej.

Był chyba zbyt naiwny, sądząc, że uda mu się samodzielnie wypłatać z tej matni.

148

Może pójście na policję rzeczywiście jest najlepszym wyjściem? Niech sprawą zajmą się fachowcy. A jeżeli ktoś z tamtych przeniknie w szeregi policji i zabije go?

Co za różnica? Był zbyt zmęczony, aby się tym martwić.

Czyżby?

Tak, śmierć z pewnością byłaby najlepszym wyjściem.

Ale jego wewnętrzny głos odpowiedział: nie! Musisz próbować dalej. Znowu przypominał głos Jeremy'ego.

Tylko jak? Nawet nie miał na bilet, żeby dojechać na Manhattan.

' Daj spokój, tato. A lata biegania? Nie mów mi, że nie stać cię na małą przebieżkę.

25

Zajęło mu to trzy godziny. Choć włożył buty do biegania, bolały go stopy i uda. Był wykończony i głodny, ale dotarł na Grand Street na Manhattanie i znalazł adres z akt Seana O'Reilly'ego.

Rozejrzał się wokół, czy nikt nie obserwuje domu. Gladys Botulfson mogła przecież zmienić zdanie. Jeżeli Brian powiedział coś, co jeszcze bardziej ją rozsierdziło, mogła zadzwonić na policję, aby dać mu nauczkę. Czy Brian przyznałby się policji, czyje akta oglądali? Czy miał dość siły, aby oprzeć się żonie?

Nie było to jego jedyne zmartwienie. Pytanie za sto punktów brzmiało: czy Sean O'Reilly podał policji swój prawdziwy adres?

Jego obawy potwierdził fakt, że pod podanym adresem nie znajdował się budynek mieszkalny, lecz restauracja o nazwie Paddy's.

Cholera! Co teraz?

Musiał zniknąć z ulicy, więc wszedł do lokalu.

Ledwie zauważył jej irlandzki wystrój — zielone obrusy, koniczynki na kartach dań, wielką mapę Irlandii na ścianie. Obejrzał za to uważnie gości, którzy w większości siedzieli przy barze.

Kilku z nich spojrzało na niego, zaraz jednak z powrotem zajęli się swoimi drinkami.

150

Podszedł do barmana — potężnego mężczyzny w zielonym fartuchu, który stał za kasą. — Co ma być?

— Szukam przyjaciela. Seana O'Reilly'ego.

Barman przetarł ścierką ladę.

— Słyszałem, że przebywa pod tym adresem, ale to restauracja i nie bardzo rozumiem...

— Skąd?

— Słucham?

— Skąd ma pan ten adres?

— Mamy tego samego kuratora. Znajdę tu gdzieś Seana? Barman nie przestawał wycierać baru.

— Znam Seana z czasów, kiedy robił dla policji reklę mówki — wyjaśnił Pittman. — O tym, jak chronić się przed włamywaczami.

— I co? Czego pan od niego chcesz?

— Pogadać o dawnych czasach. — Pittman wyjął przyborek, który dostał od Seana, i otworzył go.

Kiedy barman zobaczył, jak Pittman wyciąga z przybornika metalowe wąsy do otwierania zamków, wyraźnie się rozluźnił.

— Też ma pan coś takiego? — spytał Pittman.

Barman wyjął z kieszeni pęk kluczy i pokazał przymocowany do niego złodziejski przyborek.

— Sean dawał to tylko ludziom, których lubi. Zgadza się, bywa tutaj. Ma pokój na górze. Zastępuje mnie wieczorami.

— Jest dziś?

— Właśnie powinien powoli się budzić. Wczoraj sporo wypił.

Do środka weszła grupa nowych gości.

— Wygląda na to, że robi się tłoczno — mruknął barman. Nalał do szklanki soku pomidorowego, dodał kilka kropli tabasco i wrzucił surowe żółtko, po czym podał ją Pittmanowi. — Na pewno mu się to przyda. Wyjdź tylnymi drzwiami, potem schodami na piętro, pokój na końcu korytarza.

26

Pittman stał w zalatującym stęchlizną i kapustą korytarzu. Zapukał do drzwi. Nie było reakcji, więc zapukał ponownie. Tym razem zza drzwi doleciało niechętne, umęczone stęknięcie. Odpowiedzią na trzecie pukanie było głośniejsze stęknięcie. Pittman nacisnął klamkę i okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Wszedł do małego pokoiku z oknem zasłoniętym żaluzjami, ze zgaszonym światłem i z Seanem O'Reillym leżącym na podłodze.

— Światło... światło... — wyjęczał włamywacz.

Pittman sądził, że oślepią go światło z korytarza — choć

wcale nie było jaskrawe — więc szybko zamknął drzwi. Ale Sean dalej pojękiwał:

— Światło... światło...

— Nie ma tu żadnego światła.

— Oślepiłem... nic nie widzę... światło... światło...

— Chcesz, żebym zapalił światło?

— Ślepy... jestem ślepy...

Pittman pomacał ścianę, znalazł włącznik i nacisnął go. Kiedy zapaliła się zwisająca z sufitu goła żarówka, Sean zaczął macać się po twarzy.

— Jestem ślepy... — wyjęczał. — Chcesz mnie oślepić...

Pittman ukląkł i oderwał jedną z dłoni Seana od twarzy, odsłaniając czerwone jak pomidor oko.

— Masz, napij się.

152

— Co to?

— Barman ci przysłał.

Sean złapał szklankę i upił kilka łyków. Nagle zaczął charczeć, jakby się dusił. ?— Co to jest? Jezus Maria... w tym nie ma wódki!

— Siadaj. Wypij jeszcze — powiedział Pittman.

Po krótkiej walce zmusił Seana do opróżnienia szklanki.

Włamywacz usiadł, opierając się plecami o bok łóżka, i jęknął. Był tak samo szczupły jak przed laty, kiedy Pittman go poznał, ale alkohol go postarzył, pociął mu twarz zmarszczkami i sprawił, że posiwiały mu włosy.

— Kim jesteś?

— Przyjacielem.

— Nie pamiętam cię.

— Powinieneś coś zjeść.

— Nie zatrzymam nic w żołądku.

Pittman podniósł słuchawkę.

— Wobec tego zamówię coś dla siebie.

—

27

Kanapka z mielonką i piklami, którą przyniósł barman, była znakomita. Pittman był tak głodny, że zamiast się nią delektować, pochłaniał jedzenie jak odkurzacz. Nie jadł nic od rana, a wtedy też zjadł tylko ciastko i popił je sokiem.

Sean siedział na łóżku i z obrzydzeniem patrzył na pochłaniającego kanapkę Pittmana.

— Chyba zaraz się porzygam — wymamrotał i wybiegł z pokoju.

Kiedy wrócił z łazienki, po kanapce nie było śladu. Usiadł na łóżku, uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową.

— Nadal sobie ciebie nie przypominam — oświadczył.

— Dałeś mi szybki kurs włamywania się do mieszkań.

— Nic mi to nie mówi.

— Powiedziałaś wtedy, że mam wrodzony talent.

— W dalszym ciągu... zaraz, zaraz. Czy przypadkiem nie jesteś dziennikarzem?

Pittman kiwnął głową.

— Dałem ci...

Pittman uniósł do góry przyborek.

— Jasne, to ty...

— Od tamtego czasu bardzo się rozwinąłem.

— To znaczy?

Pittman sięgnął do torby, wyjął kupioną po drodze gazetę i rzucił ją Seanowi.

154

— Sam zobacz... SAMOBÓJCZY AUTOR NEKROLO GÓW W ZABÓJCZYM AMOKU. Jest tam gdzieś słowo „rze komo”, ale nie brzmi zbyt szczerze.

Sean zmarszczył czoło i zaczął czytać. Od czasu do czasu przerywał, spoglądał na Pittmana, jeszcze bardziej marszczył czoło i wracał do czytania.

Po chwili odłożył gazetę.

— Wyglądasz na zapracowanego człowieka.

— No właśnie, tyle zabójstw... chyba trochę za dużo jak na jednego człowieka.

— Powinienem się ciebie bać?

— A czy do tej pory próbowałem cię skrzywdzić?

— Więc nie zrobiłeś nic z tego, o czym piszą w gazecie?

Pittman pokręcił głową.

— Po co do mnie przyszedłeś?

— Bo ze wszystkich przestępców, jakich poznałem, tylko tobie ufam.

— Czego chcesz?

Zadzwoił telefon.

Sean odebrał.

— Halo? — Przez chwilę słuchał, po czym zapytał: —

Policja idzie na górę? Musieli się dowiedzieć o pralkach!

Pittman zupełnie nie rozumiał, o czym mowa.

Sean podbiegł do okna, odsunął firankę, otworzył okno i wyszedł na schodki przeciwpożarowe.

Za drzwiami zatupotały ciężkie kroki. Pittman skoczył do nich, aby zaryglować zamek. O drzwi załomotały pięści.

Pittman złapał swoją torbę i pobiegł w kierunku otwartego okna. Kiedy przez nie wyłaził, uderzył się w bark. Zaklął. Spojrzał w dół, spodziewając się ujrzeć Seana, ale zamiast niego zobaczył dwóch policjantów, którzy wskazywali palcami w górę i głośno krzyczeli.

Nad jego głową rozległ się odgłos kroków. Spojrzał w górę — Sean wspinał się na dach jak wiewiórka. Ruszył za nim.

— Stać! — wrzasnął jeden z policjantów.

Pittman przyspieszył.

155

— Stać! — zawołał ponownie policjant.

Ale Pittman nie zamierzał go słuchać.

— Stać!!!

Pittman był przekonany, że zaraz zaczną do niego strzelać. Dotarł na szczyt, przeskoczył przez poręcz i rozejrzał się. Dachy budynków były połączone i Sean, klucząc między wylotami przewodów wentylacyjnych i świetlikami, biegł w stronę drzwi znajdujących się po drugiej stronie dachu.

— Zaczekaj! — krzyknął do niego Pittman.

Za sobą słyszał wspinających się po drabince pożarowej policjantów.

Sean dotarł do drzwi, szarpnął je i zaklął. Były zamknięte.

Uderzył w drzwi barkiem i znowu zaklął. Pittman podbiegł do niego.

— Cholera, zostawiłem mój przyborek w pokoju.

Pittman dał mu swój.

— Masz.

Sean uśmiechnął się, spojrzawszy do tyłu — na dachu właśnie pojawiło się dwóch policjantów — wyszarpnął z przybornika wąsy, błyskawicznie otworzył zamek i uchylił drzwi.

Wskoczyli do środka w chwili, gdy goniący ich policjant coś krzyknął. Sean zaryglował zamek.

— Pralki! Dowiedzieli się o pralkach! — wysapał Sean. —

Kto im powiedział o pralkach?!

W drzwi załomotały pięści.

Sean zaczął zbiegać po schodach. Pittman podążył za nim.

— Kto im powiedział o tych cholernych pralkach?!

A może to mnie gonia? — pomyślał Pittman.

28

— Nie oglądaj się za siebie. Idź spokojnie do skrzyżowania — syknął Sean.

Po chwili skręcili za róg.

— Jak na razie dobrze — mruknął włamywacz.

Machnęli na taksówkę.

— Zachowuj się tak, żeby kierowca nie pomyślał, że się spieszysz.

Wsiadli.

— Dolny Broadway — powiedział Sean do taksówkarza i zaczął nucić coś pod nosem.

29

— Twój przybornik...

— Dzięki. Przepraszam, że nie mogłem dołożyć się do taksówki.

— Hej, nie siedzę w więzieniu! To wystarczający wkład.

Znajdowali się na poddaszu jakiegoś budynku na dolnym Broadwayu. Przypominało dawny magazyn. Nie było tu prawie wcale mebli, a te nieliczne, które tu wstawiono, skupione były blisko siebie pośrodku przypominającego jaskinię pomieszczenia. Choć elementów wyposażenia było niewiele, wszystkie sprawiały wrażenie bardzo drogich: włoska skórzana kanapa, wielki orientalny dywan, mosiężny stolik do kawy z lampą. W cieniu za kręgiem jej światła widać było poustawiane wszędzie skrzynki.

Sean opadł na kanapę i zaczął popijać budweisera z puszki, wyjętej ze stojącej obok lodówki.

— Co to za miejsce? — spytał Pittman.

— Moja kryjówka. Ale w dalszym ciągu nie powiedziałaś, czego ode mnie chcesz.

— Pomocy.

— Jakiej?

— Nigdy przedtem nie uciekałem.

— Chcesz mi powiedzieć, że mam ci poradzić, co masz robić?

— Zeszłej nocy spałem w parku. Od dwóch dni się nie

158

kapalem. Żebrałem o jedzenie. Teraz rozumiem, dlaczego w końcu wszyscy uciekający przestępcy wpadają w ręce policji: w którymś momencie mają dość.

— Zakładam, że byłeś na tyle cwany, aby nie kontaktować się z rodziną i przyjaciółmi.

— Ostatnim cieniem rodziny, jaki mam, jest moja była żona,

I a jej o nic bym nie poprosił. Jeśli zaś chodzi o przyjaciół, założyłem, że policja będzie ich obserwować.

— Więc przyszedłeś do mnie.

— Kiedy zadałem sobie pytanie, kto mógłby by mi pomóc i kogo policja nie powiązałaby ze mną, doszedłem do wniosku, że w grę mogą wchodzić tylko ludzie, z którymi kiedyś robiłem wywiady. Wielu z nich umie różne rzeczy, które mogłyby mi się przydać, a policja nigdy nie wpadłaby na pomysł, że mogę się do nich zwrócić. : Sean z aprobatą pokiwał głową.

— Jest tylko jeden problem — mruknął. — Nie mam pojęcia, jak ci pomóc. W głębi jest łazienka i toaleta. Możesz się tu przespać. Ale poza tym...

— Musisz mi coś poradzić.

— Jeżeli cię złapią, masz gotową linię obrony.

— To znaczy?

— Niepoczytalność.

— Że co?

— No wiesz, te wszystkie gadki o twoich samobójczych skłonnościach. Myślę, że dałoby się także wykorzystać inne sprawy.

Pittman wbił wzrok w puszkę coli.

— Chcesz powiedzieć, że to prawda? — spytał zaskoczony Sean.

Pittman nadal wpatrywał się w puszkę.

— Umarł twój syn i rozleciałeś się na kawałki...

— Zgadza się.

— Moja siostra zginęła, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. Była o rok młodsza ode mnie. W wypadku samochodowym.

— I co?

— Niemal zapłem się na śmierć. Boże, jak ja ją kochałem...

159

— Więc chyba mnie rozumiesz.

— Tak, ale teraz wszystko trochę się pozmieniało, prawda?

— Jak to?

— Jesteś głodny, zmęczony i przestraszony.

— Czuję się jak egoista. Mój syn był wspaniały. A ja siedzę i myślę o sobie.

— Nie chciałbym ci mówić, jak należy cierpieć, ale powiem ci jedno: nie popełnisz żadnego błędu, jeśli zrobisz to, czego oczekiwaliśmy od ciebie twój syn. A w tej chwili na pewno kazałby ci zadbać o własny tyłek.

—

30

Prysznic był dość prymitywny — zakończona sitkiem rura nad plastikowym brodzikiem z odpływem w betonowej podłodze. Nie było mydła, szamponu ani ręcznika, więc Pittman skorzystał z zestawu toaletowego, który wrzucił do torby. Znalazł dwa metalowe krzesła, postawił je przy wejściu do „łazienki” i rozwiesił na nich marynarkę i spodnie. Nie było tu drzwi, więc kiedy wyszedł spod prysznica, aby wytrzeć się brudną koszulą, stwierdził, że jak



się spodziewał, para rozprostowała nieco zagniecenia na marynarce i spodniach. Założył świeżą bieliznę i skarpetki, ale zapasową czystą koszulę postanowił zostawić na inną okazję. Zamiast niej wciągnął czarną bluzę i wrócił do siedzącego wśród skrzynek Seana.

Włamywacz otworzył jedną z szafek i włączył znajdujący się w środku telewizor. Oglądał CNN.

— Wyraźnie cię lubią.

— Niedługo będę miał własny serial.

— Cóż... — mruknął Sean i otworzył kolejne piwo. —

2 gazety i wiadomości wiem, jaka jest ich wersja. A jak wygląda twoja? — Położył stopy na stoliku do kawy.

Po raz drugi tego dnia Pittman opowiedział swoją historię.

Sean słuchał uważnie, od czasu do czasu zadawał jakieś Pytanie, a kiedy Pittman skończył, złożył dłonie, łącząc czubki palców.

— Moje gratulacje.

161

— Z jakiego powodu?

— Jestem złodziejem od dwunastego roku życia. Pół życia przesiedziałem w więzieniu. Trzy razy musiałem zapaść się pod ziemię z powodu nieporozumień z mafią. Miałem cztery żony, z tego dwie równocześnie, ale nigdy nie byłem w takim głębokim gównie jak ty teraz. I wszystko zaczęło się dwa dni temu?

— Zgadza się.

— To zasługuje na wpis do Księgi Guinnessa.

— Chyba popełniłem błąd, przychodząc z tym do ciebie.

— Zaraz, zaraz. Nie tak szybko. Kto przysłał do twojego mieszkania gościa z bronią?

— Nie mam pojęcia.

— Czemu komuś miałoby zależeć na zrobieniu z ciebie zabójcy Millgate'a?

— Nie mam...

— Do jasnej cholery, może najwyższy czas, żebyś zaczął mieć jakieś pomysły! Powinieneś zacząć główkować już w chwili, kiedy zabiłeś tamtego faceta w swoim mieszkaniu.

— To się stało przypadkiem.

— Może i tak. W każdym razie od tego momentu uciekasz, tak?

— A co miałem robić?

— Zmarnowałeś tylko czas, idąc do tego komputerowca. Dlaczego? Ponieważ chciałeś dzięki niemu znaleźć mnie. A po co? Żeby ci poradził, jak uciekać. Przykro mi.

— Słucham...?

— Po pierwsze, nie potrzebujesz tego typu rad. Świetnie sobie radziłeś bez nich. Po drugie, jeżeli dalej będziesz uciekać, to tylko się zmęczysz. Wtedy popełnisz błąd i już cię mają.

— Nie mam wyboru.

— Naprawdę? Zmień kierunek działania. Zamień się ze zwierzyny w myśliwego. Poluj. Jezu, masz dość celów do ataku-

— Mam polować? Łatwo ci mówić.

— Nie spodziewałem się, że zaczniesz skakać z radości po tym, co ci powiem, zwłaszcza że według mnie zacząłeś uciekać już w dniu, w którym umarł twój syn. Uciekać od wszystkiego.  
162

Ta zawołowana sugestia, że jest tchórzem, sprawiła, że Pittman poczerwieniał jak burak. Najchętniej złapałby Seana za gardło i przyłożył mu.

— Dotknąłem czułego miejsca?

Pittman głęboko wciągnął powietrze, próbując się uspokoić.

— Chyba moje rady ci się nie podobają, ale innych nie mam — oświadczył Sean. — Jestem fachowcem. Całe życie przed czymś uciekam.

Pittman przez chwilę milczał, a potem uśmiechnął się gorzko.

— Co cię tak śmieszy? — spytał Sean.

— Ta cała rozmowa o uciekaniu. Przez dwadzieścia lat codziennie biegałem. Dokąd chciałem dobiec?

— Do mety, stary. A jeśli w dalszym ciągu myślisz o samo bójstwie, na twoim miejscu chciałbym odejść nie jako przegrany, lecz jako zwycięzca. Możesz się zabić, twoja sprawa, ale nie pozwól tym draniom zrobić tego za ciebie.

! Pittman znowu poczuł, że się czerwieni. Tym razem nie ze złości na Seana, ale na tych, którzy chcieli go zniszczyć.

— O tak... to dranie.

Przez chwilę milczał, nie poruszał się, nawet nie oddychał. Emocje, które go ogarnęły, sprawiły, że zatrzymał się w miejscu i czasie.

— Kiedy mój syn umarł... — zaczął, ale urwał.

Sean popatrzył na niego.

— Kiedy mój syn umarł, byłem tak zły, że nie da się tego opisać. Na szpital, na lekarzy. Ale to nie oni byli winni śmierci Jeremy'ego. Gdyby udało mi się przypisać komuś błąd, śmierć Jeremy'ego w jakiś sposób stałaby się zrozu miała. Błąd w sztuce lekarskiej. Inaczej musiałbym pogodzić się z tym, że Jeremy zmarł z powodu jakiegoś absurdalnego zbiegu okoliczności. Miał pecha i zachorował na raka. Tego rodzaju myślenie, że nie mamy wpływu na nic, co się z nami dzieje, może przyprawić o szaleństwo. Kiedy wreszcie pogodziłem się z tym, że nie należy obwiniać lekarzy, potrzebowałem innego obiektu, na który mógłbym przelać swoją złość. Wybrałem Boga. Wrzeszczałem na Niego. Nienawidziłem Go. Ale W końcu pojąłem, że to też nic nie daje, bo Bóg nie odpowiada  
163

na nasze krzyki i nie da się go pociągnąć do odpowiedzialności. Po co być na kogoś złym, jeżeli nie można go ukarać? Cała moja złość była bezużyteczna... nie mogła mi zwrócić Jeremy'ego. Wtedy postanowiłem się zabić.

Sean zmrużył oczy i zacisnął szczęki, ale nic nie powiedział.

— Kiedy stałem obok Millgate'a, wymówił czyjeś nazwisko — mówił dalej Pittman. — W każdym razie tak to brzmiało. Duncan. Potem dodał coś o śniegu, a na koniec powiedział: „Grollier”. Nie mam pojęcia, co to znaczy, a byłem zbyt zajęty, żeby go o to zapytać. Zamierzałem wsadzić mu do nosa rurką z tlenem i wiać. Gość ze spluwą, który czekał na

mnie w mieszkaniu, chciał się koniecznie dowiedzieć, czy nikomu nie przekazałem słów Millgate'a. — Wstał. — Przestać uciekać i zacząć na nich polować? Dobrze. Kiedy Jeremy umarł, moja złość stała się bezużyteczna. Teraz mam cel. Tym razem znajdę winnego.

## TRZY

1

Stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do izby przyjęć nagłych przypadków. Właśnie minęła północ i tak samo jak dwie noce temu, mżawka tworzyła wokół latarni mglistą poświatę. Kręciło mu się w głowie na myśl o tym, jak wiele zdarzyło się od chwili, kiedy był tu po raz ostatni. Aby choć trochę ochronić się przed chłodnym deszczem, wsadził ręce do kieszeni granatowego płaszcza Burberry na ciepłej wełnianej podszewce, który Sean wyciągnął z jednej ze swoich skrzyń. W prawej kieszeni tkwiła czterdziestkapiątka —jedyna rzecz, jaką zabrał z torby, która została u Seana. Popatrzył na blade światło w oknie „pokoju Jeremy'ego” na dziewiątym piętrze. Nie mógł sobie jednak pozwolić na sentymenty, było zbyt wiele rzeczy, których musiał się dowiedzieć. Jedno z najważniejszych pytań brzmiało, dlaczego ludzie Millgate'a owej krytycznej nocy zabrali swojego szefa ze szpitala. Właśnie wtedy wszystko się zaczęło.

Zaczekał na przerwę w ruchu i przeszedł przez ulicę do szpitala.

O tak późnej porze hol wejściowy był prawie pusty. Nieliczni ludzie, siedzący na obitych skajem fotelach, nie zwracali na niego uwagi, gdy szedł w kierunku wind, ale mimo to czuł się, jakby był obserwowany.

Wiedział, z jakimi wspomnieniami będzie musiał się zmierzyć, kiedy znajdzie się obok oddziału intensywnej opieki

167

medycznej na piątym piętrze. Gdy dotarł na górę i wysiadł z windy, spojrzał w lewo, w kierunku poczekalni OIOM-u. Na niewygodnych metalowych krzesłach siedziała grupa mężczyzn i kobiet. Mieli zapadnięte twarze i opuchnięte oczy i próbowali nie zasnąć na wypadek, gdyby ktoś miał dla nich jakieś nowe wiadomości o ich bliskich.

Wspomnienia napłynęły z ponurą nieuchronnością, ale Pittman musiał się skupić na tym, co należało zrobić. Minął wejście na OIOM dla dzieci, skręcił w prawo i ruszył krótkim korytarzykiem do OIOM-u dla dorosłych. Nigdy przedtem tu nie był, podejrzewał jednak, że oddział dla dorosłych i jego otoczenie niewiele będą się różniły od dziecięcego.

Oddziały okazały się niemal identyczne. Po otwarciu drzwi wchodziło się do wypełnionego zapachem antyseptyków, jasno oświetlonego trzymetrowego holu. Na jego końcu po lewej stronie znajdował się kontuar, za którym stały liczne oszklone szafki. Kontuar był zarzucony historiami chorób, szafki wypełniały lekarstwa i sprzęt medyczny. Wszędzie słychać było posykiwania, świsty i stukanie urządzeń- służących do podtrzymywania funkcji życiowych, a między kilkunastoma pokojami, w których leżeli potrzebujący pomocy ludzie, nieustannie krążyli lekarze i pielęgniarki.

Pittman odwrócił się w stronę zamocowanej na ścianie umywalki, podstawił dłonie pod podajnik środka dezynfekującego i czekał, aż czujnik ruchu uruchomi urządzenie, z którego wyleje się odpowiednia porcja kwaśno pachnącego czerwonego płynu. Dokładnie nasmarował nim dłonie i podstawił je pod kran, aby kolejny czujnik włączył wodę. Trzeci czujnik uruchamiał suszarkę do rąk. Na koniec sięgnął po biały kitel, których cała sterta leżała obok umywalki.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał nagle ostry kobiecy głos. — Co pan tu robi?

Obejrzał się. Korytarzem szła w jego stronę krępa kobieta. Miała czterdzieści parę lat, krótkie siwe włosy, które podkreślały jej skandynawskie rysy, i była ubrana całkowicie na biało — włącznie z butami.

168

pittman nie wiedział, czy kobieta jest lekarką, czy pielęgniarką, poznał jednak nieco szpitalną mentalność. Jeżeli była pielęgniarką, nie będzie miała nic przeciwko zwracaniu się do niej jak do lekarki. Poprawi oczywiście pomyłkę, ale nie będzie miała pretensji. Jeżeli była lekarką, nazwanie jej pielęgniarką doprowadzi ją do furii.

— Dobry wieczór, pani doktor. Należę do zespołu badające go śmierć Jonathana Millgate'a. — Otworzył rozkładany portfelik, który dostał od Seana, i machnął jej przed nosem fałszywą policyjną legitymacją.

Kobieta ledwie spojrzała na dokument.

— Znowu? Byliście tu wczoraj, zadawaliście pytania, przez szkodzaliście nam w pracy.

Nie poprawiła go, kiedy nazwał ją panią doktor.

— Bardzo przepraszam, ale musimy sprawdzić kilka nowych wątków. Muszę porozmawiać z pielęgniarką, która opiekowała się panem Millgate'em, kiedy zabierano go ze szpitala.

Nie miał pojęcia, czy tamta pielęgniarka pracuje podczas weekendu, ale zakładał, że w pracującym w systemie ciągłym szpitalu nie istnieje coś takiego jak konwencjonalny weekendowy wypoczynek. Lekarze pracujący w weekendy brali z pewnością wolne w inne dni tygodnia, więc ich rytm pracy ciągle się zmieniał. Wiedział też, że pielęgniarki wołały mieć tę samą zmianę przez kilka tygodni: dzienną od siódmej do trzeciej, popołudniową od trzeciej do jedenastej i nocną od jedenastej do siódmej. Właśnie dlatego przyszedł tu po północy — w nadziei, że uda mu się porozmawiać z osobą, która pracowała o tej samej porze dwie doby wcześniej, kiedy wywożono stąd Millgate'a.

— To pewnie Jill — powiedziała lekarka.

— Ma dziś dyżur?

— Tak.

Pittman z trudem powstrzymał westchnienie ulgi.

— Ale jest zbyt zajęta, aby w tej chwili z panem rozmawiać — oświadczyła kobieta.

— Rozumiem, pani doktor. Pacjenci przede wszystkim. Nie

169

męczyłbym jednak państwa, gdyby to nie było ważne. Czy sądzi pani, że kiedy będzie miała przerwę, mógłbym...

— Proszę zaczekać na zewnątrz, panie...

— Detektyw Logan.

— Kiedy będzie miała wolną chwilę, poproszę ją, aby z panem porozmawiała.

Trwało to jakieś czterdzieści minut. Stał oparty o ścianę korytarza przed wejściem na oddział i patrzył na nieszczęśników siedzących w poczekalni. Wspomnienie oczekiwania na wieści [o stanie Jeremy'ego jeszcze bardziej nasilało jego niepokój. Kiedy otworzyły się drzwi OIOM-u, miał czoło lepkie od potu. Z oddziału wyszła atrakcyjna dwudziestoparolatka, rozejrzała się i podeszła do niego.

Nie była wysoka — mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu — a jej szpitalny uniform, choć luźny, nie mógł ukryć zgrabnej, wysportowanej figury. Miała długie, proste blond włosy, śliczną twarz i rumiane policzki, tak promieniujące zdrowiem, że niepotrzebny był jej makijaż.

— Detektyw Logan?

— Dobry wieczór.

— Nazywam się Jill Warren. — Uścisnęli sobie ręce na powitanie. — Doktor Baker mówiła, że chciał mi pan zadać kilka pytań.

— Zgadza się. Może moglibyśmy pójść w jakieś miejsce, gdzie jest nieco spokojniej? Piętro niżej, przy windach, jest automat z kawą. Może mógłbym postawić pani...

— Piętro niżej? Wygląda na to, że całkiem nieźle zna pan nasz szpital.

— Często tu bywałem, kiedy mój syn leżał na intensywnej terapii — odparł Pittman.

171

— Mam nadzieję, że wyzdrowiał.

— Niestety. Zmarł.

— Och... co się...

— Rak kości. Mięsak Ewinga.

— Boże... — Jill Warren ściszyła głos. — Nie powinnam... tak mi przykro...

— Nie mogła pani wiedzieć. Nie czuję się urażony.

— Ciągle jeszcze chce mi pan postawić kawę?

— Oczywiście.

Poszli do wind. Kiedy drzwi kabiny zamknęły się za nimi, Pittman odetchnął z ulgą. Największym zagrożeniem, jakie wiązało się z przyjściem tutaj, było spotkanie z lekarzem, który widział go w chwili, gdy Millgate'a zabierano ze szpitala. Mógł go rozpoznać i wezwać policję.

Piętro niżej spotkali jedynie myjącą przeciwległy koniec korytarza sprzątaczkę. Pittman włożył do automatu ostatnie posiadane monety.

— Jaką chce pani kawę? Z mlekiem, z cukrem, bezkofeinową?

— Właściwie wolę herbatę — odparła pielęgniarka i wcisnęła odpowiedni klawisz.

Pittman zauważył, że ma bardzo ładną dłoń. Automat zaszumiał.

— O co chciał mnie pan zapytać?

Do styropianowego kubka zaczął się lać płyn.

— Muszę zweryfikować pewne informacje. Czy pana Millgate'a poinformowano, że ma zostać zabrany ze szpitala, przed pojawieniem się jego asystentów?

— „Asystenci” to bardzo łagodne określenie. Znacznie bardziej pasowałyby: „oprychy”.

— Czy Millgate oponował?

— Chyba nie ułatwiam panu pracy...

— Dlaczego?

— Zmieniłam temat. Nie odpowiedziałam na pana pierwsze pytanie. Tak, został o tym poinformowany. Inaczej by nie

protestował — odparła.

— Jak herbata?

172

— Gorąca woda z odrobiną zapachu. Ale to nic nowego, jestem przyzwyczajona — odparła. Jej uśmiech był zaraźliwy.

— Dlaczego Millgate zaprotestował? Nie chciał zostać prze niesiony?

— I tak, i nie. Jest w tym wszystkim coś, czego nie rozumie.

— To znaczy?

— Mężczyźni, którzy po niego przyjechali, twierdzili, że muszą go zabrać, ponieważ w wieczornych wiadomościach było coś na jego temat. Powiedzieli mu, że musi opuścić szpital, zanim zjawią się dziennikarze.

— Informacja dotyczyła tajnego raportu Departamentu Sprawiedliwości, który w jakiś sposób przeciekł do mediów. Przez słuchiwano go w związku z podejrzeniem, że mógł być zamieszany w tajną operację zakupu broni jądrowej w krajach byłego Związku Radzieckiego.

— Broni jądrowej? Prasie powiedzieli coś zupełnie innego! — zawołała pielęgniarka. Błękit jej oczu był tak jasny, że wydawały się niemal przezroczyste.

— Kto powiedział i co?

— Ludzie, którzy przyjechali wtedy po Millgate'a. Powie dzieli prasie, że zabrali go, ponieważ bali się, że ten dziennikarz I od nekrologów... jak on się nazywa?

— Pittman. Matthew Pittman.

— No właśnie... ludzie Millgate'a powiedzieli prasie, że obawiali się, że jeżeli Millgate zostanie w szpitalu, to ten człowiek go zabije. W nocy, kiedy go zabierali, nie mówili jednak ani słowa o Pittmanie. Interesował ich tylko raport, w którym pisano o Jonathanie Millgacie.

Pittman znowu poczuł, że cały się spina.

— Wygląda na to, że zmienili wersję — dodała pielęgniarka.

— A Millgate uważał, że sprawa raportu to wystarczający powód, żeby zabierać go ze szpitala?

— Nie do końca. — Pielęgniarka znowu upiła łyk herbaty. — Zgadzał się na przeniesienie, choć raczej należałoby powiedzieć, że był bierny. Było mu to obojętne. „Róbcie, co chcecie — powtarzał. — To i tak nie ma znaczenia. Nic nie ma

173

znaczenia. Nie zabierajcie mnie jednak jeszcze teraz". To była jedyna rzecz, na której mu zależało. „Jeszcze nie teraz, powtarzał. Zaczekajcie".

— Na co?

— Na księdza.

Pittman przypomniał sobie rozmowę dwóch Wielkich Doradców, którą podsłuchał w posiadłości w Scarsdale, i zrobiło mu się gorąco.

...księdzem — powiedział łamiący się starczy głos.

— Nie martw się — odparł inny głos, tak samo stary. — Ksiądz nie dojechał. Jonathan z nim nie rozmawiał.

— Ale mimo wszystko...

— Zajęto się tą sprawą — powiedział z naciskiem drugi z głosów, szeleszczący jak suche liście. — Wszystko jest zabezpieczone.

— Mogłaby mi pani o nim opowiedzieć? — poprosił. — O tym księdzu. Jak się nazywał?

— Millgate często wymieniał jego nazwisko... — Pielęgniarka przez chwilę się zastanawiała. — Dandridge! Ojciec Dandridge. Kiedy Millgate'a przywieziono na OIOM, był przekonany, że wkrótce umrze. Był bardzo słaby, ale za każdym razem, kiedy się odzywał, mówił o tym księdzu. Każdego ze swoich współpracowników, którego do niego dopuszczono, prosił, żeby po niego posłał. Potem robił im wyrzuty, że nie wypełniają jego poleceń. Oskarżył nawet syna, że go okłamał, mówiąc, że posłał po księdza. W szpitalu jest oczywiście dyżurny ksiądz, który przyszedł porozmawiać z Millgate'em, ale jemu nie chodziło o zwykłego księdza, musiał to być ojciec Dandridge. W czwartek rano miałam dyżur i słyszałam, jak błaga przez telefon naszego szpitalnego księdza, żeby zadzwonił do Bostonu, do parafii ojca Dandridge'a, i wezwał go do niego. Przypuszczam, że nasz ksiądz to zrobił.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Mniej więcej godzinę po tym, jak w czwartek w nocy zabrano od nas Millgate'a, przyszedł jakiś ksiądz, który przed stawiał się jako ojciec Dandridge. Był bardzo wzburzony, że nie może wysłuchać spowiedzi Millgate'a.

174

?— Przyjechał z bostońskiej parafii? Pamięta pani, z której?

— Niestety nie. Ale nie musi pan jechać do Bostonu, aby : nim porozmawiać.

— To znaczy?

— Ojciec Dandridge oświadczył, że nie wraca do Bostonu. Ze zrobi to dopiero po rozmowie z Millgate'em. Powiedział mi, że gdybym cokolwiek usłyszała, mam zadzwonić do niego do parafii Świętego Józefa na Manhattanie. Zamierzał zostać tam przez weekend. — Pielęgniarka popatrzyła na zegarek. — Przepraszam, ale już zbyt długo nie ma mnie na oddziale. Muszę podać leki jednemu z pacjentów.

— Oczywiście. Dziękuję bardzo. Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo mi pomogła.

— Gdyby chciał pan wiedzieć coś jeszcze...

— Przyjdę znowu, na pewno.

Pielęgniarka odstawiła kubeczek i ruszyła w kierunku windy.

Minęło jakieś dwadzieścia sekund, zanim otworzyły się drzwi kabiny, i Pittman zauważył, że choć dziewczyna musiała czuć, że się jej przygląda, nie sprawiała wrażenia zażenowanej.

Kiedy wsiadała do windy, uśmiechnęła się do niego. Gdy zniknęła, poczuł tak silny zawrót głowy, że ugięły się pod nim kolana.

Przestraszył się, iż straci równowagę, i szybko oparł się

0        automat do kawy.

Ale czego innego mógł się spodziewać? Minione dwa dni kosztowały go więcej wysiłku fizycznego niż cały ostatni rok. Przebiegł Manhattan. Spał kilka godzin na parkowej ławce. Niewiele jadł. Zżerały go strach i adrenalina. Powinien się raczej dziwić, że tak długo ustał na nogach.

Nie mógł się jednak poddać. Nie w tym miejscu. Nie w tym momencie.

A właściwie czemu nie? — pomyślał z ironią. Szpital to dobre miejsce, aby stracić przytomność.

Nie. Musi wrócić do Seana, na jego poddasze.

Kiedy uznał, że odzyskał równowagę, odepchnął się od automatu z kawą, ale stwierdził, że nogi drżą mu jeszcze bardziej

1        boli go żołądek. Oparł się o ścianę, mając nadzieję, że sprzętaczka z końca korytarza nic nie zauważy i nie wezwie pomocy.

Musi stąd jak najszybciej zniknąć.

Ciekawe, jak daleko zajdzie. Cały ociekał potem. A jeśli przewróci się na chodniku przed szpitalem? Przyjedzie policja, przeczyta nazwisko na karcie kredytowej i znajdzie w jego kieszeni pistolet...

Dokąd ma teraz iść?

W głowie dudniła mu echem własna myśl sprzed chwili: szpital to dobre miejsce, aby stracić przytomność.

176

Kiedy winda jechała w górę, coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Gdy drzwi otworzyły się na piątym piętrze, spróbował iść normalnie w kierunku OIOM-ów. Wątpił, czy gdyby na korytarz wyszła Jill Warren albo lekarka, z którą rozmawiał wcześniej, potrafiłby jej wyjaśnić, dlaczego wrócił.

Nie miał jednak wyboru. Poczekalnia OIOM-u była jedynym miejscem, które przychodziło mu do głowy. Przyciemniono w niej światła. Pittman skręcił z korytarza w lewo, minął kilka osób o zmęczonych twarzach, próbujących drzemać na niewygodnych krzesłach, przeszedł nad śpiącym na podłodze mężczyzną i podszedł do metalowej szafy w głębi.

Były w niej koce i poduszki. Pittman dowiedział się tego, kiedy przeniesiono Jeremy'ego na oddział intensywnej terapii i spędził kilka pierwszych nocy w poczekalni. Powiedział mu o tym jeden z pracowników — dodając, że szafa jest zazwyczaj zamknięta.

— Po co trzymacie w niej koce i poduszki, jeżeli nie ma do nich dostępu?

— Nie chcemy, aby ludzie tu spali.

— Każecie im więc siedzieć bez snu na niewygodnych krzesłach...

— Regulamin szpitala. Dziś jednak zrobię wyjątek — odparł pracownik i otworzył szafę.

Pittman spróbował odciągnąć zasuwkę i stwierdził, że szafa

177



jest zamknięta. Wściekły, wyjął przybornik od Seana. Drżały mu ręce, więc potrwało to dłużej niż powinno, ale w końcu się udało.

Kiedy kładł się w najciemniejszym kącie poczekalni, miał zawroty głowy i czuł mdłości. Podłożył sobie pod głowę poduszkę i przykrył się kocem. Mimo twardej podłogi chyba jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie zasnął. Gdy odpływał w sen, jak przez mgłę słyszał ludzi rzucających się na szafę, którą zostawił otwartą.

Ocknął się tylko raz, kiedy starszy mężczyzna mówił do drobnej kobiety, śpiącej na krześle: — Ona nie żyje, May. Nic nie mogli zrobić.

Budziły goienne światło i głosy. Ci, którzy spędzili noc w poczekalni, również zaczynali się budzić. Nowo przybyli, których przyjaciół i członków rodziny przyjęto na OIOM w noc, próbowali oswoić się z otoczeniem.

Pittman usiadł z trudem i starał się odzyskać jasność myślenia. Powoli zaczął wstawać. Noc na twardej podłodze po wysiłku fizycznym poprzedniego dnia sprawiła, że bolał go każdy mięsień. Złożył koc i schował go wraz z poduszką do szafy, po czym zarzucił płaszcz na ramię, aby ukryć wybrzuszenie kieszeni, w której miał pistolet.

Zjawił się wolontariusz rozwożący kawę, sok pomarańczowy i pączki. Na wózku było napisane: ZAPŁAĆ, ILE MOŻESZ, ale Pittman nie miał w kieszeni ani jednej monety. Pożyczył od Seana O'Reilly'ego dwadzieścia dolarów, więc zapłacił jednym z otrzymanych od niego banknotów. Wypił dwa kubki soku pomarańczowego, zjadł dwa pączki i zrobiło mu się niedobrze. Poszedł do łazienki, opryskał twarz wodą, przyjrzał się w lustrze swojej twarzy, która nabrała barwy siniejącego ciasta, potarł szpecinę na podbródku. Czuł, że jest na dnie. W tym stanie nic nie osiągnie.

Samobójstwo, którego omal nie popełnił przed czterema dniami, wydawało się najlepszym wyjściem.

Po co się starać? Był głęboko w bagnie, z którego nie miał szans się wygrzebać. A nawet gdyby mu się to udało, Jeremy

179

nie żył. Po co więc cokolwiek robić? Nie warto było przechodzić przez to wszystko.

Ale przecież nie mógł tym draniom pozwolić zgnieść się jak pluskwę. Dobrze pamiętał, co tak niedawno sobie powiedział: „Nie — to ja mam wybrać czas i miejsce”. Jeżeli się teraz zabije, osiągną to, czego chcą. Pozwoli im wygrać. Nie mógł dać skurwielom tej satysfakcji.

Do łazienki wszedł niski, posepny mężczyzna, którego Pittman widział w poczekalni. Zdjął koszulę, stanął przy umywalce obok, otworzył kosmetyczkę, nasmarował twarz kremem do golenia i zaczął się golić.

— Przepraszam, ma pan może dodatkową maszynkę jedno razową? — spytał Pittman.

— Koleś, zrób to, co ja: idź do sklepu w holu i sobie kup.

—

Parafia Świętego Józefa nie skorzystała na boomie budowlano-renowacyjnym, który nastąpił w innych częściach SoHo [ w latach osiemdziesiątych XX wieku po napływie yuppies. Choć kościół był niewielki, miał bryłę typową dla katedr. Ale jego ściany z piaskowca były poczerńiałe od sadzy, witrażowe okna przyciemniał brud, a wewnątrz prosiło się o renowację.

Pittman usiadł w jednej z tylnych ławek pachnącej kadzidłem nawy. Słuchał organów, które zdecydowanie wymagały konserwacji, i obserwował wiernych, którzy przyszli na niedzielną mszę do tego mało zachęcającego wnętrza. Na ołtarzu stał złoty kielich mszalny, dookoła paliły się świece. Wysoki charyzmatyczny ksiądz w purpurowej szacie przeczytał ewangelię, po czym wygłosił kazanie o wierze w Boga i niepoddawaniu się rozpacz.

No właśnie, pomyślał Pittman. Od lat nie uczestniczył we mszy. Nigdy nie chadzał regularnie do kościoła, a po śmierci Jeremy'ego jego obojętność zamieniła się w odrzucenie. Nie bardzo wiedział, dlaczego w chwili, gdy ksiądz miał udzielać komunii, wstał i podszedł wraz z innymi wiernymi do ołtarza. Być może chciał przyjrzeć się księdzu z bliska, przed mszą dowiedział się bowiem, że będzie ją celebrował ojciec Dand-ridge.

Po podejściu do ołtarza stwierdził, że ksiądz ma sporo po pięćdziesiątce i twarz o wyrazistych rysach, pooraną głębokimi

zmarszczkami zmęczenia. Przez jego podbródek biegła poszarpana blizna, a lewa dłoń nosiła wyraźny ślad po dawnym oparzeniu.

Gdy Pittman przyjął opłatek, poczuł we wnętrzu bezbrzeżną pustkę.

Ksiądz skończył odprawiać mszę.

— Idźcie w pokoju — powiedział.

Jeszcze nie, pomyślał Pittman.

Odczekał chwilę i kiedy wierni wyszli, podszedł do ołtarza i otworzył drzwi znajdujące się po jego prawej stronie.

Gdy wszedł do zakrystii, ksiądz właśnie zdejmował liturgiczne szaty, Jego wyważone ruchy i żylaste przedramiona sugerowały, że jest w dobrej formie fizycznej i panuje zarówno nad swoim umysłem, jak i ciałem.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał, kiedy zobaczył I Pittmana.

— Ojciec Dandridge?

— Zgadza się.

— Muszę z ojcem porozmawiać.

— Proszę bardzo.

Pittman się zawahał.

— Wygląda pan na zdenerwowanego — powiedział ksiądz. — Pewnie to coś osobistego... chodzi o spowiedź?

— Nie, ale to rzeczywiście osobista sprawa. Chciałem z ojcem porozmawiać o... — Pittman znowu się zawahał — ...o... Jonathanie Millgacie.

Ojciec Dandridge przez chwilę mu się przyglądał.

— Tak... pamiętam pana z mszy. Zauważyłem złość na pańskiej twarzy, kiedy podszedł pan do komunii. Jakby niósł pan na ramionach ciężar całego świata.

— Tak właśnie się czuję.

— Nic dziwnego, jeżeli to, co piszą o panu w gazetach, jest prawdą, panie Pittman.

Pittman popatrzył na niego z zaskoczeniem. Nigdy by nie

podejrzewał, że ksiądz może go rozpoznać. Odwrócił się, zamierzając uciec.

— Niech pan tego nie robi — powiedział szybko ojciec Dandridge. — Proszę nie odchodzić. Spokojnie.

Coś w jego głosie kazało się Pittmanowi zatrzymać.

— Daję słowo, że z mojej strony nic panu nie zagraża — dodał ksiądz.

Pittmanowi ścisnął się żołądek.

— Skąd ojciec wiedział?

Duchowny uniósł rękę i Pittman znowu zobaczył jego pokrytą bliznami dłoń.

— Cóż... Jonathana Millgate'a i mnie łączył szczególny związek. Przeczytałem wszystko, cokolwiek napisano o jego śmierci w gazetach, i obejrzałem wszystkie wiadomości w telewizji na jego temat. Wiele razy przyglądałem się pańskiej fotografii. Od razu pana rozpoznałem.

Pittman westchnął.

— To bardzo ważne, żeby ojciec mi uwierzył: nie zabiłem Millgate'a.

— Ważne dla mnie czy dla pana?

— Próbowałem go ratować, a nie zaszkodzić mu — odparł Pittman i nagle uświadomił sobie, jak bardzo ściany zakrystii wzmacniają jego głos. Popatrzył nerwowo na prowadzące do środka kościoła drzwi.

— Nikt pana nie usłyszał — uspokoił go ojciec Dandridge. — Ale za pół godziny będzie następna msza i wkrótce zaczną się schodzić ludzie — dodał i wskazał dwóch mężczyzn, którzy właśnie weszli do kościoła.

— Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

— Zapytam ponownie: czy chce się pan wypowiadać?

— Chcę tylko jednego... spokoju.

Ojciec Dandridge zmrużył oczy i po chwili kiwnął głową.

— Proszę za mną.

8

Podszedł do drzwi w głębi pomieszczenia. Kiedy je otworzył, Pittman z zaskoczeniem stwierdził, że za nimi znajduje się ogród. Jego wygląd mocno kontrastował z obskurną fasadą kościoła. Starannie przystrzyżoną trawę otaczały kwitnące bzy, których zapach natychmiast wypełnił wnętrze zakrystii. Cały teren był otoczony wysokim murem.

Ojciec Dandridge dał swojemu gościowi znak, aby szedł pierwszy.

Kiedy Pittman nie zareagował, ksiądz uśmiechnął się rozbawiony.

— Boi się mnie pan? Nie chce pan odwrócić się do mnie plecami? W jaki sposób mógłbym zrobić panu coś złego?

— Cóż... ostatnio próbowano mnie zabić na wiele różnych sposobów — odparł Pittman.

Zacisnął dłoń na pistolecie w kieszeni płaszcza i spojrzał za siebie, w stronę otwartych drzwi kościoła. Ławki szybko się zappełniały. Wyszedł za księdzem do ogrodu i zamknął drzwi.

Poranne słońce mocno grzało. Ojciec Dandridge usiadł na metalowej ławce. Odgłosy ruchu ulicznego zdawały się dobiegać z bardzo daleka.

— Dlaczego miałbym wierzyć, że nie zabił pan Jonathana Millgate'a?

— Ponieważ gdybym to zrobił, uciekałbym. Po co miałbym do ojca przychodzić?

185

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Może jest pan tak niepoczytalny, jak piszą w gazetach?

Może chce pan zabić także i mnie?

— Nie. Potrzebuję ojca pomocy.

— Dlaczego miałbym chcieć panu pomóc?

— Ludzie Millgate'a powiedzieli prasie, że postanowili zabrać swojego szefa ze szpitala, aby chronić go przede mną, ale to nieprawda — odparł Pittman. — Chcieli zabrać go stamtąd, żeby nie dotarli do niego dziennikarze, zamierzający porozmawiać z nim o jego powiązaniach z próbą zakupu broni jądrowej w krajach byłego Związku Radzieckiego.

— Nawet gdyby był pan w stanie to udowodnić...

— Mogę to zrobić.

— ...jak to się ma do tego, czy pan go zabił, czy nie?

— Bardzo się ma. Pojechałem za nim ze szpitala nie dlatego, żeby go dopaść, lecz po to, aby się dowiedzieć, dokąd go zabierają. W posiadłości w Scarsdale opiekujący się nim lekarz i pielęgniarka zostawili go samego. Odłączył się od kroplówki i wyrwał sobie z nosa rurkę z tlenem. Udało mi się wejść do jego pokoju i pomóc mu.

— Ale naoczny świadek twierdzi, że było całkiem inaczej. Że to pan wyjął mu rurkę z tlenem z nosa i spowodował zawał ze skutkiem śmiertelnym.

— Pielęgniarka weszła do pokoju, kiedy wkładałem mu tę rurkę. Usłyszała, że Millgate coś do mnie mówi. Jego ludzie bali się dziennikarzy, a ja jestem dziennikarzem. Chcieli ukryć przed światem to, co mi powiedział. Próbowali mnie zatrzymać, ale udało mi się uciec i wtedy...

— ...postanowili odłączyć Jonathana od urządzeń, aby niko mu innemu nie powiedział tego, co powiedział panu — dokoń czył ojciec Dandridge. — Oskarżyli pana o spowodowanie jego śmierci, żeby nie uwierzono, gdyby zechciał pan powtórzyć słowa Jonathana.

— Dokładnie! — zawołał ze zdumieniem Pittman. — Właś nie to chcę udowodnić. Ale skąd ojciec...

— Kiedy się słyszało wystarczająco dużo spowiedzi, można się domyślić wielu rzeczy.

186

— To nie jest spowiedź!

— Co Jonathan Millgate panu powiedział?

Pittman pomasaował sobie kark.

— W tym problem... może to wydawać się bezsensowne, ale właśnie z powodu tych słów próbowano mnie zabić w moim mieszkaniu.

— Proszę mi powiedzieć, co to za słowa.

— Nazwisko. — Pittman pokręcił głową. — I coś o śniegu.

— Nazwisko?

— Duncan Grollier.

| Ojciec Dandridge popatrzył na Pittmana.

— Jonathan Millgate był prawdopodobnie najbardziej podłym człowiekiem, jakiego znałem.

— Przecież ojciec powiedział, że byliście przyjaciółmi.

Książd uśmiechnął się gorzko.

— Nie, powiedziałem tylko, że łączył nas szczególny związek. Nigdy nie mógłbym się z nim zaprzyjaźnić. Współczułem mu jednak tak samo mocno, jak gardziłem nim za to, co zrobił. Próbowałem uratować duszę tego człowieka. Byłem jego spowiednikiem.

Pittman zeszywniał.

— W zakrystii musiał pan zauważyć moje blizny — dodał ojciec Dandridge.

— Przepraszam, nie chciałem...

— Nie ma w tym nic złego. Nie musi się pan martwić o moje uczucia. Jestem dumny z tych blizn, bo są świadectwem uczestnictwa w walce. Podczas wojny w Wietnamie byłem kapelanem Pierwszego Korpusu. Baza, do której zostałem przydzielony, tuż przy strefie zdemilitaryzowanej, dostała się pod ostrzał. Pogoda uniemożliwiała przybycie posiłków. Oczywiście nie wolno mi było używać broni, ale mogłem zajmować się rannymi. Czołgałem się z miejsca na miejsce, dostarczając jedzenie, wodę i amunicję. Dawałem ostatnie namaszczenie umierającym. Blizna na brodzie jest od szrapnela, a na dłoni od ognia, który pomagałem gasić. Kiedy mówię, że jestem dumny z tych blizn, mam na myśli to, że zaszczytem było służyć u boku tak odważnych ludzi. Z dwustu żołnierzy do chwili

187

dotarcia pomocy dotrwało tylko pięćdziesięciu, a nikt z tych którzy zginęli, nie miał więcej niż dwadzieścia jeden lat. Za wszystkie te śmierci obwiniam Jonathana Millgate'a... Tak samo jak obwiniam go za śmierć czterdziestu siedmiu tysięcy amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli podczas tej wojny. Sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi zostało rannych. Kolejne tysiące istnień zniszczyły psychologiczne efekty tej wojny. A dlaczego? Ponieważ Millgate i jego czterech kolegów zwanych Wielkimi Doradcami — ojciec Dandridge z pogardą wykrzywił wargi — powiedziało prezydentowi i narodowi, że teoria domina to coś, za co warto umierać. I że jeżeli nie oczyścimy Wietnamu z komunistów, ich łupem stanie się cała reszta Azji Południowo-Wschodniej. Ćwierć wieku później komunizm rozpadł się na kawałki, a Azja Południowo-Wschodnia — choć Wietnam Południowy został zajęty przez komunistów — zaczęła robić się coraz bardziej kapitalistyczna. Tamta wojna nie miała na to wpływu, ale Jonathan Millgate i pozostali Wielcy Doradcy stali się dzięki niej obrzydliwie bogaci... Przemysł zbrojeniowy, który ogromnie skorzystał z wojny, hojnie ich wynagrodził.

— Prowadzono dochodzenie w sprawie skandalu z bronią jądrową, w który Millgate mógł być zamieszany — powiedział Pittman. — Czy dlatego tak bardzo chciał przed śmiercią porozmawiać z ojcem? Jego współpracownicy zrobili wszystko, aby ojca do niego nie dopuścić. Uważali, że ojciec stanowi dla nich zagrożenie.

Ojciec Dandridge zmrużył oczy.

— Kiedy wróciłem z Wietnamu, atakowałem Jonathana Millgate'a, gdy tylko nadarzała się taka możliwość. Organizowałem przeciwko niemu demonstracje i przy każdej okazji próbowałem stawiać go w niekorzystnym świetle. Prawdopodobnie było to jednym z powodów jego wycofania się z dyp

lomacji i usunięcia z widoku publicznego. Oczywiście w dalszym ciągu manipulował ludźmi z rządu, ale przynajmniej nie mógł robić tego jawnie. Pół roku temu, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, zadzwonił do mnie i poprosił o spotkanie. Choć podejrzewałem najgorsze, zgodziłem się. Kiedy przyjechał, okazało się, że przeżywa kryzys. Nie był katolikiem, ale od-

188  
czował ogromną potrzebę otworzenia duszy. Chciał, żebym go wypowiadał.

— Wypowiadał? Po tym wszystkim, co ojciec mu zrobił?

— Chciał to uczynić przed kimś, kogo nie mógł zastraszyć.

— Z czego tak bardzo chciał się wypowiadać?

Ojciec Dandridge pokręcił głową.

— Zapewne pan wie, że jestem związany tajemnicą spowiedzi i pod groźbą potępienia duszy nie wolno mi ujawniać tego, co usłyszałem w konfesjonale.

Pittman zmarszczył czoło.

— Więc przybyłem tu na darmo.

— Duncan Grollier. Jest pan pewien, że tak właśnie brzmiało to nazwisko?

Pittman przytaknął.

— Chyba że...

— Tak?

— Kilka razy powiedział „Duncan”, potem „Śnieg” i na koniec „Grollier”. Może „Śnieg” to przydomek?

— Nie mam pojęcia, ale „Grollier” nie jest nazwiskiem. To nazwa prywatnego liceum, do którego chodził Millgate. Informacja o tym jest publicznie dostępna, toteż nie łamię tajemnicy spowiedzi. Więcej powiedzieć nie mogę. Powinno to jednak panu wystarczyć.

— O czym ojciec mówi? Jak to „wystarczy”? Nic nie rozumiem.

—

9

Kula trafiła Ojca Dandridge'a w prawe oko. Pittman był tak zaskoczony, że odsunął się gwałtownie do tyłu i poderwał na równe nogi. Z początku nie bardzo wiedział, co się dzieje, ale nie mógł nie zauważyć strugi zmieszanego z krwią mózgu, która chlusnęła na trawę z potylicy duchownego.

Chciał krzyknąć, lecz przerażenie ścisnęło mu gardło. Kiedy kolejny pocisk odbił się od kamiennej postaci, przy której stał, i opryskały go okruchy kamienia, cofnął się jeszcze o krok, uderzył plecami w pomnik i skulił się. Choć nie słyszał strzałów, zdawało mu się, że strzelający znajduje się za drzwiami, którymi wszedł razem z ojcem Dandridge'em do ogrodu. Schował się za kamienną figurą, wyciągnął pistolet, opanował drżenie rąk, zarepetował i w tym momencie uświadomił sobie, że stoi w miejscu, w którym jest doskonale widoczny. W ogrodzie zapadła upiorna cisza.

Zabójca używa tłumika! Nikt w kościele nie wie, co się dzieje! Nikt nie wezwie pomocy!

Zaraz jednak miała się zacząć kolejna msza. Kiedy drugi ksiądz wejdzie do zakrystii, aby założyć liturgiczne szaty, zobaczy stojącego w drzwiach do ogrodu zabójcę z pistoletem. Zawoła o pomoc — i zginie.

Nie wolno do tego dopuścić! Musi wydostać się z ogrodu.

Rozległ się lekki trzask, jakby szerzej otworzono drzwi.

190

Dłonie Pittmana były mokre od potu. Ścisnął mocniej swoją czterdziestkępiątkę.

Strzelaj!

Do kogo? Nie widzę celu!

Hałas sprowadzi pomoc.

Będzie już za późno.

W ogrodowym murze nie było furtki. Kiedy Pittman dobiegł do muru, aby się na niego wspiąć, wydało mu się, że słyszy odgłos kroków.

Rozejrzał się gorączkowo. Jego tętno galopowało jak szalone.

Za kępą bzów widać było okienko kościelnej piwnicy. Walcząc z wywołanymi strachem mdłościami, strzelił w kierunku, z którego według niego doleciał odgłos kroków. Rzucił się w bok i znowu dwa razy strzelił. Ujrzał mężczyznę nurkującego za ławkę, na której leżał ojciec Dandridge. Drugi mężczyzna ukrył się w zakrystii.

Wiedział, że zostały mu tylko cztery naboje. Całe jego ciało opanował taki dygot, że mógł wystrzelić wszystkie i nikogo nawet nie drasnąć.

Rusz się!

Strzelił ponownie i przesunął się w prawo, w kierunku krzaku bzu i piwnicznego okienka.

Padł na ziemię i zaczął się czołgać. Uderzył pistoletem w szybę i niezaryglowane okienko otworzyło się do wewnątrz. Pittman natychmiast wślizgnął się przez nie. Otoczyła go ciemność, jego ciało skręciło się i zaczął spadać. Z impetem, który wypchnął mu powietrze z płuc, wylądował na drewnianej ławce i spadł z niej na podłogę. Jęknął z bólu. Kawałek rozbitej szyby wbił mu się głęboko w dłoń. Wyciągnął szkło, ale widok krwi, która trysnęła z rany, jeszcze bardziej go przeraził. Macając wokół rękami, podniósł się szybko i uciekł w głąb piwnicy. Z otwartego okna strzelono do środka.

Jego wzrok na tyle przyzwyczyił się do ciemności, że dostrzegł przed sobą zarys drzwi. Strzelił w stronę okna, usłyszał jęk, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i znalazł się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, w którym grupa kobiet rozkładała na stołach ciasta na parafialny kiermasz domowych wypieków. Popatrzyły na niego ze strachem. Któraś z nich wypuściła z dłoni

191

ciasto. Zaczęło płakać jakieś dziecko. Inna kobieta zapiszczała — i jednocześnie zza pleców Pittmana dobiegły hałasy świadczące o tym, że obaj zabójcy wśliznęli się przez okienko do piwnicy.

— Z drogi! — wrzasnął Pittman, unosząc broń.

Kobiety rozbiegły się na boki jak spłoszone kury. Pittman

zatrzasnął za sobą drzwi, kątem oka dostrzegł, że nie mają zamka, więc przyciągnął najbliższy stół i zabarykadował nim wejście.

Ledwo to zrobił, strzelono przez drzwi i opryskały go drzazgi. Odpowiedział strzałem.

Została mu już tylko jedna kula. Rzucił się biegiem do znajdujących się w głębi sali schodów. Kobiety wrzeszczały przeraźliwie. Na górze, w kościele, panowało zamieszanie.

Pittman dobiegł do schodów. Spodziewał się, że zabójcy zdążyli już wyważyć drzwi i zaraz zaczną do niego strzelać, ale kiedy wbiegł na schody i spojrzął za siebie, okazało się, że drzwi są zamknięte. Było tu zbyt wielu świadków, więc nie chcieli ryzykować. Wyjdą przez okno i uciekną, przeskakując mur.

Słyszając tupot stóp u szczytu schodów, Pittman schował pistolet do kieszeni. Na dół zbiegali zaalarmowani wierni.

— Człowiek z pistoletem! Na dole! — zawołał i pokazał przeciętą szklę dłoni, po czym ścisnął ją, żeby zatamować

krw. — Postrzelił mnie!

— Wezwijcie policję!

— Lekarza! Potrzebuję lekarza! — krzyczał Pittman, prze-  
pychając się przez tłum.

Ludzie zaczęli wpadać w panikę.

— Może zabić nas wszystkich!

Tłum wiernych gwałtownie zmienił kierunek i ruszył w górę schodów. Ściśnięty w środku Pittman miał wrażenie, że zaraz się udusi. Wyniesiono go na górę. Po chwili wierni dobiegli do drzwi i ktoś je otworzył. Tłum wylał się na ulicę, unosząc Pittmana ze sobą.

Kiedy zaczął się zbliżać odgłos syreny, Pittman wsunął krwawiącą dłoń do kieszeni.

Trzymał się grupki przerażonych

192

ludzi, którzy starali się jak najszybciej oddalić. Gdy przed kościołem pojawił się pierwszy radiowóz, Pittman skręcał za róg. Machnął na taksówkę.

— Co tam się dzieje? — spytał kierowca.

— Strzelanina.

— W kościele? Boże, dopomóż nam.

— Chyba raczej ktoś inny powinien nam pomóc.

— Dokąd jedziemy?

Dobre pytanie. Pittman rzucił nazwę pierwszego miejsca, które przyszło mu do głowy:

— Plac Waszyngtona.

10

Miał nadzieję, że wygląda jak jeden z wielu weekendowych spacerowiczów. W odróżnieniu od poprzednich dni tygodnia, podczas których ciągle padało, niedziela była ciepła i słoneczna. Obok ulicznych muzykantów i malarzy, żebraków i straganów przemykali rowerzyści i biegacze. Niedaleko Łuku Waszyngtona studenci w koszulkach z logo Uniwersytetu Nowojorskiego rzucali frisbee, a pomiędzy nimi chwiejnym krokiem przechodził zarośnięty mężczyzna z butelką w papierowej torbie.

Pittman nie zwracał na to wszystko uwagi. Schowana w kieszeni owinięta chusteczką dłoń pulsowała z niepokojącą siłą. Prawdopodobnie był poważniej ranny, niż sądził. Znowu miał zawroty głowy, pewnie z utraty krwi. Powinien zgłosić się do szpitala, ale musiałby tam pokazać dowód i wypełnić odpowiedni formularz. Nie, to było zbyt ryzykowne. Musiał uzyskać pomoc medyczną gdzie indziej.

Tylko co potem? Dokąd ma się udać? Ojciec Dandridge miał mu odpowiedzieć na wszystkie pytania, ale już nie żył, i Pittman nie wiedział nic więcej niż w chwili, gdy zaczynał całą akcję? Dlaczego go zabili? Jeżeli to mnie ścigali, dlaczego nie poczekałi, aż wyjdę z kościoła?

Dlatego, że zamierzali zabić ich obu. Musieli obserwować księdza. Czekali, aż zdradzi coś z tego, czego dowiedział się podczas spowiedzi od Millgate'a. Kiedy Pittman pojawił się w kościele, uznali, że działa w porozumieniu z księdzem.

194

Co aż tak bardzo ważnego wiedział ojciec Dandridge?

Grollier! Prywatne liceum Millgate'a.

To musiało coś znaczyć. I zaniepokoiło kogoś na tyle, że zamierzał zabić każdego, z kim Pittman się kontaktował i kto mógł wiedzieć, co dręczyło Millgate'a w ostatnich godzinach życia.

W ostatnich godzinach...



Wiedział już, gdzie musi się udać.

11

— Detektyw Logan — powiedział do domofonu.

Zahuczał brzęczyk i zamek się odblokował.

Pittman wszedł do hołu eleganckiego apartamentowca na Upper West Side, wyłożonego gustowną boazerią. Wjechał windą na czwarte piętro. Obawiał się, że numer telefonu jest zastrzeżony, a kiedy znalazł adres w książce telefonicznej, niepokoił się, że nie zostanie dziewczyny w domu. Zapukał do drzwi, niemal pewien, że Jill Warren nie zechce z nim rozmawiać. Kiedy jednak otworzyła drzwi, lewą ręką przytrzymując poły szlafroka, i popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, była bardziej zdziwiona niż zła.

Padające z wnętrza mieszkania słoneczne światło obrysowywało jej sylwetkę.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, że dla mnie jest teraz środek nocy? — spytała.

Pittman właśnie dlatego przyszedł o tej porze — miał nadzieję, że zamiast wyjść z domu i cieszyć się niedzielą, dziewczyna będzie odsypiać nocną zmianę w szpitalu.

— Przepraszam, ale nie miałem wyboru.

Jill Warren ziewnęła i zasłoniła usta dłonią, co skojarzyło się Pittmanowi z bawiącym się własną łapą młodym kotem. Choć miała potargane włosy i twarz opuchniętą od snu, dla niego była skończoną pięknnością.

— Chce mnie pan jeszcze o coś zapytać?

196

— Obawiam się, że chcę poprosić o coś więcej.

— Nie rozumiem.

— Potrzebuję pomocy. — Pittman wyciągnął z kieszeni zakrwawioną rękę.

— Boże drogi! — Jill natychmiast oprzytomniała. — Proszę wejść. — Złapała go za ramię, wprowadziła do środka i szybko

tięła drzwi. — Kuchnia jest tam. Zastanawiałam się, dlaczego jest pan taki blady. Myślałam, że może nie miał pan czasu się przespać. Proszę włożyć rękę do zlewu.

Kiedy Pittman się zatoczył, szybko podstawiła krzesło, posadziła go i zdjęła mu płaszcz. Gdy czterdziestkapiątka stuknęła o krzesło, zmarszczyła czoło.

— Wiem, że się narzucam — powiedział Pittman. — Jeśli w czymkolwiek przeszkadzam... jeżeli ktoś tu jest i...

— Nikogo nie ma.

W szpitalu zauważył, że dziewczyna nie ma obrączki, ale i bez niej mogła z kimś być.

— Mieszkam sama. Chusteczka przykleiła się do rany. Poleję ją zimną wodą i będę powoli odrywać... świetnie, odchodzi.

Bardzo boli?

— Nie.

— Pewnie. Dlatego poszarzał pan na twarzy. To mi wygląda na ranę ciętą.

— Słuczone szkło.

— Głęboka rana. Powinien był pan pójść z tym do szpitala, nie do mnie.

— Pani mieszkanie było bliżej.

— Trzeba to zszyć.

— Nie.

Popatrzyła na niego uważnie, a potem znowu zajęła się jego dłonią.

— Nie zgadza się pan na szycie czy na szpital?

Pittman nie odpowiedział.

Zmyła mu z dłoni zaschniętą krew, po czym skierowała strumień wody na ranę.

— Proszę trzymać dłoń pod wodą, a ja pójdę po środek dezynfekujący i bandaż.

197

Kiedy odeszła, Pittman przez chwilę się obawiał, że ucieknie przed nim z mieszkania.

W pokoju obok zastukały otwierane i zamykane szuflady.

Wpatrywał się w płynącą z dłoni krew, rozcieńczaną przez wodę. Odwrócił wzrok. Gdy spoglądał na małą, jasną, elegancko wyposażoną kuchnię, miał wrażenie, że patrzy na nią zza grubej szklanej szyby. Uchwyt do trzymania garnka w kształcie kota wydał mu się bardzo zabawny.

. \_ — Jeszcze bardziej pan poszarzał na twarzy — stwierdziła Jill Warren, która właśnie stanęła w drzwiach. — Co pana tak śmieszy? Dziwnie się pan uśmiecha. Zaczyna pan mieć zwidy?

— Jestem nieco rozkojarzony.

Objęła go i podtrzymała.

— Tylko niech pan nie spadnie z krzesła!

Poczuł na plecach dotyk jej piersi, ale był taki zmęczony, że czuł jedynie wdzięczność.

Dokończyła myć mu dłoń, po czym osuszyła ją ręcznikiem, posmarowała ranę maścią bursztynową, przyłożyła gazę i owinęła dłoń bandażem. Przez pierwszą warstwę natychmiast przesączyła się krew. Jill szybko owijała dłoń, warstwa po warstwie.

— Oby to zatrzymało krwawienie, bo jeśli nie, będzie pan musiał iść do szpitala.

Pittman przyjrzał się grubemu opatrunkowi. Po chwili pojawiła się różowa plamka, ale na szczęście się nie powiększała.

— Jeszcze jedna warstwa na szczęście — powiedziała Jill Warren, kończąc opatrunek. — Teraz idziemy do salonu na kanapę.

— Nic mi nie jest. Przejdę sam.

— Oczywiście...

Pomogła mu się podnieść, a kiedy ugięły się pod nim kolana, znowu objęła go ramieniem.

Słoneczny salon pociemniał. Na szczęście po kilku sekundach Pittman siedział już na kanapie.

— Proszę się położyć.

— Przepraszam, naprawdę mi przykro...

— Niech pan położy stopy na tej poduszce. Powinny być wyżej od głowy.

198

— Nie przeszkadzałbym pani, gdyby istniała inna możliwość...

— Proszę przestać mówić. Ma pan trudności z oddychaniem, więc proszę leżeć spokojnie, przyniosę trochę wody.

Pittman zamknął oczy. Po chwili poczuł obejmujące jego głowę dłonie Jill Warren, która pomagała mu się napić.

— Jeżeli nie dostanie pan mdłości, za parę minut dam panu

trochę soku. Sądzi pan, że mógłby coś zjeść? Może tosta?

— Zjeść?

— Mówi to pan, jakbym proponowała coś niezwykłego.

— Ostatni raz... cóż, powiedzmy, że... jadałem... dość nieregularnie.

— Podarł pan płaszcz. Ma pan na spodniach ziemię, jakby się pan czołgał. Co się dzieje? W jaki sposób pan się zranił?

— Zbitą szybą.

— Wygląda pan, jakby się bił.

Pittman nie odpowiedział.

— Jeżeli nie będzie pan ze mną szczery, do niczego nie dojdziemy — oświadczyła Jill Warren. — Pomagając panu, sporo ryzykuję. Wiem, że nie jest pan policjantem. Nazywa się pan Matthew Pittman i jest pan ścigany przez policję.

12

Jej słowa tak go zaskoczyły, że usiadł.

— Nie — powiedziała Jill. — Niech pan nie siada, proszę się położyć.

— Od kiedy pani wie?

— Od kiedy wiem? Mniej więcej od trzydziestej sekundy naszej rozmowy w szpitalu.

— Boże drogi... — Kiedy znowu próbował usiąść, przycisnęła dłoń do jego klatki piersiowej.

— Proszę się nie podnosić. Nie żartowałam: jeżeli krwawie nie ustanie, będzie pan musiał jechać do szpitala.

Pittman przez chwilę przyglądał się jej, po czym kiwnął głową. Zawroty głowy ustąpiły.

— Matt.

— Słucham?

— Powiedziała pani: Matthew. Przyjaciele mówią mi Matt.

— Czy to znaczy, że mam uważać pana... ciebie za przyjaciela?

— Chyba lepiej uważać mnie za przyjaciela niż za wroga.

— A nie jesteś nim?

— Uwierzysz mi, jeżeli powiem, że nie?

— Nie można powiedzieć, że nigdy mnie nie okłamałeś.

— Jeżeli już w szpitalu wiedziałaś, kim jestem, dlaczego nie wezwałaś policji?

— Skąd wiesz, że tego nie zrobiłam? Może udawałam, że

200

wierzę w twoją bajeczkę, bo się bałam? Może sądziłam, że jeżeli zdradzę, że wiem, kim jesteś, zrobisz mi krzywdę?

— Wezwałaś policję?

— Nie pamiętasz mnie, prawda? — spytała Jill.

— Czy cię pamiętam? Gdzie mielibyśmy się...

— Nie dziwi mnie to. Byłeś wtedy w straszliwym stresie.

— W dalszym ciągu nie...

— Pracuję na OIOM-ie dla dorosłych dopiero od pół roku.

Pittman pokręcił głową. Nic nie rozumiał.

— Przedtem pracowałam na OIOM-ie dziecięcym. Odeszłam stamtąd, bo nie potrafiłam... byłam jedną z pielęgniarek, które opiekowały się Jeremym.

Pittman miał wrażenie, że jego żołądek zamienia się w bryłę lodu.

— Miałam dyżur tej nocy, kiedy umarł. Właściwie miałam wtedy dyżur przez cały tydzień. Dostałeś zgodę na siedzenie w jego pokoju i czuwanie przy nim. Czasami pytałeś mnie, co znaczą różne cyferki na urządzeniach medycznych albo pa trzymałeś w jego kartę i pytałeś, co znaczy to czy tamto określenie. Nie widziałeś mnie jednak. Byłeś całkowicie skoncentrowany na swoim synu. Miałeś ze sobą książkę i czasami, kiedy nic się nie działo, trochę czytałeś, ale potem podnosiłeś wzrok i obserwowałeś Jeremy'ego, patrzyłeś na otaczające go monitory i znów mu się przyglądałeś. Miałam wrażenie, że skupiasz całą swoją wolę i energię, jakbyś chciał w ten sposób przekazać Jeremy'emu własną siłę i wyleczyć go.

— To prawda. Tak mi się wydawało. Głupie, prawda? Oczy Jill błyszczały.

— Nie, to była jedna z najbardziej poruszających rzeczy, jakie widziałam w życiu.

Pittman próbował wstać, by sięgnąć po stojącą na stoliku szklanę z wodą.

— Pomogę ci — powiedziała Jill i przyłożyła mu szklanę do ust.

— Dlaczego ciągle tak dziwnie na mnie patrzysz?

— Pamiętam, jak pomagałeś zajmować się Jeremym. Mo czyłaś szmatkę w wodzie z lodem i zwilżałaś mu ciało, żeby

201  
obniżyć gorączkę. Był już wtedy w śpiączce, ale ty mówiłeś do niego, jakby słyszał każde słowo.

Na wspomnienie tamtych strasznych chwil Pittman aż się skulił.

— Byłem przekonany, że mnie słyszy. Sądziłem, że jeżeli wniknę wystarczająco głęboko w jego umysł, zareaguje na to, co mówię, i obudzi się.

Jill kiwnęła głową.

— Potem zaczęły mu się podwijać palce u stóp. Lekarze uważali, że dobrze byłoby mu masować stopy i nogi, żeby mięśnie nie zanikały.

— Tak mówili. Kiedy stopy w dalszym ciągu się podwijały, zakładałem mu na godzinę buty, potem je zdejmowałem i znowu zakładałem. Chciałem, żeby po obudzeniu się ze śpiączki i wyzdrowieniu mógł normalnie chodzić.

Błękitne oczy Jill pociemniały z emocji.

— Obserwowałam cię co noc przez cały tydzień. Twoje oddanie było naprawdę niezwykle. Kiedy miałam mieć dwa dni wolnego, poprosiłam o dodatkowe dyżury. Właśnie wtedy Jeremy miał kryzys i dostał zawału.

Pittman miał trudności z oddychaniem.

— Gdy przeczytałam w gazecie, że popełniłeś kilka mordstw, nie uwierzyłam. Wiem, pisano, że popadłeś w głęboką

depresję, zacząłeś mieć skłonności samobójcze i chciałeś pociągnąć za sobą innych ludzi. Jednak po tygodniu obserwowania cię na oddziale wiedziałam, że ktoś taki jak ty nikogo nie może skrzywdzić. Nie rozmyślnie. Może siebie, ale nie kogoś innego.

— Musiałaś być zaskoczona, kiedy zjawiłem się w szpitalu.

— Nie mogłam pojąć, co się dzieje. Gdybyś miał skłonności samobójcze albo był w jakimś morderczym amoku, dlaczego miałbyś przychodzić na mój oddział? Dlaczego miałbyś udawać policjanta i pytać o ostatnią noc pobytu Jonathana Millgate'a? Morderca by się tak nie zachowywał. Tak zachowywałby się ktoś, kto wpadł w pułapkę... gdyby chciał uzyskać odpowiedzi na swoje pytania i spróbować udowodnić, że nie zrobił tego, o co podejrzewa go policja.

— Doceniam twoje zaufanie.

202

— Nie jestem naiwna, ale patrzyłam, jak bardzo cierpiałeś, kiedy umierał twój syn. Nigdy nie widziałam, aby ktoś kogoś bardziej kochał. Pomyślałam, że to, iż znowu przyszedłeś, może oznaczać jakiś przełom.

— Więc pozwalałaś mi udawać, że jestem detektywem...

— A co miałam zrobić? Przyznać się, że wiem, kim jesteś? Spanikowałbyś i siedziałbyś w tej chwili w więzieniu.

— Albo bym nie żył.

—

13

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Spodziewasz się kogoś? — spytał Pittman.

— Nie.

— Zamknęłaś drzwi po moim przyjściu?

— Oczywiście. To Nowy Jork.

Zapukano po raz drugi.

Pittman spróbował wstać.

— Przynies mój płaszcz i schowaj bandaż w szafce pod zlewem. Kiedy ukryję się w szafie, otwórz drzwi, ale nie mów, że tu jestem.

Trzecie pukanie było znacznie głośniejsze.

— Proszę otwierać! Policja!

Jill popatrzyła na Pittmana.

— Policja? Może tak, a może nie. Nie mów im, że tu jestem. — Wziął od Jill płaszcz. — Udawaj, że spałaś.

— A jeśli to naprawdę policja i znajdą cię?

— Powiesz, że kłamałaś ze strachu przede mną.

Zapukano jeszcze głośniej i szarpnięto drzwiami.

— Chwileczkę! — zawołała Jill i znowu popatrzyła na Pittmana.

Delikatnie dotknął jej ramienia.

— Musisz mi zaufać. Proszę. Nie mów im, że tu jestem.

Kiedy biegł do szafy, wyjął z kieszeni pistolet, ale tak, aby Jill tego nie zobaczyła. Stał między płaszczami i zamknął za

sobą drzwi. Czekał w ciemności i miał wrażenie, że zaraz się udusi.

Po chwili — Jill prawdopodobnie zacierała ślady jego obecności — rozległ się chrzęst zakładanego łańcucha i trzask odryglowywanego zamka.

— Tak? W czym mogę pomóc? — spytała Jill.

— Dlaczego tak długo?

— Obudzili mnie panowie. Pracuję w nocy. Spałam.

— Proszę nas wpuścić.

— Poproszę o legitymacje.

Rozległ się głośny trzask, pękło drewno, wyrwano łańcuch z mocowania i drzwi zostały otwarte.

W holu załomotały ciężkie kroki. Zaraz potem zatrzaśnięto drzwi i zaryglowano je.

— Co pan...

— Gdzie on jest?

— Kto?

— Pittman.

— Kto?

— Nie udawaj niewiniątka. Wiemy, że wszedł na górę. Jeden z naszych ludzi obserwował to miejsce i zawiadomił nas. Kiedy odwiedził księdza, pomyśleliśmy, że może zacząć obchodzić ludzi, którzy rozmawiali z Millgate'em przed śmiercią. I mieliś my rację...

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Sprawdziłem w łazience — powiedział drugi głos. —

Nie ma go.

— Jest stąd tylne wyjście, droga pani?

— Sprawia mi pan ból! — jęknęła Jill.

— W szafie w pokoju też go nie ma — stwierdził trzeci głos.

— Sprawdź szafę w holu.

— Gdzie on jest, droga pani?

Kiedy Jill wrzasnęła, Pittman usłyszał zbliżające się kroki.

Potężny mężczyzna jednym szarpnięciem otworzył drzwi, na widok ukrytego w szafie człowieka wypuścił powietrze, uniósł pistolet z tłumikiem i zatoczył się do tyłu, kiedy Pittman do niego strzelił.

Zamknięta przestrzeń tak bardzo wzmocniła huk wystrzału że Pittmana zaboląły uszy. Wskoczył z szafy i wycelował w stronę dwóch osiłków, z których jeden z taką siłą wykręcał Jill rękę, że aż ukłękła na podłodze. Jej twarz była wykrzywiona bólem.

Obaj mężczyźni mieli pistolety z tłumikami, kiedy jednak odwrócili się do Pittmana i ujrzeli wyraz jego twarzy, zamarli.

— Ręce do góry! — krzyknął.

\_\_ Jego zdecydowanie, poparte pistoletem w dłoni, sprawiło, że wykonali polecenie. Jill natychmiast się od nich odsunęła.

— Po co te nerwy — powiedział jeden z osiłków. — Dygo czesz tak, że broń zaraz wypali.

— Właśnie — dodał drugi. — Po co pogarszać sytuację.

Jesteśmy policjantami.

— Chyba tylko w marzeniach — warknął Pittman. — Trzy

mać ręce w górze. Wypuście pistolety z rąk tak, aby spadły za waszymi plecami.

Przez chwilę kalkulowali swoje szansę.

— Już! — krzyknął Pittman i mocniej zacisnął palec na spuście.

Dwa pistolety huknęły o podłogę.

Pittman przeszedł obok Jill i podniósł jeden z nich. Udało się. Kiedy uciekał z kościoła, został mu ostatni nabój i teraz wystrzelił go do bandziora, który otworzył szafę. Na szczęście zachował tyle przytomności umysłu, aby wcisnąć dźwignię blokującą wyrzutnik i przesunąć zamek do przodu. Dzięki temu bandyci nie wiedzieli, że grozi im nienaładowaną bronią.

Napastnicy zaraz po wejściu do mieszkania zamknęli i zaryglowali drzwi wejściowe, w które ktoś właśnie łomotał i pytał łamiącym się z niepokoju głosem:

— Jill, wszystko w porządku?

— Kto to? — spytał Pittman.

— Sąsiad z boku.

— Powiedz mi, że jesteś rozebrana i nie możesz otworzyć. Że nic nie słyszałaś, bo za głośno nastawiłaś telewizor.

Kiedy szła do frontowych drzwi, skoncentrował się na dwóch intruzach.

206

— Rozepnijcie marynarki, a potem podciągnijcie je w górę za głowę i zapnijcie na dolny guzik — przykazał im. Przed dwoma laty pisał artykuł o szkoleniu policjantów i jeden z instruktorów pozwolił mu wziąć udział w kursie pacyfikowania agresywnych więźniów. Właśnie próbował sobie przypomnieć, czego się tam nauczył.

Kiedy mężczyźni podciągnęli marynarki, obszedł ich i sprawdził, czy nie mają więcej broni.

— Na kolana!

— Posłuchaj, Pittman...

— Nie wierzycie, że mogę strzelić do was tak samo jak do waszego kumpla?

— Wierzymy...

— W takim razie klękajcie. Doskonale. Teraz skrzyżujcie nogi w kostkach i złóżcie palce na karku.

Kiedy obaj przyjęli tę przedziwną pozycję, wróciła Jill.

— Sąsiad uwierzył?

— Chyba tak.

— Doskonale.

— Wcale nie. Powiedział, że kiedy usłyszał strzał, to zanim do mnie przyszedł, wezwał policję.

— Jezu... w takim razie musisz się pospieszyć. Załóż coś na siebie, musimy związać tych dwóch i uciekać.

— My?

— Słyszałaś, co powiedział jeden z tych facetów. Po mojej wizycie u księdza pomyśleli sobie, że może zacząć obchodzić ludzi, którzy rozmawiali z Millgate'em przed śmiercią.

— Jakiego księdza?

— Tego, o którym mi opowiadałaś. Ojca Dandridge'a. Nie ma czasu na wyjaśnienia, w każdym razie ten ksiądz nie żyje. Zabili go, bo za wiele wiedział. A teraz sądzą, że ty także wiesz

za wiele. Możesz być następna.

— Policja mnie ochroni.

— Ci ludzie też twierdzili, że są z policji.

Jill wbiła wzrok w klęczących na podłodze osiłków. Jej oczy się rozszerzyły, kiedy zrozumiała, co jej zagraża.

14

Kiedy się ubierała, Pittman bandażami i plastrem opatrunkowym związał obu „policjantom” ręce i nogi. Poganiani zbliżającymi się syrenami radiowozów, w pośpiechu opuścili mieszkanie. Przestraszeni strzałem sąsiedzi wyglądali przez uchylone drzwi, ale na widok biegnącego korytarzem Pittmana natychmiast je zatrzaskiwali.

Dobiegł pierwszy do windy, zanim jednak wcisnął przycisk, zmienił zdanie.

— Możemy zostać w niej uwięzieni — mruknął i złapał Jill za rękę. Przez chwilę się opierała, ale potem pozwoliła się pociągnąć w stronę schodów. Błyskawicznie zbiegli z czwartego piętra.

Gdy znaleźli się na parterze, syreny były już tak blisko, że przez chwilę nie wiedzieli, co robić.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — wysapał Pittman, wskazując drzwi bez numeru na końcu korytarza, nad którymi paliło się czerwone światło. — To wyjście awaryjne?

— Tak, ale...

— Chodź!

Pociągnął Jill za rękaw i podbiegli do drzwi. Pittman otworzył je i weszli do mrocznego, ciasnego pomieszczenia, z którego odchodził szyb wentylacyjny. Pod ścianami stały pojemniki na śmieci.

208

— Ślepy zaułek!

— Właśnie próbowałam ci to powiedzieć. — Jill odwróciła się, aby wrócić na korytarz. — Nie ma stąd...

— A to? — Pittman pokazał umieszczone w przeciwległej ścianie kolejne drzwi.

Podbiegł do nich i spróbował przekręcić gałkę, a gdy okazało się, że są zamknięte, jęknął sfrustrowany. Starając się opanować drżenie rąk, wyciągnął z kieszeni złodziejski przybornik. Wkrótce drzwi były otwarte. Prowadziły do holu sąsiedniego budynku. Kiedy tam weszli, Pittman zatrzasnął i zaryglował drzwi. Zanim policja je otworzy, zdążą uciec. Gdy wybiegali na Osiemdziesiątą Szóstą, Pittman w wyobraźni widział już radiowozy, podjeżdżające pod dom Jill przy Osiemdziesiątej Piątej.

Dwie przecznice na wschód był Central Park. Sportowe ubranie Jill — adidas, dzinsy, bawełniana bluza — ułatwiało jej bieg. Przyciskała torebkę do piersi. Widząc w szpitalu jej pewne, zręczne ruchy, Pittman domyślał się, że uprawia sporty, i teraz — gdy biegła ze swobodą wytrawnego maratończyka — jego domysły się potwierdziły.

Zwolnili na chwilę, żeby nie zwracać na siebie uwagi, jednak po wejściu na teren parku znowu przyspieszyli. Minęli plac zabaw dla dzieci i skręcili na południe. Przebiegli obok nastolatków grających w baseball na Wielkim Trawniku. Za teatrem Delacorte, jeziorem Belvedere i budowlą o tej samej nazwie wbiegli na jedną z wielu ścieżek, prowadzących między drzewami w głąb parku.



Zbliżała się druga po południu. Jak na kwiecień, słońce mocno przygrzewało i pot zrosił Pittmanowi czoło, a koszula przykleiła mu się do pleców. Obiegli stertę kamieni i zatrzymali się.

Z oddali dolatywało wycie kolejnych syren. Pittman oparł się plecami o drzewo, pokryte powoli pękającymi pąkami, i próbował złapać oddech.

— Nie sądzę, aby ktoś nas śledził.

— Matt, to wszystko jest nie tak...

— To znaczy?

209

Jill miała poważną minę.

— Nie podoba mi się to wszystko. Nie powinno mnie tu z tobą być. Przestraszyłam się w mieszkaniu, ale teraz ochłonęłam.

— I już się nie boisz?

— Tamci ludzie, którzy wylamali drzwi... strzeliłeś do jednego z nich... nigdy w życiu nie widziałam... sposób, w jaki ze mną rozmawiałeś... namieszaleś mi w głowie. Chyba po winnam poczekać na przybycie policji. — Przeciągnęła palcami przez włosy. — Ty też powinienesz poczekać. Policja ci pomoże.

— Wsadzą mnie do więzienia. Nigdy nie wyjdę z niego żywy.

— Zdajesz sobie sprawę, jak paranoidalnie to brzmi?

— A ty najwyraźniej uważasz, że włamywanie się do czyjegoś mieszkania z bronią w ręku to coś najnormalniejszego na świecie. Nie mam paranoi, po prostu zachowuję się od powiednio do sytuacji. Od czwartku wieczorem, gdziekolwiek się udam, ciągle ktoś próbuje mnie zabić. Nie zamierzam pozwolić, żeby policja zamknęła mnie w celi, gdzie będę najłatwiejszym celem.

— Ale policja uzna, że ja też jestem w to zamieszana.

— Bo jesteś. Ludzie w twoim mieszkaniu zamierzali cię zabić. Nie możesz polegać na policji... nie ochroni cię przed nimi.

Jill pokręciła głową.

— Posłuchaj mnie uważnie: próbuję uratować ci życie — dodał Pittman.

— Nie trzeba by mi było ratować życia, gdybyś się u mnie nie zjawił.

Pittman poczuł się, jakby dostał w twarz. Choć na ścieżce obok śmiały się dzieci, w miejscu, w którym się teraz znajdowali, zrobiło się bardzo cicho.

— Masz rację — odparł. — Przepraszam, popełniłem błąd.

— Nie, to ja przepraszam. Nie powinnam tego mówić.

Pittman kiwnął głową i ruszył przed siebie. Na lewym ramieniu zawiesił płaszcz, obciążony jego własną czterdziestkąpiątką.

210

pistoletem z tłumikiem zabranym jednemu z napastników w mieszkaniu Jill i magazynkami z pistoletów pozostałych dwóch bandziorów.

— Hej, dokąd idziesz?! — zawołała Jill.

Nie odpowiedział.

— Zaczekaj!

Ale Pittman nie zamierzał się zatrzymywać. Jill podbiegła do niego.

— Zaczekaj... Przecież powiedziałam, że cię przepraszam.

— Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą. Bardzo możliwe, że gdybym się nie pojawił, ci ludzie zostawiliby cię w spokoju. Ojciec Dandridge też pewnie by żył, gdybym do niego nie poszedł. Możliwe, że Millgate również, tak samo mój przyjaciel Burt...

— Nie! Posłuchaj mnie! — Jill złapała go za ramiona i odwróciła, by popatrzeć mu prosto w oczy. — Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą. Przepraszam, że obwiniłam cię za to, co się stało w moim mieszkaniu. Nie chciałeś nikomu zrobić krzywdy. Przyszedłeś, bo potrzebowałeś pomocy.

Nagle usłyszeli jakieś głosy i tupot stóp, jakby ktoś biegł za nimi ścieżką. Pittman wszedł między krzaki, zaciskając dłoń na pistolecie w kieszeni płaszcza. Jill wcisnęła się w zarośla obok niego. Po chwili ścieżką przebiegło trzech biegaczy w kolorowych elastycznych strojach — dwóch młodych mężczyzn i szczupła kobieta.

Znowu zapanowała cisza.

— Będziesz bezpieczniejsza, jeżeli się ode mnie odłączyś — stwierdził Pittman. — Może masz rację. Zadzwoń na policję. Powiedz, że zmusiłem cię, abyś uciekła ze mną z mieszkania. Albo że bałaś się ujawnić, ponieważ sądziłaś, że mogą cię ścigać kumple ludzi, którzy się do ciebie włamali. Możesz im nawet powiedzieć, że jestem niewinny, choć nie sądzę, żeby ci uwierzyli.

— Nie.

— Nie powiesz policji, że jestem niewinny?

— Nic nie powiem policji. Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiam, tym bardziej się z tobą zgadzam. Policja mnie

211

przesłucha i wypuści, jednak nadal będę w niebezpieczeństwie. Może uda mi się ich przekonać, że powinni zatrzymać mnie w tymczasowym areszcie, ale na jak długo? Prędzej czy później pozostawią mnie samą sobie.

— Więc co zamierzasz?

— Zostać z tobą.

— Ze mną?

— Powiedz, jak mogę ci pomóc.

—

15

Citibank, którego klientką była Jill, miał filię na południe od Central Parku, na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy i Piątej Alei. Jak zwykle w niedzielne popołudnie, w alei nie było wielkiego ruchu. Pittman powiedział dziewczynie, że policja zablokowała jego kartę kredytową.

— Chyba nie mieli jeszcze czasu zrobić nic z twoją kartą —

dodał na koniec. — Ile możesz maksymalnie podjąć?

— Nie wiem. Tysiąc dolarów?

— Tak dużo? — Pittman pokręcił głową. — Byłoby wspólnie, ale wątpię, czy uda ci się dostać do konta.

— Myślę, że mi się uda — odparła Jill z tajemniczą miną.

— Spróbuj wyciągnąć, ile się da.

Weszli do holu banku. Jill włożyła kartę do bankomatu i wykonywała polecenia, naciskając kolejne kombinacje klawiszy. Po niecałych dwóch minutach wpychała do torebki gruby plik dwudziestek i dziesiątek.

— Nie zapomnij zabrać karty — powiedział Pittman. — I pokwitowania.

Popatrzył na wydruk, zastanawiając się, czy nie ma na nim informacji, które mogłyby się przydać komuś, kto go znajdzie. Kiedy zobaczył, ile pieniędzy zostało jeszcze na koncie, nagle pojął, czemu dziewczyna miała taką tajemniczą minę.

— Osiemdziesiąt siedem tysięcy dolarów i czterdzieści trzy centy?

213

Jill zrobiła zakłopotaną minę.

— Masz na koncie fortunę.

Błękitne oczy dziewczyny błysnęły wściekle.

— Wydruk jest poufny.

— Przepraszam, spojrzałem na niego odruchowo.

— Z pewnością zdawałeś sobie sprawę, że raczej nie można utrzymać takiego dużego mieszkania na Upper West Side z pensji pielęgniarki.

Nicja to nie odpowiedział.

— Naprawdę nie miałaś pojęcia, że mam pieniądze?

— Skąd miałbym to wiedzieć?

— Moi dziadkowie założyli fundusz powierniczy. Właśnie nadszedł czas wykupu obligacji. Zastanawiam się, jak zainwestować otrzymane za nie pieniądze. Dlatego mam tyle gotówki na koncie.

Pittman patrzył na nią ze zdumieniem.

— To jakiś problem? — spytała Jill.

— Ależ nie. Jednak skoro masz tyle pieniędzy, to może zaprosisz umierającego z głodu człowieka na jakiś treściwy posiłek?

—

16

Restauracja przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Wschodniej była mała i bezpretensjonalna: z linoleum na podłodze, prostymi boksami i czerwonymi plastikowymi obrusami. Ale cielęcina z dynią, którą zamówił Pittman, była znakomita, a niezbyt drogi burgund, sprzedawany jako „wino domowe” — przepyszny.

Kilka stolików wystawiono na zewnątrz, siedzieli więc w słońcu. Pittman dojadł sałatkę.

— To już twoja druga dokładka — zauważyła Jill. — Myślałam, że nigdy się nie najesz.

— Mówiłem, że jestem bardzo głodny. To mój pierwszy przyzwoity posiłek od dłuższego czasu. Ostatnio jadałem w biegu. Nie smakowało ci?

— Jedzenie było przepyszne, ale ta restauracja raczej się nie reklamuje. Jak ją znalazłeś?

Pittman przełknął ostatni kawałek czosnkowego chleba.

— Mieszkałem tu w okolicy. Kiedy byłem żonaty.

— W czasie przeszłym? — zapytała Jill, odstawiając kiełbaski.

— Żałoba i szczęście małżeńskie raczej nie idą w parze.

— Chyba teraz to ja jestem wścibska.

— Nie mam na ten temat zbyt wiele do powiedzenia. Moja żona okazała się silniejsza ode mnie. Nie chcę sugerować, że mniej ode mnie kochała Jeremy'ego, ale ja po jego śmierci rozpadłem się na kawałki, a Ellen nie. Chyba obawiała się, że

215

zostanę taki do końca życia. Straciła syna i nagle okazało się, że traci także... Przeraziłem ją. Rozeszliśmy się, ma teraz nowego męża. Jill dotknęła jego dłoni.

— Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

— Zachowała się rozsądnie. Pewnie zostałbym taki do końca życia. W zeszły wtorek siedziałem wieczorem w domu z piszaletem w ręku, zamierzając... i właśnie wtedy zadzwonił telefon, a potem zaczęło się to całe wariactwo.

— Chcesz powiedzieć, że to, co napisano o tobie w gazetach, nie było wymysłem dziennikarzy? Naprawdę miałeś samobójcze skłonności?

— Cóż... chyba można to tak nazwać.

Jill zmarszczyła czoło.

— Mam nadzieję, że nie masz skłonności do amatorskiej psychoanalizy — mruknął Pittman. — Znam wszystkie argumenty. „Samobójstwo nie przywróci Jeremy'emu życia”. Jasne, ale przerwie ból. Kolejny brzmi następująco: „Jeżeli popełnisz samobójstwo, zmarnujesz życie, za które Jeremy oddałby wszystko”. Problem w tym, że gdybym się zabił, niczego bym nie zmarnował. Moje życie nie ma żadnej wartości. Wiem, że idealizowałem Jeremy'ego i że po jego śmierci zrobiłem z niego kogoś inteligentniejszego, bardziej utalentowanego i weselszego, niż był w rzeczywistości, ale on na prawdę był inteligentny, utalentowany i wesoły. Nie idealizowałem go aż tak bardzo. Same piątki w szkole. Poczucie humoru, które zawsze mnie zadziwiało. Doprowadzał mnie do śmiechu, kiedy tylko zechciał. Miał dopiero piętnaście lat. Cały świat należałby do niego. Jednak zachorował na raka i mimo wysiłków lekarzy umarł. A jakiś nieletni gangster, który ze spluwą w garści terroryzuje być może właśnie w tej chwili obsługę sklepu monopolowego, żyje. Świat, który tak bardzo stracił równowagę, przerasta mnie. Nie potrafię żyć na świecie, na którym dla mojego syna wszystko już się skończyło. Nie mogę znieść wspomnienia wyrazu twarzy cierpiącego Jeremy'ego, coraz bardziej dręczonego przez chorobę. Nie mogę...

216

Pittman urwał, bo uświadomił sobie, że mówi coraz szybciej i szybciej, kolejni goście odwracają się do niego z niepokojem, a Jill opadła na oparcie krzesła. Uniósł dłoń w niemych przeprosinach.

— Nie obawiaj się — powiedziała Jill. — Nie zamierzam bawić się w psychoanalitka amatora.

— Czasami to wszystko za bardzo we mnie narasta i wtedy mówię więcej, niż powinienem...

— Rozumiem.

— Jesteś bardzo uprzejma, ale nie musisz tego wysłuchiwać.

— Nie jestem „uprzejma”, a ty najwyraźniej potrzebowałeś to z siebie wyrzucić.

— Chyba nic z tego.

— Słucham?

— Niczego z siebie nie wyrzuciłem. Wydaje mi się... —

Pittman odwrócił wzrok. — Lepiej, żebyśmy zmienili temat.

Jill złożyła serwetkę i starannie zagięła jej krawędzie.

— W porządku. Teraz opowiedz, co się stało we wtorek wieczorem. Jak zostałeś w to wszystko zamieszany.

— Dobrze — odparł Pittman. — Opowiem ci też całą resztę.

Zajął mu to godzinę. Tym razem mówił cicho i spokojnie, a kiedy ktoś się zbliżał, przerywał. Kontynuował opowieść, gdy Jill zapłaciła rachunek i wolnym krokiem ruszyli wzdłuż Siedemdziesiątej Dziewiątej.

— To koszmar.

— Przysięgam, że to prawda.

— Musi być jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego.

— Ja go nie znalazłem, choć bardzo się starałem.

— Może patrzysz na to z niewłaściwej perspektywy. Może ktoś powinien się temu przyjrzeć z innej strony. Zastanówmy się... Wiemy, że ludzie Millgate'a zabrali go ze szpitala, ponieważ w ręce jednego z dziennikarzy trafił tajny raport Departamentu Sprawiedliwości, który sugerował udział Millgate'a w zakupie broni atomowej z krajów byłego Związku Radzieckiego. Bali się, że w szpitalu pojawią się reporterzy i uda im się zadać mu kilka pytań w tej sprawie.

— Obawiali się także ojca Dandridge'a — dodał Pittman. —

217

Przypuszczali, że Millgate mógł mu coś zdradzić podczas spowiedzi. Albo że mu to ujawni, jeśli zobaczy się z nim we wtorek wieczorem.

— Pojechałeś za Millgate 'em do Scarsdale. Wszedłeś do jego pokoju, żeby mu pomóc, ale niespodziewanie pojawiła się pielęgniarka i zobaczyła cię przy jego łóżku.

— Słyszała, że Millgate coś do mnie mówi. Duncan. Coś o śniegu. Grollier. — Pittman pokręcił głową. — Ojciec Dandridge powiedział mi jednak, że Grollier to nie nazwisko, ale prywatne liceum, do którego chodził Millgate.

— Dlaczego miałyby to być aż tak ważne, żeby stać się powodem morderstwa?

Kiedy dotarli do Piątej Alei, Pittman zadrżał.

— Co się stało? — spytała Jill.

Pittman patrzył w prawo, gdzie schodami Metropolitan Museum of Art płynął strumień ludzi. W tłumie krążyli obwoźni handlarze, zatłoczoną ulicą przejeżdżały taksówki i autobusy. Porządku pilnowali policjanci na koniach.

— Chyba czuję się tu za bardzo odsłonięty. — Pittman spojrzał na pełen broni płaszcz, który przewiesił sobie przez lewe ramię, i poprowadził Jill z powrotem Siedemdziesiątą Siódmą. — Chcę się czegoś dowiedzieć o tej szkole Grolliera.

— Jak zamierzasz to zrobić? Jedyne miejsce, gdzie można byłoby zasięgnąć informacji, to biblioteka albo jakiś uniwersytet, ale przecież jest niedziela. Wszystko pozamykane.

— Może znajdzie się inny sposób.

—

17

Z okien świeżo wypiaszkowanego apartamentowca na końcu Osiemdziesiątej Drugiej Wschodniej rozciągał się widok na Roosevelt Drive i East River. Kiedy weszli w ciemną uliczkę o nazwie Gracie Terrace, słyszeli dobiegające z przejazdu pod nimi dudnienie samochodów. Dochodziła piąta po południu. Temperatura szybko spadała.

Jill popatrzyła na elegancki ceglany budynek.

— Znasz kogoś, kto tu mieszka?

— To człowiek, z którym kiedyś robiłem wywiad. Kiedy to wszystko się zaczęło, zastanawiałem się, do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc, i uświadomiłem sobie, że podczas swojej pracy robiłem wywiady z ludźmi o przeróżnych specjalnościach, które mogą mi się teraz przydać. Policja na pewno obserwuje mieszkania moich przyjaciół i byłej żony, ale nie przyjdzie im do głowy, że mógłbym pójść do ludzi, z którymi kiedyś przeprowadzałem wywiady.

Był zdenerwowany, ale wziął się w garść i ruszył do przodu. W jasnym, czystusińskim holu przywitał ich umundurowany portier.

— Mogę w czymś pomóc?

— Szukam profesora Folsoma. Czy jest teraz w domu?

— Właśnie wrócił z popołudniowego spaceru. Spodziewa się państwa?

Pittman odetchnął z ulgą. Obawiał się, że profesor Folsom

219

się przeprowadził, a może nawet zmarł — nie byłoby w tym zresztą niczego dziwnego z uwagi na jego podeszły wiek.

— Proszę mu powiedzieć, że jestem dziennikarzem i chciałbym porozmawiać z nim o odkrytym przez niego manuskrypcie Walta Whitmana\*.

— Oczywiście, proszę pana.

Czekali, aż portier dojdzie do stojącego na kontuarze recepcji telefonu i zadzwoni.

— Manuskrypt Whitmana? — szepnęła Jill. — Co Whitman ma wspólnego z...

Portier wrócił.

— Profesor Folsom z przyjemnością się z panem spotka — oświadczył, po czym podał im numer mieszkania i zaprowadził

do znajdującej się w głębi holu windy.

— Dziękuję.

— Whitman? — powtórzyła Jill, kiedy weszli do kabiny.

— Profesor Folsom jest znawcą Whitmana i wykładał literaturę amerykańską na uniwersytecie Columbia. Od piętnastu lat jest na emeryturze, ale w dalszym ciągu prowadzi badania. Pięć lat temu w starych dokumentach natknął się na manuskrypt Whitmana... Przynajmniej on sam uważa, że to manuskrypt tego poety, bo inni literaturoznawcy mają wątpliwości. Temat wydał mi się ciekawy, więc napisałem o tym artykuł. Folsom jest niesamowity.

— Zapamiętał cię? Nie zadzwoni na policję?

— Jak miałby skojarzyć dziennikarza, z którym rozmawiał pięć lat temu, z dzisiejszymi wiadomościami? Poza tym nie ma telewizora i uważa, że rozmowa z reporterem prasowym to dobra zabawa.

— Dlaczego?

— Bo bardzo rzadko czyta gazety.

— Więc w jaki sposób się dowiaduje, co się dzieje na świecie?

— Nie dowiaduje się. Fascynuje go historia, nie teraźniejszość. Poza tym jest ekspertem w dziedzinie amerykańskiej

—

220

d

\* Walt Whitman (1819—1892) —jeden z najbardziej znanych amerykańskich poetów.

edukacji szkolnej. Nie ma chyba żadnej średniej i wyższej szkoły w kraju, o której by nie słyszał.

Kiedy winda zatrzymała się na czternastym piętrze, wysiedli i zapukali do gabinetu Folsoma.

Przez uchylone drzwi wyrżał wysoki, szczupły, zgarbiony starszy pan. Miał na sobie brązową sportową marynarkę w jodełkę, białą koszulę i żółty krawat w paski. Jego krótko przystryżona broda i długie włosy były śnieżnobiałe. Na nosie tkwiły okulary w wielkich metalowych oprawkach, które tylko częściowo ukrywały głębokie zmarszczki wokół oczu.

— Dzień dobry, profesorze. Nazywam się Peter Logan, a to moja znajoma Jill.

— Portier powiedział mi, że jest pan dziennikarzem — odparł profesor cichym, łagodnym głosem.

— Piszemy artykuł, który ma być kontynuacją materiału na temat odkrytego przez pana manuskryptu Whitmana. Kiedy go publikowaliśmy, było wokół tej sprawy sporo kontrowersji i chcielibyśmy się dowiedzieć, jak zostały rozstrzygnięte.

— Naprawdę sądzi pan, że może to zainteresować waszych czytelników?

— Mnie interesuje.

— Proszę wejść. Rozmowa o Whitmanie zawsze jest dla mnie przyjemnością.

Kiedy przechodzili przez hol, minęli stary stolik z drewna orzechowego. Przez otwarte drzwi do pokoi po prawej i lewej stronie widać było inne antyki, równie dobrze utrzymane.

— Piękna kolekcja — stwierdził Pittman.

— Dziękuję.

Weszli do salonu, wypełnionego pięknymi meblami.

— Same amerykańskie—powiedział profesor Folsom z wyrażoną satysfakcją. — Z drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Ten sekretarzyk należał do Nathaniela Hawthorne'a. A ten kredens do Emersona. Ten bujany fotel do Melville'a. Kiedy jeszcze żyła moja żona... — popatrzył na wiszące na ścianie zdjęcie sympatycznie wyglądającej kobiety — ...naszym hobby było zbieranie takich rzeczy.

— Ma pan coś, co należało do Whitmana?

221

— Ten stary lis najczęściej podróżował bez większego bagażu, ale udało mi się znaleźć to i owo. Trzymam te rzeczy w sypialni. Należało do niego łóżko, na którym śpię — oświadczył profesor Folsom. — Proszę usiąść. Może herbaty?

— Herbata byłaby doskonała — odparła Jill.

Przez następne pół godziny dyskutowali o poezji i manuskryptach. Folsom był jednym z najbardziej intrygujących ludzi, jakich Pittman spotkał w życiu. Jego spokój był zdumiewający. Pittman zazdrościł mu i zastanawiał się, jak można dożyć takiego sędziwego wieku — w dodatku samotnie — i nie zgorzknieć, nie popaść w rozpacz.

Kiedy w końcu wstali i zaczęli się żegnać, postanowił zadać najważniejsze pytanie.

— Bardzo panu dziękujemy, profesorze, że poświęcił nam pan swój czas — powiedział.

— Żaden problem. Mam mało gości, zwłaszcza od śmierci żony. Jej obecność zmuszała mnie do większej aktywności. Przestali mnie też odwiedzać studenci.

— Może mógłby mi pan pomóc w jeszcze jednej kwestii... Mam przyjaciela, który szuka dla syna dobrego prywatnego liceum. Zamierza posłać go potem do Harvardu albo Yale i myślał o Grollierze.

— O Akademii Grolliera? W Vermoncie? Jeżeli pański przyjaciel nie jest bogaty i nie ma arystokratycznego rodowodu, jego syna nie przyjmą do niej.

— Jest aż tak ekskluzywna?

— Liczba uczniów nie przekracza trzystu. Co roku przyjmuje się maksymalnie siedemdziesięciu nowych, a każde miejsce jest zazwyczaj rezerwowane już w chwili, gdy przyszły uczeń przychodzi na świat. Koszt internatu, wyżywienia i nauki wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, poza tym od rodziców oczekuje się także szczodrych datków na rzecz szkoły.

— To rzeczywiście zbyt dużo dla mojego przyjaciela. Profesor Folsom kiwnął głową.

— Nie akceptuję wykształcenia opartego na majątku i przywilejach. Jednak oferta edukacyjna tej szkoły jest znakomita. Jak na mój gust nieco zbyt powściągliwa i konserwatywna, ale znakomita.

222



— Powściągliwa? Konserwatywna?

— Nie akceptuje indywidualizmu. System jest tak skonstruowany, że nie pozwala uczniowi na samodzielny wybór drogi kształcenia. Przedmioty są narzucane. Łacina. Greka. Historia świata, ze szczególnym naciskiem na historię Wielkiej Brytanii. Filozofia, zwłaszcza antyczna. Nauki polityczne. Literatura europejska, znowu z naciskiem na brytyjską. Bardzo mało literatury amerykańskiej. Ekonomia. Algebra, rachunek różniczkowy. No i oczywiście sport. Kto idzie do Akademii Grolliera i nie uprawia sportu — zwłaszcza futbolu i wioślarstwa, uczy cych zespołowego działania — wkrótce zostaje odrzucony.

— Przez uczniów?

— A także przez dyrekcję szkoły. — Profesor Folsom wes tchnął. — Akademia Grolliera istnieje po to, by tworzyć nowych graczy establishmentu. W elitarnym, patrycjuszowskim społeczeństwie nonkonformistyczne postawy nie są uważane za cnotę. Elita preferuje ostrożność i ugodowość. Uczniowie Akademii Grolliera są poddawani działaniom, w efekcie których zaczynają myśleć i zachowywać się jak członkowie szczególnej społeczności, którą mają reprezentować.

— Brzmi to jak programowanie robotów.

— W pewnym sensie każdy proces edukacyjny jest programowaniem, ale w Grollierze odbywa się to w bardzo konsekwentny sposób. Wielu absolwentów się wybiło. — Profesor wymienił nazwiska kilku ambasadorów, senatorów i gubernatorów oraz jednego prezydenta. — Nie należy także zapominać o wielu znanych amerykańskich bankierach.

— Chyba Jonathan Millgate też chodził do tej szkoły.

— Zgadza się. Wśród absolwentów tej szkoły są również liczni dyplomaci. Eustace Gable. Anthony Lloyd.

Nazwiska te były dla Pittmana ogromną niespodzianką.

— Eustace Gable? Anthony Lloyd?

— Doradcy wielu prezydentów. Osiągnęli tak wiele na tym polu, że zaczęto ich nazywać Wielkimi Doradcami.

Pittman z trudem opanował podniecenie.

— Cóż za niezwykła szkoła — powiedział.

— Owszem... dla szczególnego rodzaju uczniów.

—

18

Kiedy wyszli na ulicę, miasto spowijał mrok, cienie zgęstniały i zrobiło się znacznie chłodniej. Pittman drżał na całym ciele, ale nie z zimna. Gdy dotarli do końca zaułka, weszli schodami na promenadę z widokiem na East River.

— Akademia Grolliera. Nie tylko Jonathan Millgate, ale także Eustace Gable i Anthony Lloyd — mruknął Pittman.

— Wielcy Doradcy.

— Nie miałem o tym pojęcia. Sądzisz, że Winston Sloane i Victor Standish też chodzili do tej szkoły?

— Nawet jeśli, to co by z tego wynikało?

— No właśnie... — Pittman czuł tępe pulsowanie w skroniach. — O co takiego może chodzić z tą Akademią Grolliera, że pozostali Wielcy Doradcy zabili Millgate'a i oskarżyli mnie o to zabójstwo, a potem zastrzelili ojca Dandridge'a? Wszystko po to, aby nikt się nie dowiedział, że Millgate miał obsesję na punkcie tego liceum.

— Możemy się mylić. Może majaczył?

— Nie. Nie wierzę w to. Gdybyśmy się mylili, musiałbym się poddać. Nie wiedziałbym, co robić dalej. — Pittman znowu się wzdrygnął i założył płaszcz. Pistolety w obu kieszeniach ciążyły. — Teraz też nie wiem... Co będzie z tobą? Wkrótce zrobi się ciemno. Nie możesz wrócić do domu, nie możesz też wynająć pokoju, używając karty kredytowej.

— A gdzie ty spędzisz noc?

224

Pittman nie odpowiedział.

— A poprzednie noce? — spytała Jill. — Gdzie je spędziłeś?

— Na ławce w parku i na podłodze oddziału intensywnej opieki medycznej.

— Boże drogi...

— Może pójście na policję to wcale nie taki zły pomysł.

Zadzwoń do nich. Może dadzą ci ochronę.

— Tylko na jak długo? Prędzej czy później stracą czujność.

Nie, wolę zostać z tobą.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł.

— Ale mnie to akurat najmniej przeraża. Poza tym nie wiesz o mnie jeszcze jednej rzeczy... — dodała Jill.

— Poza pieniędzmi?

— Cóż... nie muszę pracować na życie. Jestem pielęgniarką, bo tego chcę. A właśnie teraz...

— Co?

— Miałabym wyrzuty sumienia, gdybyś poniósł klęskę.

Potrzebujesz pomocy.

Pittman poczuł ucisk w piersi. Dotknął dłoni Jill.

— Dziękuję ci.

— Jeśli cię zostawię, kto ci zmieni bandaż na dłoni?

Uśmiechnął się.

— Powinieneś częściej się uśmiechać — powiedziała i po patrzyła w stronę East End Avenue. — Powinnam poszukać automatu i zadzwonić do szpitala, że nie będzie mnie na dyżu rze — dodała. — Żeby mieli czas znaleźć zastępstwo.

Kiedy wyszła z budki, miała zaniepokojoną minę.

— Co się stało?

— Przełożona powiedziała, że kontaktowała się z nią policja.

— Musieli skojarzyć cię ze szpitalem po obejrzeniu twojego mieszkania.

— Powiedziała też, że dzwonił do niej ktoś jeszcze, jeden z moich przyjaciół, i powiedział, że nic mi nie jest, ale nie pojawię się w pracy.

— Co za przyjaciel?

— Jakiś mężczyzna.

— To ludzie Millgate'a. Gdybyś poszła dziś do szpitala,  
225

prawdopodobnie nie dotarłabyś na piąte piętro, ale przełożona nie byłaby na tyle zaniepokojona, żeby zawiadomić policję... bo przecież twój „przyjaciel” powiedział, że nic ci nie jest.

— Naprawdę zaczynam się bać.

— W dalszym ciągu nie rozwiązaliśmy twojego problemu.

Gdzie będziesz spać?

— Mam lepszy pomysł...

— Jaki?

— Bądźmy przez cały czas w ruchu.

— Nie wytrzymamy.

— Niekoniecznie. Musisz iść do biblioteki, a otworzą ją dopiero jutro rano.

— Zgadza się.

— Ale w innych miastach też są biblioteki. Zamiast czekać, wykorzystajmy ten czas. Prześpijmy się w pociągu.

— W pociągu?

— Kiedy wybieram się tam na narty, zawsze jadę nocnym.

Pittman w dalszym ciągu nic nie rozumiał.

— Gdzie? — zapytał.

— Do Vermontu.

— Oczywiście! Akademia Grolliera w Yermencie...

—

CZTERY

1

W pociągu nie było wagonu sypialnego, ale nie miało to specjalnego znaczenia, bo Pittman był tak zmęczony, że zasnąłby wszędzie. Kiedy tylko pociąg opuścił Penn Station, zabrali się do kanapek i kawy, które Jill kupiła na dworcu. Musiała także kupić bilety. Co prawda na pokazywanym w prasie i telewizji zdjęciu Pittman wyglądał inaczej niż teraz, jednak musiał zachować ostrożność. Usiedli przy oknie, w wagonie, w którym było mało osób.

Rytmiczny stukot kół na szynach hipnotyzował i usypiał. Pittman rzucił okiem na pozostałych pasażerów wypełnionego do połowy wagonu, aby sprawdzić, czy nikt mu się zbytnio nie przygląda, a potem popatrzył na światła mijanych przez pociąg budynków. Czuł, że powieki zaczynają mu coraz bardziej ciążyć. Oparł się o torbę, którą zabrał z poddasza Seana O'Reilly'ego, i zanim zdążył zapytać Jill, jak długo potrwa podróż, zasnął.

i

— Obudź się!

Poczuł, że ktoś go szturcha.

— Czas wracać do rzeczywistości.

Powoli otworzył oczy.

Obok niego siedziała Jill, trzymając dłoń na jego barku. Umyła twarz i uczesała włosy. Mimo wczesnej pory sprawiała wrażenie całkowicie przebudzonej — nie mówiąc już o tym, że wyglądała bardzo atrakcyjnie.

— Wiesz co? — powiedziała. — Chrapiesz.

— Przepraszam.

— Nie ma problemu. Musisz być wykończony. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko zasnął w takiej niewygodnej pozycji.

— W porównaniu z parkową ławką czułem się jak w Ritzu.

— Pamiętasz, że się przesiadaliśmy?

Pokręcił głową. Wagon był niemal pusty. Nikt nie mógł podsłuchać, o czym rozmawiają.

— To był bardzo przekonujący pokaz lunatykowania — stwierdziła Jill. — Gdybyśmy nie musieli się przesiąść, pewnie nawet byś nie wstał do toalety.

Pittman powoli się wyprostował. Bolały go plecy.

— Gdzie jesteśmy?

— Kilka kilometrów od Montpelier w Vermoncie — odparła Jill i odsłoniła okno.

230

Choć słońce dopiero wychodziło zza horyzontu, Pittman musiał zmrużyć oczy, bo linia sosen nagle się skończyła. Zobaczył stado bydła, pasące się na stromym pastwisku. Na drzewach, rosnących na pagórkach za wąską doliną, widać było resztki śniegu.

— Która godzina?

— Piętnaście po szóstej.

— Została nam kawa z wczoraj?

— Chyba jeszcze śnisz.

— W takim razie obudź mnie, kiedy będzie po wszystkim.

— Daj spokój. Weź się w garść. Kiedy pociąg się zatrzyma, musimy być gotowi do działania.

— Zawsze masz tyle energii o tej porze?

— Tylko wtedy, gdy się boję. Dla kogoś, kto pracuje na nocnej zmianie, to\* nie poranek, ale późne popołudnie.

— Nie dla mnie — mruknął Pittman. Czuł się, jakby mu nasypano piachu w oczy.

— Powiem ci coś, co cię rozkręci...

— Oby to było coś miłego.

— Śniadanie. Ja płacę.

— Ponieważ nie mam grosza przy duszy, i tak musiałybyś to zrobić.

—

— Montpelier? Brzmi z francuska — stwierdził Pittman.

— Pierwsi tutejsi osadnicy pochodzili z Francji.

Siedzieli w restauracji, przy oknie z widokiem na stojące wzdłuż malowniczej ulicy nowoangielskie budynki.

— I to jest stolica Vermontu? Chyba nie mieszka tu zbyt wielu ludzi.

— Poniżej tysiąca. W całym stanie mieszka jedynie sześćset tysięcy.

— Dobre miejsce na kryjówkę.

— Albo na elitarną szkołę oddaloną od dużych ośrodków miejskich, żeby jej uczniowie nie zostali skażeni ideami szerokiego świata.

Pittman upił łyk kawy.

— Czyżbym słyszał w twoim głosie lekką złość?

— Więcej niż lekką. Moi rodzice próbowali mnie właśnie w ten sposób wychować... chcieli, żebym uważała się za lepszą od zwykłych ludzi. Są przerażeni, że jestem pielęgniarką. Tylu chorych ludzi... tyle krwi...

— Zaczynam mieć wrażenie, że za tobą stoi trochę więcej pieniędzy niż...

— Dobrze wychowani ludzie nie rozmawiają o takich sprawach.

— Zawsze miałem problemy z dobrymi manierami.

— To są miliony.

232

Pittman zamrugął i odstawił filiżankę.

— Nie wiem ile — dodała Jill. — Rodzice nie chcą o tym mówić. Nie podzielają moich poglądów na temat tego, jak powinna wyglądać moja przyszłość, więc próbowali mnie straszyć wydziedziczeniem.

— Czy to właśnie miałaś na myśli, mówiąc o funduszu powierniczym ustanowionym przez dziadków?

— Dziadkowie zarobili nasze pieniądze, ale umieli posługiwać się nimi normalnie. A moi rodzice uważają, że pieniądze dają im prawo do spoglądania na innych ludzi z góry.

— Jesteś na nich zła?

— Mówiłam ci, że chcę pomagać ludziom, a nie ignorować ich albo wykorzystywać. Dziadkowie przewidzieli, jaką drogę wybiorę w życiu, i dlatego zapewnili mi niezależność, zakładając dla mnie fundusz powierniczy.

— Myślimy bardzo podobnie. Kiedy byłem dziennikarzem...

— Jak to? Przecież ciągle nim jesteś.

— Nie. Teraz piszę nekrologi. Był jednak taki czas... przed śmiercią Jeremy'ego, zanim się rozpadłem... wtedy najbardziej lubiłem pisać artykuły ujawniające korupcję przedstawicieli establishmentu, zwłaszcza członków rządu. Szczególną przyje mność sprawiało mi ściąganie ich z piedestału i zmuszanie do tego, aby posmakowali, jak wygląda życie zwykłych ludzi.

— Jonathana Millgate'a też ściągnałeś z piedestału, prawda?

— Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

— Bądź ostrożny. Jeśli powiesz coś takiego nieodpowiedniej osobie, może uznać, że chciałeś...

Nie dokończyła, bo przyniesiono śniadanie: grejpfruta, naleśniki i jogurt dla niej, a dla Pittmana zapiekankę z ziemniaków, jajka i bekon.

— Nigdy nie wrócisz do formy, jeśli będziesz się tak od

żywił — stwierdziła.

— Zamówiłem tosty z mąki pełnoziarnistej. Poza tym ostatnio zużywam sporo energii.

— Oczywiście. Nie jesteś jeszcze w wystarczającym niebezpieczeństwie... dlatego musisz zamawiać na śniadanie karę śmierci.

233

— Próbuję jeść!

Zachichotała, po czym rozejrzała się po rustykalnym wnętrzu, wyposażonym w sprzęty z ciemnego drewna.

— Poczekaj... — powiedziała po chwili.

— Co się stało?

— Ktoś zostawił na stoliku gazetę. „USA Today”.

Kiedy wróciła z dziennikiem i popatrzyła na pierwszą stronę, zeszywniała.

— Chyba straciłam apetyt.

— Złe wieści?

Kelnerka sadzała właśnie przy stoliku obok parę w średnim wieku. Jill podała gazetę Pittmanowi.

— Niektóre rzeczy lepiej pominąć milczeniem.

Przejrzał artykuł, z każdym zdaniem coraz bardziej tracąc dobry humor. „Amok oszalałego autora nekrologów trwa”, informował tytuł. Oskarżano go o zamordowanie księdza Dan-dridge'a oraz mężczyzny, który wraz z dwoma innymi został wysłany do mieszkania pielęgniarki Jill Warren przez syna Jonathana Millgate'a z podziękowaniami za fachową opiekę podczas pobytu ojca na oddziale intensywnej opieki medycznej. Był także podejrzewany o porwanie Jill Warren.

— Coraz gorzej i gorzej — mruknął ponuro. — Może powinienem się powiesić i sprawa by się zakończyła.

— Nie mów takich rzeczy. Nawet w żartach.

Pittman milczał przez chwilę.

— Wiesz co? To naprawdę był żart... o tym, że powinienem się powiesić. Jestem zdumiony. Dwa dni temu nie potrafiłbym w ten sposób żartować.

Jill popatrzyła na niego.

— Może w takim razie cała ta sprawa przyniesie jakąś korzyść.

Pittman wskazał gazetę.

— W tej chwili raczej się na to nie zanosi. Lepiej stąd chodźmy. Mamy mnóstwo rzeczy do załatwienia.

— Bibliotekę?

— Właśnie. — Pittman wstał. — W większości bibliotek mają aktualizowany co roku Amerykański słownik biograficzny.

234

Zawiera on krótkie życiorysy niemal wszystkich znanych osób w Stanach Zjednoczonych. Dowiemy się z niego, którzy z Wielkich Doradców chodzili do Grolliera. Może bibliotekarz pomoże nam w jeszcze jednej sprawie.

— To znaczy?

— Wytłumaczy nam, jak dotrzeć do tej szkoły.

—  
— Czteryście dolarów? — zdziwiła się Jill.

— Wiem, mnie też wydaje się to podejrzane, ale chyba nic lepszego nie znajdziemy. Każdy z pozostałych wozów na tym placu kosztuje znacznie więcej, niż mamy w gotówce.

Sprzedawca samochodów, wysoki chudzielec w muszce, obserwował przez okno swojego biura Pittmana i Jill, oglądających szarego plymoutha duster z 1974 roku. Dwu-drzwiowy sedan miał sylwetkę, którą kiedyś uważano za sportową, ale rdza na zderzakach i popękany plastik składanego dachu dowodziły, że w czasie eksploatacji go nie oszczędzano.

— Wobec tego nie płacimy gotówką — powiedziała Jill. — Dam mu czek i weźmiemy coś porządnego.

— Nie możesz. Jesteśmy z innego stanu, więc sprzedawca zadzwoni do twojego banku, żeby go sprawdzić — odparł Pittman, który robił kiedyś wywiad z prywatnym detektywem, specjalizującym się w ściganiu oszustów używających fałszywych czeków. — Policja na pewno powiadomiła bank, że powinni zwracać uwagę na wszelkie próby podjęcia pieniędzy z twojego konta. Założę się, że Wielcy Doradcy również wykorzystali swoje wpływy, aby informowano ich o takich próbach. Dlatego nie możemy wynająć samochodu, bo do tego także potrzebna byłaby karta kredytowa. Gdyby nazwisko kogoś z nas znalazło się w komputerze, byłoby po nas. Ludzie Wiel-

kich Doradców nie musieliby się długo zastanawiać, co robimy w Vermoncie, i wątpię, czy dotarlibyśmy do Akademii Grolliera.

— Czteryście dolarów... — Jill z odrazą popatrzyła na za rdzewiały wrak.

— Kiedy ma się tylko tysiąc, to fortuna, ale nie mamy wyboru. I tak stargowaliśmy pięćdziesiąt dolarów.

— Jesteś pewien, że nie rozleci się zaraz za bramą?

— Ten samochód ma chryslerowski silnik typu Slant Six\*, który jest niemal niezniszczalny.'

— Nie wiedziałam, że znasz się na mechanice.

— Bo się nie znam.

— Więc skąd...

— Pisałem kiedyś artykuł o handlu używanymi samochodami i o tym, jak poznać, czy kupujący jest oszukiwany.

- Niesamowite. Zaczynam sądzić, że jesteś sumą przeprowadzonych przez siebie wywiadów.

- Coś w tym rodzaju.

— I myślisz, że kupując tę kupę złomu, zrobimy dobry interes?

- Tylko wtedy, jeśli dostaniemy pełny bak paliwa.

\* Sześciocylindrowy górnozaworowy silnik, wprowadzony do użytku w 1960 roku, który miał cylindry odchylone ok. 30 stopni od pionu (ale nie był to ułożony ukośnie zwykły silnik). Jego niezawodność i długowieczność przeszły do legendy.

Po opuszczeniu Montpelier skierowali się na północny zachód i wjechali między wysokie wzgórza, ciągnące się po obu stronach Route 89. Duster spisywał się lepiej, niż Pittman się spodziewał — jego sześciocyndrowy silnik brzmiał mocno i równo pracował.

Ponieważ obandażowana dłoń utrudniałaby mu prowadzenie, za kierownicą siedziała Jill. Otworzyła okno.

— Poprzedni właściciel lubił cygara — mruknęła.

— Ale tapicerka nie wygląda najgorzej. Czego nie da się powiedzieć o mnie. Przed wizytą w Grollierze powinienem trochę doprowadzić się do porządku. — Pittman wyjął z torby zasilaną bateriami maszynkę do golenia. Kiedy się golił, obserwował porośnięte lasem szczyty wzgórz. — Z mapy, którą dostaliśmy od sprzedawcy, wynika, że to Góry Zielone. Dziwna nazwa jak na miejsce znane z narciarstwa.

— Mówiłam ci przecież, że pierwszymi osadnikami na tych terenach byli Francuzi. „Vermont” to po francusku mont vert, czyli „zielona góra”.

— Jak tu spokojnie... Co może być w Akademii Grolliera aż tak przerażającego dla Wielkich Doradców?

— Amerykański słownik biograficzny w bibliotece niewiele nam pomógł — stwierdziła Jill. — Profesor Folsom miał rację:

238

Eustace Gable, Anthony Lloyd i Jonathan Millgate chodzili do Grolliera, ale w adnotacjach dotyczących pozostałych dwóch Wielkich Doradców nic o tym nie wspomiano.

— To jeszcze niczego nie dowodzi. Albo tu nie chodzili, albo woleli to ukryć.

Kiedy duster wyjechał zza zakrętu, ukazała się przed nimi otoczona sosnami wirginijskimi łąka. Pittman był tak zamyślony, że w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie.

— Może uznali, że to zaszkodziłoby ich wizerunkowi, gdyby świat się dowiedział, że chodzili do tego samego prywatnego liceum?

— Dlaczego to miałoby im zaszkodzić? — zapytała Jill.

— Byłoby od razu widać, jaka z nich endogamiczna klika. To jedna z najbardziej charakterystycznych i jednocześnie najpilniej ukrywanych cech władzy. Jest wiele elitarnych prywatnych liceów, które przygotowują członków przyszłego establishmentu do studiów na uniwersytetach Ligi Bluszczonej\*. Po ich ukończeniu ci młodzi ludzie udają się do Waszyngtonu i opanowują określone sfery rządowe. Na przykład CIA jest związana z Yale, a do Departamentu Stanu najczęściej trafiają ludzie z Harvardu. Administracja Clintona miała bliskie związki z wydziałem prawa Yale. Ale to jeszcze nie wszystko. Uniwersytety zrzeszone w Lidze Bluszczonej mają tajne stowarzyszenia, a do najbardziej prestiżowych z nich, na przykład Czaszki i Piszczeli, przyjmowani są niemal wyłącznie członkowie establishmentu. Prezydent Stanów Zjednoczonych mianuje potem na stanowiska rządowe swoich kolegów z roku i członków tej samej korporacji studenckiej. Zostają ambasadorami albo doradcami. Kiedy kończy się jego kadencja, mianowani przez niego urzędnicy przenoszą się do sektora prywatnego, gdzie jako



\* Liga Bluszczowa (ang. Ivy League) — stowarzyszenie ośmiu elitarnych uniwersytetów amerykańskich znajdujących się w północno-wschodniej części USA (Uniwersytet Browna, Uniwersytet Columbii, Uniwersytet Cornella, Dartmouth College, Uniwersytet Harvarda, Uniwersytet Pensylwanii, Princeton, Yale). Nazwa pochodzi od bluszczu, porastającego stare uniwersyteckie budynki. Używa się także określenia The Ancient Eight (Stara Ósemka).

239

członkowie zarządów różnych korporacji wykorzystują swoje wpływy w Waszyngtonie. Czasami zakładają firmy doradcze i opiekują się zagranicznymi firmami. Właśnie dlatego chciałem zrzucić Millgate'a z piedestału. Byłem przekonany, że współpracuje z producentami broni. Opowiadał się za uczestnictwem Stanów Zjednoczonych w konfliktach militarnych w Korei, Wietnamie, Panamie i Iraku. Czy miało to służyć dobru kraju i świata, czy może raczej producentom broni i szwajcarskiemu .kontu Jonathana Millgate'a? Jednym z powodów nasilenia korupcji w kręgach rządzących jest to, że tylko nieliczni politycy i dyplomaci mają odwagę zakwestionować zachowanie swojego byłego kolegi z roku albo korporacji studenckiej. Stary, dobry kompan popełnił błąd, biorąc łapówki, ale jest w porządku. Nie ma sensu go denuncjować i sprawiać mu kłopotów. Takie układy i związki są znacznie ważniejsze od reprezentowania amerykańskiego wyborcy i dbania o jego interesy... Słyszałaś o Bo-hemian Club?

— Nie.

— To również tajne stowarzyszenie, klub zrzeszający wy łącznie mężczyzn, którzy co roku spotykają się na letnim obozie w ukrytej wśród lasów Kalifornii posiadłości. Należą do niego najpotężniejsi ludzie w Stanach Zjednoczonych: senatorowie, członkowie gabinetu, wielcy finansisci, członkowie zarządów wielkich korporacji. Byli w nim wszyscy republikańscy prezydenci od Nixona począwszy. Każdy może zaprosić podobnego rangą gościa z zagranicy. I co robią wtedy ci wpływowi ludzie? Upijają się, śpiewają przy ognisku, odgrywiają skecze i orga nizują zawody w sikaniu na odległość\*.

\* Spotkania te odbywają się od roku 1873 w posiadłości o nazwie Bohe-mian Grove. Niektórzy twierdzą, że poza wyżej wymienionymi zabawami uczestnicy „oboza” korzystają także z usług luksusowych prostytutek i przeprowadzają okultystyczne rytuały. Podobno obecnie liczba członków klubu przekracza dwa tysiące osób, a należeli do niego m.in. prezydenci Eisenhower, Nixon, Reagan i Bush. W 2004 roku amerykańskiemu dziennikarzowi telewizyjnemu Alexowi Jonesowi udało się sfilmować z ukrycia niektóre rytuały klubu. Na stronie <http://www.gildia.pl/teksty/kormak/kontrkultura/bohemian> można znaleźć więcej informacji na ten temat.

240

— Obóz skautów dla dorosłych — stwierdziła Jill.

— Właśnie. Kiedy zabawa się kończy i uczestnicy obozu wracają na swoje ważne stanowiska, mało prawdopodobne, aby chcieli się nawzajem oskarżać o łamanie etyki zawodu wej... w końcu sikali razem na odległość! Mowy nie ma. Takie spotkania mają służyć utrwaleniu zasady, że wzajemne oskarżanie się o nieetyczne działania jest niewłaściwe i w złym tonie. To tylko jeden przykład pokazujący, jak bardzo zasady obowiązujące w klubie wpływają na zachowanie ludzi u władzy.

Zapadła cisza, słychać było jedynie szum silnika. Wjechali w następny zakręt. Tuż przy drodze, nad płynącym przez dolinę strumieniem, pasło się bydło.

— Czujesz się lepiej, kiedy to z siebie wyrzuciłeś? — spytała w końcu Jill.

— Nie.

— Mój ojciec studiował w Yale. Był członkiem Czaszki i Piszczeli.

— Nie chciałem cię dotknąć.

— Miałeś rację. Ojciec pracuje w handlu międzynarodowym. Wygląda na to, że dzięki przynależności do korporacji ma znacznie większe wpływy od konkurencji. I zawsze może prosić o odwzajemnienie wyświadczonych przysług.

— Więc wyobraź sobie, jakie wpływy mieli Wielcy Doradcy. Doradzanie prezydentom, począwszy od Trumana. Stanowiska ambasadorów i w rządzie. Trzech z nich było sekretarzami stanu, dwóch sekretarzami obrony. Kilku szefami sztabu i doradcami do spraw bezpieczeństwa narodowego, nie wspominając już o ambasadorowaniu przy ONZ, NATO, w Wielkiej Brytanii, ZSRR, Arabii Saudyjskiej, Niemczech Zachodnich i tak dalej. Nigdy nie zajmowali stanowisk wybieralnych, wyłącznie mianowane. Zaczęli działać zaraz po drugiej wojnie światowej. Rząd wewnątrz rządu. Kiedy zaś — na przykład podczas prezydentury Kennedy'ego i Cartera — Biały Dom nie dawał im oficjalnej władzy, utrzymywali swoje wpływy pośrednio, tworząc politykę zagraniczną jako członkowie takich opi-

241  
nietwórczych instancji jak Rada Stosunków Międzynarodowych, Korporacja Randa czy Fundacja Rockefellera. Trzech Wielkich Doradców ukończyło Harvard, dwóch Yale i przynajmniej trzech z nich — a niewykluczone, że wszyscy — chodziło do tej samej szkoły średniej. Kiedy jednego z nich coś tak bardzo zaczęło dręczyć w związku z tą szkołą, że chciał to wyznać na łożu śmierci, pozostali byli gotowi zrobić wszystko, żeby go przed tym powstrzymać.

6

Zjechali z Route 89 w malowniczej miejscowości o nazwie Bolton i pojechali dalej wąską, wijącą się drogą prowadzącą dnem długiej doliny, w której łąki przeplatały się z sosnowymi lasami.

— Jeżeli bibliotekarka w Montpelier wiedziała, co mówi, zaraz powinniśmy zobaczyć miasteczko — oświadczyła Jill.

Pittman zmrużył oczy i wbił wzrok w dal. Żałował, że nie ma okularów przeciwsłonecznych. — Jest tam! Tuż za przecinką w lesie. Widzisz?

— Kościelna wieża. Doskonale. Trzymamy się planu.

Wieża była śnieżnobiała i gdy wjechali do miasteczka, okazało się, że wszystkie domy również są pomalowane na biało. Kontrast sprawiał, że zieleń wydawała się bardziej soczysta. Przez chwilę — mimo dowodów istnienia współczesnej technologii takich jak uliczne latarnie — Pittman miał wrażenie, że przenieśli się w czasie i znaleźli się w którymś z powolniejszych, spokojniejszych wieków.

Zostawiając z tyłu miasteczko, pojechali dalej drogą wiodącą wzdłuż strumienia wypełnionego topniejącym śniegiem. Pittman poczuł nagle jakiś nieokreślony niepokój. Wyjął z torby pistolet i doładował go amunicją z pudełka.

Biorąc przykład z pracującego w cywilu policjanta, z którym robił kiedyś wywiad, wsunął broń za pasek od strony pleców. Było to niewygodne, ale nie wygodą się teraz liczyła. Będzie musiał się przyzwyczaić do ucisku metalu w plecy.

243

W środę wieczorem wkładał sobie lufę tego pistoletu do ust, a teraz... Otworzył torebkę Jill.

— Hej, co ty sobie...

— Chcę sprawdzić, czy się zmieści.

Wyjął z torby pistolet z tłumikiem, który zabrał jednemu z bandziorów w mieszkaniu Jill. Broń była niemal takiej samej wielkości co jego czterdziestkapiątka, ale miała mniejszy kaliber. Beretta, 9 milimetrów.

— Chyba nie myślisz, że będę nosiła w torebce pistolet — zaprotestowała Jill. — Nawet nie wiem, jak się go używa.

— Jeszcze kilka dni temu ja też tego nie wiedziałem, ale przyjąłem nowe życiowe motto: ucz się wszystkiego, co może okazać się potrzebne.

Zamknął torbę Jill. Była duża, skórzana, przeznaczona do noszenia na ramieniu.

— Pasuje idealnie — stwierdził.

— Powtarzam jeszcze raz: nie zamierzam...

— Pierwszą rzeczą, jaką musisz wiedzieć o tej broni, jest to, że amunicja znajduje się w zaopatrzonym w sprężynę pojemniku, który nazywa się magazynkiem — powiedział Pittman. — Wsuwa się go w rękojeść...

— Nie mam zamiaru tego słuchać. — Jill zmrużyła oczy, bo duster wyjechał właśnie z zadaszonego mostu na jaskrawe słońce. — Czy wiesz, ilu ludziom próbowałam ratować życie, kiedy trafiali do szpitala w krytycznym stanie z powodu postrzału z broni palnej? Nie chcę mieć z tym żelastwem nic wspólnego. Nie chcę go mieć w mojej torebce. Nie zamierzam go nawet oglądać!

Pittman przyglądał się jej przez chwilę, a potem spojrzał do przodu.

— Pierwszy skręt w prawo za mostem.

— Wiem. Napisała nam to na kartce bibliotekarka. Pamiętam, co mówiła.

— Chciałem ci tylko pomóc.

— Posłuchaj... przepraszam. Nie chciałam być napastliwa.

To dlatego, że... przestraszyłeś mnie tym pistoletem. — Jej głos

244

drzał. — Kiedy jechaliśmy pociągiem, przez chwilę zapomniałam, jak wygląda nasza sytuacja. Chciałabym móc nie brać w tym wszystkim udziału.

— Więc zawróć.

— Słucham?

— Wrócimy do Montpelier, wsadzę cię do pociągu do Nowego Jorku i pojedę do akademii sam.

— Wsadzisz mnie do pociągu? Niczego by to nie zmieniło.

Dalej by mnie ścigali. Nie mogę wrócić do swojego mieszkania.

Masz rację, policja nie będzie mnie wiecznie chronić, a nie mogę zwrócić się w tej sprawie o pomoc do rodziców. Prawdopodobnie też są obserwowani. Przyjaciół nie chciałabym narażać. Bycie z tobą to najbezpieczniejsze, co przychodzi mi do głowy, nic lepszego nie wymyślę.

— Załadowałem już nabój do komory. Żeby strzelić, nie musisz odciągać kurka. Wystarczy, że pociągniesz za spust. Brama. — Pittman wskazał duży, elegancki napis, który oznajmiał: AKADEMIA GROLLIERA. — Bardzo mi się podoba ich motto — dodał.

PRZEWODZIĆ ZNACZY SŁUŻYĆ.

Zjechali z głównej drogi i ruszyli wyłożoną kostką aleją, prowadzącą w górę porośniętego drzewami zbocza. Brama w drewnianym płocie była otwarta. Minęli budynek przypominający z wyglądu wartownię w bazach wojskowych, ale ponieważ nikogo w nim nie było, Pittman uznał, że tutaj dostarcza się zamówione przez szkołę towary.

U szczytu zbocza ukazał się widok tak piękny, że Jill zwolniła. Po obu stronach drogi rosły jodły, a grań, na której stały, ciągnęła się ku horyzontowi, w stronę gór. Na wprost nich i w dolinie drzewa zostały wycięte, a las zastąpiono ogromną łąką. Widać było na niej stajnie, pasące się konie, kolisty padok i boisko do gry w polo. Za tymi terenami znajdowało się kilka boisk futbolowych. W oddali migotało owalne jezioro — prawdopodobnie właśnie tam ćwiczone zespołowego ducha, uprawiając wioślarstwo, o którym wspominał profesor Folsom.

Jednak największą uwagę zwracały budynki stojące pośrodku doliny: niewielki biały kościół, imponujący budynek z kolumnami, w którym prawdopodobnie mieściła się administracja szkoły, i kilkanaście innych — porośniętych bluszczem.

— Akademiki i budynki szkolne — powiedział Pittman. — Solidne i funkcjonalne. Dokładnie to, co zdaniem establishmentu jest konieczne do właściwego wychowywania młodzieży.

Jill popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

246

— Chyba rzeczywiście macie problem z uprzywilejowanymi ludźmi.

— Cytując Willa Rogersa, jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo bogatego, kogo bym polubił.

— Ja też jestem bogata.

— Ale nie zachowujesz się, jakbyś była bogata. Miałem starszego brata...

Jill potrząsnęła głową, jakby nie nadążała za nagłą zmianą tematu.

— Nazywał się Bobby. Nauczył mnie jeździć na rowerze i rzucać piłką baseballową. Kiedy pewnego dnia wróciłem z podbitym okiem ze szkoły, pokazał mi, jak się boksuje. Umiał wszystko. Był moim idolem. Boże, jak ja go kochałem...

— Używałeś czasu przeszłego.

— Zginął w Wietnamie.

— Och... tak mi przykro.

— Nie chciał tam jechać, ponieważ uważał, że to niedobra wojna. Ale rodzice nie mieli pieniędzy, więc Bobby nie mógł iść na uniwersytet, aby dostać odroczenie. Pamiętam, jak się złościł, że wszystkie dzieci bogatych rodziców dostają odroczenie, tylko on nie może. W swoich listach podkreślał, że

cała jego jednostka składa się z chłopaków spoza establishmen-  
tu. Oczywiście używał innych, ostrzejszych określeń. Pisał też  
o przeczuciu, że nie wróci do domu. Okazało się, że miał rację.  
Zginął od ognia własnych oddziałów. Kiedyś codziennie cho-  
dziłem do niego na cmentarz i myślałem o tym, jak łatwo  
bogatym wszczynać wojny, na których ich dzieci nie muszą  
walczyć. Później zacząłem pracować na budowie, żeby zarobić  
na studia, i wtedy dostrzegłem coś jeszcze: jak bardzo bogaci  
wzbogacają się na wojnach, które rozpętują. Właśnie dlatego  
zostałem dziennikarzem. Aby dobrać się do tych drani. Odplacić  
im za śmierć brata.

— Przykro mi — powtórzyła Jill.

— Mnie też. — Pittman wbił wzrok w swoją zabandażowaną  
dłoń. — Przepraszam cię. Nie chciałem, żeby to się tak ze mnie  
wylało.

Jill dotknęła jego ramienia.

8

Budynki szkolne stały wokół placu przypominającego miejsce wojskowych parad. Po jego  
obu dłuższych stronach biegły betonowe chodniki, a przy jednym z budynków (chyba  
administracyjnym) znajdował się parking. Stało tam może piętnaście samochodów.

Pittman wysiadł z dusterą, wyraźnie czując ucisk czter-dziestki-piątki na plecach. Pomyślał,  
że fakt, iż uważa chodzenie z bronią za coś normalnego, jest dość ponurym symptomem tego,  
jak bardzo wszystko się zmieniło od czasu jego samobójczej próby.

Jill zamknęła samochód, obeszła go i stanęła obok Pittmana. Jej sportowe buty, dżinsy i  
bluza leżały w walizeczce w bagażniku, zastąpione przez eleganckie brązowe buty, piaskową  
spódnicę, zielony zakiet i żółtą bluzkę — wszystko kupione w Montpelier. Pittman jeszcze  
nie mógł się przyzwyczaić do jej widoku w innym stroju niż sportowy czy służbowy, musiał  
jednak przyznać, że wygląda wspaniale.

— Gotowa?

Dziewczyna nerwowo wciągnęła powietrze i kiwnęła głową. Poprawiła torebkę na ramieniu.

— Ciężka.

— Spróbuj zapomnieć o tym, że w środku jest broń.

— Łatwo ci mówić. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy  
jej zostawić w samochodzie.

248

— Dlatego, że ciągle coś przebiega inaczej, niż należałoby  
się spodziewać.

Kiedy przechodzili przez parking, usłyszeli dzwonek, który rozbrzmiał jednocześnie w kilku  
budynkach. W ciągu kilku sekund plac wypełnił się uczniami.

Chłopcy, wszyscy w eleganckich mundurkach składających się z szarych spodni, białych  
koszul z krawatami w czerwone paski i granatowych blezerów, wychodzili pospiesznie z  
budynków, w których prawdopodobnie mieściły się klasy, i szli do dużego budynku  
naprzeciwko kościoła.

— Ćwiczenia przeciwpożarowe?

Jill popatrzyła na zegarek.

— Południe. Pewnie mają teraz przerwę na lunch.

Przed nimi zatrzymał się chłopak w wieku mniej więcej piętnastu lat. Podobnie jak inni  
uczniowie, miał wypolerowane buty i starannie przystrzyżone włosy.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał.  
— Zastanawiamy się, gdzie jest biblioteka szkolna — odparł Pittman.

Chłopak wskazał na lewo od niego.

— W budynku numer cztery. Chce się pan zobaczyć z panem Bennettem?

— Panem Bennettem?

— Dyrektorem akademii.

— Nie. Nie ma potrzeby marnować jego czasu. Dziękuję za pomoc.

— Nie ma za co, proszę pana — odparł chłopiec, po czym odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę budynku, do którego wchodzili pozostali uczniowie. Choć wszyscy się spieszyli, nadal wyglądali jak dżentelmeni.

— Ten młody człowiek będzie znakomitym nabytkiem dla waszyngtońskiego kręgu — mruknął z ironią Pittman.

Po kilku minutach dotarli do ceglanego budynku z dużą cyfrą „4” nad wejściem. Weszli do chłodnej, dobrze oświetlonej klatki schodowej, pachnącej woskiem. Schody prowadziły w górę i w dół.

W budynku panowała upiorna cisza.

249

— Wątpię, aby biblioteka znajdowała się w piwnicy — stwierdziła Xiii. — Za duże ryzyko, że książki zawilgotnieją.

Ruszyli na górę. Każdy ich krok odbijał się głośnym echem od ścian. Wkrótce znaleźli się w korytarzu, z którego każdej strony było po kilkoro drzwi. Niektóre z nich pozostawiono otwarte. W jednym z pomieszczeń stały biurka z komputerami, w innym na blatach ławek leżały magnetofony i słuchawki — prawdopodobnie była to pracownia językowa.

Kiedy dochodzili do trzecich drzwi, pojawił się w nich starszy mężczyzna z kluczem w ręku, najwyraźniej zamierzając je zamknąć. Miał na sobie taki sam mundur jak uczniowie. Był niski i masywny, wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, miał siwiejące wąsiki i spore zakola na głowie.

Popatrzył na przybyszy znad okularów.

— Właśnie zamierzałem iść na lunch. Mogę w czymś pomóc?

— Powiedziano nam, że w tym budynku jest biblioteka.

Mężczyzna odchrząknął.

— Zgadza się — odparł.

— Macie tutaj stare szkolne roczniki? — spytał Pittman.

— Powinny być w dziale archiwalnym. — Mężczyzna zmrużył oczy. — Chyba nigdy państwa tu nie widziałem. Co was interesuje?

— Nazywam się Peter Logan i jestem niezależnym dziennikarzem. Postanowiłem wreszcie napisać książkę, którą planuję od lat.

— Książkę?

— O Akademii Grolliera. Tę szkołę skończyło wielu wybitnych ludzi.

— Można nawet powiedzieć, że więcej, niż nam się należało.

Obawiam się jednak, że woleliby zachować dyskrecję.

— Nie zamierzam grzebać w niczym prywatnym życiu.

Interesuje mnie Akademia Grolliera jako instytucja. Sądzę, że przedstawienie stosowanych w waszej szkole znakomych metod wychowawczych mogłoby być dobrym przykładem dla innych szkół. Kraj przeżywa kryzys i jeżeli nie zmieni się systemu edukacji... obawiam się o naszą przyszłość. Potrzebu-

250  
jemy dobrych wzorców, a trudno mi wyobrazić sobie lepszy niż ta szkoła. Mężczyzna kiwnął głową.

— Ma pan rację, nie ma w Ameryce lepszego liceum. Co pana najbardziej interesuje? — spytał.

— Na początek, panie...

— Caradine. Jestem głównym bibliotekarzem.

— Oczywiście chciałbym poświęcić dużą część książki me todom nauczania stosowanym w tej szkole, potrzebuję jednak także historycznej perspektywy. Kiedy założono akademię i kto to zrobił. Jak się rozwijała. Jacy znani ludzie do niej chodzili. Sądzę, że na początek mógłbym rozejrzeć się po waszym archiwum. Na przykład zajrzeć do roczników. Zdjęcia pokażą zmiany wyglądu kampusu na przestrzeni lat. Może się okazać, że Grollier ma znacznie więcej sławnych absolwentów, niż sądziłem. Wie pan, przed głębszym zanurzeniem się chciałbym dotknąć powierzchni.

— Dobra metoda. Archiwum... — Caradine popatrzył na zegarek. — Przepraszam. Mam spotkanie przy lunchu z komitetem biblioteki i już jestem spóźniony. Obawiam się, że nie będę mógł pokazać panu archiwum. Ale jeżeli wrócić tu państwo o pierwszej... Tymczasem kierownik stołówki na pewno z przyjemnością poczęstuje czymś państwa.

— Dziękuję, panie Caradine, niedawno jedliśmy z moją asystentką późne śniadanie. Przyznam, że nie mogę się doczekać rozpoczęcia pracy... może mógłby nas pan wpuścić do archiwum i zaczęlibyśmy zapoznawać się z materiałami, kiedy pan będzie na spotkaniu? Nie chcę sprawiać kłopotu, a przypuszczam, że ma pan ciekawsze zajęcia od pilnowania nas przy czytaniu roczników.

Caradine ponownie popatrzył na zegarek.

— Naprawdę muszę być na tym... dobrze, nie widzę w tym nic złego. Archiwum jest piętro wyżej. Pierwsze drzwi po prawej u szczytu schodów.

— Bardzo dziękuję, panie Caradine. Jeżeli otworzy nam pan drzwi, spróbujemy przez jakiś czas sami się sobą zająć.

— Proszę iść na górę. Drzwi nie są zamknięte. W Grollierze

251

mało które drzwi są zamykane. To szkoła dla dżentelmenów. W całej stutrzydziestoletniej historii szkoły na terenie kampusu nie doszło do ani jednej kradzieży.

— Właśnie o tym mówiłem na początku. To wzorcowa

szkoła. Z pewnością umieszczą w mojej książce pańskie stwierdzenie.

Caradine kiwnął głową i nerwowo splótł palce.

— Naprawdę jestem już ogromnie spóźniony — powiedział i-pospiesznie zszedł schodami.

Kiedy zniknął z pola widzenia, Pittman popatrzył na Jill.

— Mam nadzieję, że nie wróci zbyt szybko.

Wskazane przez bibliotekarza drzwi miały matową szybę.

Pittman przekreślił gałkę i okazało się, że rzeczywiście były otwarte. Weszli do środka.

Znaleźli się w pomieszczeniu o wielkości, której się nie spodziewali. Pod ścianami stały szereg półek, pośrodku również. Wszystkie były zastawione różnego rodzaju i wielkości książkami. Duże okna wpuszczały mnóstwo światła.

Jill zamknęła drzwi i rozejrzała się.

— Może ty rzuć okiem na regały pod tą ścianą, a ja obejrzę tamte?

Przez następne pięć minut pracowali w milczeniu.

— Jest tutaj! — zawołała w końcu Jill.

Pittman podszedł do niej. Pochylił się nad niższymi półkami, na które wskazywała, i popatrzył na szereg cienkich tomów dużego formatu, oprawionych w czarną skórę, z powybijanymi na grzbietach złotymi cyframi datami. Roczniki były poustawiane chronologicznie, zaczynały się od 1900.

— Caradine powiedział, że szkoła ma sto trzydzieści lat.

Gdzie są pozostałe roczniki?

— Może zaczęto je prowadzić później?

Pittman wzruszył ramionami.

— Może. Millgate miał osiemdziesiąt lat, więc zakładając,  
253

że skończył szkołę w wieku osiemnastu, jego ostatni semestr w Grollierze powinien przypadać na...

— Wiosnę trzydziestego trzeciego roku.

— Jak ci się to udało tak szybko policzyć?

— Zawsze byłem dobra w liczeniu. No wiesz, tyle pieniędzy... — zażartowała Jill. — Ale oczywiście mógł skończyć szkołę w wieku siedemnastu lat.

— Pozostali Wielcy Doradcy byli w innym wieku. Spróbuj my-sprawdzić po kilka lat do przodu i do tyłu. Powiedzmy... od tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego do tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

— Nie ma sprawy. Ja wezmę cztery pierwsze lata, ty weź resztę.

Usiedli naprzeciwko siebie przy stole, porozkładali roczniki i zaczęli je przeglądać.

— Przynajmniej wszyscy uczniowie są przedstawiani w kolejności alfabetycznej — stwierdziła Jill. — Zaoszczędzi nam to czasu.

— Wiemy, że Jonathan Millgate, Eustace Gable i Anthony Lloyd chodzili do tej szkoły. Pozostali Wielcy Doradcy to Winston Sloane i Victor Standish, ale musimy poszukać jeszcze



kogoś innego.

— To znaczy?

— Pod „Duncan”. Millgate powiedział to słowo z takim samym naciskiem jak „Grollier”. Podejrzewam, że obydwaj mają ze sobą jakiś związek. Problem w tym, że „Duncan” może być zarówno nazwiskiem, jak i imieniem.

— A to oznacza, że musimy sprawdzić każdego ucznia opisanego w tych księgach. — Jill popatrzyła na leżący przed nią stosik. — Ilu tu może być uczniów? Według profesora Folsoma trzystu. Będziemy musieli sprawdzić mnóstwo nazwisk.

Znowu zaczęli przewracać kartki.

— Martwi — mruknął Pittman.

Jill popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Od starych fotografii zawsze dostaję dreszczy — wyjaśnił.

— Rozumiem, co masz na myśli. Większość tych uczniów

254

już nie żyje, a my mamy ich przed sobą w pierwszej klasie liceum...

Pittman przypomniał sobie, z jaką tęsknotą patrzył na każde zdjęcie swojego zmarłego syna. Poczul suchość w ustach.

— Eustace Gable — powiedziała Jill. — Mam go. Tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty rok. Pierwszorzecznik.

— Tak, znalazłem go w trzydziestym trzecim jako ucznia ostatniego roku.

— Jest też Millgate.

— Cóż... w dalszym ciągu nic nam to nie daje. I bez tego wiedzieliśmy, że chodzili razem do tej szkoły.

— Hej, mam następnego!

— Kogo?

— Winstona Sloane'a. Pierwszoklasista z dwudziestego dziewiątego.

— A więc miałem rację. Chodził tu do szkoły, ale nie umieścił tego w swojej biografii. Nie chciał się ujawniać.

— Mam też Victora Standisha — powiedziała Jill.

— Są więc wszyscy.

— Nie potrzebujemy reszty ksiąg. Zaczęli wszyscy w dwudziestym dziewiątym i skończyli w trzydziestym trzecim.

— A Duncan? Nie natknąłem się na takie imię ani nazwisko. Co Millgate próbował mi powiedzieć? Jaki jest związek między...

»

10

Za matową szybą drzwi pojawił się cień. Choć Pittman nie patrzył w tamtą stronę, wyczuł pojawienie się przybysza i odwrócił się w kierunku drzwi, gdy tylko zostały otwarte. Mężczyzna szedł długimi, pewnymi krokami. Był po pięćdziesiątce. Miał na sobie grollierowski mundur składający się z szarych spodni, krawata w czerwone paski i

granatowego blezera. Był wysoki, sztywno wyprostowany, miał spiczastą szczękę, patrycjuszowski nos i władcze spojrzenie.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan tu robi?

Pittman wstał.

— Oczywiście. Zamierzam napisać książkę o państwa szkole i...

— Nie odpowiedział mi pan na pytanie. Co pan tu robi?

Pittman popatrzył na Jill, udając zdziwienie.

— Zbieramy materiały. W tej chwili przeglądamy roczniki.

— Bez pozwolenia.

— Pan Caradine, bibliotekarz, powiedział nam, że możemy...

— Pan Caradine nie ma prawa udzielania takiego pozwolenia.

— W takim razie może mi pan powie, kto...

Oczy mężczyzny błysnęły.

— Tylko i wyłącznie ja. Jestem dyrektorem akademii.

— O, pan Bennett! — Pittman pamiętał nazwisko, które wymienił chłopak na placu. — Chcieliśmy z panem poroz-

256

mawiać, ale ponieważ trwał lunch i nie było pana w gabinecie, pomyśleliśmy, że zajrzemy tutaj.

— Nic by to panu nie dało. Istnieją procedury, zgodnie z którymi należy postępować, pisma, które trzeba dostarczyć, wnioski, które należy złożyć.

— Pisma? Wnioski? Ale przecież pan powiedział, że jest jedyną instancją, która...

— Powiedziałem, że jestem dyrektorem akademii. Mam nad sobą Radę Nadzorczą, z którą muszę konsultować naruszenia prywatności, które pan zamierza popełnić.

— Ale moja książka przyniesie korzyść...

— Obawiam się, że muszę pana prosić o odejście.

Jeżeli jeszcze raz mi przerwie... — pomyślał z wściekłością Pittman.

— Jak pan sobie życzy — powiedział jednak tylko. —

Przepraszam za to nieporozumienie. Może moglibyśmy omówić tę sprawę w pańskim gabinecie?

— Zgadza się, doszło do nieporozumienia, ale nie takiego, o jakim pan myśli. Nie mówiłem o wyjściu z biblioteki, lecz o opuszczeniu terenu akademii — oświadczył Bennett, po czym popatrzył ostro na Pittmana i wskazał otwarte drzwi.

— W porządku — odparł Pittman, próbując panować nad sobą. Uświadomił sobie, że tuż za nim stoi Jill. — Napiszę list wyjaśniający.

— Wątpię, aby pan coś uzyskał.

— Cóż...

— Życzę miłego dnia.

— Ja także życzę panu miłego dnia.

—

11

— Gościnne miejsce — mruknęła Jill, kiedy wyjeżdżali

z parkingu.

— Aha. Wykopywano mnie już z wielu miejsc, ale nigdy z prywatnego liceum.

Pojechali betonową drogą, prowadzącą wzdłuż placu. Minęli kilka budynków szkolnych, budynek administracji i wjechali w aleję biegnącą środkiem doliny.

— Cały czas na nas patrzy?

Pittman odwrócił się.

— Stoi przed wejściem do biblioteki. Czuję na sobie jego wzrok. Pan Wielka Osobowość.

Minęli stajnie i dotarli do nieogrodzonych łąk. Droga zaczęła się wznosić.

— Co go tak wkurzyło? Myślisz, że chodziło tylko o to, że poprosiliśmy o zezwolenie nie jego, ale bibliotekarza?

— Coś mi mówi, że gdybyśmy poszli najpierw do niego, nic byśmy nie uzyskali. A tak przynajmniej zajrzeliśmy do archiwum — odparł Pittman. — Wygląda na to, że mamy towarzystwo.

— Widzę w lusterku. Ze szkoły wyjeżdża brązowe kombi. To ludzie Millgate'a? — zapytała Jill. — Ciekawe, czy czekali na nas tutaj.

— Gdyby tak było, zaatakowałiby nas wcześniej.

— Mogli nie chcieć wzbudzać sensacji w szkole. Wszędzie pełno dzieciaków. Zbyt wielu świadków. Może przechwycą nas za kilka kilometrów i...

258

Wjechali na szczyt wzgórza. Za nim droga zaczynała ostro opadać w kierunku budyneczku przypominającego wartownię. Pittman sięgnął za siebie i wyciągnął zza paska pistolet.

— Co robisz? — spytała zaniepokojona Jill.

— Ot tak, na wszelki wypadek.

Minęli budyneczek przy otwartej bramie.

— Nie skręcaj w lewo — powiedział Pittman. — Pojedź w prawo.

— Przecież do Montpelier jest w lewo.

— Właśnie tam ich zdaniem pojedziemy. Jeżeli w tym kombi są ludzie Millgate'a... Ale na razie nie widzą nas zza wzgórza.

Jill skręciła ostro w prawo. Zapiszczały opony i znaleźli się na wąskiej wiejskiej drodze. Jill wcisnęła pedał, aż Pittmana wprasowało w fotel. Kiedy wjechała w kolejny zakręt, złapał się deski rozdzielczej.

Wzdłuż drogi rosły sosny.

— Spokojnie...

— Co jest nie tak w moim sposobie jazdy?

— Nie to miałem na myśli. Świetnie sobie radzisz, ale chcę, żebyś zjechała z drogi. Poszukajmy... tam! Między te drzewa!

Jill wcisnęła hamulec, przekręciła kierownicę i zjechała z drogi w zarośniętą zielskiem, pełną kolein dróżkę, która po kilkunastu metrach zniknęła między drzewami. Gdy duster przecisnął się między drapiącymi go po obu bokach krzewami, słoneczne światło zastąpił cień. Podskoczyli na jakimś kamieniu i Pittman o mało nie huknął głową w sufit.

Spojrzał przez tylną szybę.

— Nie widać nas z drogi. Zatrzymaj się.

Kiedy Jill to zrobiła, otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Pochylił się i ruszył między drzewami z powrotem do zakrętu. Gdy uznał, że jest już blisko, zwolnił, ostrożnie przeszedł nad zwalonym pniem i zaczął czołgać się przez poszycie. Po chwili oświetliło go słońce i ujrzał drogę. Natychmiast padł na ziemię.

Po prawej stronie widział bramę prowadzącą na teren akademii. Na szczycie wzgórza pojawiło się jadące szybko kombi. W samochodzie siedziało dwóch potężnych mężczyzn. Nie wyglądali na zadowolonych.

259

Ku zaskoczeniu Pittmana nie wyjechali jednak na drogę i nie popędzili w kierunku Montpelier. Zarzucając tyłem, samochód gwałtownie zahamował przy bramie. Mężczyźni wysiedli, zamknęli bramę i zabezpieczyli ją łańcuchem i kłódką. Po zamknięciu bramy ukazał się niewidoczny przedtem napis: WSTĘP WZBRONIONY. ŁAMANIE ZAKAZU BĘDZIE ŚCIGANE SĄDOWNIE.

Obaj mężczyźni wrócili do samochodu, wsiedli do niego i zatrzasnęli drzwi, po czym odjechali tam, skąd przybyli. Po chwili zniknęli za wzgórzem.

Pittman jeszcze trochę odczekał, aby upewnić się, czy nie wrócą, i wstał. Kiedy odwrócił się w kierunku lasu, zza pobliskiego krzaka wyszła Jill.

— Nie rozumiem tego — stwierdziła. — Gdyby to byli ludzie Millgate'a, przecież by za nami pojechali.

Pittman wszedł między drzewa.

— Może kazano im zostać na terenie kampusu?

— A może to po prostu tutejsi nauczyciele, prowadzący zajęcia sportowe. Trener futbolu z instruktorem wioślarstwa. Bennett mógł kazać im sprawdzić, czy opuściliśmy teren posiadłości, i trochę nas zmotywować, gdybyśmy tego nie zrobili.

Pittman przeszedł nad zwalonym drzewem.

— Na pewno wezwali wsparcie. Bennett był bardziej zirytowany, niż wynikało to z sytuacji. Ktoś mógł go przed nami ostrzec.

— Prawdopodobnie wykona teraz kilka telefonów.

— Pewnie tak — mruknął Pittman. — Ale może uznają, że naprawdę odjechaliśmy.

— A nie zrobiliśmy tego? Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz wracać do Montpelier?

— Dokąd możemy pojechać? Mamy inne tropy?

— Ale co tu jeszcze możemy zdziałać? Dowiedzieliśmy się, że żaden Duncan nie chodził do szkoły razem z Wielkimi Doradcami. Millgate musiał majaczyć. Duncan i Grollier nie mają ze sobą nic wspólnego.

— Nie. Muszę się upewnić. — Pittman doszedł do samochodu i oparł się o niego. — Wrócę tam. Wieczorem.

—

12

Kiedy wspinał się na niewysoki drewniany płot, okolicę oświetlał księżyc w pierwszej kwadrze. Zeskoczył na ziemię po drugiej stronie i wszedł w ciemność między drzewami. Miał na sobie sportowe buty i ciemną bluzę, które cały czas woził ze sobą w torbie. Założył też czarną wełnianą czapkę, kurtkę i rękawiczki, które kupił — razem z plecakiem — w miasteczku położonym piętnaście kilometrów stąd. Kurtka miała duże kieszenie — do jednej schował pistolet, do drugiej latarkę.

Przez chwilę przeciskał się między drzewami i wkrótce znowu wyszedł na oświetloną przez księżyc przestrzeń. Przykucnął na grani i popatrzył w dół, w stronę ciemnych sylwetek budynków Akademii Grolliera. Zbliżała się północ i światła pały się jedynie w budynku administracji. Latarnie oświetlały plac i front każdego budynku. Nikogo nie było widać.

Mimo to Pittman czekał. Prognoza pogody, której wysłuchali w samochodowym radiu, przewidywała możliwość spadku temperatury nawet do dwóch stopni Celsjusza. Pittman drżał, ale głównie ze strachu. Mimowolnie porównywał swoje obecne samopoczucie z tym, z jakim wkraadał się do posiadłości w Scarsdale. Wtedy był zdenerwowany, ale nastawiony fatalistycznie. Co ma do stracenia człowiek, który i tak wkrótce ma popełnić samobójstwo? Teraz jednak...

No właśnie? Co teraz?

261

Boisz się, a to oznacza, że masz coś do stracenia. Nagle zacząłeś bać się śmierci?

Dlaczego?

Z powodu... Jill?

Ta myśl go zaskoczyła. Na co masz nadzieję?

Nadzieja. Uświadomił sobie, że to słowo od dość dawna nie należało do jego słownika. A wraz z nadzieją pojawia się strach.

Ruszył w dół trawiastego zbocza. Noc była cicha, wiał lekki wiaterek. Jego sportowe buty szybko przemokły i poczuł, że ziębną mu stopy. Próbował to zignorować, skupić się na cieniach kryjących się wokół placu do jazdy konnej i boiska futbolowego, które właśnie mijał. Kontury budynków odcinały się ostrą kreską od gór.

Napisał wystarczająco dużo artykułów na różne tematy dotyczące wojska, aby zdawać sobie sprawę, że snajper z noktowizorem nie miałby żadnego problemu z dostrzeżeniem go i zabiciem. Z każdym krokiem, który przybliżał go do budynków i po którym do niego nie strzelano, nabierał większej pewności siebie. Może szkoła nie była obsadzona przez prześladowających ich ludzi. Może wszystko okaże się nie takie trudne, jak się obawiał.

Nagle gdzieś za jego plecami zarżał koń i Pittman zamarł, przestraszony, że ściągnie to czyjąś uwagę. Kiedy koń zarżał ponownie, ruszył dalej. Przyspieszył kroku i po chwili znalazł się na tyłach jednego z budynków.

Noc znów ucichła. Poruszając się najszybciej, jak tylko pozwalała na to ostrożność, obszedł kolejne budynki, uważając, aby nie dostać się w krąg światła latarni. Kiedy dotarł na drugą stronę placu, przywarł plecami do ściany i próbował coś dostrzec w otaczającym go mroku. To, że udało mu się dotrzeć tak daleko, dodawało mu otuchy. Wiedział jednak, że nadal musi być bardzo ostrożny.

Oderwał się od ściany szkoły i powoli podszedł do budynku, w którym znajdowała się biblioteka. Nie miał odwagi próbować wejść od frontu, postanowił dostać się do niego od tyłu. Ale kiedy przekreślił gałkę znajdujących się tu drzwi, okazało się, że są zamknięte.

Przypomniało mu się, z jaką dumą bibliotekarz

262

mówił, że w szkole nie trzeba zamykać drzwi, i uświadomił sobie, jak bardzo musieli zdenerwować dyrektora akademii. Było niemal pewne, że ostrzeżono go przed obcymi. Dlaczego? Co próbują ukryć ludzie Millgate'a?

Gdy byli tu wcześniej, nie zauważył niczego, co wskazywałoby na to, że w budynku zainstalowano alarm. Wyjął swój złodziejski przyborek i wysunął z niego stalowe wąsy. Zgrzyt metalu sprawił, że aż się skulił. Wydał mu się niezwykle głośny i był niemal pewien,

że ściągnie czyjąś uwagę. Pracował jednak dalej — odblokował jedną zapadkę, potem drugą i zaczął naciskać odpowiednie miejsca cylindra, który po chwili się obrócił. Kiedy rygiel się cofnął, Pittman przekręcił gałkę. Następną przeszkodą mógł być ktoś czekający za drzwiami, wyjął więc pistolet, wskoczył do środka, wycelował w ciemność i szybko zaniknął za sobą drzwi.

Echa wtargnięcia do budynku ucichły. Pittman wstrzymywał oddech i przez chwilę wsłuchiwał się w ciemność. Minęła zaledwie minuta, ale to wystarczyło, żeby spociał się jak mysz.

Zaryglował drzwi i macając po ścianach, wszedł na parter, potem na pierwsze piętro. Zatrzymał się, chwilę posłuchał i podszedł do drzwi archiwum. Przez mleczną szybę widać było wpadające do środka światło księżycy. Także i te drzwi zamknięto na klucz, jednak tym razem Pittman nie był zaskoczony.

Szybko pokonał zamek. Wszedł ostrożnie do środka, zaniknął drzwi za sobą, przykucnął i znowu zaczął słuchać. Jeżeli czekali tu na niego ludzie z bronią, mieli teraz znakomitą okazję do ataku. Po niecałej minucie postanowił zaryzykować — przekręceniem gałki zablokował drzwi, podszedł do okien i zaciągnął zasłony. Potem podkradł się do środkowych półek, zapalił latarkę i kierując promień światła na podłogę, sięgnął po roczniki, które oglądali po południu.

Zaskoczyła go dziura na półce. Roczniki z lat 1929—1936 zniknęły. Nie było ich także na stole, na którym je przeglądali. Musiał je zabrać Bennett.

Boże, co teraz?

Zgaślił latarkę, opadł ciężko na podłogę i oparł się plecami o ścianę.

263

Sprawdź pozostałe roczniki. Zajrzyj do tego z 1937 roku.

Po co? Co to da? Wielkich Doradców nie było już wtedy w szkole.

A masz inne wyjście?

Może są jeszcze jakieś inne wpisy?

Kiedy rozglądali się po tym pomieszczeniu po południu, skupili się na najbardziej oczywistych dokumentach: rocznikach. Nie zwracali uwagi na segregatory i pudła. Wiele z nich było oznakowanych skrótami RAP SEM i kombinacjami liczb: 51—52, 52—53, 53—54 i tak dalej — ale z braku czasu nie zajrzeli do żadnego. Pittman podszedł do półki, na której stały, i zapalił latarkę.

Wybrane losowo pudło, które otworzył, zawierało starannie poukładane mniejsze pudełka, w których znajdowały się rolki mikrofilmów. RAP SEM oznaczało prawdopodobnie „Raporty semestralne”, a liczby odnosiły się do kolejnych semestrów, na przykład jesień 1949 i wiosna 1950. Następny rok szkolny zaczynał się jesienią 1950 roku i kończył wiosną 1951. Stąd nakładanie się numerów na siebie: 49—50, a potem 50—51. Z biegiem lat nagromadziło się tyle dokumentów, że dla wygody przeniesiono wszystko na mikrofilmy.

Pittman nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Ukraść mikrofilmy z wszystkich lat nauki Wielkich Doradców w szkole? Ale jak je potem przeczytają?

W bibliotece z czytnikiem mikrofilmów.

Tylko że na tych filmach mogło wcale nie być potrzebnych im informacji...

Nie mógł jednak wyjść stąd z pustymi rękami.

Chwileczkę... przecież nie trzymano by tu mikrofilmów, gdyby nie było możliwości...

Przypomniał sobie stojący na stole w rogu przykryty materiałem pękaty kształt. Po zdjęciu pokrowca okazało się, że jego przypuszczenia były słuszne. Czytnik mikrofilmów. Kiedy go włączył, nie umiałby odpowiedzieć, co go bardziej niepokoi: szum wentylatora w środku

urządzenia czy światło padające na ekran. Wrócił do pudeł, posprawdzał etykiety i wziął film oznaczony liczbami 31—32. Włożył go do czytnika. ,  
264

Miał przed sobą listę uczniów jednej klasy i końcowe stopnie z przedmiotu „Historia starożytna I”. Ale wśród nich nie było nazwisk Wielkich Doradców. Przewijał film dalej, przesuwając raporty końcowe dotyczące poszczególnych uczniów i po chwili doszedł do przedmiotu „Literatura klasyczna I”. Jednak znowu nie było tu nazwiska żadnego z Wielkich Doradców.

W tym tempie czytanie zajmie mu wiele godzin. Musi być jakiś efektywniejszy sposób...

Historia starożytna I? Literatura klasyczna I? Numeracja sugerowała, że gdzieś powinny być dalsze części tych przedmiotów: II, III, może nawet IV. Grollier to szkoła czteroletnia, a w roku szkolnym 1931/1932 Wielcy Doradcy byli w przedostatniej klasie. Musi przesunąć mikrofilm do trzeciej ćwiartki.

Szybko przewinął klasę II i zwolnił. W kursie „Historia Wielkiej Brytanii” uczestniczyli — otrzymując najwyższe noty — wszyscy Wielcy Doradcy. Tak samo było w przypadku innych kursów: „Literatura brytyjska”, „Historia Europy”, „Filozofia grecka”, „Łacina”. Jednak na żadnym z tych kursów nie było ucznia o imieniu albo nazwisku Duncan.

Przewinął dalej, do „Nauk politycznych”, i zamarł. We wszystkich innych kursach uczestniczyło po kilkunastu uczniów, ale w tym tylko sześciu: pięciu późniejszych Wielkich Doradców i niejaki Derrick Meecham.

Pittman zastanawiał się gorączkowo. Kiedy podzielili się z Jill rocznikami, ona przeglądała lata 1929—1932, a on 1933—1936. Dowiedział się ze swoich, że Wielcy Doradcy skończyli szkołę w 1933 roku, teraz jednak przypomniał sobie, że (szukając Millgate'a, koncentrował się głównie na literze „M”) w roczniku obejmującym 1933 rok nie było nazwiska Meecham. Mógł się oczywiście mylić, ale...

Przewinął do wiosennego semestru nauk politycznych. Grupa skurczyła się do pięciu osób. Nie było wśród nich Derricka Meechama.

Dlaczego? Zachorował? W poprzednim semestrze dostał ocenę „A”, więc kurs nie mógł być dla niego na tyle trudny, żeby z niego zrezygnował. Poza tym Pittman podejrzewał, że w Akademii Grolliera uczniowie nie mogli ot tak sobie rezyg-

265

nować z uczestnictwa w rozpoczętych kursach. Prędzej Grollier zrezygnował z nich.

A więc dlaczego? Był pewny, że nie widział w roczniku 1933 nazwiska „Meecham”. Pomasaował kark. Jego wzrok odruchowo powędrował w dół ekranu, gdzie znajdował się podpis prowadzącego kurs nauczyciela i Pittman nagle poczuł się, jakby dotknął przewodu elektrycznego. Wbił wzrok w pełen zawijasów podpis. Z trudem panował nad oddechem.  
DUNCAN KLINE.

"Jezu... Duncan nie był uczniem Grolliera, ale nauczycielem. Duncan Kline był nauczycielem Millgate'a. Był nauczycielem ich wszystkich. Uczył wszystkich Wielkich Doradców.

Nagły hałas sprawił, że Pittman zeszywniał. Przez szum wentylatora przeglądarki przebił się odgłos kroków na schodach. Ktoś mówił do kogoś innego rozgniewanym tonem.

Pittman wyłączył przeglądarkę.

— ... mogę uwierzyć, że nie zostawiliście nikogo na straży.

— Ale oni odjechali. Upewniłem się.

Głosy robiły się coraz głośniejsze.

— Pojechaliście za nimi?

— Do granicy kampusu.

— Co za głupota...

— Dobrze, że weszliśmy tu na górę.

— Drzwi zewnętrzne są zamknięte. Czyli dokumenty są bezpieczne.

— To niczego nie dowodzi.

Na korytarzu zapalono światło. Za matową szybą widać było cienie.

— Zabrałem roczniki, które oglądali, więc po co mieliby tu wracać?

Ktoś spróbował przekreślić gałkę drzwi.

— Zamknięte.

— Te drzwi również zabezpieczyłem. Nikogo tam nie ma.

— Weź klucz i otwórz te cholerne drzwi!

Pittman poczuł ucisk w piersi. Brakowało mu powietrza.

267

Rozejrzał się po sali, próbując znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby się ukryć.

Pamiętał wygląd biblioteki z wizyty za dnia. Nie miała drugich drzwi. Nie można się też było za niczym schować.

Jedyne wyjście to...

Okna!

W zamku zazgrzytał klucz.

— Pospiesz się! — warknął jeden z mężczyzn.

Pittman odsunął zasłonę i podniósł połówkę okna.

— Zaczekaj! — powiedział głos na korytarzu. — Coś słyszałem.

— Ktoś jest w środku.

— Po co wam te pistolety? — zapytał Bennett charakterystycznym nosowym głosem.

— Zejdź nam z drogi.

Pittman wystawił głowę przez okno i spojrzał w dół. Miał nadzieję, że będzie tam coś, co złagodzi jego upadek, ale przy murze rosły tylko kwiatki.

— Kiedy otworzę drzwi, wchodzisz pierwszy. Idź na lewo.

Pete pójdzie prosto, ja w prawo.

Pittman popatrzył na bezlistny bluszcz, czepiający się ściany budynku. Roślina była sucha i sprawiała wrażenie kruchej, nie miał jednak wyboru. Wychylił się z okna, złapał pędy bluszczu i zaczął schodzić na dół. Mógł mieć jedynie nadzieję, że w ciemności na dole nie czekają na niego następni ludzie.

— Na trzy wchodzimy!

Pittman przyspieszył. Bluszcz trzeszczał głośno i po chwili zaczął odrywać się od muru.



W górze rozległo się tąpnięcie gwałtownie otwieranych drzwi. Równocześnie bluszcz oderwał się od ściany i Pittman zaczął spadać. Gorączkowo drapał palcami w poszukiwaniu innych pędów, których mógłby się złapać. Zraniona dłoń niczego nie znalazła, ale druga namacała pnące. Jednak to, czego się chwycił, natychmiast oderwało się od ściany i spadł dalej, po drodze znowu złapał jakiś pęd i w końcu huknął plecami o ziemię. Natychmiast zgiął kolana i przetoczył się jak komandos.

268

— Tam! — wrzaśnięto z okna na piętrze.

Pittman podniósł się na kolana i ni to biegnąc, ni to pełznąc, ruszył w kierunku cienia za sąsiednim budynkiem. Tuż obok niego wystrzeliła w górę kępka trawy i usłyszał stłumiony, przypominający uderzenie pięścią w poduszkę wystrzał.

Adrenalina sprawiła, że czuł się, jakby płonął w nim ogień. Pomyślał, że musi zniechęcić prześladowców do strzelania, więc odwrócił się szybko, uniósł broń i strzelił. W nocnej ciszy huk wystrzału był ogłuszający. Pocisk trafił w górną część okna. Posypało się szkło.

— Jezu!

— Padnij!

— Nie dojdzie daleko na piechotę! Zatrzymajcie go!

Pittman ponownie wystrzelił. Nie chciał nikogo trafić, a jedynie narobić jak najwięcej zamieszania. W akademikach już zaczynały zapalać się pierwsze światła.

Przebiegł obok krzaków i skręcił za róg następnego budynku. Zastanawiał się gorączkowo, jak ma się stąd wydostać. W końcu ruszył biegiem w kierunku ciemnej łąki. Koło ucha świsnęła mu następna kula. Przyspieszył. Nagle ujrzał jakiś cień z lewej strony — ktoś biegł równoległe z nim. Strzelił i natychmiast odpowiedziano mu ogniem. Ryknął silnik samochodu. Zapaliły się reflektory i auto skierowało się na łąkę.

Nie mając wyboru, Pittman skręcił ostro w prawo. Biegł zakolami, ale i tak kolejna kula świsnęła tuż obok jego głowy. Stracił orientację. Po chwili z przerażeniem stwierdził, że biegnie z powrotem w kierunku szkoły. Tył budynków w dalszym ciągu skrywał cień, ale zamieszanie sprawiło, że w coraz większej liczbie okien zapalały się światła. Zaraz go dopadną. Podbiegł do tylnych drzwi najbliższego budynku, szarpnął za gałkę i kiedy drzwi się otworzyły, poczuł przypływ nadziei. Wskoczył do środka, zatrzaskał za sobą drzwi i zarygłował je. W tym momencie w drewno uderzył pocisk. Pittman odwrócił się, zamierzając popędzić długim korytarzem.

Wiedział, że zyska tylko kilka sekund. Kiedy wybiegnie po drugiej stronie budynku frontowymi drzwiami...

Nie uda mu się schować w środku. Będą go szukać, aż...

269

Co ma robić?

Był pewien, że jest w akademiku, bo z góry dolatywały zdenerwowane głosy uczniów.

Świadkowie. Potrzebował świadków. I jeszcze więcej zamieszania.

Zatrzymał się przy przycisku alarmu pożarowego i ręką ręką czterydziestki pięć uderzył w szklaną szybę. Kiedy się rozprysła, wdusił przycisk.

Dźwięk syreny alarmowej był przenikliwy i świdrujący, odbijał się od ścian i wprawiał w drżenie ramy wiszących na nich obrazów. Mimo jego intensywności Pittman słyszał zamieszanie na górze, szybkie kroki i przestraszone głosy — mnóstwo głosów. Po chwili fala spływającego po schodach cienia zamieniła się w kolumnę uczniów w piżamach, biegnących do wyjścia.

Pittman schował pistolet i zaczął machać ręką, jakby był opiekunem chłopców i zależało mu jedynie na ich bezpieczeństwie.

— Szybciej! Budynek się pali!

Włączył się w strumień młodych ludzi i razem z nimi wybiegł na zewnątrz, na oświetlony lampami plac. Kątem oka ujrzał z prawej strony uzbrojonych mężczyzn, ale wiedział, że nie zaczną strzelać. Kiedy uczniowie zaczęli się rozpiezchać, ruszył do następnego budynku i wbiegł do środka.

Tutaj także wybił szybkie alarmu pożarowego i włączył go. Gdy ryknęła syrena, pobiegł w kierunku frontowych drzwi.

Będą się spodziewali, że wyjdę od tyłu, pomyślał. Spróbują odciąć mi drogę — ktoś wejdzie od przodu, a ktoś inny będzie czekać w ciemnościach za domem.

Przywarł do ściany obok frontowych drzwi. Po paru sekundach zostały gwałtownie otwarte i do środka wpadli ludzie z bronią. Jednocześnie na parterze pojawili się zbiegający schodami uczniowie. Kiedy fala chłopców otoczyła mężczyzn z pistoletami, Pittman wyslizgnął się na zewnątrz. Otaczali go uczniowie w pizamach. Tym razem nie pobiegł do następnego budynku po tej samej stronie placu, lecz ruszył skosem przez plac, klucząc między zaspanymi, bosymi chłopakami. Alarm

270

pożarowy wyl dalej, z pozostałych budynków również wysypywały się gromady uczniów, a ludzie z pistoletami krzyčili i pędzili za nim.

Choć nie był w formie, chyba jeszcze nigdy tak szybko nie biegł. Podeszwy butów dotykały ziemi w perfekcyjny sposób, nogi zginały się i prostowały rytmicznie — tak samo jak podczas niezliczonych poranków, kiedy biegał przed pracą, zanim Jere-my zachorował. Miał wrażenie, że to, co w tej chwili robi, jest esencją każdego biegu, w jakim kiedykolwiek uczestniczył, każdego maratonu, jaki udało mu się zakończyć. Wdychał głęboko powietrze i coraz szybciej przebierał nogami. Po chwili wbiegł między budynki po drugiej stronie placu i popędził w zalegającą za nimi ciemność.

Musi wrócić tam, skąd przybył. Zdopingowany przez kolejną kulę, która świsnęła mu niedaleko głowy, jeszcze bardziej przyspieszył. Doszedł do wniosku, że jego prześladowcy przebiegli już przez plac. Widzieli, dokąd biegnie, i podążali prosto za nim.

Na placu ryknęły silniki samochodów. Wkrótce wjadą za budynki. Nie było sposobu, aby ich zgubić.

W ostatnim momencie zmienił kierunek — omal nie zderzając się ze ścianą. Jego oślepienie latarniami na placu oczy dopiero się przystosowywały do widzenia w ciemności. Potrzebował chwili, aby się połapać, że dotarł do stajni.

Ludzie za jego plecami krzyčili coraz głośniejsze. Kolejna kula musnęła ścianę budynku. Pittman okręcił się na pięcie, przyklął na jedno kolano, oparł łokieć na drugim i wystrzelił w kierunku ścigających. Posypały się przekleństwa i mężczyźni padli na ziemię. Zza budynku wyjechał kontrolowanym poślizgiem samochód z włączonymi długimi światłami i Pittman strzelił także do niego. Nie trafił w reflektory, ale rozbił przednią szybę.

Natychmiast przykucnął, zdając sobie sprawę, że ogień wystrzału uczynił z niego widoczny cel. O ścianę budynku załomotały kolejne pociski, z muru poleciały odpryski. Za budynkiem zarżały spanikowane konie. Pittman skręcił za róg i zaczął biec w ich kierunku. Gdy doszedł do ogrodzenia, otworzył

271

bramę i natychmiast się cofnął, schodząc z drogi wybiegającym na zewnątrz zwierzętom. Im więcej zamieszania, tym lepiej. Musi przez cały czas odwracać uwagę swoich prześladowców.

Kiedy biegł przez padok, do stajni zaczęły zbliżać się roz- pędzone samochody. Musi od nich odskoczyć.

Jeden z koni stał po drugiej stronie ogrodzenia. Pittman zaczął wspinać się na płot. Napisał kiedyś artykuł o stajniach przy Central Parku i wziął kilka lekcji jazdy. Jego instruktor powiedział mu wtedy: „Jeśli boisz się spaść, przyciskaj jak najmocniej nogi do boków konia i obejmij go rękami za szyję”.

Zeskoczył z płotu na konia, a kiedy przestraszone zwierzę wierzgnęło, wczepił się w nie ze wszystkich sił. Był przygotowany, a koń nie, więc udało mu się utrzymać na jego grzbiecie. Po chwili koń przestał wierzgać — i licząc na to, że uda mu się zrzucić ciężar, pogalopował przed siebie. Pittman wzmocnił chwyt i położył się na szyi zwierzęcia, aby nie stanowić zbyt wyraźnego celu dla ścigających go mężczyzn.

Łąkę rozświetliły reflektory kilku nadjeżdżających z różnych stron samochodów. Ryk silników i tętent galopującego konia zagłuszały huk wystrzałów. Pittman miał nadzieję, że nierówna łąka, pełna wybojów, wzniesień i dołków, uniemożliwi prześladowcom staranne celowanie.

Nagle koń zmienił kierunek biegu. Pittman zupełnie nie był na to przygotowany i poczuł, że szyja zwierzęcia wyslizguje mu się z rąk, a on sam przesuwa się w prawo. Aby nie spaść, jak najmocniej przycisnął nogi do boków konia — tak mocno, że niemal zawył z bólu — i otoczył ramionami końską szyję. Samochody podskakiwały na łące, ich światła tańczyły jak zwariowane. Koń znowu zmienił kierunek biegu, jednak tym razem Pittman się tego spodziewał i choć jego ciało znowu przesunęło się w bok, nie stracił panowania nad sytuacją — a przynajmniej tak mu się wydawało.

Cienie z przodu były ciemniejsze niż na łące, ale nagle rozjarzyły je światła reflektorów. Przed Pittmanem pojawił się las, tworzący tak nieprzenikloną ścianę drzew i krzewów, że przestraszony wierzchowiec stanął dęba, jednocześnie skręcając ciało w bok. Kiedy przednie kopyta konia znowu opadły na

272

ziemię i zwierzę dla uniknięcia zderzenia z drzewami jeszcze ostrzej niż poprzednio skrzyło ciało, tyle że w drugą stronę, Pittman wyleciał w powietrze i huknął o ziemię. Modląc się, żeby koń nie kopnął go tylnymi nogami, zrobił przewrót i przetoczył się. Impet uderzenia wypchnął mu z płuc całe powietrze, a pistolet w kieszeni boleśnie obtłukł mu żebra.

Potoczył się dalej, aby oddalić się od spanikowanego zwierzęcia, które mogło go podeptać. Koń pogalopował przed siebie, a Pittman znalazł się w świetle reflektorów. Zerwał się, złapał oddech i pochylony skoczył w kierunku krzewów, aby się w nich ukryć. O korę i gałęzie załomotały pociski. Pittman pochylił się jeszcze niżej i zaczął kluczyć między nisko zwisającymi gałęziami sosen. Kolejne pociski poharatały korę drzew i pocięły gałęzie, które zasypały go kłującym deszczem igieł. Słyszając otwierające się drzwi samochodów, odwrócił się i strzelił. Z zaskoczeniem stwierdził, że trafił w jeden z reflektorów.

Kiedy jednak ponownie pociągnął za spust, pistolet nie wystrzelił. Zamek był odsunięty do tyłu, komora otwarta. Koniec amunicji. Miał zapasowe naboje w kieszeni, ale prześladowcy byli tak blisko, że nie mógł tracić ani sekundy na ładowanie, poza tym nie wiedział, czy poradziłby sobie z tym w ciemności.

W dodatku przez cały czas do niego strzelano.

Musiał uciekać.

Pobiegł w górę ciemnego zbocza. Co chwila zderzał się z jakimś niewidocznym drzewem. Kilka razy potknął się i przewrócił o pieńki. Za każdym razem ignorował ból i ruszał ponownie, popędzany odgłosami pogoni. Wokół migotały światła latarek, mężczyźni krzyčeli.

Próbował się zorientować, gdzie jest. Idąc do szkoły, szedł po tej stronie doliny, po której znajdował się w tej chwili — tego był pewien. Tutaj jednak linia drzew kończyła się na grani, przechodząc w opadającą w dół łąkę. U podnóża zbocza powinny znowu zaczynać się

drzewa. W jakim kierunku było zwrócone tamto trawiaste wzgórze? Musi się tam dostać. Za drzewami i płotem czekała w samochodzie Jill.

— Słyszę go!

273

— Tam!

— Rozproszyc się!

Pittman osłonił ramieniem oczy przed kłującymi gałęziami. Otoczony ciemnością, wspinał się z coraz mniejszą energią. Bolały go nogi, płuca protestowały. Przez cały czas szedł w prawo na skos, od czasu do czasu przypadkowo zmieniając nieco kierunek. Jeśli chce dotrzeć do tamtego trawiastego zbocza, musi znaleźć jakiś punkt orientacyjny. Nagle drzewa się skończyły i znalazł się na porośniętym trawą wzgórzu. Szybciej! Musi dotrzeć do szczytu, zanim tamci wyjdą spośród drzew i zobaczą go. Jego jedyną przewagą było to, że przestał łamać gałęzie, przebijać się przez krzaki i ocierać o drzewa. Za to jego prześladowcy robili mnóstwo hałasu. Słyszał wyraźnie, jak przedzierają się przez gęstwinę za jego plecami, i dało mu to takiego adrenalinowego kopa, że wziął głęboki wdech, zebrał się w sobie i ostatkiem sił zaczął pokonywać zbocze, które robiło się coraz bardziej strome i mokre.

Musiał na chwilę stracić kontakt z rzeczywistością, ponieważ następną rzeczą, jaką sobie uświadomił, było to, że stoi na grani, a w dole za nim ktoś krzyczy i oświetla go latarką. Minął linię grani, znowu wszedł między drzewa, zderzył się z płotem, złapał go i zatrzymał się, oddychając ciężko.

pokuśtykał dalej. Nie widzę cię!

— Tam! — wrzasnął jakiś głos za jego plecami i pod skakujące światło latarki omiotło okolicę.

Pittman z trudem przelazł przez płot i znowu był między drzewami.

— Jill! Gdzie jesteś?! — zawołał cicho.

To ja, Matt!

Światła latarek dotarły do płotu. Ich promienie kłuły ciemność, oświetlając Pittmana.

Po chwili rękaw jego kurtki musnęła kula, a druga osmalila mu włosy.

Niemal w tym samym momencie między drzewami rozległ się ogłuszający huk wystrzałów. Pittman nic z tego nie rozumiał. Przecież jego prześladowcy używali tłumików! Dlaczego je pozdejmowali? Dlaczego nagle postanowili zacząć robić hałas?

274

Nie — strzały dolatywały z przodu, a ścigający go mężczyźni padli na ziemię po drugiej stronie płotu. Wrzeszczeli do siebie, aby gaszono latarki i nie wystawiano się na strzał. O płot załomotały kolejne pociski.

— Jestem tutaj! — krzyknęła Jill.

Po chwili Pittman dostrzegł ogniki wystrzałów z pistoletu, który trzymała w dłoniach.

— Widzę cię! — odkrzyknął.

— Nie podnoś się! — ostrzegła go.

Padł na ziemię i popęzł w jej stronę.

— Szybko! Wsiadaj do samochodu!

Otworzyła mu drzwi i kiedy światło w kabinie się zapaliło, Pittman aż się skulił. Zanurkował do środka, zatrzasnął za sobą drzwi i ze zdumieniem patrzył, jak Jill — która siedziała w samochodzie i strzelała przez otwarte okno — przekręca kluczyk, wciska pedał gazu i wprowadza samochód pomiędzy dwóch drzew na wąską wiejską drogę.

14

— Dzięki Bogu... dzięki Bogu... — wysapał z trudem. Wię

cej nie był w stanie z siebie wykrztusić.

Oddychał płytko i nierówno, jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała szarpanymi ruchami. Dygotał na całym ciele, a po twarzy spływał mu pot i wsiąkał w ubranie.

Duster zarzucił na ostrym zakręcie. Jill natychmiast skon-trowała i przyspieszyła. W światłach reflektorów widać było liczne zakręty obsadzonej drzewami dwupasmowej drogi. Pittman odwrócił się, żeby sprawdzić, czy są ścigani.

— Jeszcze nie — uspokoiła go Jill. — Muszą zawrócić i pojechać aleją dochodzącą do szkoły. Brama jest trzy kilometry stąd. Ale jak już wjadą na tę drogę...

Na następnym prostym odcinku jeszcze bardziej przyspieszyła.

— Dzięki Bogu... — mruczał Pittman. — Kiedy nie mogłem cię zobaczyć i zacząłem krzyczeć, a ty nie odpowiadałaś...

— Nie wiedziałam, co robić. Słyszałam dolatujące od strony szkoły krzyki, a potem chyba włączyły się alarmy przeciw pożarowe.

— Tak było — odparł Pittman, złapał oddech i opowiedział jej, co się działo.

— Potem usłyszałam silniki samochodów i strzały w lesie... i nagle przelazłeś przez płot, zacząłeś się zataczać i krzyczeć. Za tobą były światła latarek, gonili cię... więc pomyślałam, że

276

muszę jakoś odwrócić ich uwagę. Powiedziałaś, że aby wystrzelić z tej broni, nie muszę odciągać kurka, wystarczy pociągnąć za spust. Nie celowałam, wychyliłam się tylko przez okno i zaczęłam strzelać. Boże, w tym pistolecie jest mnóstwo pocisków...

— Piętnaście.

— Poza tym strasznie szarpie, a w uszach ciągle jeszcze mi dzwoni od huku... Kiedy zobaczyłam, gdzie jesteś, przesunęłam lufę w drugą stronę i zaczęłam strzelać w płot.

Pittman ze zdumieniem pokręcił głową.

— Gdzie nauczyłaś się tak prowadzić samochód?

— Mój ojciec ma bzika na punkcie samochodów wyścigo wych. Jedną z niewielu rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobił na linii tatuś—córeczka, było nauczanie mnie rajdowej jazdy. Mogę ci pokazać różne sztuczki, na przykład jak przyspieszać na zakrętach.

Pittman nie mógł opanować drżenia rąk.

— Krwawisz — stwierdziła Jill.

— Co?

— Masz smugi krwi na twarzy, na dłoniach i na ubraniu.

Musiałeś się zranić, schodząc po bluszczu albo biegnąc między drzewami. Albo...

— Albo co?

— Mam nadzieję, że nie zostałeś postrzelony.

— Nie. Nie czuję bólu.

Jill popatrzyła przed siebie. Przejechali przez zadaszony most. ?— Powiedziałem, że nie czuję bólu — powtórzył Pittman.

— To nie zawsze dobry znak.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czasami następuje porażenie okolicznych nerwów i wtedy

przestają wysyłać sygnały.

Pittman pomacał się po nogach, klatce piersiowej i ramionach.

— Wydaje mi się, że wszystko mam całe. — Ziewnął i ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że robi to już od dłuższego czasu. — Co się ze mną dzieje? Przestraszyłem się, że mogłem zostać postrzelony, a nie mogę przestać ziewać.

— To wstrząs. Adrenalina przestaje działać. Twoje ciało mówi ci, że potrzebujesz długiego snu.

d

277

— Wcale nie jestem śpiący.

— Tak ci się tylko wydaje — odparła Jill i włączyła ogrzewanie.

Pittman znowu ziewnął.

— Może jednak mimo wszystko przejdiesz na tylną kanapę, wyciągniesz się i zamkniesz na chwilę oczy? Choćby tylko po to, żeby zrobić mi przyjemność.

— Tylna kanapa... — mruknął Pittman. — O czymś mi to przypomina.

Odwrócił się i otworzył swoją torbę.

— Co robisz?

— Chcę naładować broń. Daj mi swój pistolet. Zabrałem kilka magazynków ludziom, którzy napadli cię w mieszkaniu. Twój też naładuję.

Jill mruknęła coś pod nosem.

— Nie dosłyszałem.

— Broń... przysięgałam, że nigdy nie wezmę tego cholerstwa do ręki, a teraz...

Sześciocylindrowy silnik dusterą ryknął głośniejsz — Jill znowu dodała gazu.

15

Obudziła go cisza. Zamrugał zdezorientowany i stwierdził, że leży na tylnej kanapie samochodu. Spojrzał do przodu, na siedzącą za kierownicą Jill. Niebo już szarzało. Stali.

Usiadł i natychmiast jęknął, bo zabolaly go wszystkie mięśnie.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Przed motelem w Greenfield w Massachusetts. Jakies piętnaście kilometrów od granicy Vermontu i dwieście czterdzieści od szkoły. To chyba wystarczająco daleko, aby nas nie znaleźli... przynajmniej na razie.

— Musisz być bardzo zmęczona.

— Nie powinnam. Normalnie za godzinę kończyłabym nocny dyżur. Potem zwykle trochę ćwiczę, jem lekki obiad, oglądam jakiś film z kasety i koło południa idę spać.

— Ale to nie jest normalna sytuacja.

— Przestań. Zostań w samochodzie, a ja pójdę sprawdzić, czy w recepcji przyjmą gotówkę. Z tą zaschniętą krwią nie wyglądasz najlepiej. Powiem recepcjoniście, że byliśmy u ro

dziny w Waterford w Connecticut... zamierzaliśmy jechać przez całą noc i dotrzeć do domu, ale poczuliśmy się zbyt zmęczeni.

Wysiadła i weszła do biura. Po chwili wyszła stamtąd z kluczem w dłoni.

Pokój znajdował się na parterze, z tyłu budynku — jak zażądała Jill, twierdząc, że nie chcą, aby przeszkadzał im poranny ruch na drodze.

279

Kiedy otwierali drzwi i wchodzili do pokoju, na korytarzu nie było nikogo. Postawili bagaże na podłodze i rozejrzeli się po wnętrzu. Było skromne, ale czyste.

— Poprosiłam o pokój dla niepalących — powiedziała Jill i zaryglowała drzwi. — Recepcjonista twierdził, że telewizor działa. Pokoje po obu stronach naszego są puste, więc i z tej strony nic nam nie będzie zakłócać spokoju.

— Małżeńskie łóżce...

— Wspaniale.

— Aha — mruknął Pittman.

Seks był ostatnią rzeczą, o której mógł w tej chwili myśleć, ale mimo to poczuł skrępowanie.

— Idź do łazienki i zdejmij ubranie. Musimy sprawdzić, czy rana jest poważna — oświadczyła Jill i wyjęła z torby apteczkę, którą kupili poprzedniego dnia razem z latarką i kurtką.

— Założę się, że w szpitalu rozstawiasz wszystkich po kątach.

— Tylko nie próbuj udawać skromnisa. — Jill wyglądała na rozbawioną. — Przecież nie powiedziałam, że pójdę z tobą do łazienki. Zamknij drzwi, rozbierz się, zmyj krew, a potem, kiedy owiniesz się ręcznikiem, obejrzę cię. Na pewno trzeba też będzie zmienić bandaż na dłoni.

— Założę się, że uwielbiasz dłubać w swoich pacjentach wielkimi grubymi igłami.

Poszedł do łazienki i zaczął się rozbierać.

— I nie wchodź pod prysznic! — zawołała zza drzwi Jill. — Możesz poczuć się słabo i stracić równowagę. Wejdz do wanny. Obejrzał się dokładnie.

— Już teraz mogę ci powiedzieć, że nie ma we mnie żadnych dziur. Mam tylko paskudny siniak na żebrach po prawej stronie.

— Pomocz się trochę w wannie. Muszę na chwilę wyjść.

— Gdzie się wybierasz?

— Po drugiej stronie ulicy jest mały całodobowy sklepik.

Zobaczę, czy mają tam coś do jedzenia.

Kiedy Pittman wyszedł z łazienki po drugiej kąpieli (pierwsza woda była różowa od zaschniętej krwi), okazało się, że w sklepie mieli sok pomarańczowy, pączki t odtłuszczone mleko. Czuł

280

się dziwnie i zdawał sobie sprawę z tego, że widać po nim, jak bardzo krępuje go, iż wychodzi z zaparowanej łazienki jedynie w ręczniku owiniętym wokół bioder.

— Jestem zaskoczona — stwierdziła Jill. — Po tym wszystkim, co ostatnio robiłeś, nie sądziłam, że możesz być taki nieśmiały.

Na metalowej półce przy wejściu do łazienki leżał koc i Pittman wziął go sobie.

— Zanim się nim owiniesz, chcę rzucić okiem na ten siniak na żebrach — powiedziała Jill i przeciągnęła po nim palcem.

— Aua...

— Aua? Dorośli nie mówią „aua”. Tak mówią dzieci. Czy bardzo boli?

— Na Boga Ojca, pewnie!

— Tak mówią duże dzieci. Wciągnij powietrze. Wypuść. Ból się nasila? Nie? — Przez chwilę się zastanawiała. — Rentgen by to wyjaśnił, ale wątpię, czy masz złamane żebro. Choć to i tak bez różnicy.

— Dlaczego.

— Leczenie złamanych i obitych żeber wygląda tak samo: nie robi się nic. Na złamane żebra nie nakłada się gipsu. W dzisiejszych czasach nawet się ich nie bandażuje. Ostrzega się jedynie pacjenta, żeby się za bardzo nie forsował i nie uraził słuczonego boku.

— Super.

— Cóż, tak to właśnie wygląda. Ale za to mogę coś zrobić z twoją raną na dłoni i zadrapaniami. — Po posmarowaniu rany antyseptyczną maścią i jej ponownym zabandażowaniu zaczęła nakładać środek dezynfekujący na zadrapania na twarzy Pittmana. — Jesteś głodny?

— Tak, choć do tego, co przyniosłaś, przydałaby się jeszcze kawa.

— Po takim wyrzucie adrenaliny do żył? Nie masz dość chemicznego pobudzania się?

— Zaczynam mieć wrażenie, że niewiele rzeczy jesz albo pijesz, nie zastanawiając się nad ich chemicznym oddziaływaniem na twój organizm — stwierdził Pittman.

281

— Dzięki odpowiedniej diecie lepiej żyjemy.

— W takim razie dziwi mnie, że kupiłaś pączki.

— To jedyna rzecz nadająca się do jedzenia, jaką mieli. Suszone mięso wołowe nie wchodziło w rachubę.

— Nienawidzę odtłuszczonego mleka.

— Daj mu szansę. Na pewno szybko je polubisz.

— Jeżeli dłużej zostaniemy razem, obawiam się, że będę musiał to zrobić.

Jill popatrzyła na niego z ukosa.

— Co jest? — spytał Pittman.

— Nic.

— Powiedz. O co chodzi?

— O zostanie razem... W innych okolicznościach pewnie by mi się to podobało.

Pittman poczuł, że się czerwieni.

— Teraz moja kolej na kąpiel — oświadczyła po chwili Jill, wzięła swoją walizeczkę i weszła do łazienki. — Włącz CNN — dodała, zanim zamknęła drzwi. — Sprawdź, czy



jest coś o nas.

Pittman nic na to nie odpowiedział, myśląc o jej słowach. A jeszcze sześć dni temu tak bardzo pragnął umrzeć...

16

Jill dopiła swój sok pomarańczowy i wskazała ekran telewizora.

— Nic na temat tego, co wydarzyło się w szkole.

— Wcale mnie to nie dziwi.

— Myślisz, że nie skojarzyli tego z nami?

— Na pewno skojarzyli.

— Więc...?

— Więc kilku ludzi przy władzy kazało całą sprawę wyciszyć. Nie chcą, żeby ktokolwiek interesował się tą szkołą.

— No tak. Oczywiście. Ci wszyscy wysoko postawieni rodzice na pewno nie chcieliby, aby cokolwiek zepsuło reputację instytucji, której absolwentami są albo będą ich dzieci. Nie należy kojarzyć Grolliera z włamaniami i strzelaninami, to takie wulgarne...

— Może nie tylko o to chodzi. Może to, co próbujemy odkryć, jest na tyle groźne, że mogłoby zniszczyć szkołę.

Jill popatrzyła na niego uważnie.

— To by wiele wyjaśniało.

— Duncan Kline. Jeden z nauczycieli Wielkich Doradców. Derrick Meecham, nagle porzucający wszystkie kursy, na które razem z nimi chodził.

— Może zachorował?

— Ale nie wrócił w następnym roku, roku, w którym powinien skończyć szkołę. Zastanawiam się, w jaki sposób mog-

libyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o tej dwójce, bo do Grolliera na pewno już nie wrócę. Przez chwilę milczeli.

— Mam pomysł — powiedziała w końcu Jill. — Mówimy o absolwentach Grolliera, prawda?

— I...?

— Zazwyczaj wszyscy, którzy chodzili do tej szkoły, dostają się potem do jednej z uczelni z Ligi Bluszczonej, przede wszystkim do Harvardu, Yale i Princeton. Jeżeli założymy, że Derrick Meecham ukończył inną szkołę podobną do Akademii Grolliera, powinniśmy także założyć, że studiował na jednym z uniwersytetów Ligi Bluszczonej. Informacji na ten temat może nam udzielić biuro dziekanatu każdej z tych uczelni, ale niewiele nam to da. Musimy się dowiedzieć, gdzie Meecham jest teraz.

— Aktualne adresy wychowanków mają zawsze fundacje absolwentów — odparł Pittman.

— Właśnie. To one ciągle proszą ich o wsparcie finansowe dla byłej uczelni. Ojciec ukończył Yale i jest jednym z największych mecenasów programu lekkoatletycznego uczelni.

Fundacja absolwentów stale do niego dzwoni, podlizuje mu się, oferuje darmowe bilety, zaprasza na bankiety dla sportowców i wyciąga od niego pieniądze. Dla jego córki zrobią wszystko. A jeżeli Derrick Meecham nie był w Yale, poproszę ich o skontaktowanie się z fundacjami absolwentów pozostałych uniwersytetów Ligi Bluszczowej.

—  
17

— Doskonale, Ray — powiedziała Jill do słuchawki. — Tak, ojciec też czuje się dobrze. Ach, to... od czasu do czasu w czymś się nie zgadzamy, ale w końcu zawsze dochodzimy do porozumienia. Jesteśmy w dobrych stosunkach. — Przeciągnęła palcami przez swoje długie jasne włosy. — Zamierzam wpaść do niego w najbliższy weekend.

Pittman leżał na łóżku i obserwował ją. Owinięta w koc, siedziała przy stoliczku, na którym stał telefon. Zegar pokazywał 11.38. Przespali się cztery godziny, co — jak wyraźnie mówiły Pittmanowi piekące oczy i bolące ciało — było o wiele za mało, ale nie mogli sobie pozwolić na więcej. Musieli zadzwonić. Musieli działać.

— Ray, właściwie dzwonię z określonego powodu... chciała bym, abyś wyświadczył mi przysługę. Nie, to nic trudnego i nie będzie cię nic kosztowało. — Roześmiała się. — Wspaniale. Wiem, że tak uważasz. Na pewno powiem ojcu, że mi pomogłeś. Chciałabym, żebyś sprawdził, czy w swoich bazach danych masz absolwenta o nazwisku Derrick Meecham. Jaki rocznik? Nie wiem dokładnie. Lata trzydzieste. Tak, wiem, że to bardzo dawno. Będzie z tym jakiś problem? Jeden z moich pacjentów umiera i chciałby pozłatwić stare sprawy. Koniecznie chce porozmawiać z tym Derrickiem Meechamem. Podejrzewam, że nie widzieli się jakieś pięćdziesiąt lat. Nie pytaj, dlaczego to takie dla niego ważne, ale zrobiło mi się żal staruszka i chciała-

bym mu pomóc. Tak, chyba mam miękkie serce. Na oddziale zawsze sobie z tego powodu ze mnie żartują... Co? Musisz mieć niesamowity komputer. Już zapisuję adres. Numer telefonu... wspaniale. Mam. Dzięki, Ray. Naprawdę to doceniam. Na pewno powiem ojcu. Tak, możesz się o to założyć. Ty też dbaj o siebie.

Odłożyła słuchawkę.

— Boston — powiedziała.

.Pittman spojrział na mapę.

— To tylko sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Jeżeli zaraz wyruszymy, będziemy na miejscu za parę godzin.

— Matt?

— Co jest?

— Podejrzewam, że Meecham nam nie pomoże.

Pittman nie odpowiedział.

— Podejrzewam, że nam nie pomoże — powtórzyła Jill.

— Nie bądź pesymistką. Musimy wierzyć w to, że pomoże. Inaczej nie będziemy w stanie dalej działać.

Przez chwilę milczała.

— Twoje zdecydowanie mnie zaskakuje — mruknęła.

— Dlaczego?

— Człowiek, który planuje samobójstwo, zazwyczaj nie troszczy się o przyszłość i o to, czy przeżyje.

— Tu nie chodzi o przeżycie.

— Nie? W takim razie o co?

— Tydzień temu siedziałem w wannie z lufą pistoletu w ustach...

Jill nie była przygotowana na taki zwrot w rozmowie. Słowa Pittmana wstrząsnęły nią.

— Pozałatwiałem swoje sprawy. Spłaciłem wszystkie długi, odwzajemniłem każdą przysługę. Wszystko było w porządku. Nie miałem wobec nikogo żadnych zobowiązań. Zamierzałem opuścić ten świat, pozostawiając wszystkie sprawy zamknięte. Wtedy zadzwonił telefon i mój przyjaciel, o którym sądziłem, że jesteśmy ze sobą kwita, poprosił mnie o przysługę. Zrobił tyle dla mojego syna, że nie mogłem mu odmówić. Teraz muszę odwzajemnić się za kolejną" przysługę.

286

— Komu?

— Tobie.

— O czym ty mówisz?

— To moja wina, że zostałam w to wszystko wplątana.

Gdybym nie przyszedł do twojego mieszkania... Muszę zapewnić ci bezpieczeństwo.

Przytrzymując koc, Jill podeszła do niego i dotknęła jego ramienia.

— Dziękuję.

Pittman wzruszył ramionami.

— A jak już to zrobisz, co wtedy? — spytała.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

— W dalszym ciągu zamierzasz się zabić?

Odwrócił wzrok.

—

o

CL

1

Jazda trwała dłużej, niż planowali, bo Route 2, którą jechali, dopiero budowano. Kończyła się daleko przed Bostonem i musieli jechać objazdami — najpierw na południe drogą 495, potem na wschód drogą 90, więc dotarli do miasta późnym popołudniem. Zraniona ręka Pittmana odzyskiwała już czucie, więc tym razem on prowadził, a Jill drzemała na tylnej kanapie. Obudziła się, kiedy wjechał na parking przy motelu na przedmieściach. Usiadła, przeciągnęła się i ziewnęła.

— To twoje dawne ulubione miejsca — powiedział Pittman. — Znajdziesz ten adres?

— Jasne. Bez problemu.

— Nie chcesz spojrzeć na mapę?

— Derrick Meecham musi mieć mnóstwo pieniędzy. Miesz

ka w Beacon Hill, kilka przecznic od domu moich rodziców.

Spowalniał ich popołudniowy szczyt, ale w końcu, tuż po szóstej, skręcili z Massachusetts Turnpike na Columbus Ave-nue, potem przejechali przez Boston Common do Charles Street i wjechali do historycznej dzielnicy Beacon Hill.

Pittman przyjrzał się wąskiej, obsadzonej drzewami, brukowanej ulicy. Z jednej strony był niewielki park otoczony płotem z kutego żelaza z mnóstwem iglic, z drugiej zachodzące słońce rzucało na jezdnię cienie dziewiętnastowiecznych ceglanych kamienic. Jill skręciła za róg. Tutaj posiadłości były poprze-

291

dzielane podjazdami, odgrodzonymi od ulicy żelaznymi bramami. Przez pręty widać było podwórza, ogrody i zamienione na garaże wozownie.

— Tu właśnie mieszkałaś?

— Kiedy nie chodziłam do prywatnych szkół.

— Pięknie tutaj.

— Takie miejsce może się też okazać pułapką. Dlatego przeniosłam się do prawdziwego życia.

— Ja w tej chwili wolałbym od niego uciec.

Parę metrów przed nimi od krawężnika odjechał mercedes i Jill zaparkowała na wolnym miejscu. Kiedy wysiadła, wygładziła spódnicę i założyła zielony blezer.

— Mogę się tak pokazać ludziom?

— Wyglądasz cudownie.

— Pamiętaj, że kiedy zapukamy, ktokolwiek otworzy, oceni nas na podstawie ubioru.

Pittman sięgnął do torby, wyjął z niej krawat i założył go. Miał nadzieję, że jego koszula nie jest zbyt pognieciona. Spodnie i marynarka były na tyle czyste, na ile udało mu się doprowadzić je do porządku domowym sposobem.

— Chyba nie powinienem przedstawiać się jako dziennikarz, prawda? — powiedział.

Jill kiwnęła głową.

— Ludzie, którzy tu mieszkają, uważają przedstawicieli prasy za pariasów...

— Więc co powiemy? Że piszę książkę o Akademii Grolliera?

— Jeszcze lepiej będzie, jeśli powiesz, że jesteś profesorem historii i piszesz książkę o akademii. Nauczyciele akademicy cieszą się tu dużym szacunkiem.

Weszli po kilku kamiennych stopniach i stanęli przed wielkimi starymi dębowymi drzwiami.

— Prawdopodobnie pochodzą z początku dziewiętnastego wieku — zauważyła Jill.

Pittman ujął kołatkę i zastukał w umocowaną na drzwiach metalową płytkę. Czekali dłuższą chwilę, ale nikt nie otwierał.

292

Zastukali ponownie.

— Chyba nikogo nie ma w domu — mruknął Pittman. — Może wyszli na kolację.

Jill pokręciła głową.

— Żaden szanowany Bostoński Bramin nie wychodzi na kolację tak wcześnie. Poza tym Meecham jest stary i nie sędzę,

żeby lubił włóczyć się po mieście.

Pittman uniosł kołatkę, zamierzając zastukać po raz trzeci, ale w tym momencie usłyszeli zgrzyt zasuw. Po chwili gałka przekreśliła się i drzwi powoli się otwały, ukazując niską, zasuszoną siwą staruszkę w eleganckiej, zapiętej wysoko pod szyją granatowej sukience, tak długiej, że niemal całkowicie zakrywała pończochy przeciwżylakowe, które kobieta założyła na opuchnięte nogi. Jej pomarszczona twarz pełna była wą-robianych płam.

Wyjrzała przez uchylone drzwi i mrużąc oczy, popatrzyła przez grube szkła okularów na przybyszy.

— O co chodzi? Znam państwa? — zapytała drżącym głosem.

— Nie, proszę pani — odparł Pittman. — Nazywam się Peter Logan i jestem profesorem historii z drugiej strony rzeki. — Oznaczało to Harvard. — Przepraszam, jeżeli przychodzę w nieodpowiedniej porze, ale chciałbym porozmawiać z pani mężem na temat książki, którą piszę.

— Profesor historii? Na temat książki? Z moim mężem?

— Właśnie, proszę pani. Zbieram materiały o amerykańskich ośrodkach edukacyjnych, zwłaszcza klasycznych, i miałem nadzieję, że pani mąż mógłby mi odpowiedzieć na kilka pytań.

— Pytań? Mój mąż?

Było to beznadziejne. Kobieta jedynie powtarzała jego słowa, tyle że zamieniała je w pytania. Przyjazd tutaj był chyba stratą czasu. Pomyślał, że staruszka prawdopodobnie cierpi na demen-cję i nie rozumie, co się do niej mówi.

Kobieta uniosła głowę.

— Nie mam pojęcia, o co chciałby pan zapytać mojego męża, ale obawiam się, że nie odpowie panu. Mój mąż zmarł rok temu.

— Och... — Pittman był tak zaskoczony, że nie wiedział, co  
293

odpowiedzieć. Powinien oczywiście wziąć taką ewentualność pod uwagę, ale fakt, że wszyscy Wielcy Doradcy żyli (oczywiście z wyjątkiem Millgate'a), sprawił, że odruchowo założył, iż żyją także ludzie, którzy byli z nimi w jakiś sposób związani. — Ogromnie mi przykro, ale z informacji, jakie uzyskałem ze stowarzyszenia wychowanków Yale, wynikało, że Derrick Meecham ciągle jeszcze tu mieszka. Byłem pewien, że ich dane są aktualne.

.. — I rzeczywiście są — odparła kobieta jeszcze bardziej drżącym głosem.

— Nie rozumiem...

— Derrick Meecham mieszka tutaj.

— Proszę nam wybaczyć, ale w dalszym ciągu nic nie rozumiemy — wtrąciła Jill.

— Mój syn.

— Mamo? — odezwał się w głębi holu męski głos. — Prosiłem cię przecież, żebyś oszczędzała siły. Nie musisz otwierać drzwi. To zadanie Fredericka. Gdzie on jest?

Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich szpakowaty mężczyzna tuż po pięćdziesiątce. Patrzył Pittmanowi prosto w oczy, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że jest przyzwyczajony do wydawania poleceń i do tego, że są natychmiast wykonywane. Miał na sobie trzyczęściowy szary garnitur w prążki, który był najwspanialszym dziełem sztuki krawieckiej, jakie Pittman kiedykolwiek widział.

— W czym mogę pomóc? — spytał bez entuzjazmu.

— Ten człowiek jest profesorem — wyjaśniła starsza pani.

— Peter Logan — przedstawił się Pittman. — Wykładałem historię na Harvardzie. Obawiam się, że popełniłem błąd. Chciałem porozmawiać z pańskim ojcem, ale jak się właśnie dowiedzieliśmy, odszedł. Proszę nam wybaczyć...

— Chciał pan porozmawiać z moim ojcem? O czym?

— Zbieram materiały na temat Akademii Grolliera.

Mężczyzna znieruchomiał, chyba nawet przestał oddychać.

— Na temat Grolliera?

— Akademia wywarła tak wielki wpływ na amerykański rząd, że postanowiłem zbadać, co uczyniło ją tak wyjątkową.

294

— O tak, jest wyjątkowa...

Słońce opadło jeszcze niżej. Meecham junior przez chwilę wpatrywał się w Pittmana w milczeniu.

W końcu jego klatka piersiowa się poruszyła.

— Proszę wejść, profesorze... przepraszam, mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

— Logan. Peter Logan. A to moja żona Rebecca. Również jest historykiem.

— Derrick Meecham — powiedział mężczyzna, wyciągając dłoń, po czym powtórzył: — Proszę wejść.

—

Zamknął drzwi i ruszył przodem, prowadząc matkę i gości przez szeroki, wyłożony boazerią korytarz. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające krajobrazy, lasy i farmerskie domy. Ich ramy wyglądały na tyle staro, że mogły pochodzić nawet z XIX wieku.

Minęli wypolerowane marmurowe schody o pięknej rzeźbionej balustradzie. W kilku pokojach na końcu korytarza paliło się światło. Z jednego z nich wyszedł wysoki mężczyzna w białej marynarce.

— Gdzie byłeś, Fredericku? — spytał Meecham. — Moja matka musiała sama otworzyć gościom drzwi.

— Wydawało mi się, że jest na górze — odparł tamten. — Przepraszam, proszę pana. Nie usłyszałem kołatki. Byłem na dole w piwnicy z winem, szukałem rotszylda, o którego pan prosił.

— I znalazłeś?

— Tak jest, proszę pana.

— Z siedemdziesiątego pierwszego roku?

— Tak, proszę pana.

— Doskonale. Mamo, odpocznij trochę przed kolacją. Frederick zaprowadzi cię do twojego pokoju. Możesz pooglądać telewizję — powiedział Meecham. Ton jego głosu sugerował, że on sam nie ogląda telewizji.

— Zaraz się zacznie Victory Garden, pani Meecham — dodał Frederick.

296

— Oczywiście — odparła starsza pani i pozwoliła się od prowadzić do małej windy.

Kiedy kabina ruszyła, Meecham zwrócił się do gości:

— Proszę tutaj.

Weszli do jednego z licznych pomieszczeń, do których wchodziło się z korytarza. Pod ścianami stały regały z oprawionymi w skórę książkami, głównie prawniczymi. Umeblowanie było spokojne, ale prawdopodobnie — jak podejrzewał Pittman — droższe, niż mógł to sobie wyobrazić zwykły człowiek. Wielkość leżącego na podłodze orientalnego dywanu została tak dobrana, żeby między jego brzegami i wszystkimi czterema ścianami pozostał metr gołej podłogi, co pozwalało dostrzec klepkę z ciemnego dębu.

— Proszę usiąść — powiedział Meecham. — Może Frederick mógłby państwu coś podać?

Usiedli na krzesłach przed kominkiem.

— Nie, dziękuję — odparł Pittman.

— Właśnie zamierzałem wypić koktajl — oświadczył Meecham.

Jego zachowanie zaskoczyło Pittmana. Było w nim coś dziwnego. Dopóki nie padła nazwa „Grollier”, zamierzał jak najszybciej pozbyć się nieoczekiwanych gości, ale potem wpuścił ich do środka i zaproponował drinki. Albo sam koniecznie musiał się napić (raczej nie sprawiał takiego wrażenia), albo miał nadzieję, że po alkoholu goście się rozluźnią i staną się bardziej szczerzy.

— Chętnie wypiłabym koktajl — odparła Jill. — Cokolwiek pan zaoferuje.

— Wódka i martini.

— Znakomicie.

Meecham podszedł do drzwi, otworzył je, powiedział do kogoś kilka słów, wrócił do kominka i usiadł na stojącym obok krześle chippendale.

— Akademia Grolliera... — powiedział, patrząc Pittmanowi prosto w oczy.

— Zgadza się. Wydaje mi się, że pański ojciec chodził do tej szkoły.

297

— To prawda, jednak czegoś tu nie rozumiem... Dlaczego ze wszystkich uczniów Grolliera chciał pan rozmawiać akurat z moim ojcem?

— Ponieważ był w jednej klasie z tak zwanymi Wielkimi Doradcami. Jonathanem Millgate'em, Eustace'em Gable'em, Anthonyem Lloydem...

Twarz Meechama stężała.

— Znam nazwiska Wielkich Doradców. Po swoim odejściu z Grolliera ojciec nie miał z nimi kontaktu.

— Ale w szkole był z nimi zaprzyjaźniony, prawda?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Na trzecim roku nauki pański ojciec był słuchaczem kursu ekonomii politycznej. Uczestniczyła w nim bardzo mała liczba uczniów. Pięciu Wielkich Doradców...

— ...i mój ojciec — dokończył gospodarz.

Pittman był zaskoczony. Meecham po raz pierwszy ujawnił jakąś informację niepytany.

— Właśnie — wtrąciła Jill. — Wydaje się dość oczywiste, że w takim zamkniętym środowisku pański ojciec mógł słyszeć wymianę poglądów, która wyjaśniałaby kierunek, jakim Wielcy Doradcy podążyli w trakcie swoich karier politycznych.

Meecham wzruszył ramionami.

— Ojciec nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał.

Zapadła cisza. Najwyraźniej Meecham skończył z dobrowolnym ujawnianiem informacji.

— Może mówił coś o samych Wielkich Doradcach? — spytał Pittman. — Może kiedy czytał o nich w gazetach, wspomniał o czymś, co pozwoliłoby wyjaśnić ich postępowanie?

— O tym też nigdy ze mną nie rozmawiał.

— Nie komentował żadnego z ich kontrowersyjnych posunięć?

— Powiedział tylko kiedyś, że chodził z nimi do szkoły.

No tak, Meecham zdecydowanie skończył z dobrowolnym ujawnianiem informacji.

Znowu zapadła cisza.

Zapukano do drzwi i wszedł Frederick — z tacą, na której stały kieliszki i dzbanek martini. ?

— . -

298

— Fredericku, niestety nie będziemy mieli czasu na koktajl.

Właśnie sobie przypomniałem, że za pięć minut mają do mnie dzwonić z biura w San Francisco — powiedział Meecham.

Frederick odstawił tacę na kredens. Gospodarz wstał i podszedł do Pittmana i Jill.

— Nie lubię prowadzić interesów wieczorem, więc pewnie dlatego zapomniałem o tym telefonie. Odprowadzę państwa do drzwi. Żałuję, że nie mogłem w niczym pomóc, ale mój ojciec był dość skryty. Rzadko rozmawiał ze mną o swoich prywatnych sprawach. A Grollier był czymś tak dawnym...

Pittman również wstał.

— Jeszcze tylko jedno pytanie: czy wie pan może, dlaczego pański ojciec nie ukończył tej szkoły?

Meecham zamrugał.

— Najpierw przestał uczęszczać na kurs nauk politycznych, który odbywał razem z Wielkimi Doradcami, a potem w ogóle przestał chodzić do Grolliera — dodał Pittman.

— Zmieniłem zdanie, Fredericku — oświadczył Meecham. — Niech biuro w San Francisco zadzwoni ponownie jutro. Powiedz im, że mnie nie ma.

— Oczywiście, proszę pana.

— Podaj martini.

— Już podaję, proszę pana.

Meecham usiadł. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo. Pittman i Jill również usiedli. Frederick napełnił kieliszki, a potem podchodził do każdego po kolei i proponował do wyboru oliwkę albo marynowaną cebulkę.

Pittman z przyjemnością zaczął popijać zimny, doskonale skomponowany koktajl. Ze zdumieniem uświadomił sobie, jak mało alkoholu wypił od chwili, gdy pojechał za Millgate'em do jego posiadłości w Scarsdale. Przedtem nie potrafił przetrwać dnia — a zwłaszcza nocy — bez morza alkoholu. Próbował w ten sposób oderwać się od rzeczywistości, ale teraz nie mógł sobie na to pozwolić.

Sytuacja robiła się coraz bardziej niezręczna. Nikt się nie odzywał, czekano, aż Frederick wyjdzie.



— Czego tak naprawdę chcecie? — spytał Meecham, kiedy za Frederickiem wreszcie zamknęły się drzwi.

— Tego, o czym mówiliśmy: chcemy poznać stosunek pańskiego ojca do Grolliera i Wielkich Doradców — odparł Pittman.

— Skoro wiecie, że ojciec nie ukończył Grolliera, odszedł stamtąd w trzecim roku nauki i przeniósł się do innej szkoły, musieliście się też domyślać, że miał ambiwalentne uczucia.

— Czy kiedykolwiek mówił coś o którymś z nauczycieli? O Duncanie Kline?

Meecham popatrzył na nich ostro.

— To nie ma nic wspólnego z książką o edukacji.

— Słucham?

— Nie przyjechaliście tutaj w sprawie książki o akademii. — Meecham wstał gwałtownie. — Wiecie o Grollierze. Krążycie wokół tematu, ale wiecie.

— Nie rozumiem — powiedział Pittman.

— Gdyby było inaczej, nie wymienilibyście nazwiska Duncana Kline'a.

— Prowadził kurs nauk politycznych, z którego zrezygnował pański ojciec.

— Był zboczony.

Pittman, który właśnie pociągnął łyk martini, był tak zaskoczony tym stwierdzeniem, że omal się nie zakrztusił.

300

— Zboczony?

Meecham sprawiał wrażenie przestraszonego.

— Twierdzi pan, że o tym nie wie?

— Wiemy, że coś się tam stało — odparł Pittman. — Coś na tyle traumatycznego, że Jonathana Millgate'a dręczyło to jeszcze wiele dziesięcioleci później, na łożu śmierci.

— Nie mogę się wypowiadać w imieniu Jonathana Millgate'a, wiem tylko to, co powiedział mi ojciec, kiedy wspominałem, że może posłać do Grolliera moich chłopców. Był to jeden z niewielu przypadków, kiedy okazał emocje. Oświadczył, że pod żadnym warunkiem nie pozwoli posłać tam swoich wnuków. Powinienem ich posłać do porządnej szkoły, takiej jak na przykład Groton, którą ojciec skończył przed studiami w Yale.

— Dlaczego tak bardzo nie lubił Grolliera?

Gospodarz wbił wzrok w podłogę. Wyraźnie walczył ze sobą.

— Może już czas — mruknął w końcu i podniósł wzrok. — Może Grollier się nie zmienił i ktoś już dawno powinien był coś zrobić, aby to przerwać.

— Co przerwać?

Meecham nerwowo postukał palcem w kieliszek.

— Ale to nieoficjalna rozmowa.

— Jeśli pan sobie tak iycTy...

— Tak musi być — powiedział Meecham. — Duncan Kline był pedofilem.

Pittman wytrzeszczył na niego oczy.

— Prywatne liceum było dla niego idealnym miejscem — dodał Meecham po kolejnej chwili bolesnego milczenia. — Ojciec mówił, że Duncan Kline był znakomitym nauczycielem... energicznym, dowcipnym, cieszącym się dużym autorytetem... postacią, która przyciąga najzdolniejsze jednostki. Był także znakomitym sportowcem, wybijającym się wioślarem. Zawsze działał podobnie: obserwował uczniów każdej nowej klasy, wybierał spośród nich niewielką, pięcio-, sześciuosobową grupę najbardziej obiecujących, a potem opiekował się nimi przez cztery lata nauki. Podejrzewam, że jednym z kryteriów był także dystans emocjonalny do rodziców i gotowość do znale-

zienia w nim substytutu ojca. Mój ojciec nigdy nie był w bliskich stosunkach ze swoim ojcem. Duncan Kline zachęcał swoich podopiecznych do uczestniczenia w prowadzonych przez niego małych prywatnych seminariach i prowadził treningi wioślarskie. Musieli być najlepsi i występować jako oficjalna reprezentacja szkoły. Stopniowo ich wzajemne stosunki stawały się bardziej zażyłe, aż w trzecim roku... Jak już mówiłem: jedna grupa uczniów z każdego nowego rocznika. W ten sposób, kiedy jedna grupa kończyła szkołę i szła na uniwersytet, zastępowała ją następną.

Pittman poczuł, że robi mu się niedobrze.

Meecham pociągnął duży łyk koktajlu. Jego twarz stężała z emocji.

— Mój ojciec odrzucił zaloty Kline'a. Nauczyciel z początku się wycofał, ale wkrótce znów zaczął robić mu awanse. Kiedy ojciec po raz drugi je odrzucił, Kline albo był tym tak oburzony, albo przestraszony, że jego skłonności zostaną ujawnione, że nie dał mu żyć. Dawał ojcu niemożliwe do wykonania zadania i przy każdej okazji wyśmiewał się z niego. Stopnie ojca zaczęły się robić coraz gorsze. Równocześnie pogarszał się jego stan psychiczny. Prawdopodobnie podczas ferii wielkanocnych w trzecim roku nauki doznał załamania nerwowego. Nie wrócił już do Grolliera.

— I jego rodzice nic nie zrobili, aby ukarać Kline'a? — zdziwił się Pittman.

Meecham pokręcił głową.

— Co mogli zrobić?

— Powinni zgłosić to władzom szkolnym. Powiedzieć dyrektoriowi, co robił Kline.

— Zgłosić? — Meecham popatrzył na Pittmana jak na wariata. — Chyba nie bardzo rozumie pan sytuację. To wszystko działo się na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku. Zapewniam pana, że takie tematy jak molestowanie nieletnich zdecydowanie nie należały do repertuaru konwersacji. Nie w dobrze wychowanym towarzystwie. Oczywiście tego typu rzeczy istniały, wszyscy o tym wiedzieli, nie zdarzało się to

jednak często, a jeśli już, przytrafiało się innym ludziom,  
302

z niższych klas, prostym, wulgarnym, o znacznie gorszej pozycji finansowej.

— Boże drogi...

Meecham pociągnął kolejny długi łyk.

— Taka obowiązywała w owych czasach opinia. Wśród wychowanków Grolliera są gubernatorowie, senatorowie, kongresmani, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie do pomyslenia, aby jakiś uczeń zaczął nagle twierdzić, że ma tam miejsce molestowanie seksualne. Na szali znalazłaby się reputacja tylu osób, że władze nigdy nie potraktowałyby tego zarzutu poważnie. Przekonano by kogo trzeba, że uczeń rzucił tak straszliwe oskarżenie, bo chciał obwinie kogoś za swoje słabe stopnie. Kiedy mój ojciec powiedział swojemu ojcu, co się dzieje w Grollierze, dostał w twarz, został nazwany kłamcą i zakazano mu powtarzania tego typu łągarstw.

Zapadła chwila ciszy.

— Tak więc mój ojciec nikomu już o tym nie mówił... dopóki nie powiedziałem, że może posłę do Grolliera moich synów.

— Przecież słowa pańskiego ojca potwierdziliby inni uczniowie.

— Na pewno? Czy rodzice pozwoliliby im wtrącać się w tak poważne sprawy? Wątpię. Ale ten problem nigdy nie został poruszony.

Jill pochyliła się do przodu.

— Czy należy zakładać, że Duncan Kline zalecał się także do Wielkich Doradców? — zapytała. — I że jego awanse zostały przyjęte?

Meecham wbił wzrok w swój kieliszek.

— Byli wybrańcami Kline'a i wszyscy uczestniczyli w jego seminarium. Ojciec opowiedział mi o tym wszystkim w połowie lat siedemdziesiątych... wtedy było już za późno, aby cokolwiek zrobić z samym Kline'em, bo zmarł na początku lat pięćdziesiątych. Po przejściu na emeryturę mieszkał w Bostonie. Ojciec powiedział mi, że jednym z najszcześniejszych dni w jego życiu był ten, w którym przeczytał jego nekrolog. A proszę mi wierzyć, w życiu mojego ojca nie było zbyt wielu szczęśliwych

303

dni. — Meecham dopił koktajl i popatrzył na dzbanek, jakby chętnie napił się jeszcze. — Nie mam pojęcia, co chcecie udowodnić, ale jeżeli w Grollierze było więcej takich nauczycieli jak Kline albo jeżeli jemu podobni uczą tam dalej i pana książka ich zdemaskuje, uczynimy coś dobrego.

— Byłby pan gotów podać swoje nazwisko? — spytał Pittman.

— Oczywiście, że nie! — odparł Meecham. — Sądzi pan, że potrzebne mi tego typu zainteresowanie ze strony opinii publicznej? Jak powiedziałem na początku, to nieoficjalna

rozmowa. Wskazuję jedynie panu odpowiedni kierunek. Może ktoś inny zechce dostarczyć dowodów... Proszę porozmawiać z Wielkimi Doradcami. — Meecham wyglądał na rozbawionego. — Zobacz pan, jak bardzo będą chcieli ujawnić swoje nazwiska.

— Kiedy Jonathan Millgate był na oddziale intensywnej opieki medycznej, powiedział do swojej pielęgniarki: „Duncan”, „śnieg” i „Grollier”. Co według pana może oznaczać ten „śnieg”?

— Nie mam pojęcia. Ojciec nie wspominał nigdy o niczym, co w jakikolwiek sposób łączyłoby Duncana Kline'a ze śniegiem.

— A jeżeli to jakieś slangowe określenie? Może chodziło o kokainę?

— Nie mam pojęcia. Czy w latach trzydziestych nazywano tak kokainę? I czy ktoś taki jak Jonathan Millgate mógłby używać takich określeń?

Pittman wzruszył ramionami. Kiedy zapukano do drzwi, odwrócił się w ich stronę. Do pokoju wszedł Frederick.

— Panie Meecham, przy wejściu jest dwóch policjantów.

Pittman poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny.

— Policjantów? — zdziwił się Meecham.

— Detektywów — dodał Frederick. — Pytają, czy miał pan kontakt z jakimś Matthew Pittmanem. Podróżuje z kobietą i... — służący popatrzył na Pittmana i Jill.

Meecham zmarszczył czoło.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — zapytał Pittman, po czym gwałtownie wstał i podszedł do drzwi, znajdujących się w ścianie skierowanej ku tyłom domu. Było to jedyne drugie wyjście z pokoju. Jill stanęła za nim.

— Co pan wyprawia? — spytał gospodarz.

Ale Pittman otworzył już drzwi i wchodził do znajdującego się za nim wąskiego korytarzyka. Jill pospieszyła za nim.

— Stać! — krzyknął Meecham.

Kiedy Pittman i Jill mijali znajdującą się po lewej stronie kuchnię, kucharz w białym uniformie otworzył z zaskoczenia usta. Pobiegli dalej. Po chwili dotarli do drzwi, przez których okienko widać było wyłożone kostką podwórze.

Pittman otworzył je jednym szarpnięciem, ale zamiast ulgi poczuł ucisk w klatce piersiowej — mroczne podwórze otaczała z jednej strony wysoka zamknięta brama, z drugiej jeszcze wyższy mur, a z trzeciej zamieniona na garaż wozownia. Nie było szansy się stąd wydostać.

Spojrzał za siebie. W przeciwległym końcu korytarza pojawił

się Frederick, a w drzwiach do kuchni stał kucharz. Od frontowego wejścia zbliżały się głośne kroki.

Z prawej strony były prowadzące w górę schody. Pittman złapał Jill za rękę i wbiegli na nie. Na półpiętrze schody zmieniły kierunek i doprowadziły ich do korytarza na piętrze.

Wszystkie drzwi znajdujących się tu pokoi były zamknięte. Meecham mówił coś głośno na parterze. Nagle jedne z drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich stara matka Meechama.

— Co to za hałasy? Nie mogę oglądać telewizji!

Pittman uspokajająco machnął ręką i zapytał:

— Pani Meecham, czy w drzwiach pani sypialni jest zamek?

— Oczywiście, że jest w nich zamek. Czy istnieją sypialnie bez zamka w drzwiach? Sądzi pan, że pozwalam wchodzić do mojej sypialni każdemu, kto chce? A co pan tu właściwie robi?

— Dziękuję bardzo! — odparł Pittman i pociągnął Jill za sobą.

— Nie może pan tu wchodzić! — zawołała za nimi pani Meecham.

Pittman zatrzasnął i zaryglował drzwi. Pokój był elegancko urządzone, pełen koronek, z obowiązkowym łóżkiem z baldachimem. Dobiegająca ze stojącego w rogu telewizora muzyka zagłuszała stukanie w drzwi.

— Co teraz? — spytała Jill.

Pittman nie odpowiedział, zamiast tego podbiegł do okna. Wychodziło na tył domu, tuż pod nim był garaż. Pittman otworzył je.

— Szybciej!

Ale Jill nadal stała na środku pokoju.

— Co się stało?

Jill spojrzała na drzwi, a potem na Pittmana.

— Szybciej! — powtórzył.

Zaczęła zdejmować buty.

— Czemu muszę to robić akurat wtedy, kiedy mam na sobie spódnice? — jęknęła.

Gdy zaczęła wychodzić przez okno, jej spódnica się rozerwała. Stukanie w drzwi nasiliło się. Z drugiej strony dobiegały

306

wściekle męskie głosy. Po chwili drzwi zadygotały, kiedy uderzono w nie barkiem.

Pittman zaczął wylazić za Jill. Stęknął, bo zabolaty go żebra. Zaczął biec po kalenicy dwuspadowego dachu garażu. W sypialni coś huknęło. Jill dotarła do końca dachu, zeskoczyła i po przebiegnięciu kilku metrów zniknęła za rogiem sąsiedniego budynku.

Po kilkunastu sekundach Pittman także znalazł się na końcu dachu, z którym stykał się otaczający podwórze mur. Odchodził w lewo, okalając podwórza sąsiednich domów i dzieląc kwartał na pół. Kiedy Pittman usłyszał zbliżające się krzyki, zszedł na szczyt muru i pobiegł za Jill. Oddychał tak głęboko i szybko, że piekły go płuca.

Jill trzymała buty w jednej ręce, a torebkę w drugiej. Po chwili była już na dachu następnego garażu, jednak nagle załamała się pod nią dachówka i straciła równowagę. Zsunęła na plecach z dachu i spadła na wyłożone kostką podwórze. Uderzyła o ziemię barkiem, ale Pittman natychmiast złapał ją za ramię i pomógł wstać. Poderwała się, nie podnosząc butów, i pobiegli dalej.

Nagle Pittman się zatrzymał.

Za garażem mur się urywał, dalej podwórze otaczały same budynki. W dole stał zaparkowany przed garażem czerwony jaguar.

Pittman zeskoczył na niego — dach samochodu skrzywnął w proteście, ale wytrzymał. Jill nie potrzebowała zachęty. Kiedy wylądowała na samochodzie, okazało się, że jest tak mocno nawoskowany, że ledwie utrzymała się na bosych stopach. Pittman objął ją i przytrzymał, a potem opuścił na ziemię i zeskoczył za nią.

Wyglądało na to, że właściciel jaguara zamierzał gdzieś jechać, bo brama była szeroko otwarta. Wybiegli z podjazdu na wąską, obsadzoną drzewami ulicę, prostopadłą do tej, przy której stał dom Meechama.

Ich szary duster stał w odległości dziesięciu metrów.

— Prowadź! — wysapała Jill, rzuciła Pittmanowi kluczyki, po czym wskoczyła na tylne siedzenie i schowała się.

307

— Co robisz? — spytał zdziwiony, kiedy odjeżdżali spod krawężnika.

Z tyłu dolatywały odgłosy szarpaniny.

— Jill, co robisz? — powtórzył Pittman.

— Przebieram się z tej przekłętej spódnicy w džinsy. Jest z tyłu cała rozerwana. Nie mogę pokazywać całemu światu bielizny, jeżeli mnie aresztują.

Pittman zaczął się śmiać. Jeszcze nie minął mu strach i nadal nie mógł złapać oddechu, ale w tym momencie Jill tak bardzo przypominała zawstydzoną panienkę z dobrego domu, że nie mógł się powstrzymać.

— Zawsze mam kłopoty ze spódnicami — burknęła. — I te kompletnie bezużyteczne buty na szpilkach! Nie obchodzi mnie, na kim mam wyrzeć wrażenie. Koniec z tym! Od tej chwili będę nosić tylko adidas, džinsy i sportowe bluzy. Ale skąd policja się dowiedziała, że jesteśmy u Meechama? Kto mógłby...

Pittman pokręcił głową.

— Ja też się nad tym zastanawiam.

— Poczekaj... chyba tylko jedna osoba wiedziała, gdzie jedziemy. Człowiek, do którego dzwoniłam.

— Ze stowarzyszenia wychowanków?

— Właśnie. Wczoraj miał zadzwonić do mojego ojca, żeby powiedzieć mu, jaką mi wyświadczył przysługę.

— To jedyne wyjaśnienie. Twój ojciec wie, że szuka cię policja, więc natychmiast do nich zadzwonił i kazał im jechać pod adres, który otrzymałaś ze stowarzyszenia.

— Musimy być ostrożniej si.

Pittman wjechał na Charles Street i zwolnił, aby nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy samochody zaczęły zapalać reflektory, zrobił to samo.

— Masz rację — mruknął po chwili. — Musimy być ostrożniejsi. Co tam robiłaś?

— Przecież mówiłam: przebierałam się w džinsy.

— Mam na myśli dom. W sypialni. Sprawiałaś wrażenie, jakbyś zamierzała mnie zostawić.

Jill nic na to nie odpowiedziała — =

308

— Nie mów mi, że to prawda... Naprawdę chciałaś tam zostać?

— Przez sekundę miałam taki zamiar... Przyszło mi do głowy, że nie mogę stale uciekać. Policja mnie nie szuka. To ludzie Millgate'a chcą mnie zabić. Pomyślałam, że może lepiej

będzie, jeśli zostanę i wyjaśnię, dlaczego uciekałam, i przekonam ich, że jesteś niewinny.

— Jasne, gliny miałyby niezły ubaw — odparł Pittman. Rozumiał jej motywy, ale myślał, że mogła go zostawić, nie była przyjemna. — Dlaczego tego nie zrobiłaś?

— Przypomniałam sobie, co mi opowiadałeś o tym, jak cię załatwili w areszcie, kiedy siedem lat temu próbowałeś przeprowadzić wywiad z Millgate'em...

— Tamci ludzie prawdopodobnie zostali zatrudnieni właśnie przez niego.

— Policja nie zdążyła ci pomóc.

— Albo może nawet strażnicy zostali przekupieni, żeby przedłużyli sobie przerwę na kawę. Nie ma możliwości, aby władze zapewniły ci całkowite bezpieczeństwo. Dlatego za mną pobiegłaś? Zwyciężył zdrowy rozsądek?

— Nie.

— Posłuchałaś instynktu samozachowawczego?

— Nie, wcale nie dlatego za tobą pobiegłam. Nie miało to nic wspólnego z obawą, że policji nie uda się mnie ochronić.

— Więc dlaczego?

— Martwiłam się o ciebie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak sobie sam poradzisz.

— Pewnie jakoś bym sobie poradził.

— Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak łatwo cię zranić.

— Za każdym razem, kiedy ktoś do mnie strzela, wyraźnie to sobie uzmysławiam.

— Zranić emocjonalnie. Przecież w zeszłą środę chciałeś palnąć sobie w łeb.

— Nie musisz mi o tym przypominać. Gdybym to wtedy zrobił, zaoszczędziłbym wielu ludziom mnóstwa kłopotów.

Jill precyzyjnie się przedni fotel.

309

— Właśnie udowodniłeś moją tezę. Uważam, że dotarłeś tak daleko tylko dlatego, że czyjaś obecność dodawała ci otuchy. Nigdy nie znałam bardziej samotnego człowieka. Dlaczego miałbyś działać, gdybyś nie miał nikogo, dla kogo mógłbyś żyć, o kogo dbać?

Pittman miał wrażenie, jakby na piersi położono mu kawał lodu. W milczeniu przejechali przez cienie Boston Common i dotarli do Columbus Avenue. Jechali dokładnie w odwrotnym kierunku niż ten, z którego przyjechali.

— Postanowiłam z tobą zostać, ponieważ nie chciałam być bez ciebie.

— Dużo przemyślałaś przez te kilka sekund — mruknął Pittman.

— Myślę nad tym od jakiegoś czasu. Chciałabym sprawdzić, jak będziemy sobie radzić, kiedy życie wróci do normy.

— Jeżeli kiedykolwiek do niej wróci. Jeżeli uda nam się przez to przebrnąć.

— To dla mnie całkiem nowe uczucie. Kiedy przedstawiłeś mnie jako swoją żonę...

— To co?

— Spodobało mi się.

Pittman był tak zdumiony, że przez dłuższą chwilę miał kompletną pustkę w głowie. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

Zjechał na bok i stanął przy krawężniku. Zatrąbił na niego jakiś samochód, ale nie zwrócił na to uwagi. Przyglądał się Jill, jej pięknej twarzy, długim włosom i szafirowym oczom, w których odbijały się światła reflektorów przejeżdżających samochodów.

Pochylił się i pocałował ją. Miękkość jej warg sprawiła, że poczuł mrowienie na skórze. Kiedy go objęła, przeszedł go dreszcz. Pocałunek był bardzo długi.

Oszołomiony, powoli odchylił się do tyłu i popatrzył na Jill.

— Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś w życiu tak się poczuję.

— Musisz nadrobić masę rzeczy.

Ponownie ją pocałował, tym razem z namietnością, która jego samego zaskoczyła.

— Tak mi wali serce... — powiedział po chwili.

310

— A mnie kręci się w głowie.

Zatrąbił na nich kolejny samochód. Pittman wyjrzał przez okno i stwierdził, że stoją na zakazie parkowania.

— Ostatnia rzecz, jakiej nam teraz potrzeba, to mandat.

Odjechali od krawężnika.

Na następnym rogu stał radiowóz. Pittman próbował jechać zgodnie z przepisami i patrzeć przed siebie. Mijanie policyjnego samochodu trwało wiecznie. Po chwili w tylnym lusterku zobaczył, że radiowóz rusza — na szczęście nie w ich stronę, wjechał w przecznicę.

Rozluźnił zaciśnięte na kierownicy dłonie. Miał spocone czoło. Bał się bardziej niż zwykle.

I

— Dokąd jedziemy? — zapytała Jill.

Pokręcił głową i zmrużył oczy, bojące od licznych reflektorów samochodów jadących zatłoczonym Massachusetts Turn-pike. Przez kilka minut milczał, próbując ocenić — podejrzewał, że to samo robiła w tej chwili Jill — tę nagłą zmianę w ich wzajemnych relacjach.

— Sądzę, że powinniśmy wyjechać z Bostonu^ nie mam jednak pojęcia, co dalej... Sporo się dowiedzieliśmy, ale tak naprawdę w dalszym ciągu nic nie wiemy. Nie sądzę, aby ludzie Millgate'a chcieli nas zabić tylko dlatego, że dowiedzieliśmy się, co przydarzyło mu się w liceum.

— A jeżeli nie był molestowany?

— Wszystko wskazuje na to, że...

— Chodzi mi o to, że mógł sam być chętny. Może jego ludzie uważają, że gdyby się o tym dowiedziano, jego reputacja zostałaby zniszczona?

— Naprawdę sądzisz, że tylko tego się obawiali?

— Cóż, wyznał ci coś związanego z Grollierem i zabili go za to, więc potem musieli uciszyć ciebie. I mnie, bo uznali, że



wiem to samo co ty.

— Zabili go, aby uratować jego reputację? Nie... tu musi chodzić o coś więcej. Chyba nie znamy jeszcze całej prawdy. Może pozostali Wielcy Doradcy nie chcą, aby ktokolwiek się dowiedział, co naprawdę działo się w Grollierze.

312

— Ale co dokładnie się tam działo? — spytała Jill. — I jak tego dowieść? — Pomasaowała sobie czoło. — Chyba już nie potrafię logicznie myśleć. Jeżeli zaraz czegoś nie zjem...

Wskazała w prawo, gdzie znajdował się bar dla kierowców ciężarówek, oświetlony sodowymi lampami.

— Mnie też już burczy w żołądku — przyznał Pittman. Zjechał z drogi szybkiego ruchu i skręcił w plamę upiornego światła wokół stacji benzynowej z barem. Zaparkował w pewnym oddaleniu od szeregu wielkich ciężarówek.

Gdy wysiedli z samochodu, podszedł do Jill i objął ją.

— Co teraz? — zapytała, opierając głowę na jego ramieniu. — Gdzie poszukamy dalszych odpowiedzi?

— Jesteśmy zmęczeni. — Pittman pogłaskał ją po włosach i pocałował. — Kiedy coś zjemy i odpoczniemy...

Trzymając się za ręce, ruszyli do jasno oświetlonego wejścia do baru. Na parking wjeżdżały kolejne samochody. Pittman popatrzył na zatrzymującą się przed nimi furgonetkę. Szyba od strony kierowcy była opuszczona. Radio w środku samochodu ryczało, spiker właśnie czytał wiadomości.

— Chyba jestem przewrażliwiony — mruknął po chwili Pittman. — Wszystko wydaje mi się podejrzanе.

Gdy mijali drzwi furgonetki, szedł tak, aby osłaniać Jill w razie ataku. Masywny mężczyzna za kierownicą rozmawiał z kimś głośno, ale nie był w stanie przekrzyczeć radia.

Pittman jęknął.

— Boże...

— Co się stało?

— Wiadomości! Radio w furgonetce. Nie słyszałaś?

— Czego?

— Anthony Lloyd. Kolejny Wielki Doradca nie żyje.

—

Pobiegli z powrotem do dusteru i niecierpliwie zaczęli przeskakiwać przez kolejne stacje z muzyką country i programami z udziałem słuchaczy.

— Gdzie się podziały wszystkie stacje informacyjne?

Dziesięć minut później złapali wiadomości.

—: Anthony Lloyd, były ambasador Stanów Zjednoczonych przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w byłym Związku Radzieckim i w Wielkiej Brytanii, były sekretarz stanu oraz sekretarz obrony, zmarł dziś wieczorem w swoim domu pod Waszyngtonem—mówił spiker.—Należał do legendarnej grupy pięciu dyplomatów zwanych Wielkimi Doradcami, których kariery były związane z międzynarodowymi wydarzeniami, jakie miały miejsce od drugiej wojny światowej po dzień dzisiejszy. Gdy Harold Fisk, obecny sekretarz stanu, dowiedział się o śmierci Anthony'ego Lloyda, oświadczył: „Ten człowiek wywarł niewyobrażalny wpływ na amerykańską politykę zagraniczną minionych pięćdziesięciu lat. Będzie nam bardzo brakowało jego mądrości”. Choć przyczyna śmierci osiemdziesięcioletniego Lloyda nie została jeszcze jednoznacznie ustalona, krążą pogłoski, że

spowodował jądar mózgu, który nastąpił w wyniku stresu, wywołanego niedawnym zamordowaniem jego przyjaciela Jonathana Millgate'a, również należącego do grona Wielkich Doradców. Władze w dalszym ciągu poszukują Matthew Pittmana, byłego dziennikarza, prawdopodobnie odpowiedzialnego za śmierć Millgate'a.

314

Kiedy spiker przeszedł do innych wydarzeń, Pittman wyłączył radio. W milczeniu wpatrywał się w deskę rozdzielczą.

— Zmarł w wyniku udaru? — powtórzyła Jill.

— Może też go zamordowano? Dziwne, że nie oskarża się mnie o spowodowanie także i tej śmierci.

— Nie oskarżono cię o to wprost, ale uważają przecież, że udar Lloyda został wywołany przez śmierć Millgate'a.

— Zmarł w wyniku stresu... — Pittman zagryzł wargę i po patrzył na Jill. — A może z poczucia winy? Ze zmartwienia? Może z nimi wszystkimi dzieje się coś niedobrego? Może Wielcy Doradcy nie są tak silni, jak sądzili?

— Co masz na myśli?

— Będziemy musieli zjeść coś po drodze i jechać, zmieniając się za kierownicą. Mamy spory kawałek do przejechania.

—  
Tuż po siódmej rano, w półmroku poranka, Pittman zaparkował przed eleganckim apartamentowcem w Park Slope w Brooklynie. Poranny ruch uliczny coraz bardziej narastał. Obok przechodzili spieszący się do pracy ludzie.

— Mam nadzieję, że jeszcze nie wyszła. Bo jeśli tak, spędzimy tu cały dzień, sądząc, że jest w środku.

— Jesteś pewien, że nie pracuje w domu?

— Gdybyś знаła Gladys, wiedziałabyś, że woli pracować poza domem... w domu siedzi jej mąż, który zajmuje się dzieckiem— odparł Pittman i napił się okropnej kawy ze styropianowego kubka.

— Zostało jeszcze jakieś ciasto? — zapytała Jill i popatrzyła na stojący na desce rozdzielczej drugi kubek z kawą. Pokręciła głową. — Nie mogę uwierzyć, że sobie coś takiego robię. Zawsze unikałam picia kawy, a teraz wlewam ją w siebie wiadrami. Wczoraj rano jadłam pączki. Wieczorem chilli z frytkami. A teraz najgorsze ciasto, jakiego kiedykolwiek próbowałam... i ciągle chcę więcej! Po ośmiu latach właściwego odżywiania się zaczynam niszczyć swój organizm...

— Jest Gladys — przerwał jej Pittman. — Idzie do pracy.

Z budynku wyszła kobieta o cierpkim wyrazie twarzy, poprawiła szal, którym owinęła głowę, i zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie.

— Wygląda na kapitana, który krótko trzyma swoich marynarzy. ?— "

316

— Kiedy człowiek z nią rozmawia, zaczyna myśleć o buncie.

— Ale chyba nie będziemy musieli z nią rozmawiać?

— Nie.

Wysiedli i weszli do budynku. W holu wejściowym Pittman zaczął udawać, że studiuje nazwiska pod przyciskami domofonu, ale tak naprawdę czekał tylko, aż wychodząca właśnie z klatki schodowej para zniknie za węglem. Mieli szczęście: zdążyli wejść, zanim drzwi wewnętrzne się zamknęły, więc ruszyli do windy.

Kiedy zapukali do drzwi mieszkania 4B, stanął w nich Brian Botulfson — w piżamie, potargany i wyraźnie zmęczony. Na widok Pittmana zgarbił się.

— O, nie... daj pożyć, człowieku. Tylko nie ty.

— Co u ciebie słychać, Brian? — zapytał Pittman. — Jak ci się wiodło, odkąd widzieliśmy się ostatni raz?

Z mieszkania doleciał głośny płacz dziecka. Nie było to zwykłe marudzenie, ale zawodzenie cierpiącego, chorego dziecka. Pittman doskonale pamiętał taki płacz z dzieciństwa Jeremy'ego.

— Uu... wygląda na to, że nie spałeś całą noc — mruknął i wszedł do mieszkania.

— Hej, nie możesz...

Pittman zamknął drzwi i zaryglował je.

— Najwyraźniej mój widok cię nie uszczęśliwia, Brian.

— Kiedy zjawiałeś się ostatnim razem, miałem tyle problemów z... gdyby Gladys tu była...

— Ale jej nie ma. Poczekałiśmy, aż wyjdzie.

Jill również była zaniepokojona płaczem dziecka.

— Chłopiec czy dziewczynka? — zapytała.

— Chłopiec.

—: To nie brzmi dobrze. Ma gorączkę?

— Chyba tak — odparł Brian.

— Nie mierzył pan? — zdziwiła, się Jill.

— Nie miałem czasu. Musiałem go przebrać po tym, jak wymiotował.

— Myślę, że przyda się panu pomoc. Gdzie jest termometr? Pittman uniósł rękę.

317

— Wybacz, całkiem zapomniałem... to moja przyjaciółka Jill

— Witaj, Brian. Jestem pielęgniarką i pracowałam na pediatrii. Zaopiekuję się twoim synem. Gdzie termometr?

— Na stoliku przy łóżku.

— Masz dziś szczęśliwy dzień — powiedział Pittman, kiedy Jill poszła do dziecka.

— Cieszę się jak cholera. Musisz przestać tu przychodzić. Szuka cię policja.

— Nie żartuj.

— Nie mogę zostać w to zamieszany. Nie mogę...

— Nie przyjdę więcej. Przysięgam, Brian. Słowo skauta.

— Tak samo mówiłeś poprzednim razem.

— Ale nie dawałem słowa skauta.

Brian jęknął.

— Jeżeli policja się dowie...

— Jestem niebezpiecznym przestępcą. Powiesz im, że tak bardzo cię zastraszyłem, że musiałeś mi pomóc.

— W gazetach piszą, że zabiłeś księdza i kogoś jeszcze w czyimś mieszkaniu...

— To wszystko można bez trudu wyjaśnić.

— W dalszym ciągu mnie nie rozumiesz. Nie chcę wiedzieć nic o tym, co robisz. Byłbym współwinny.

— No to się świetnie składa, bo ja też nie chcę, żebyś wiedział, co robię. Jeżeli mi jednak nie pomożesz i zostanę złapany, przekonam policję, że ze mną współdziałałeś.

— Nie mów tak. Nie chcesz mnie chyba posłać z powrotem do więzienia.

— Wyobraź sobie, co powiedziałyby na to Gladys... Nigdy nie sypię przyjaciół, więc im szybciej załatwimy tę sprawę, tym szybciej sobie pójdę. Daj mi szybki kurs hakerstwa. W drzwiach pojawiła się Jill.

— Ma ponad trzydzieści osiem stopni — oświadczyła.

— To bardzo źle?

— Nie najlepiej, ale sądzę, że uda mi się obniżyć temperaturę. Poza tym to lekarstwo dla dzieci nie powinno być stosowane przy gorączce. Może spowodować niebezpieczne dla życia schorzenie zwane zespołem Reye'a. Masz tylenol?

318

Widzisz? Twój dzieciak jest w dobrych rękach — powiedział Pittman. — A teraz do roboty, zapłać nam za wizytę domową. Pokaż parę sztuczek. Chyba nie zamierzasz czekać, aż wróci Gladys?

Brian pobladł.

— Gdzie chcesz się dostać?

— Do listy zastrzeżonych numerów telefonów wraz z należącymi do nich adresami.

— Jakie miasto?

— Wolę ci nie mówić. Będziesz musiał mi pokazać, jak to się robi, nie znając nazwy miasta, o które mi chodzi. Potem usiądziesz sobie "w kącie, a ja sam się pobawię twoim komputerem.

— Chce mi się wyć...

—

8

— Z małym wszystko w porządku? — zapytał Pittman, kiedy odjeżdżali spod budynku.

— Jeżeli Brian będzie mu właściwie dawkował tylenol, to tak. I płyny. Nie zaszkodzi też obmywanie gąbką. Powiedziałam mu, że jeżeli gorączka się nasili albo powrócą wymioty, ma iść do lekarza. Fajny dzieciak. Moim zdaniem wszystko będzie dobrze.

— Więc może Brian prześpi się trochę w nocy.

— Jeżeli jego żona nie weźmie go w obroty. Masz to, czego

szukałeś?

Pittman pokazał jej kawałek papieru.

— Wyciągnąłem wnioski z błędu, jaki popełniliśmy z gość ciem ze stowarzyszenia wychowanków. Nie możemy zdradzać naszego następnego kroku. Brian pokazał mi, jak wejść do bazy danych zastrzeżonych numerów telefonów, ale nie wie, jakie miasto ani czyj numer mnie interesuje.

— Waszyngton?

Kiwnął głową.

— Wielcy Doradcy?

Ponownie kiwnął głową.

— Czeka nas długa jazda... — mruknęła Jill.

— Nie możemy lecieć samolotem.

— Umiesz zabawić dziewczynę. Chyba przykryję się kocem i trochę pośpię.

320

— Dobry pomysł. Powinnaś odpocząć.

— Ty też się nie przemęczaj. Będziemy potrzebowali wszystkich sił, aby dotrzeć do Wielkich Doradców.

— Jeszcze nie teraz.

— Mówiłeś, że jedziemy do Waszyngtonu.

— Tak, ale przedtem muszę się tam spotkać z kimś innym.

— Z kim?

— Z człowiekiem, z którym dawno temu robiłem wywiad.

—

Wjechali na Washington Beltway po zmroku. Skręcili na południe w 1-95, potem na zachód, w drogę numer 50, którą dojechali do Massachusetts Avenue. Mimo zmęczenia Pittman sprawnie przedzierał się przez gęsty ruch.

— Wygląda na to, że dobrze znasz miasto — zauważyła Jill.

— Kiedy pracowałem w dziale krajowym, spędzałem tu mnóstwo czasu — odparł Pittman.

Objechał Dupont Circle i skręcił w P Street, po czym pojechał na zachód, do Georgetown.

— Przypomina Beacon Hill.

— Chyba tak. — Ulica, którą jechali, była wąska, obsadzona drzewami i wyłożona kostką. Kawałek dalej widać było okazałe wiktoriańskie rezydencje z cegły. — Nigdy tu nie byłaś?

— Nigdy nie byłam w Waszyngtonie. Nowy Jork był wy starczająco daleko od domu moich rodziców.

— Georgetown to jedna z najstarszych i najzamożniejszych dzielnic miasta.

— Pozostali Wielcy Doradcy mieszkają właśnie tutaj?

— To dla nich zbyt zwyczajne. Mieszkają w swoich posiad łościach w Wirginii.

— Z kim chcesz się tu spotkać?

— Z kimś, kto ich nienawidzi — odparł Pittman. Jechali na południe Wisconsin Avenue. Latarnie i reflektory samochodowe sprawiały, że musiał mrużyć oczy. — Z gościem, do którego

322

przez cały czas próbowałem dodzwonić się z drogi. Nazywa się Bradford Denning. To starszy człowiek, zawodowy dyplomata, podczas prezydentury Trumana był w Departamencie Stanu. Twierdził, że prędzej czy później z pewnością zostałby sekretarzem stanu. -- A dlaczego nim nie został?

— Z powodu Wielkich Doradców. Nie podobało im się, że z nimi konkuruje, więc usunęli go z drogi.

— Jak można coś takiego zrobić?

— Cóż... działo się to przecież w epoce polowania na czarnice przez McCarthy'ego. Bradford Denning powiedział mi, że Wielcy Doradcy rozpowszechniali pogłoski, iż jest „miękki” w stosunku do komunizmu.

— ' Na początku lat pięćdziesiątych taka opinia rzeczywiście mogła zrujnować dyplomatę.

— I zrujnowała Denninga. Nie dało się tego w żaden sposób naprawić. Dostawał w departamencie coraz mniej odpowiedzialne zadania i w końcu musiał się zwolnić. Twierdzi, że nie jest jedyną osobą, której ci ludzie zniszczyli karierę, posądzając ją o sympatyzowanie z komunizmem. Potem Wielcy Doradcy zaczęli schlebiać Eisenhowerowi, zastępować dyplomatów, których niszczyli, i rządzić w najwyższych rangą instancjach dyplomatycznych. Trwało to do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, kiedy wraz z Kennedym do Białego Domu po wrócili demokraci. Kennedy wolał współpracować z członkami swojej rodziny, nie z zawodowymi dyplomatami. Wielcy Doradcy zostali odsunięci na trzy lata. Ale po zabójstwie Kennedy'ego Johnson bardzo szybko pozbył się jego ludzi z Departamentu Stanu i Białego Domu. Z otwartymi ramionami przyjął Wielkich Doradców i ponownie wprowadził ich do wielkiej polityki. Po raz drugi udało im się dokonać wielkiej sztuki: zostali zaakceptowani przez obydwie partie. Wykroczyli poza amerykański system dwupartyjny, więc kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych wraz z Nixonem wrócili do władzy republikanie, Wielcy Doradcy zachowali swoje wpływy. I tak to szło. W okresach dużych napięć międzynarodowych z ich porad korzystali wszyscy kolejni prezydenci.

323

— A co z Denningiem?

— Prowadził życie, które większości ludzi wydawałoby się bardzo aktywne. Wykładał na uniwersytecie. Pisywał do czasopism politycznych. Pisał artykuły wstępne do „New York Timesa” i „Washington Post”. Zawsze jednak uważał się za skrzywdzonego i nigdy nie wybaczył Wielkim Doradcom. Większość wolnego czasu poświęcał na zbieranie materiałów do książki o nich, w której zamierzał ujawnić ich bezwzględność.

— Właśnie w ten sposób się o nim dowiedziałeś? Z książki?

— Ta książka nigdy nie została opublikowana. Kiedy kończył zbierać materiały, w jego domu wybuchł pożar i wszystkie notatki spłonęły. Denning omal się nie załamał. Siedem lat temu, kiedy planowałem napisanie artykułu o Millgacie, był

jedną z niewielu osób, która zgodziła się ze mną rozmawiać. Przyjechałem do niego do Waszyngtonu. Niestety sporo wtedy pił, a to, co miał do powiedzenia, było jedynie spekulacjami. Twierdził, że miał kiedyś dowody, ale spłonęły, i w końcu doszedłem do wniosku, że nie da się go zacytować. Nigdy nie napisałem tego artykułu. Potem mnie aresztowano i złamano mi w areszcie szczękę, a kiedy wydobrzałem, naczelny przydzielił mi inne zadanie.

Pittman przerwał, bo znowu przypomniał mu się Burt Forsyth, który był nie tylko jego naczelnym, ale także najlepszym przyjacielem. Dobrze pamiętał bójkę na placu budowy przy Dwudziestej Szóstej i zabójcę, który najpierw strzelił do niego, a potem do Burta.

Smutek ścisnął mu gardło. Nie musieli zabijać Burta. Co za dranie...

— Wyglądasz, jakbyś był wściekły — przerwała jego rozmyślenia Jill.

— Sądysz, że nie mam powodu?

— Masz, ale mimo wszystko trochę mnie to dziwi.

— Dlaczego?

— Kiedy zjawiłeś się w niedzielę u mnie w domu, byłeś zdesperowany i miałeś pasywne motywy działania... po prostu reagowałeś na zagrożenie. Ale złość to emocja aktywna. To...

324

zadam ci pytanie, dobrze? Czy gdyby kiedyś policja przestała cię ścigać, a Wielcy Doradcy dali ci spokój, zostawiłbyś to wszystko?

— Po tym, przez co kazali mi przechodzić? Mowy nie ma. Jill milczała przez chwilę.

?— Tak... zdecydowanie się zmieniłeś — stwierdziła w końcu.

— Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo. Dziś mamy środek. Tydzień temu zamierzałem się zabić.

Obserwowała go bez słowa.

— Powiedz coś.

— Zaczynam powoli zapominać, jak bardzo byłeś rozstrojony emocjonalnie.-

— W dalszym ciągu jestem. Nic z tego, co się wydarzyło, nie zmniejsza mojej rozpaczki z powodu śmierci Jeremy'ego.

— Będiesz czuł żal i smutek do końca życia, prawda?

— Oczywiście.

— Jeśli jednak tak bardzo zależało ci na śmierci, dlaczego nie pozwoliłeś załatwić tej sprawy osiłkom Wielkich Doradców?

W ciągu tygodnia coś się z tobą stało... coś, co sprawiło, że teraz chcesz, aby twoje życie trwało jak najdłużej.

— Ty się zjawiłaś.

Ze wzruszeniem dotknęła jego ramienia.

— Ale zanim zjawiłaś się w moim mieszkaniu, przez dwa dni uciekałeś. Miałaś wtedy mnóstwo okazji, aby poddać się rozpaczki. Wiesz, co o tym myślę?

Pittman nie odpowiedział.

— To strach spowodował, że znowu zaczęło zależeć ci na życiu. Kiedy jechaliśmy, mówiłaś, że czasami masz wrażenie, iż twój syn jest z tobą i mówi do ciebie.

Kiwnął głową.

— Sądysz, że to głupie? — zapytał.

— Wręcz przeciwnie. Moim zdaniem to właśnie Jeremy zmusił cię do. podjęcia walki. On chce, abys zaczął dla czegoś żyć.

— Chciałbym w to wierzyć... — Głos Pittmana był schrypięty z emocji i bolało go gardło. Mrużył oczy, wypatrując czegoś między światłami samochodów na Wisconsin Avenue i M Street.

325

Jill spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Coś się tam stało? Wypadek?

— Nie, tu zawsze jest taki ruch. Wisconsin Avenue i M Street to serce Georgetown. Pełno tu barów, restauracji, klubów nocnych i drogich sklepów, sprzedających wszystko, co tylko można sobie wyobrazić.

— Denning tu mieszka?

— Skądże znowu. Nie stać go na to. Żyje z uniwersyteckiej emerytury, która wcale nie jest wysoka. Kiedy się wreszcie do niego dodzwoniłem, przedstawiłem się jako dziennikarz, piszący artykuł na temat Anthony'ego Lloyda. Powiedziałem, iż po jego śmierci tylu ludzi wynosi go na piedestał, że opinia kogoś, kto myśli o nim inaczej, mogłaby nadać mojemu materiałowi głębi. zaproponowałem mu wspólną kolację i chętnie się zgo dził. Oświadczył, że zamierza iść na mszę za duszę Lloyda, a potem... — Pittman zawahał się — ...a potem z przyjemnością zje ze mną kolację, aby uczcić to wydarzenie.

—

10

Restauracja nazywała się II Trovatore, była obszerna i przyjemnie oświetlona, a stoły stały wystarczająco daleko od siebie, aby politycy mogli omawiać delikatne tematy bez obawy, że ktoś ich podsłucha. Kiedy weszli, Pittman spojrzał w kierunku baru — siedział przy nim znany senator. Przy stole z lewej strony siedział dziennikarz prowadzący program publicystyczny w dużej sieci telewizyjnej i jadł obiad z jakąś ważną osobistością. Skądś dobiegały łagodne dźwięki granego na pianinie lekkiego jazzu. Cichy szcęk srebrnych sztućców i pomruk głosów mieszały się z muzyką, co sprawiało, że pojedyncze rozmowy były nie do zrozumienia.

— Słucham pana? — zapytał maitre d'hôtel w białej marynarce. Z dezaprobatą popatrzył na bluzę, dzinsy i adidasy Jill i zmarszczył nos.

— Mamy rezerwację na nazwisko Bradford Danning — oświadczył Pittman.

Maitre d'hôtel spojrzał na swoją listę.

— Zgadza się, pan Denning już przybył. Siedzi przy stoliku.

— Doskonale.

Maitre d'hôtel nie przestawał lustrować stroju Jill.

— Jeżeli jest jakiś problem ze strojem w państwa restauracji... — powiedział cicho Pittman, dyskretnie wręczając maitre d'hôtel dwadzieścia dolarów z ich błyskawicznie kurczącego się zapasu gotówki.



— Skądże znowu. Proszę za mną.

Poprowadził ich w głąb restauracji, gdzie w jednej z łóż siedział samotnie niski, szczupły, starszy mężczyzna. Jego rzadkie siwe włosy kontrastowały z głębokim brązem oczu i czerwienią policzków. Miał na sobie dość niemodny szary garnitur. Pił whisky z lodem, a obok stała druga szklaneczka, już pusta.

— Państwa stolik — powiedział maitre d'hôtel.

— Dziękujemy bardzo.

— Życzymy miłego pobytu.

— Bradford Denning? — spytał Pittman, patrząc na siwego mężczyznę.

— Lester King?

— To ja. — Ponieważ policja wiedziała już, że używa nazwiska Logan, Pittman uznał, że powinien je zmienić. Ryzykował, że Denning go sobie przypomni, ale spotkali się dotąd tylko raz. Od tamtej pory minęło siedem lat, w dodatku Denning był wtedy tak pijany, że Pittman był prawie pewien, iż nie mógł pamiętać tamtego wieczoru. — A to moja asystentka Jennifer.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Denning i nie wypuszczając z dłoni szklanki whisky, uniósł się w geście powitania.

— Darujmy sobie formalności — powiedziała Jill i zajęła miejsce obok niego.

Pittman usiadł naprzeciwko.

— Miło, że zgodził się pan zjeść z nami kolację,

— Miło? — Denning zaśmiał się niewesoło. — Od dawna nie stać mnie na wizytę w takim lokalu...

— Cieszę się, że akceptuje pan mój wybór.

— Il Trovatore przypomina mi inną włoską restaurację, która mieściła się kiedyś przy tej samej ulicy. Jak ona się nazywała... — Denning upił kolejny łyk whisky i pokręcił głową. — Nie pamiętam. To było w latach pięćdziesiątych. Bardzo elegancka. Jadałem tam często... jadałem tam wszyscy, którzy się liczyli, — Dokończył whisky. — Oczywiście już dawno nie istnieje. Coś przychodzi i coś odchodzi. — Zmrużył oczy. — Jak ludzie... mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko te-

328

mu... — Wskazał opróżnione szklaneczki. — Przyszedłem nieco wcześniej i zacząłem przed wami.

— Dlaczego miałbym mieć cokolwiek przeciwko temu? Jest pan naszym gościem. Jak powiedziałem, cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie.

— Niecodziennie zaprasza się mnie na świętowanie śmierci wroga. — Denning machnął na kelnera. — A właściwie dwóch wrogów, bo jeszcze nie skończyłem oblewać śmierci Jonathana Millgate'a. — Skinął głową kelnerowi. — Jeszcze dwa razy to samo. Jack daniels. Ale tym razem mniej lodu.

— Oczywiście, proszę pana. A dla pańskich przyjaciół?

— Heineken — powiedział Pittman.

— Chardonnay — dodała Jill.

— Czy chcielibyście państwo wiedzieć, jakie są nasze specjalności, aby móc się zastanowić nad wyborem? — zapytał kelner.

— Później — odparł Denning. — Będzie jeszcze na to mnóstwo czasu. Na razie nie jesteśmy głodni.

— Oczywiście, proszę pana.

Kelner odszedł. Pittman zastanawiał się, czy Denning zachowywał się tak samo wyniośle, gdy pracował w Departamencie Stanu. Jeżeli tak, to rozpowszechniane przez Wielkich Doradców plotki mogły nie być jedynym powodem zmuszenia go do odejścia.

— Dwóch załatwionych — mruknął Denning. — Ale trzech zostało. Zamierzam wypić po jednym drinku za każdego z tych skurwysynów. Płynna modlitwa... o to, żeby wkrótce również umarli.

Jego głos zaczynał się lekko rozmywać.

— Pańskie nastawienie do Wielkich Doradców jest powszechnie znane. Najwyraźniej nie przestał ich pan nienawidzić.

— I nigdy nie przestanę.

— Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali przed jedzeniem?

— O nich? — W ustach Denninga zabrzmiało to, jakby było obelgą. — Przecież właśnie po to tu przyszedłem. Chciał pan czegoś kompromitującego, aby zrównoważyć politycznie po prawne bzdety, które opowiada się o Millgacie i Lloydzie. Dam to panu.

329

Pittman wyjął długopis i notes.

— Co najgorszego może pan o nich powiedzieć? — zapytał.

— Podpalili mi dom.

— Słucham? — Pittman spodziewał się kolejnych, na nich opartych oskarżeń, które słyszał siedem lat wcześniej, ale to oskarżenie było całkiem nowe.

Denning przyjrzał mu się uważnie.

— Pańska twarz wydaje mi się znajoma. Spotkaliśmy się już kiedyś?

— Nie sądzę — odparł Pittman, lekko sztywniejąc.

— Przypomina mi pan...

— Waszyngton bywa czasami prowincjonalnym miasteczkiem. Może spotkaliśmy się na jakimś dyplomatycznym przyjęciu...

— Nie zaprasza się mnie na dyplomatyczne przyjęcia od trzydziestu pięciu lat — stwierdził z goryczą Denning.

— Podpalili panu dom.

— Pisałem o nich demaskatorską książkę i musieli się o tym dowiedzieć. Podpalili mi dom i zniszczyli dowody.

— Może pan to udowodnić?

— Oczywiście, że nie. Są za sprytni, żeby zostawiać jakiekolwiek ślady.

— Co zamierzał pan ujawnić w tej książce?

— Że zamordowali setki tysięcy ludzi.

Było to tak samo beznadziejne, jak przed siedmioma laty. Facet chciał tylko rzucać oskarżenia, a nie przekazywać rzetelne informacje.

— Setki tysięcy?

Denning znowu przyjrzał się Pittmanowi.

— Na pewno nigdy przedtem się nie spotkaliśmy?

— Na pewno — odparł znowu Pittman, próbując sam siebie przekonać, że wygląda teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy rozmawiali poprzednio.

Denning rozpromienił się, bo do stolika podszedł kelner z drinkami.

— Zdrowie!

Wszyscy troje unieśli swoje drinki.

330

— Za tego drania Eustace'a Gable'a i całą resztę — powie dział Denning i upił spory łyk jacka danielsa.

Pittman doszedł do wniosku, że musi od lat ostro pić, inaczej nie miałby tak dużej tolerancji na alkohol.

— Powiedział pan, że zamordowali setki tysięcy ludzi.

— W Korei. W Wietnamie. Tylko po to, aby stać się kimś ważnym. Tamte kraje nigdy ich nie interesowały. Nigdy nie interesowała ich też odbudowa Europy po wojnie. Plan Marshalla i temu podobne. Dbali tylko o siebie. I o opinię McCarthy'ego.

Jeżu, ten gość majaczy, pomyślał Pittman. Zrobili taki kawał drogi tylko po to, żeby wysłuchiwać pijackich bredni. Bolał go bok, stłuczony podczas ucieczki z Akademii Grolliera. Nogi, plecy i kark zeszywniały od siedzenia przez prawie dobę w samochodzie. Był wykończony i powoli ogarniało go rozdrażnienie — najchętniej sięgnąłby przez stół, złapał Denninga za frak i potrząsnął nim, aż stary zacząłby gadać z sensem.

— Co z McCarthy'm? — zapytała- Jill. — Mówi pan o latach pięćdziesiątych? O Joem McCarthy'm? Tym, który polował na komunistyczne czarownice?

— Właśnie w ten sposób wywalili mnie z Departamentu Stanu. Przekonali wszystkich, że jestem czerwony.

— A był pan?

Denning roześmiał się.

— Byłem.

— Słucham...?

— Nie miałem legitymacji, ale sympatyzowałem z nimi.

Pittman z trudem ukrył zaskoczenie. Przed siedmioma laty Denning nawet nie zasugerował, że Wielcy Doradcy mogli mieć rację.

— Gdybym nadal pozostał w grze, gdyby Wielcy Doradcy się mnie nie pozbyli, gdyby udało mi się zostać sekretarzem stanu... byłoby już za późno na zrobienie czegokolwiek z Koreą, ale może udałoby mi się zapobiec Wietnamowi. Czy to zbrodnia, że moim zdaniem to i owo przemawiało na rzecz Sowietów? Czy to czyniło ze mnie przestępcę? Nie zamierzałem sprzedać naszego kraju, ale mogłem nie dopuścić do tego, abyśmy z powodu Wietnamu stoczyli się na skraj przepaści.

331

Pittman popatrzył na niego uważnie.

— Mój starszy brat zginął w Wietnamie — mruknął.

— Więc wie pan, o czym mówię.

— Proszę powiedzieć to wprost.

— Wielcy Doradcy zbudowali swoje kariery na przyjęciu twardego kursu wobec komunizmu. Po drugiej wojnie światowej pomogli opracować plan Marshalla, mający pomóc odbudować Europę... wyłączając oczywiście Sowieć. Brali także udział w formułowaniu doktryny Trumana, według której obowiązkiem Ameryki miała być obrona świata przed Sowieć. Walczyłem z ich antysowieckim odchyleniem, ale przegrałem. Wtedy zaczęli uważać mnie za swojego wroga. Po części za ich namową w latach pięćdziesiątych wysłaliśmy do Korei Południowej wojsko, żeby uniemożliwić jej zajęcie przez Koreę Północną... żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się komunizmu. Nazwano to potem teorią domina. Nigdy w nią nie wierzyłem. Nie uważałem, że nasza obecność tam jest konieczna, i historia dowiodła, że miałem rację. Niczego nie zmieniliśmy. Sprzeciwiałem się wysłaniu naszych żołnierzy do Korei, ale przegrałem. Potem walczyłem z Wielkimi Doradcami w wielu innych sprawach związanych z Sowieć. Nie uważałem na przykład, aby mądre było szachowanie ich naszymi możliwościami militarnymi. Byłem przekonany, że doprowadzi to do wyścigu zbrojeń. Okazało się, że i tym razem miałem rację, ale Millgate i pozostali znowu zwyciężyli. Do tysiąca dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku przekonali wszystkich, że jestem miękki wobec komunizmu. Byłem skreślony. Nasilenie się zimnej wojny w latach pięćdziesiątych to także w dużej mierze ich zasługa. Wojna w Wietnamie w jeszcze większej. Zginęły przez nich setki tysięcy ludzi. Równocześnie przez cały czas byli związani z producentami broni. Kierunek amerykańskiej polityki zagranicznej wyznaczały ich konta bankowe.

Oskarżenie o łapówki... tak samo jak siedem lat wcześniej. Właśnie w tej sprawie Pittman się z nim wtedy spotkał, ale Denning nie był w stanie przedstawić żadnego dowodu. Czyżby zamierzał zrobić to teraz?

— Jestem pewien, że pan o tym wie, ale niecały tydzień temu, w nocy, podczas której zabrano Jonathana Millgate'a ze

332

szpitala, doszło do przecieku tajnego raportu Departamentu Stanu, w którym wysunięto przypuszczenie, że Millgate uczestniczył w zakupie broni jądrowej z byłego Związku Radzieckiego — powiedział.

— Kolejny nielegalny handel bronią... — Denning uśmiechnął się gorzko. — Nie da się nauczyć starego psa nowych sztuczek.

— Ma pan coś na udowodnienie swoich oskarżeń?

— Straciłem wszystko w pożarze.

Pittman z rozczarowaniem pokręcił głową. Nie mając innego pomysłu, postanowił przejść bezpośrednio do tematu, jaki go interesował, przeszkodził mu jednak kelner, który ponownie pojawił się przy ich stoliku.

— Czy są już państwo gotowi wysłuchać, jakie dziś wieczorem mamy specjalne dania?

— Przecież mówiłem, żeby pan poczekał — wycedził ziry towany Denning. — Jeszcze nie jesteśmy głodni.

— Oczywiście, proszę pana—odparł kwaśno kelner i odszedł. Denning podniósł szklankę z whisky, zmienił jednak zdanie i odstawił ją.

— Porozmawiajmy o czym innym — zaproponował Pittman. — Czy słyszał pan kiedykolwiek o Duncanie Kline?

Denning patrzył na Pittmana i nad czymś się zastanawiał.

— O kim?

— O Duncanie Kline.

— Na pewno nigdy przedtem się nie spotkaliśmy? — spytał znowu Denning.

Pittman próbował zachować obojętną minę.

— Raczej na pewno.

— W takim razie może było coś w wiadomościach... Kiedy mówimy o Millgacie, Lloydzie i pozostałych, kojarzy mi się pan z...

Jasna cholera! Nie pamięta mnie sprzed siedmiu lat, pomyślał Pittman. Nie tego muszę się bać, ale czegoś znacznie gorszego. Kiedy Millgate umarł, Denning z pewnością oglądał wszystkie poświęcone temu wydarzeniu wiadomości i wielokrotnie czytał wszystkie prasowe artykuły na ten temat. Dziesiątki razy widział

333

moje zdjęcie. Nie poznał mnie tylko dlatego, że przedstawiłem się innym nazwiskiem i wyglądał inaczej niż siedem lat temu. Ale wkrótce może mnie rozpoznać. Co wtedy?

— Nie mam pojęcia, gdzie mógł mnie pan widzieć — powiedział.

— Duncan Kline — wtrąciła Jill, chcąc odwrócić uwagę Denninga od Pittmana i sprowadzić rozmowę na właściwe tory.

Zdezorientowany Denning zamrugał, odwrócił się do Jill i zmarszczył czoło.

— Nie powiem, żeby to nazwisko mi się z czymś kojarzyło. Może gdybym znał jakiś kontekst...

— Był nauczycielem w Akademii Grolliera, prywatnym liceum, do którego chodzili Wielcy Doradcy. Był ich wychowawcą.

— O!

— Więc zna pan to nazwisko?

— Nie, ale... to dziwne...

— Co jest dziwne?

— Coraz częściej mi się zdarza, że wydarzenia sprzed trzydziestu albo czterdziestu lat pamiętam bardzo wyraźnie, a mam kłopot z przypomnieniem sobie faktów sprzed miesiąca.

— Sprzed czterdziestu lat?

— Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi rok. Lato. Lipiec. Pamiętam ten rok bardzo dobrze, ponieważ był to punkt zwrotny w moim życiu. Republikanie mieli wtedy swój konwent i właś

nie Eisenhower został kandydatem na prezydenta. Zdobył nominację w pierwszym głosowaniu. On i Nixon. Biorąc pod uwagę publiczne nastroje, było dla mnie oczywiste, że Eisenhower pokona Stevenzona. Najwyraźniej było to tak samo oczywiste dla Millgate'a i pozostałych, bo natychmiast po konwencji podjęli działania, które miały pozwolić im przejść od demokratów do republikanów. To, że udało im się dokonać takiej wolty, świadczy o ich umiejętności manipulowania ludźmi.

Policzki Denninga poczerwieniały z podniecenia, a na jego górnej wardze pojawiła się warstewka potu. Podniósł szklanekę — nie z whisky, ale z wodą — i pociągnął kilka łyków.

— Ich kampania przeciwko mnie także osiągnęła apogeum w lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Na-

piętnowanie mnie jako sympatyka komunistów uniemożliwiło mi dalszą karierę dyplomatyczną. — Denning znowu przyjrzał się Pittmanowi. — Próbując się bronić, spędzałem większość czasu na zbieraniu informacji o tym, co robi Millgate i pozostali. Musiałem być przygotowany na kolejny atak. Właśnie wtedy zauważyłem, że coś sprawiło, iż wpadli w lekką panikę. Pod koniec lipca w Departamencie Stanu pojawił się pewien człowiek. Nigdy go nie widziałem, ale opowiadano mi o nim. Mocno opalony, masywnej budowy, wysportowany, o szerokich barach, ale był całkiem siwy i wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat. Według mojego informatora pracował fizycznie i dużo przebywał na wolnym powietrzu, choć zachowywał się wytwornie i miał arystokratyczny, pseudobrytyjski akcent. Chciał się widzieć z Jonathanem Millgate 'era. Nie można oczywiście wejść do siedziby Departamentu Stanu i zostać dopuszczonym do zastępcy sekretarza stanu, nie będąc umówionym. Kiedy ten człowiek podał swoje nazwisko, asystent Millgate'a dopisał je na końcu długiej listy oczekujących. Zdenerwowany przybysz poprosił o spotkanie z Anthonym Lloydem, ale również nic nie wskórał. Wtedy mężczyzna poprosił o możliwość rozmowy z Eustace'em Gable'em, Winstonem Sloane'em i Victorem Standishem.

— Wszystkimi Wielkimi Doradcami... — mruknął Pittman.

— W każdym przypadku reakcja urzędnika była taka sama: nazwisko przybysza trafiało na koniec długiej listy. W końcu mężczyzna stracił cierpliwość i zamiast prosić o spotkanie, zaczął żądać. Zachowywał się tak agresywnie, że zamierzano wezwać ochronę, ale wtedy pojawił się Millgate i zbladł jak płótno na widok tego mężczyzny. Jego zwykła pełna wyższości postawa gdzieś zniknęła. Natychmiast zaprowadził przybysza do swojego gabinetu, kazał swojemu asystentowi odwołać najbliższe spotkanie i posłał po Anthony'ego Lloyda i pozostałych Wielkich Doradców. Było to bardzo niezwykle. Nigdy nie zapomniałem o tym incydencie. Zastanawiałem się nad tym przez te wszystkie lata. Zawsze podejrzewałem, że gdybym zrozumiał jego podtekst, miałbym amunicję, aby się bronić.

— Czy ten przybysz nazywał się Duncan Kline?

335

— Niektóre rzeczy pamiętam bardzo wyraźnie, ale niestety nie mam pamięci do nazwisk... Pożar zniszczył wszystkie moje notatki. Nie pamiętam.

— Więc dlaczego, nam pan o tym opowiedział?

— Ponieważ udało mi się dowiedzieć, co łączyło tego czło-  
wieka z Millgate'em i pozostałymi. Był jednym z ich nau-  
czycieli w liceum.

— To na pewno Duncan Kline — stwierdziła Jill. — Szerokie bary. Kline był znakomitym wioślarzem. Wygląd tego mężczyzny pasowałaby do niego...

— Dlaczego ten Duncan Kline jest dla was taki ważny? — zapytał Denning, marszcząc czoło i ocierając pot z górnej wargi.

— Wspomniał o nim ktoś, z kim robiłem wywiad — odparł Pittman. — Prawdopodobnie z Kline'em wiązała się jakaś tajemnica, której ujawnienie zagrażało reputacji Wielkich Doradców.

Denning wbił w niego wzrok.

— Jakiego rodzaju tajemnica?

— Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Podejrzewamy, że kiedy Wielcy Doradcy uczyli się w Akademii Grolliera, byli molestowani seksualnie przez Duncana Kline'a.

Denning walnął pięścią w stół.

— Gdybym o tym wiedział, mógłbym obronić się przed nimi!

— W jaki sposób? — zdziwiła się Jill. — W jaki sposób to, że byli ofiarami molestowania seksualnego w młodości, mogłoby im zaszkodzić w karierze? Czy ludzie nie zaczęliby im raczej współczuć?

— W latach pięćdziesiątych? W epoce McCarthy'ego współczucie było rzadkością, proszę mi wierzyć. A jeżeli Millgate i pozostali wcale nie byli ofiarami? Jeżeli się na to zgadzali? W tamtych czasach natychmiast by ich usunięto z Departamentu Stanu — odparł Denning.

— Czy kiedykolwiek słyszał pan jakąś sugestię, że...

Denningowi drżały ręce.

— Nie, ale jest ktoś, kto...

— Ktoś? — Pittman pochylił się do przodu. — Nie rozumiem. Kto? O kim pan mówi? —

336

O nikim. Chciałem tylko powiedzieć, że musi być ktoś, kto mógłby to udowodnić.

— Dobrze się pan czuje? — spytała Jill.

— Tak, tak. Nic mi nie jest — odparł Denning i upił wielki tyk wody.

— Może mógłby nam pan pomóc w jeszcze jednej sprawie — powiedział Pittman. — Podobno ostatnie słowa Millgate'a przed śmiercią brzmiały „Duncan” i „śnieg”. Czy to się panu z czymś kojarzy?

— Z niczym. Nawet zakładając, że było to coś na tyle traumatycznego... — przerwał, aby zaczerpnąć powietrza —

...na tyle traumatycznego dla Millgate'a, że mówił o tym tuż przed swoją śmiercią...

— Na pewno dobrze się pan czuje, panie Denning?

— Nauczyciel, który pojawił się w Departamencie Stanu i tak bardzo przestraszył Millgate'a... przyszedł latem, nie zimą. Śnieg... nie mam pojęcia, co to może znaczyć. Żałuję, bo może miałbym coś na nich wszystkich.

Znowu pojawił się kelner.

— Chciałbym państwu zaproponować... — zaczął.

— Nie mam apetytu — stwierdził Denning i wstał. — Źle się czuję.

Jill odsunęła się szybko, aby mógł wyjść z łoży.

— Tyle nerwów... Najpierw Millgate, a potem Lloyd. Za dużo nerwów. Za wiele pytań.

— Potrzebuje pan lekarza? — spytał Pittman.

— Nie.

— Może odwieźć pana do domu?

— Nie. — Denning wytarł chusteczką pot z czoła. — Nic mi nie jest. Poradzę sobie sam. — Zataczając się, minął kelnera, niemal wpadł na innego, który niośł tacę zjedzeniem, i pokus tykał ku wyjściu.

Pittman i Jill chcieli pójść za nim, ale zajmująca właśnie miejsca przy stoliku obok grupa gości zablokowała na kilka sekund przejście. Denning minął kobietę w wieczorowej sukni i wszedł do głównego holu. Gdy tylko droga zrobiła się wolna, Pittman i Jill pobiegli do frontowych drzwi.

11

Kiedy znaleźli się na zatłoczonym chodniku, natychmiast otoczył ich hałas i oślepiły reflektory przejeżdżających samochodów. Pittman zaczął się rozglądać na boki, a Jill popatrzyła na drugą stronę ulicy.

— Co to miało znaczyć? — spytał Pittman.

— Nie mam pojęcia. Wyglądał na chorego, chociaż...

— Może mówił prawdę, że ta rozmowa go przerosła?

— Ale co zamierza w związku z tym zrobić? Dokąd się tak bardzo spieszył?

— Rozdzielmy się i poszukajmy go.

— A więc są tutaj... — powiedział za ich plecami j akis głos.

Kiedy Pittman się odwrócił, ujrzał w otwartych drzwiach restauracji kelnera i maitre d'hôtel, którzy przyglądali im się oskarżycielsko.

— Chcieliśmy sprawdzić, czy naszemu znajomemu nic się nie stało — wyjaśnił.

Maitre d'hôtel gotował się z wściekłości.

— Tak właśnie się dzieje, jeśli robię wyjątek, gdy chodzi o strój...

— Zamierzaliśmy wrócić.

— Oczywiście, ale z pewnością nie będziecie państwo mieli nic przeciwko temu, że poproszę o zapłacenie za kok tajle.

— Jill, biegnij do rogu w prawo — powiedział Pittman. —



Może zobaczysz go w przecznicy. Spotkamy się przy samochodzie. Ile jestem winien?

— Cztery razy jack daniels, heineken i...

— Proszę nie wyliczać! Ile razem?

— Dwadzieścia osiem dolarów.

Pittman podał kelnerowi trzydzieści dolarów, co bardzo poważnie uszczupliło ich zasoby, i ruszył szybkim krokiem w przeciwną stronę niż Jill. Znowu odezwał się ból w nogach, zeszywniałych po długiej jeździe samochodem.

Kiedy dotarł do rogu, zaczął przyglądać się idącym chodnikiem ludziom. Po chwili zobaczył Denninga. Starszy pan przeszedł już spory kawałek między przecznicami i właśnie wyszedł spośród zaparkowanych przy krawężniku samochodów, aby zatrzymać taksówkę. Sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Wsiadł do taksówki, krzyknął coś do kierowcy i zatrzasnął drzwi.

Pittman zaczął biec w jej stronę, ale odjechała. Ruszył z powrotem do Jill.

— Nie widziałam go — powiedziała Jill, czekająca na niego przy zaparkowanym naprzeciwko restauracji samochodzie.

— Ja widziałem. Wsiadaj!

Ruszył tak gwałtownie, że mało brakowało, a wjechałby pod przejeżdżające obok bmw. Usłyszał ryk klaksonu, ale zignorował to i skręcił w lewo, kierując się do miejsca, w którym Denning wsiadł do taksówki.

— Jak myślisz, dokąd on jedzie? — spytała Jill.

— Nie mam pojęcia, ale to ulica jednokierunkowa, proważąca na północ. Gdyby zamierzał jechać w drugą stronę, nie szedłby aż tutaj, żeby złapać taksówkę. Możliwe, że jeszcze jedzie tą ulicą.

— Wyprzedziłeś już dwie taksówki. Skąd będziesz wiedział, w której siedzi Denning?

— Zapamiętałem numer. Nie widzę... cholera, sądzisz, że go zgubiliśmy?

— Zobacz tam.

— Jest! To ta taksówka — zawołał Pittman i natychmiast zwolnił, aby zachować bezpieczny odstęp.

339

Piętnaście sekund potem minął ich radiowóz.

— Masz dziś szczęśliwy dzień — stwierdziła Jill.

— Ale jakoś wcale nie czuję się szczęśliwy. Dokąd on jedzie?

— Może do domu?

— W Georgetown? Żartujesz chyba. Nie stać go na to. Eleganckie kamienice ustąpiły miejsca podmiejskim rezydencjom.

Jadąc za taksówką Denninga, Pittman skręcił w wyłożoną wytartą kostką ulicę wzdłuż której biegły tramwajowe szyny. Taksówka zatrzymała się przed jedną z cofniętych od ulicy posiadłości. Jasno oświetlony budynek stał na szczycie niewielkiego pagórka. Otaczał go wielki, wypielegnowany ogród, oddzielony od ulicy niewysokim ogrodzeniem z kutego żelaza.

Denning wysiadł z taksówki i wbiegł betonowymi schodkami na duży ganek z kolumnami, które sprawiały, że dom wyglądał jak grecka świątynia.

— Ciekawe, kto tu mieszka — mruknął Pittman.

— I dlaczego Denningowi tak się tu spieszyło.

Starszy pan kilka razy zapukał we frontowe drzwi. Otworzył mu służący w uniformie. Denning zaczął coś mówić, gestykulując przy tym energicznie. Służący odwrócił się do kogoś w środku, powiedział coś do niego, po czym pozwolił Denningowi wejść.

— I co teraz? — spytała Jill.

— Męczy mnie siedzenie w tym przeklętym samochodzie.

Czas na wizytę domową.

w w

1

Drzwi otworzył im ten sam służący, korpulentny mężczyzna w średnim wieku.

— Słucham pana — powiedział, ze zdziwieniem unosząc brwi. Najwyraźniej był zaskoczony tyloma odwiedzającymi.

— Przed chwilą przybył tu pan Bradford Denning — oświadczył Pittman.

— Tak?

— Wspomniał może, że się nas spodziewa?

Na czole służącego pojawiły się głębokie zmarszczki.

— Nie, proszę pana.

— Byliśmy z panem Denningiem umówieni. Musimy się I z nim zobaczyć.

— George? — doleciał z głębi mieszkania kobiecy głos. — Kto to?

— Ktoś, kto twierdzi, że był umówiony z pani gościem, madam.

Pittman zajrzał do środka i zobaczył wysoką szczupłą kobietę tuż przed sześćdziesiątką z krótkimi siwymi włosami. Miała na sobie marszczoną przy szyi designerską jedwabną sukienkę, której błękit podkreślał blask kolczyków z brylantami w jej uszach. Choć wyglądała atrakcyjnie, jej skóra na wyrazistych kościach policzkowych była mocno napięta — najwyraźniej była po kilku liftingach.

. 343

Kobieta podeszła bliżej drzwi, jej wysokie obcasy zastukały o wypolerowaną podłogę z pięknego drewna.

— Zna pan Bradforda? — zapytała.

— Mieliśmy zjeść z nim dziś kolację.

— Kiedy widzieliśmy go jakieś pół godziny temu, nie wyglądał najlepiej — dodała Jill. — Nic mu się nie stało?

— Wygląda okropnie — odparła kobieta. — Nic mi jednak 0 państwu nie mówił.

Pittman potrzebował chwili, aby przypomnieć sobie, jakie fałszywe nazwisko podał Denningowi.

— Proszę mu powiedzieć, że przyszli do niego Lester King

1 Jennifer.

— Nie wpuszczaj ich, Vivian. — W otwartych drzwiach po lewej stronie pojawił się Denning. Chusteczką wycierał pot

z twarzy. — To dziennikarze.  
Twarz kobiety spochmurniała.

— Och...

— Nie zamierzamy sprawiać kłopotów — wtrąciła Jill. —  
Chcemy pomóc.

— Jak? -

— Podejrzewamy, że pan Denning przyszedł tutaj, aby  
opowiedzieć pani, o czym niedawno rozmawialiśmy. Może  
zechciałaby pani usłyszeć to od nas?

Na twarzy kobiety nie widać było żadnych emocji, ale sztywne pochylenie głowy i stalowe  
spojrzenie sugerowały podejrzliwość i dezorientację.

— Proszę wejść.

— Nie, Vivian — zaprotestował znowu Denning.

Kobieta zignorowała go.

— Wszystko w porządku, Bradford — powiedziała, po czym  
odwróciła się do Pittmana i Jill. — Proszę wejść.

— Dziękuję pani — odparł Pittman.

— Jeśli jednak okaże się, że przyszli państwo narobić nam  
kłopotów, każe George'owi wezwać policję — zastrzegła ko  
bieta.

Pittman poczuł, że znowu ogarnia go strach, ale robił, co mógł, aby nie pokazać po sobie  
niepokoję.

344

Kiedy służący zamknął za nimi drzwi, gospodyni zaprowadziła Pittmana i Jill do pokoju  
znajdującego się z lewej strony holu.

Pittman spodziewał się ujrzeć w nim antyki, okazało się jednak, że urządzone go w  
nowoczesnym stylu. Na ścianach wisiały obrazy malarzy z kręgu ekspresjonizmu  
abstrakcyjnego, kolorowe plamy miały wyrażać burzę emocji. Pittmanowi wydawało się, że  
jeden z nich jest dziełem Jacksona Pollocka\*.

— Mogę państwa czymś poczęstować? — spytała kobieta.

— Nie, dziękujemy.

— A ja poproszę Jacka Daniela — powiedział Denning.

— Bradfordzie, kiedy przyjechałeś, śmierdziałeś alkoholem.

Wiesz, co sędzę o nadużywaniu. Dość już wypiełeś.

Denning wciąż wycierał chusteczką spoconą, rozpaloną twarz.

— Ponieważ \_nikt poza Bradfordem nic nie chce, usiądźmy  
i porozmawiajmy o celu waszej wizyty tutaj — zaproponowała  
gospodyni.

— Doskonale — odparł Pittman. — Chętnie usłyszę wersję  
pana Denninga... jeżeli oczywiście nie ma pani nic przeciwko  
temu, pani...

— Page.

Jej nazwisko nie Pittmanowi nie mówiło. Popatrzył pytająco na Denninga.

— Pani Page jest jedną z najważniejszych bywalczyń wa  
szyngetońskich salonów — wyjaśnił tamten. Ton jego głosu  
sugerował, iż powinni czuć się zaszczytzeni, że z nią roz  
mawiają.

— Najwyraźniej nasi goście nie znają nazwisk ludzi z towa-

\* Jackson Pollock (1912—1956) stworzył niefiguratywny styl z charakterystycznymi plamami barwnymi, uzyskiwanymi przez rozpryskiwanie farby na płótnie. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku został uznany za czołowego reprezentanta amerykańskiego ekspresjonizmu abstrakcyjnego oraz przedstawiciela tzw. Szkoły Nowojorskiej. W 2006 roku jedno z jego dzieł zostało sprzedane za 140 milionów dolarów.

345  
rzystwa — stwierdziła pani Page, uśmiechając się cierpko.  
Może więc rozpoznają inne nazwisko... To jedyny powód odwiedzin Bradforda, zakładam więc, że państwa wizyta też jest z nim w jakiś sposób związana. Jestem córką Eustace'a Gable'a.

Oświadczenie kobiety, że jest córką jednego z Wielkich Doradców, było tak zaskakujące, że Pittman głośno wciągnął powietrze. Poczul, że siedząca obok Jill sztywnieje z napięcia.  
— Nie wiedziałem.

— Najwyraźniej. Czy teraz, kiedy pan o tym wie, nadal chce pan kontynuować rozmowę?

— To zależy od pani — odparła Jill. — Część z tego, o czym chcielibyśmy porozmawiać, może nie być zbyt przyjemna.

Pittman popatrzył na Denninga. Zastanawiał się, dlaczego ten człowiek zdecydował się tu przyjechać. Może cała ta jego gadanina o nienawiści do Wielkich Doradców miała służyć temu, aby zdobyć zaufanie ich wrogów? Czyżby był szpiegiem Wielkich Doradców, a pierwszą osobą, której postanowił zdać sprawozdanie z tego, czego się dowiedział, była córka Eustace'a Gable'a?

— Jeśli chodzi o mojego ojca, to żaden temat nie jest przyjemny — stwierdziła pani Page.

— Chyba nie rozumiem — mruknął Pittman.

— Jeżeli będzie pan mówił otwarcie, ja też będę szczerą.  
Pittman — choć w dalszym ciągu nic nie rozumiał — kiwnął głową.

— Nienawidzę mojego ojca.

Pittman znowu dał się zaskoczyć.

— Gardzę nim — dodała pani Page. — Gdybym miała

347

możliwość zranienia go... tak naprawdę i ostatecznie... zniszczenia go... nie zawahałabym się ani przez sekundę. Jest odrażający. — W jej oczach płonął ogień. — Czy jasno wyraziłam mój stosunek do niego?

— Oczywiście.

— Podejrzewam, że dziś wieczorem rozmawialiście państwo z Bradfordem o czymś, co jego zdaniem mogłabym wykorzystać przeciwko ojcu — powiedziała pani Page. — Właśnie dlatego zaprosiłam was do środka. Mam rację? Ma pan do niego zastrzeżenia jako dziennikarz, prawda? Uważa pan mojego ojca za złego człowieka?

Pittman ponownie kiwnął głową^ choć nie bardzo wiedział, czy przypadkiem nie jest w coś wrabiany.

— To świetnie — odparła pani Page i zwróciła się do Denninga: — Bradfordzie, rozczarowałeś mnie. Jeżeli czuleś, że ci ludzie mogą mi pomóc, dlaczego kazałeś mi się ich

pozbyć? Chciałeś całą zasługę przypisać sobie? Po tylu latach nadal zachowujesz się, jakbyś w dalszym ciągu pracował w Departamencie Stanu.

Denning nic na to nie odpowiedział.

Choć gospodyni prosiła ich już, żeby usiedli, wszyscy nadal stali. Dopiero teraz Pittman przycupnął na niezwykle nowoczesnie wyglądającym krześle o ostrych kątach i krawędziach, wykonanym z osadzonego w błyszczącym metalu drewna. Przypominało mu eksponat z wystawy mebli eksperymentalnych, którą przed laty oglądał w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Niespodziewanie krzesło okazało się bardzo wygodne.

Pozostali także usiedli.

— Jak... — Pittman nie bardzo wiedział, jak sformułować pytanie. — Co sprawiło, że...

— Proszę mówić wprost. Ojciec nauczył mnie, że zawsze należy od razu przechodzić do sedna — powiedziała gorzko pani Page. — Dlaczego nienawidzę ojca? Zabił moją matkę.

Zapadła cisza. Pittman miał wrażenie, że słyszy bicie własnego serca.

— Skoro już zaczęłaś, Vivian, opowiedz im o wszystkim — wtrącił Denning, przerywając ciszę.

348

Pani Page zmrużyła oczy i pokręciła głową.

— Nie jest to coś, co ludzie z zewnątrz mogliby zrozumieć. Widzicie ten dom i pewnie zastanawiacie się, jak ktokolwiek może być nieszczęśliwy, żyjąc w takim luksusie. Być może robotnik pracujący przy taśmie w fabryce samochodów w Detroit byłby bardzo zadowolony, mogąc się ze mną zamienić, ale wszystko ma swoje minusy. Moja matka była bardzo piękna i pochodziła z tradycyjnej rodziny z Południa, w której pamiętano czasy sprzed wojny secesyjnej. W tym świecie kobieta nie musiała nic robić, jej wartością było samo istnienie. Była jak piękny kwiat, przeznaczony tylko do podziwiania. Poznała ojca podczas jednego z ostatnich przed wybuchem wojny rejsów wycieczkowych do Europy. Otoczenie było bardzo romantyczne i matka głupio się zakochała w mężczyźnie, którego prawie wcale nie знаła. Partia została zaaprobowana i wzięli ślub. Ku swojemu zaskoczeniu matka wkrótce stwierdziła, że jednak czegoś się od niej oczekuje: miała być pod każdym względem doskonała. Miała wydawać najlepsze przyjęcia. Umieć prowa- dzić ciekawe i mądre rozmowy. Być wspaniale ubrana. Robić najlepsze wrażenie.

Głos pani Page zadrżał i na chwilę przerwała swoją opowieść.

— Ten hipotetyczny robotnik, o którym wcześniej wspomniałam, nie potrafiłby współczuć damie z towarzystwa, która twierdziłaby, że cierpi, choć żyje w przepychu. Ciekawe jednak, co by powiedział, gdyby jego majster wciąż krytykował wszystko, cokolwiek zrobił? Co by powiedział, gdyby majster robił to w taki sposób, że każde słowo brzmiałoby jak obelga i raniło jak cios nożem? Na pewno miałby tego dość. Urażono by jego godność i zniszczono ducha. Oczywiście można by twierdzić, że mógłby zwolnić się z pracy i poszukać sobie innej... co

jednak, gdyby nie miał takiej możliwości i był skazany na swojego majstra?

Pani Page przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

— Mój ojciec jest najokrutniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. Jego potrzeba dominacji była tak silna, że terroryzował matkę przy każdej okazji. Drwił z niej. Poniżał ją. Upokarzał. Dorastałam w atmosferze nieustannego strachu. Nic,

co robiłam, nie było dla niego wystarczająco dobre. Oczywiście nie było też dobre nic, co robiła moja matka. Tak bardzo się o nią martwiłam, że często nie mogłam zasnąć, dopóki się nie wypłakałam w poduszkę. Rozwód? Dla zawodowego dyplomaty z jego ambicjami? W tamtych czasach? Nie do pomyślenia. Matka tylko raz o tym napomknęła, ale reakcja ojca tak ją przeraziła, że nigdy więcej o tym nie wspominała.

Pani Page znowu przerwała, jakby chciała się nad czymś zastanowić. Jej do tej pory idealnie wyprostowana sylwetka zgarbiła się.

— Potem matka zaczęła pić. Ani ja, ani ojciec niczego nie zauważyliśmy, aż choroba stała się bardzo zaawansowana. Prawdopodobnie początkowo piła wtedy, kiedy ojca nie było w domu, a ja siedziałam w szkole. To było błędne koło. Picie sprawiało, że przestała spełniać wszystkie oczekiwania ojca. Nie obchodziło jej już organizowanie przyjęć i to, jak się zachowuje. Przestała uczestniczyć w przygotowywaniu towarzyskich spotkań, a potem w ogóle przestała się na nich pojawiać. Podczas przyjęć dyplomatycznych okazywała znudzenie, które przedtem starannie ukrywała. Ojciec oczywiście wściekał się na nią, ale im bardziej się wściekał, tym więcej piła. W końcu wszystko wyszło na jaw... zdradziła ją bełkotliwa mowa. W tych czasach żony osób publicznych jeszcze nie miały odwagi przyznawać się do problemów z alkoholem i innymi środkami odurzającymi i ujawnienie tego wywołałoby skandal. Dla człowieka o tak sztywnych zasadach i takiej bezgranicznej ambicji jak mój ojciec była to przerażająca sytuacja. Nie dlatego, że matka miała problem, ale dlatego, że to on mógł mieć przez nią problem. Nie mógł pozwolić, aby zepsuła mu wizerunek i zniszczyła reputację. Najpierw przeszukał cały dom i wyrzucił wszystkie butelki, które udało mu się znaleźć. Następnie zatrudnił człowieka, którego jedynym zadaniem było trzymanie matki z dala od alkoholu. Okazało się to skuteczną taktyką, bo matka przestała pić, ale ojciec nie osiągnął tego, co zamierzał. Matka nie powróciła do dawnego stylu życia... do spełniania jego wygórowanych oczekiwań. Nie mając żadnej możliwości ucieczki, poddawana dodatkowym represjom, doznała załama-

nia nerwowego. Było to dla ojca tak samo przerażające jak jej alkoholizm. Bał się, że gdyby koledzy się dowiedzieli, że jego żona jest nieźrównoważona umysłowo i emocjonalnie, zostałyby napiętnowane. Obawiał się też, iż uznaliby, że sytuacja rodzinna zbyt go dekoncentruje, aby mógł dobrze wypełniać swoje obowiązki. Wtedy jego kariera zostałaby zrujnowana. Kiedy pewnego dnia matce udało się uciec z domu i w pobliskiej restauracji wdała się z kimś w sprzeczkę — co ojciec określił mianem „pijackiej burdy” — postanowił wywieźć ją z Waszyngtonu. W owych czasach nie było takich instytucji jak Klinika Betty Ford\*, — miejsca, gdzie zajęto by się chorobą matki z odpowiednią starannością. Istniały oczywiście różnego rodzaju dyskretne kliniki i szpitale, w których umieszczano bogatych ludzi. Alkoholizm matki i jej załamanie nerwowe leczono jedynie farmakologicznie, co oznaczało podawanie środków uspokajających. Uznano, że potrzebuje „odpoczynku”, a powodem jej wszystkich problemów jest jedynie przemęczenie. Przecież ktoś tak zamożny i cieszący się tak znakomitą pozycją społeczną nie mógł być nieszczęśliwy. Duże dawki leków

spowodowały, że przez trzy miesiące była tak otępiała, że potrzebowała pomocy, aby skorzystać z łazienki. Kiedy przyszedłam ją odwiedzić, nie poznała mnie. Po jakimś czasie lekarze uznali, że jej organizm został całkowicie oczyszczony z alkoholu, więc zaczęto zmniejszać dawki środków uspokajających. Gdy wróciła do domu, sprawiała wrażenie spokojnej i zadowolonej.

Któregoś dnia zniknęła. Po kilkogodzinnych poszukiwaniach służący znaleźli ją pijaną w piwnicy. Półprzytomna, leżała oparta o piec centralnego ogrzewania i mamrotała coś pod nosem. Po tej „wpadce” postawa ojca wobec niej diametralnie się zmieniła. Przedtem w kregach swoich znajomych jako

\* Betty Ford Center — ośrodek rehabilitacyjny dla osób uzależnionych od alkoholu i narkotyków w Rancho Mirage w Kalifornii, założony w 1982 roku przez byłą Pierwszą Damę Betty Ford i ambasadora Leonarda Firestone'a. Po odbyciu terapii wyprowadzającej z uzależnienia od leków Betty Ford postanowiła stworzyć ośrodek specjalizujący się w leczeniu uzależnień kobiet.

351

powód jej trzymiesięcznej nieobecności w Waszyngtonie podał że wyjechała do rodziny do Europy, ale tym razem wymyślił coś innego. Był lipiec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. Wynajął letni dom na przylądku Hatteras, zwolnił wszystkich służących i kupił matce kilka skrzynek wódki. Do dziś pamiętam szyderczy ton, jakim do niej mówił: „Chcesz uniknąć odpowiedzialności? Chcesz, się czegoś napić? Proszę bardzo. Jesteś na wakacjach”. Nalewał jej drinka, a potem następnego i następnego. Kiedy zapas wódki zmalął, dokupił więcej. Dbał o to aby jej kieliszek był zawsze pełny. Gdy traciła ochotę na alkohol, wrzeszczał na nią i poniżał ją, aż w końcu znowu zaczynała pić. Czasami, kiedy w nocy słyszałam hałasy, wykradałam się ze swojego pokoju i widziałam matkę leżącą na podłodze łazienki wśród własnych wymiocin. Ojciec klęczał obok niej, wyzywał ją i wlewał jej wódkę do gardła. Gdy się zorientował, że odkryłam, co wyprawia z matką, wysłał mnie do swoich rodziców, do rezydencji w Martha's Vineyard. Choć przebywanie z nim pod jednym dachem było okropne, bardzo bałam się o matkę i błagałam go, żeby pozwolił mi zostać... nie zgodził się jednak.

Jej monotony, beznamiętny głos nie zdradzał wzburzenia, widocznego w oczach, cały czas wbitych w jaskrawą ekspresjonistyczną abstrakcję na ścianie. Gdy znowu przerwała, popatrzyła na Pittmana i Jill.

Nigdy więcej nie zobaczyłam matki. Zmarła, nim lato dobiegło końca. Koroner stwierdził, że przyczyną śmierci było zatrucie alkoholem. Ojciec ze szczegółami opowiedział mi, co się stało, próbując uzasadnić swoje zachowanie. „Twoja matka miała większy problem, niż myślisz — mówił. — Nakłaniałem ją do, folgowania sobie, ponieważ miałem nadzieję, że jeżeli wystarczająco źle się poczuje, przestanie pić. Kiedy wymiotowała, dawałem jej alkohol w nadziei, że zacznie kojarzyć alkohol z nudnościami”. Znalazł nawet specjalistę od uzależnień, który za odpowiednią sumę oświadczył, że to właśnie on zalecił mu takie postępowanie z żoną.

Znowu zapadła cisza.

— Bardzo mi przykro — powiedział po chwili Pittman.

352

Pani Page popatrzyła na niego w milczeniu.

— Jest jednak coś, czego nie rozumiem...

— To znaczy?

— Jeżeli pani ojciec bał się skandalu w przypadku ujawnienia alkoholizmu pani matki, jeżeli tak starannie ukrywał jej

problem, dlaczego nagle zmienił swoją postawę i doprowadził ją do śmierci... i to w taki sposób? Przecież właśnie to mogło zwrócić uwagę otoczenia i wywołać skandal.

— Mój ojciec jest bardzo przebiegły. Doszedł do wniosku, że jeżeli zacznie sprawiać wrazenie ofiary, koledzy będą mu współczuli. Powiedział im, że trwało to już od jakiegoś czasu i choć robił wszystko, co było w jego mocy, jego życie stało się koszmarem. Udawał niepokieszonego, zrozpaczonego tym, że choć próbował przez całe lato, nie zdołał zapanować nad namiętnością żony. Ciągłe powtarzał, że zrobił wszystko, co było możliwe, i ludzie mu uwierzyli. Potem udawał, z jakim ogromnym wysiłkiem pokonuje cierpienie, aby jego stan psychiczny nie miał wpływu na jego pracę. Koledzy mu współczuli i podziwiali go. Wkrótce został ambasadorem w Wielkiej Brytanii, potem w Związku Radzieckim, a w końcu mianowano go sekretarzem stanu. Wiem jednak, jaki jest naprawdę. Zabił moją matkę i nigdy mu tego nie wybaczę.

— Ponieważ oboje go nienawidzimy, połączyliśmy siły — dodał Denning. — Aby pomóc Vivian, zdobyłem kopię raportu koronera. Wynikało z niego jednoznacznie, że ojciec ją okłamał. Przyczyną śmierci jej matki było zatrucie nie samym alkoholem, ale alkoholem połączonym z seconalem.

— Z seconalem? — Jill wyprostowała się gwałtownie. — To przecież środek uspokajający! Pani Page kiwnęła głową.

— Jeden z tych, które podawano jej przez trzy miesiące w klinice, w której umieścił ją mój ojciec.

— Sekundę... — wtrącił Pittman. — Sugeruje pani, że po nieważ matka nie chciała umrzeć odpowiednio szybko z powodu samego picia, pani ojciec to przyspieszył, dodając jej do wódki leki uspokajające?

— Właśnie — odparła pani Page i zacisnęła usta.

353

— To morderstwo — stwierdziła Jill. — Ale jeżeli używał leków, narażał się na zdemaskowanie.

Gospodyni pokręciła głową.

— Jakimś sposobem odkrył, że przeczytałam raport koronera. Przewidując, że zamierzam go oskarżyć, powiedział, że jest pewna rzecz dotycząca śmierci matki, której wcześniej nie miał odwagi mi wyjawiać. Potem oświadczył, że kiedy matka była w klinice, ukradła całe opakowanie leków uspokajających, które jej podawano. Opakowanie to zostało znalezione po jej śmierci. W nocy, kiedy umarła, połknęła tyle seconalu, że musiał pogościć się z tym, iż popełniła samobójstwo.

— Sądzi pani, że kłamał? — zapytała Jill.

— Nie jest istotne, co sądzę. Liczą się dowody, a ja nie mam niczego, co mogłoby obalić wersję ojca. Chcą go zniszczyć, nie narażając się jednocześnie na podejrzenie o niepoczytalność. Dopóki nie znajdę jednoznacznego dowodu, bez trudu obali



moje oskarżenia, wykorzystując dokumentację ze szpitala i raport koronera. Potem już żadnych moich oskarżeń nikt nie potraktuje poważnie. Będę miała tylko jedną okazję. Przez większą część życia szukałam sposobu ukarania go za to, co zrobił mojej matce, ale mi się to nie udało. Teraz zaś, gdy zmarł kolejny Wielki Doradca, muszę się liczyć z tym, że ojciec jest już tak stary, iż może umrzeć, zanim zdążę go ukarać.

Denning wstał.

— Właśnie dlatego tu jestem. Może znalazłem ten sposób. Pani Page wbiła w niego wzrok.

— Istnieje możliwość udowodnienia, że twój ojciec i pozostali czterej Wielcy Doradcy obawiali się, że ich stanowiska mogą być zagrożone z powodu orientacji seksualnej.

— Orientacji seksualnej?

— Właśnie. Nigdy nie przyszło mi to do głowy... aż do dzisiejszej rozmowy z tymi dziennikarzami. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy podejrzenie, że...

Oczy pani Page rozszerzyły się, a dźwięk, jaki wydobył się z jej gardła, sprawił, że Pittman poczuł mrowienie na skórze. Z początku pomyślał, że kobieta czymś się zakrztusiła, ale po chwili zorientował się, że to śmiech<sup>11</sup> — głośny, pogardliwy śmiech.

354

— Bradfordzie, jesteś głupcem! Wpadłeś tu jak bomba, żeby właśnie to mi powiedzieć? Nawet gdyby mój ojciec był homo seksualistą, jaką miałoby mi to przynieść korzyść? Zachowujesz się, jakbyś w dalszym ciągu pracował w Departamencie Stanu i wciąż trwały lata -czterdzieste i pięćdziesiąte. To były czasy ciemnoty, Bradfordzie. Dziś jedynie fanatyków religijnych obchodzi, czy ktoś jest homoseksualistą, czy nie. A gwiazdy sceny i ekranu aż się palą do tego, żeby ogłosić: jestem gejem.

— Dyplomaci to nie gwiazdy sceny i ekranu — obruszył się Denning.

— Ostatnio niektórzy z nich tak się zachowują. Ale to, co ktoś robi prywatnie, dawno przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Teraz liczy się, jak człowiek wypełnia swoje publiczne obowiązki. Oskarżenie ojca i pozostałych o homoseksualizm może tylko sprawić, że wyjdę na fanatyczkę. To niesmaczne i bezcelowe oskarżenie.

— A jeżeli ich orientacja seksualna była wcześniej powodem szantażu? — zapytał Denning. — W latach pięćdziesiątych mogłoby tak być.

— Przez kogo? Przez Rosjan? Jeżeli tak, to próba szantażu się nie powiodła. Żadna grupa dyplomatów nie prowadziła twardego kursu wobec Rosjan niż mój ojciec i jego koledzy. Nikogo z nich nigdy nie podejrzewano o sympatyzowanie z nimi. Powinieneś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Twarz Denninga zrobiła się purpurowa.

— Ale nawet gdybym sądziła, że oskarżenie o homoseksualizm może kogoś zniszczyć w dzisiejszych czasach, nie oskarżałabym o to ojca — dodała pani Page.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest aseksualny. Nigdy nie interesował się seksem. Matka wyznała mi kiedyś, że jedynym przypadkiem, kiedy „oddali się aktowi małżeńskiemu”, jak to nazwała, była noc, podczas której zostałam spółdzona. Jestem przekonana, że ojciec za bardzo bał się o swoją karierę, żeby mieć kochanki, a biorąc pod uwagę represyjność lat czterdziestych i pięćdziesiątych, nie ryzykowałby zadawania się z mężczyznami. W życiu interesowało go tylko jedno: dążenie do władzy. To

355

była jego kochanka. Henry Kissinger powiedział kiedyś: „Władza to najsilniejszy afrodyzjak”. I dla mojego ojca była. — Pani Page popatrzyła na Pittmana i Jill. — Z pewnością zdajecie sobie państwo sprawę, że atak na mojego ojca od tej strony byłby bezsensowny.

— Być może jednak istnieje coś innego, co sprawia, że czuje się zagrożony — odparł Pittman. — Wiemy, że Wielcy Doradcy mają swoją tajemnicę i są gotowi zrobić wszystko, aby nie dopuścić do jej ujawnienia.

— Tajemnicę...?

— Związaną z liceum, do którego razem chodzili. Z Akademią Grolliera.

— To kolejna rzecz, o której chciałem ci powiedzieć — wtrącił Denning. — Istnieje przypuszczenie, że jeden z ich nauczycieli się do nich \_ zalecał.

— Ale to przecież to samo, o czym właśnie rozmawiamy — stwierdziła pani Page.

— Chodzi o coś więcej — odparł Pittman. — Nie wiemy dokładnie o co, ale...

— Czy słyszała pani kiedyś o jakimś Duncanie Kline? — spytała Jill.

— Duncanie Kline? — Pani Page przekrzywiła głowę i przez chwilę szukała tego nazwiska w pamięci. — Nie, nie sędzę.

— Uczył pani ojca i jego kolegów w Akademii Grolliera.

— Mężczyzna, który prawdopodobnie był Duncanem Kline'em, pojawił się w lecie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku w Departamencie Stanu — dodał Denning. — Twój ojciec i pozostali byli tym zszokowani. Spotkali się z nim za zamkniętymi drzwiami, zareagowali na jego przybycie tak, jakby stanowił dla nich poważne zagrożenie.

— Jakiego rodzaju?

— Nie wiem. Sądziłem, że ty możesz coś o tym wiedzieć. Pani Page zmarszczyła brwi.

— O Akademii Grolliera nie wiem prawie nic, jedynie to, że ojciec był niezwykle hojny dla tej szkoły. Przez całą swoją karierę wpłacał duże sumy na fundusz dla wychowanków. Kiedy ten człowiek przyszedł do mojego ojca? Latem tysiąc dziewięć-

356

set pięćdziesiątego drugiego roku? To był dla ojca ważny rok. po nominacji Eisenhowera podczas letniego konwentu republikanów na kandydata na prezydenta ojciec był przekonany, że Stevenson przegra.

— Już to wyjaśniałem tym dziennikarzom — oświadczył Denning.

— Pozwól mi skończyć — powiedziała pani Page. — Ojciec i pozostali skupili całą swoją energię na nawiązaniu dobrych stosunków z ludźmi Eisenhowera, który rzeczywiście wygrał. Deklarując mu lojalność przed zwycięstwem w wyborach prezydenckich, ojciec i jego przyjaciele wypracowali sobie miejsce przy jego boku. Przez cały listopad i grudzień, aż do objęcia przez Eisenhowera prezydentury w styczniu, robili, co mogli, aby zdobyć jego zaufanie. Ich taktyka umożliwiła im uzyskanie nominacji na liczne stanowiska. W ciągu kilku lat zdobyli kontrolę nad wszystkimi ważniejszymi stanowiskami dyplomatycznymi w rządzie. Właśnie wtedy zaczęto ich nazywać Wielkimi Doradcami. Dlatego trochę mnie zdziwiło, że po listopadowym zwycięstwie Eisenhowera pojechali na zjazd absolwentów Grolliera, zamiast być przy prezydencie. Dowodzi to, jak bardzo czuli się związani z tą szkołą. Gdyby byli w niej molestowani seksualnie jako uczniowie, z pewnością nie chcieli by tam wracać.

— Być może wcale nie przyjmowali zalotów Duncana Klinne'a z niechęcią — mruknął Denning.

— Nie zamierzam słuchać tych seksualnych oskarżeń, Bradfordzie! Szkoda czasu na zajmowanie się nimi. Mój ojciec jest tak zręcznym dyplomata, że gdyby ktokolwiek oskarżył go o robienie czegoś podobnego w liceum, obróciłby to na swoją korzyść. Ma dar wzbudzania współczucia.

— Mówiliśmy już to panu Denningowi podczas naszego wcześniejszego spotkania — powiedziała Jill. — Istnieje jednak jakiś sekret, który Wielcy Doradcy chcą za wszelką cenę ukryć, ma on związek ze szkołą.

— Ukryć za wszelką cenę? Skąd pani to wie?

Jill zawahała się.

— Z wiarygodnych źródeł — wyjaśnił za nią Pittman.

357

— To znaczy?

— Niestety nie wolno nam ujawniać nazwisk. Osoby te zastrzegły sobie anonimowość.

Pani Page niecierpliwie machnęła ręką.

— W takim razie te informacje są dla państwa bezużyteczne. Dla mnie też. W jaki sposób mam uzupełnić państwa wiedzę i jak ma mi ona pomóc ukarać ojca, jeżeli nie wiem, co łączy państwa informatorów z moim ojcem?

— Czy mówi coś pani słowo „śnieg”? — spytał Pittman. — Ostatnie słowa Jonathana Millgate'a przed śmiercią brzmiały: „Duncan” i „śnieg”.

— Zanim go zamordowano — dodała pani Page.

Pittman kiwnął głową.

— Nie — odparła pani Page. — Nie mam zielonego pojęcia, co miał na myśli Jonathan Millgate. — Spojrzała na Pittmana i Jill. — To wszystko? To są te bardzo ważne sprawy, o których chcieliście ze mną porozmawiać? Niepotrzebna strata czasu.

— Millgate... — odezwał się nagle Denning.

Popatrzyli na niego zaskoczeni.

— Słucham? — spytała pani Page.

— Millgate... — powtórzył Denning. — Wspomniał pan o Jonathanie Millgacie.

— Bradfordzie, postradałeś zmysły?

Denning wskazał palcem Pittmana.

— Pamiętam teraz, gdzie pana widziałem!

Pittman zeszywniał.

— Nie nazywa się pan Lester King, czy jak tam pan się przedstawił! Nazywa się pan Matthew Pittman! Spotkałiśmy się kilka lat temu! Widziałem pana zdjęcia w gazetach! Ale miał pan wtedy wąsy i... to właśnie pana poszukuje policja za zamordowanie Jonathana Millgate'a!

— Bradfordzie, to absurdalne — wtrąciła pani Page. — Nie wiesz, co mówisz.

— Mówię ci, że to on! Masz gazetę? Udowodnię ci! Pokażę zdjęcia! To on zamordował Jonathana Millgate'a!

— Niech pan nie gada bzdur — powiedział ostro Pittman. — Gdybym to zrobił, na pewno bym tu nie przyszedł.

358

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł służący George.

— Pani Page, usłyszałem hałasy. Czy coś się stało?

— Dzwon na policję! — wrzasnął Denning.

— Na policję? — powtórzył George i popatrzył pytająco na swoją chlebodawczynię.

— Bradfordzie, co ty najlepszego wyprawiasz? — jęknęła pani Page.

— Szybko! Zanim nas pozabija!

Pittman wstał.

— Panie Denning, na pana miejscu przestałbym pić. Nie wpływa to zbyt dobrze na pańską zdolność oceny sytuacji i zachowanie — r oświadczył, po czym zwrócił się do gospodyni: — Bardzo przepraszam za ten incydent. Proszę wybaczyć, że zajęliśmy parli tyle czasu. Dziękujemy za rozmowę.

Jill także wstała.

— Miło się z panią rozmawiało.

— Przy obecnym stanie pana Denninga dalsza rozmowa chyba nie ma sensu — dodał Pittman.

Pani Page popatrzyła na niego zdezorientowana.

— Do widzenia i jeszcze raz dziękujemy — powiedział Pittman i ruszył do wyjścia.

— George, dzwoni na policję! — krzyknął znowu Den

ning. — Zanim zdążą uciec!

— Nigdzie nie dzwoń — poleciła pani Page służącemu. —  
Nic z tego nie rozumiem. Bradfordzie, co w ciebie wstąpiło?

Pittman i Jill minęli George'a, wyszli z pokoju, przeszli przez korytarz i otworzyli drzwi wejściowe. Kolumny ganku, oświetlane porożstawianymi wśród krzewów lampami, rzucały długie cienie.

— Lepiej się pospieszmy — powiedziała Jill.

Wyszli na chłodne nocne powietrze i zaczęli szybko schodzić schodkami, aby wyjść spoza zasięgu ogrodowych świateł i skryć się w cieniu. Nagle Pittman zatrzymał się i dotknął ramienia Jill.

— Kolejne kłopoty — mruknął.

Jill również się zatrzymała.

— Nasz samochód...

Zobaczyli, że przy ich dusterze zaparkowanym przed posiadłością stoi dwóch osiłków w wiatrówkach i ogląda jego przednią tablicę rejestracyjną.

Pittman cofnął się.

— Musieli obserwować dom.

— Dlaczego miałoby... — zaczęła Jill, ale urwała i również szybko cofnęła się na górę. — No tak. Eustace Gable na pewno zdaje sobie sprawę z tego, że jego córka stanowi dla niego zagrożenie. Kazał obserwować dom na wypadek, gdybyśmy się tu zjawili. "" -

— A na tej ulicy nasz samochód jest prawdopodobnie jedy-  
nym wozem z tablicami Vermontu. Bez trudu skojarzą go  
z naszą wizytą w Akademii Grolliera.

— Hej! — krzyknął jeden z osiłków, zanim Pittman i Jill  
zdążyli wrócić pod drzwi.

Pittman odwrócił się i stwierdził, że mężczyzna pokazuje na niego palcem. Równocześnie  
spomiędzy zaparkowanych przy

360

krawężniku samochodów wyjechał czarny oldsmobile. Gwałtownie zahamował, otworzyły się  
wszystkie drzwi i zaczęli z niego wysiadać barczyści mężczyźni podobni do tych, którzy  
oglądali duster.

Pittman złapał za gałkę drzwi. Na szczęście służący ich nie zaryglował. Pittman odetchnął z  
ulgą, otworzył drzwi, a kiedy oboje wbiegli do środka, zatrzasnął je i zaryglował.

W pokoju z lewej strony odezwały się zaniepokojone głosy i po chwili w otwartych  
drzwiach pojawił się służący. Za nim stali pani Page i Denning.

— Co się dzieje? — spytała pani Page. — Dlaczego wró-  
ciliście?

— Obawiam się, że sprowadziliśmy na panią kłopoty —  
odparł Pittman. — Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musimy  
znaleźć jakiś sposób, żeby...

— Sześciu — poinformowała go Jill, która wyglądała zza  
firanki wysokiego wąskiego okna obok drzwi.

— Sześciu? — Pani Page minęła Denninga i służącego. —  
Nie rozumiem, co to ma...

— Idą chodnikiem — dodała Jill.

Pittman podszedł do pani Page.

— Jest pani w niebezpieczeństwie. Co jest na tyłach domu?  
Jak możemy się stąd wydostać?

— W niebezpieczeństwie? — powtórzył drżącym głosem Denning.

— Rozdzielają się — zakomunikowała Jill, wciąż obser-  
wująca intruzów. — Dwóch zajmuje pozycje od frontu, a pozo-  
stała czwórka obchodzi dom z obu stron.

— Pani Page, to ludzie przysłani przez pani ojca.

— Mojego ojca?

— Ci dwaj od frontu właśnie wyjęli broń.

— Moim zdaniem chcą nas wszystkich zabić — oświadczył  
Pittman. — Zainscenizują to w taki sposób, jakbym ja to zrobił.

— Zabić nas? — powtórzyła przestraszona gospodyni. —  
Dlaczego?

— Ponieważ pani ojciec obawia się, że mogła mi pani  
powiedzieć coś ważnego. Musimy się jakoś stąd wydostać.

361

— Na pewno zamierzają okrążyć dom ze wszystkich stron  
stwierdziła Jill.

— Ojciec nigdy nie próbowałby mnie zabić.

— Ale pani matkę zabił, prawda? Dlaczego nie miałby zabić  
także pani?

Oczy pani Page rozszerzyły się z przerażenia.

— Dwójka od frontu podchodzi już do ganku — powie-  
działa Jill.

— Zrobiłeś to, co kazał ci Denning? Zadzwoiłeś na poli-  
cję? — spytał Pittman służącego.

— Nie. Pani nie pozwoliła.

— Więc najlepiej będzie, jeżeli teraz do nich zadzwonisz.

— Nie ma czasu! — krzyknął Denning. — Policja nie zdąży  
przyjechać, zanim...

Na tyłach domu rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Denning odwrócił się w tamtą stronę.

Pittman sięgnął pod marynarkę i wyszarpnął zza paska swoją czterdziestkępiątkę. Na widok  
broni twarz Denninga zrobiła się szara jak beton.

Ktoś zaczął przekreślać gałkę drzwi wejściowych, próbując je otworzyć.

— Jill, cofnij się! — zawołał Pittman i dziewczyna podbiegła  
do niego. — Zgaś światło w holu! — polecił służącemu.

Natychmiast otoczył ich mrok, rozjaśniany tylko światłem padającym z pokoju obok.

Przy tylnym wejściu do domu znowu zagrzechotało tłuczone szkło.

— Jill, czy gdyby ktoś próbował wejść przez te drzwi,  
mogłabyś użyć broni?

— Tak się boję...

— Potrafiłabyś to zrobić?

— Jeżeli będę musiała...

— Doskonale — mruknął Pittman i ruszył na tył domu.

— Gdzie możemy się ukryć? — spytała Jill.

— W samochodzie — odparła pani Page.

362

Pittman dotarł na tył domu, przemykając od jednej plamy cienia do drugiej. Mocno ścisnął pistolet w dłoni i nasłuchiwał, czy nie dobiegną go odgłosy wspinania się do środka domu przez okno.

— Właśnie, w samochodzie — potwierdził Denning.

Frontowe drzwi zadygotały, uderzone masywnym barkiem.

— W samochodzie? To się nie uda — stwierdziła Jill. — Kilku z tych ludzi jest już na tyłach domu. Jeżeli będziemy próbowali dostać się do garażu, zastrzelą nas.

— Nie zastrzelą — odparła pani Page. — Mój samochód stoi w piwnicy.

Rozległy się kolejne uderzenia we frontowe drzwi.

— O czym pani mówi? W piwnicy? Co samochód może robić w piwnicy? Jaki sens miałyby...

Pittman usłyszał trzask miażdżonego podeszwami pokruszonego szkła. Jeszcze mocniej ścisnął pistolet i wycelował go w stronę tego odgłosu.

— Bo właśnie tam jest garaż — wyjaśniła pani Page. — Garaż jest pod domem. Jeżeli dostaniemy się do samochodu, będziemy bezpieczni.

— Nie! Będziemy w pułapce. Kiedy spróbujemy wyjechać, natychmiast nas zastrzelą!

— Dlaczego pani nie słucha tego, co mówię? Nie zastrzelą nas — odparła pani Page i stukając obcasami po parkiecie, ruszyła w stronę drzwi do piwnicy.

— Nie powinniśmy tam iść — stwierdziła Jill.

— Na dół! — zakomenderowała pani Page.

— Idę z tobą — oświadczył Denning.

Przeszedł szybko przez hol, dołączył do pani Page i po chwili oboje zaczęli schodzić po schodach.

— Proszę zaczekać na mnie! — zawołał służący.

— Matt! — krzyknęła Jill.

363

Pittman znowu usłyszał odgłos miażdżonego szkła i zobaczył poruszający się cień. Kiedy wystrzelił, zadudniło mu w uszach a odrzut pchnął go do tyłu. W ciemności przed nim błysnęło i raczej wyczuł, niż usłyszał wbijający się w ścianę pocisk. Przez chwilę sądził, że ogłuchł, zaraz jednak uświadomił sobie że nie słyszał wystrzału, ponieważ przeciwnik używał broni z tłumikiem. Strzelił ponownie, cofnął się jeszcze kawałek i aż cały się skurczył, kiedy tuż obok miejsca, w którym się przed sekundą znajdował, w ścianę uderzyły cztery bezgłośnie pociski.

— Matt! — krzyknęła znowu Jill.

Pittman wycofywał się dalej, ale był przekonany, że nie mają szans.

— Jill, szybciej!

— Dokąd?

— Do piwnicy!

Kiedy zaczęła zbiegać po schodach w ślad za panią Page, Denningiem i służącym, Pittman jeszcze raz strzelił w kierunku okna na tyłach domu. Potem odwrócił się, strzelił w stronę frontowego wejścia, wbiegł za Jill na schody prowadzące do piwnicy i zatrzasnął za sobą drzwi.

Nic to oczywiście nie dawało, bo gałka, którą można było zablokować zamek, znajdowała się po drugiej stronie.

Było mu niedobrze ze strachu. Betonowe schodki kończyły się betonową podłogą. Pittman schodził tyłem, celując z pistoletu w drzwi. Kiedy ich gałka zaczęła się obracać, strzelił. Znowu zadzwoniło mu w uszach, pocisk przebił drewno i po drugiej stronie rozległ się głośny jęk.

Dwóch mężczyzn przy frontowych drzwiach okazało się jedynie elementem mającym odwrócić uwagę. Łomotali w drzwi, aby znajdujący się w środku ludzie uciekli na tył domu, gdzie czekali już na nich inni. Niewielkie zamieszanie od frontu prawdopodobnie nikogo nie zaalarmowało, a tłumiki na tyle ściszały odgłos strzałów, że na zewnątrz nic nie było słyhać.

Nikt z sąsiadów nie wiedział, co się dzieje w tym domu. Służący miał zadzwonić na policję, ale tego nie zrobił. Nikt nie wie, że potrzebujemy pomocy! — krzyczał jakiś głos w głowie

pittmana. Jesteśmy w pułapce! Jedynym sposobem na zwrócenie czyjejś uwagi na zewnątrz było...

Strzał z czterdziestki! To będzie na pewno słyhać na ulicy. Kiedy gałka znowu się poruszyła, ponownie strzelił. Spotęgowany przez-ciasną przestrzeń huk był ogłuszający.

Pittman modlił się, aby ktoś na zewnątrz ich usłyszał. Choć dzwonienie w uszach było torturą, przygotował się do ponownego strzału, uświadomił sobie jednak, że może być kruchko z amunicją. Ile razy wystrzelił? Zaczął liczyć. Sześć! Został mu już tylko jeden nabój. Jeżeli tamci wedrą się do środka...

W tym momencie przypomniał sobie, że Jill jeszcze ani razu nie wystrzeliła. Odwrócił się, aby poprosić ją o pistolet, i zamarł. Nie spodziewał się ujrzeć czegoś tak wielkiego. W piwnicy stał srebrny rolls-royce z idealnie wypolerowanymi chromami, skierowany przodem do zdalnie otwieranych drzwi garażowych.

Pani Page, Denning i służący siedzieli już w samochodzie i najwyraźniej zablokowali drzwi. Jill próbowała otworzyć drzwi od strony kierowcy, a pani Page drżącą dłonią starała się wsunąć kluczyk do stacyjki.

— Pani Page! Proszę otworzyć i wpuścić mnie do środka! — krzyknęła Jill, ale z powodu dzwonienia w uszach Pittman słyszał jej głos jak przez watę.

Spojrzał na drzwi u szczytu schodów. Ich gałka znowu się poruszyła. Strzelił. Zamek pistoletu przesunął się do tyłu i zatrzymał — magazynek był pusty. Wsunął broń do kieszeni marynarki i podbiegł do Jill.

— Daj mi swoją berette!

Była tak skoncentrowana na nakłanianiu pani Page do wpuszczenia jej do samochodu, że nawet nie zauważyła, jak wyjmuje pistolet z jej torebki.

Magazynek beretty zawierał sporo nabojów, więc Pittman poczuł się nieco pewniej. Ale ich sytuacja w niczym się nie poprawiła: jeżeli pani Page odjedzie, we dwoje nie obronią się przed sześcioma wyszkolonymi zabójcami.

Drzwi do piwnicy uchyliły się lekko i Pittman strzelił. Na szczęście odrzut dziewięćmilimetrowej beretty był znacznie słabszy niż czterdziestki. Taktyka napastników była oczy-

365

wista: zamierzali tak długo poruszać drzwiami, aż Pittman wystrzela całą amunicję.

Gdzie była policja? Przecież któryś z sąsiadów musiał do nich zadzwonić. Jill wciąż waliła w drzwi samochodu.

— Niech mnie pani wpuści!



Pani Page nacisnęła przycisk odblokowujący-drzwi kierowcy i uchyliła je. ?

— Nie mogę uruchomić samochodu!

— Mój ojciec ma taki sam! — zawołała Jill. — Spróbuję!

Proszę się przesunąć!

Popchnęła panią Page i wcisnęła się za kierownicę.

Pittman podbiegł do samochodu i zobaczył, że Denning, pani Page i Jill siedzą ściśnięci z przodu. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi pasażera, wyciągnął Denninga na zewnątrz i wepchnął go do tyłu, obok służącego, po czym wskoczył za nim do środka.

— Wynośmy się stąd w diabły! — krzyknął do Jill.

Przekręciła kluczyk.

— Nie zapala!

— Spróbuj jeszcze raz!

— Nie chce się przekręcić do końca!

Pittman wyskoczył z samochodu i pobiegł w kierunku schodów.

— Szybciej!

— To nie ten klucz... — jęknęła Jill i zaczęła przeglądać wiszące przy breloczku kluczyki.

Pittman słyszał krzyki na schodach. Po chwili pojawiły się cienie, a zza węgła wysunęły się buty. Strzelił i opryskały je okruchy betonu. Intruzi wycofali się pospiesznie.

— Mam! — krzyknęła Jill.

Silnik rolls-royce'a ryknął.

— Szybko! — Pittman ponownie strzelił w kierunku schodów, po czym podbiegł do samochodu i wsiadł. — Zamknij wszystkie drzwi!

Jill wcisnęła przycisk blokujący wyjścia z samochodu, a potem następny.— uruchamiający drzwi garażu. Zaczęły się ze zgrzytem otwierać.

366

Pittman z przerażeniem patrzył przez tylną szybę. Napastnicy zbiegali już po schodach.

— Rozwałą szybę! Wszyscy głowy na dół!

— Nie mogą! — zawołała pani Page.

Pierwszy pocisk trafił w tylną szybę i zrykoszetował.

— Mój mąż bał się terrorystów!

— Słucham?!

Jill dodała gazu i kiedy brzeg drzwi garażu znalazł się nad maską, wrzuciła bieg i ruszyła do przodu. Zahaczyli je dachem, ale samochód pomknął dalej. Wjechali pochyłym wjazdem na górę. Przez przednią szybę widać było trzech napastników, przykucniętych na skrytej w cieniu ścieżce biegnącej obok domu. Celowali w samochód. Strzałów nie było słychać, ale szarpnięcia pistoletów świadczyły o tym, że wszyscy trzej strzelają. Pociski łomotały o maskę i szybę, lecz wszystkie się odbijały.

— Co to?

— Ten samochód ma pancerne szyby! — krzyknęła pani Page. — Cały jest opancerzony. Próbowałam wam to wyjaśnić, ale mnie nie słuchaliście.

Jill skrzyła ostro, przyspieszyła i minęła uzbrojonych mężczyzn, którzy strzelali teraz w bok samochodu.

Kolejne trafienia niesłyszalnych pocisków wprawiały auto w wibracje.

— To się prowadzi jak czołg! — stęknęła Jill, walcząc z kierownicą.

— A ja myślałam, że zamawiając opancerzony samochód,

mój świętej pamięci małżonek dowiedział, że stracił rozum... — westchnęła pani Page.

Na wprost samochodu pojawił się mężczyzna z bronią i zaczął strzelać w przednią szybę. W ostatniej chwili uskoczył w bok. Jill zjechała z wąskiej, obsadzonej drzewami alejki i ruszyli wykładanym cegłą podjazdem w kierunku ulicy. Nie mieli zapalonych reflektorów, ale lampy wśród krzewów od frontu domu oraz uliczne latarnie dawały wystarczającą ilość światła, aby można było dostrzec, że ciemny oldsmobile, którym przyjechali napastnicy, blokuje wyjazd na ulicę. Nie było możliwości go ominąć. Krawężnik po obu stronach również był zastawiony

samochodami, więc nie mogli wyjechać na ulicę brzegiem podjazdu.

— Trzymajcie się! — krzyknęła Jill, po czym mocniej ścisnęła kierownicę i skierowała przód rolls-royce'a na przedni zderzak zagradzającego im drogę oldsmobile'a. — Mam nadzieję, że to naprawdę czołg!

Rolls przyspieszył i wszyscy przygotowali się do zderzenia, Oldsmobile robił się coraz większy i po chwili wypełnił całą przednią szybę. Rolls uderzył go z taką siłą, że szarpnęło nim w bok.

Pittman miał wrażenie, jakby dostał wielką pięścią w pierś, służący głośno stęknął, a Denning zwałił się na podłogę. Rolls nie zatrzymał się, nadal spychał oldsmobile'a z drogi. Pani Page wparła ręce w deskę rozdzielczą, próbując zamortyzować impet uderzenia.

Zgrzyt miażdżonego metalu i chrzęst tłuczonego szkła były tak głośne, że bez trudu przebiły się przez dzwonienie w uszach Pittmana. Po chwili oldsmobile został na tyle odsunięty, że rolls-royce mógł przejechać obok niego. Potracił zaparkowane przy krawężniku infiniti, ale pomknął do przodu i wystrzelił na ulicę. Jill wdepnęła pedał hamulca, jednak ciężki samochód nie od razu zwolnił. Ostro skręciła kierownicą, usiłując ominąć samochody zaparkowane po drugiej stronie ulicy, lecz i na ten manewr rolls — nieprzystosowany do ciężaru opancerzenia — zareagował z opóźnieniem i uderzył w jeden ze stojących przy krawężniku samochodów. Ponownie zazgrzytał miażdżony metal i zachrząściło tłuczone szkło. Rolls odbił się, a zdobiąca jego maskę figurka uskrzydłonej kobiety oraz błyszczący chromowany „grill” spadły na asfalt.

Jill wrzuciła wsteczny bieg i zaczęła cofać rollsa, aby ustawić go wzdłuż jezdni. Nie zdążyła jednak i wszyscy w środku zostali gwałtownie rzućeni w bok, bo jadącemu właśnie ulicą samochodowi nie udało się wyhamować i uderzył w tył rollsa. Niemal w tym samym momencie zapiszczały hamulce auta nadjeżdżającego z naprzeciwka, które również nie zdążyło wyhamować i huknęło w rollsa z przodu.

O, nie! Byli zablokowani!

368

Z obydwu samochodów wyskoczyli kierowcy, a na chodniku zaczęli gromadzić się mieszkańcy okolicznych domów. Przechodnie również się zatrzymywali i po chwili w miejscu kolizji zebrał się tłum ludzi. Zatrzymywały się kolejne samochody nadjeżdżające z obu kierunków, wyły klaksony.

— Co my teraz zrobimy? — jęknął Denning.

— Jedno jest pewne: dalej nie pojedziemy — oznajmiła Jill.

— Wsiadamy! — poleciał im Pittman.

— Pozabijają nas! — zawołał z przerażeniem George.

— Nie możemy zostać w środku. Szybko! Wychodzimy! —

Pittman pomógł Denningowi wstać z podłogi. — Pani Page, co z panią? Wszystko w porządku?

Otworzył drzwi.

— Pytam, czy wszystko w porządku?

Pani Page, która leżała bezwładnie w fotelu, w odpowiedzi jedynie cicho jęknęła.

Jill pochyliła się nad nią i zaczęła ją badać.

Pittman wysiadł, podszedł do drzwi pasażera i otworzył je.

— Co z nią? — spytał.

W jego stronę szli kierowcy, którzy się z nimi zderzyli.

— Co ty wyprawiasz, człowieku?! — krzyknął jeden z nich. — Wskoczyłeś jak spod ziemi!

— Trochę ją przetrzepało, ale nie widzę żadnego krwotoku — stwierdziła Jill.

— Musimy uciekać! — wrzasnął Denning.

Pittman spojrzał na posiadłość pani Page. Ponurzy mężczyźni w wiatrówkach biegli przez ogród i znikali w tłumie.

— O rany, człowieku... — wymamrotał nagle jeden z gapiów, wskazał na prawą rękę Pittmana i cofnął się gwałtownie.

Pittman w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi, ale kiedy spojrzał na swoją dłoń, zobaczył, że ściska w niej pistolet, który wyjął z torebki Jill.

Spanikowany mężczyzna wpadł na kierowcę jednego z samochodów, które zderzyły się z rollsem. Tamten również dostrzegł pistolet w ręku Pittmana i zaczął się gwałtownie cofać.

— Boże, on ma broń! — krzyknął ktoś z tłumu.

Jakaś kobieta wrzasnęła przeraźliwie.

369

Otoczający ich ludzie zaczęli się przepychać, każdy chciał jak najszybciej oddalić się od szaleńca z pistoletem.

Pittman znowu popatrzył w stronę posiadłości. Mężczyzn w wiatrówkach nie było widać. Obawiając się, że mogli zmieścić się z tłumem i przeciskać w ich kierunku pod osłoną gapiów, przyjrzał się uważnie tłoczącym się na chodnikach ludziom.

— Nic jej nie jest — odezwał się nagle za jego plecami głos Jill.

Pittman odwrócił się. Obok Jill stała pani Page.

— Wyośmy się stąd! — wrzasnął Denning.

— Do duster! — rzucił Pittman.

Ruszył biegiem w kierunku posiadłości, przed którą zaparkowali swój samochód. Wyciągnął z kieszeni kluczyki, otworzył drzwi i pchnął fotel pasażera do przodu. Dlaczego duster nie ma czworga drzwi?!

Jill i służący pomogli wsiąść pani Page, rzucili torbę Pittmana i walizkę Jill na podłogę i również wsiedli. Pittman ustawił fotel, na którym natychmiast ulokował się Denning, po czym obiegł samochód i usiadł za kierownicą. Zatrzasnął drzwi, uruchomił silnik i odjechał spod krawężnika. Przeciwnie pas blokowały samochody, z których wychylali się zdezorientowani ludzie, ale ich pas był wolny, bo kilkadziesiąt metrów z tyłu blokowały go rolls-royce i samochody, które się z nim zderzyły.

— Głowy w dół! — krzyknął Pittman. — Jeśli ci ludzie są jeszcze gdzieś w okolicy...

Przemknął przez ciemne skrzyżowanie, skręcił ostro, aby ominąć jakiegoś przechodnia, i włączył reflektory. Światło wydobyło z mroku przemykające obok nich ceglane fasady.

— Mielśmy szczęście — stwierdził Denning. — Ten tłum

ich wystraszył.

— Może — mruknął z powątpiewaniem Pittman.

— Jak to „może”? Nie widzę za nami żadnych świateł! Nikt nas nie goni!

— Może nam się udało. Przynajmniej na razie — odparł Pittman. — Ale nie sądzę, aby ten tłum ich wystraszył.

Denning pokręcił głową.

370

— Podejrzewam, że gdyby naprawdę chcieli, zastrzeliliby nas na ulicy — dodał Pittman. — Kto by ich zidentyfikował w tych ciemnościach i przy panice, jaka by wtedy wybuchła?

— Więc dlaczego tego nie zrobili?

Pittman ostro skręcił w przecznicę i duster, piszcząc oponami, pomknął na południe Trzydziestą Czwartą. Pittman skarcił sam siebie w myślach i zwolnił. Po chwili jechali równo z innymi samochodami.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — powiedział Denning. — Jeżeli to nie tłum ich wystraszył, dlaczego nas nie pozabijali, kiedy wysiedliśmy z rollsa?

— Im nie chodziło tylko o to, aby nas zabić — odparł Pittman. — Ma pan rację, Matthew Pittman to ja i policja szuka mnie za zabójstwo Jonathana Millgate'a, przysięgam jednak, że nie zrobiłem mu krzywdy. Próbowałem mu tylko pomóc. — Opowiedział, co się wydarzyło w posiadłości w Scarsdale. — Od tamtego dnia, przez cały czas uciekam. To, co Millgate mi powiedział, jest na tyle niebezpieczne dla nich wszystkich, że próbują mnie zabić, zanim odkryją prawdę.

Patrzył przed siebie, na morze świateł na Pennsylvania Ave-nue, i mówił dalej:

— Żeby mi to uniemożliwić, zabili kilka osób, do których zwróciłem się po informacje. Zaaranżowali to tak, aby wyglądało, że ja to zrobiłem. Dlatego gazety piszą, że jestem w morderczym amoku. Ale ja nikogo nie zabiłem. To nieprawda. Jestem z wami całkowicie szczerzy. Klnę się na Boga, że nikogo nie zabiłem. W moim mieszkaniu musiałem użyć broni w samoobronie, tak samo było na ulicy na Manhattanie oraz w przypadku mężczyzny, który napadł Jill.

— Tak właśnie mam naprawdę na imię — dodała Jill. — Ci ludzie uważają, że ja też coś wiem.

— Ale my? — zdziwiła się pani Page. — Dlaczego mieliby chcieć...

— Ci ludzie pracują dla pani ojca i prawdopodobnie także dla pozostałych Wielkich Doradców — wyjaśnił Pittman. Do jechali właśnie do Pennsylvania Avenue i skręcił w prawo, w jasno oświetloną M Street. Ruch był tu bardzo duży. — Pani

371

ojciec wie, jak bardzo pani go nienawidzi. Wie, że chce go pani zniszczyć, i dlatego domyślił się, że zwrócimy się do pani

o pomoc.

— Przecież nawet nie wiedzieliście, że ona istnieje — za

oponował Denning. — Gdyby nie ja...

— Ale Eustace Gable o tym nie wie — odparł Pittman. — Wie za to, że byłem dziennikarzem śledczym. Może bał się, że użyję swoich źródeł, dowiem się o istnieniu jego córki i udam się do niej... co zresztą rzeczywiście się stało. Podejrzewam, że kazał komuś obserwować dom pani Page. Gdy tylko się zjawiliś my, ten człowiek wezwał posiłki.

Kiedy zobaczył światła na moście Francisca Scotta Keya, skręcił w lewo, aby na niego wjechać i skierować się w stronę Wirginii.

— Rzekomo jestem w zabójczym amoku i usiłuję dopaść Wielkich Doradców w imię jakiejś wendety... Musieli tak wszystko zaaranżować, żeby wasza śmierć również wyglądała na moje dzieło. Dlaczego miałbym to zrobić? Kto wie? Policja uważa, że zwariowałem. Może zabiłem was, ponieważ nie mogłem wyśledzić Eustace'a Gable'a i skierowałem swoją złość przeciwko jego córce? Ojciec niepokoił się o nią i wysłał swoich ludzi, aby sprawdzili, czy jest bezpieczna. Znaleźli mnie zaraz po tym, jak ją zamordowałem. Doszło do wymiany strzałów i ani ja, ani Jill nie przeżyliśmy. Koniec filmu. Wielcy Doradcy nie musieliby się już niczego obawiać. A ponieważ nikt nie mógłby dowieść, że było inaczej, policja zamknęłaby sprawę. — Policja... — mruknęła pani Page. — Musimy iść na policję.

— Pani może iść, bo przy pani majątku i prestiżu zrobią wszystko, aby panią chronić. Jednak Eustace Gable z pewnością zechce panią zdyskredytować, przedstawić jako wariatkę. Która wersja jest bardziej wiarygodna dla władz: to, że oszalałem, czy to, że pani szacowny ojciec był tak zdecydowany chronić swoje sekrety, że nie dbał o to, czy jego córka zginie czy nie?

— Mój szacowny ojciec... — powtórzyła z niesmakiem pani Page.

— Poza tym zawsze istnieje ryzyko, że kiedy pani będzie w areszcie prewencyjnym, ojciec zorganizuje mały wypadek —  
372

dodał Pittman. — Siedem lat temu, gdy prowadziłem śledztwo w sprawie Jonathana Millgate'a, doprowadził do tego, że bos-tońska policja aresztowała mnie pod zarzutem włamania, a potem dwóch jego ludzi złamało mi szczękę.

— Dlatego lepiej będzie, jeśli się nie ujawnimy — podsumowała Jill. — Mart uważa, że jeżeli odda się w ręce policji, nie będzie bezpieczny. Nie uwierzą w jego wersję.

— Znacznie więcej zdziałam, pozostając na wolności. Udo wodnię, że jestem niewinny.

— Jak? — spytała pani Page.

— Cały czas się nad tym zastanawiam. Ale potrzebuję pomocy. Pomoże pani?

— W jaki sposób?

— Zaraz pani" powiem... najpierw jednak muszę ułożyć części tej układanki. W pani domu widziano mnie z bronią. Widziano, jak wsadzaliśmy panią do samochodu. Na pewno widzieli też tablice z Vermontu. Wszystko to może zostać

zinterpretowane jako porwanie. Policja będzie szukać samochodu z tablicami Vermontu.

Przejechali Pptomac i wjechali Fort My er Drive do miasteczka Rosslyn w Wirginii.

— Na początek potrzebuję ładnego dużego baru z parkingiem pełnym samochodów — dodał po chwili Pittman.

— O, tak... — jęknął Denning. — Przyda mi się mocny drink.

— Nie to miałem na myśli — odparł Pittman. — Muszę ukraść tablice z Wirginii. Kiedy je założymy, pójdziemy do budki telefonicznej. Chcę, żeby zadzwoniła pani do ojca. Chciałbym, żeby powiedziała mu pani kilka rzeczy.

— Ale ja nie mam jego prywatnego numeru! Nie chciał mi dać.

— Żaden problem. Ja mam.

— Ma pan go? Skąd?

— Dał mi go ktoś, z kimś kiedyś robiłem wywiad.

—

Budka telefoniczna znajdowała się przy jasno oświetlonym sklepie spożywczym. Pittman zaparkował dusterę wśród stojących przed nim samochodów i poinstruował panią Page, co ma mówić.

— Zapamięta pani wszystko? Poradzi sobie pani?

—";— Zrobię to z przyjemnością — odparła pani Page. Mrok we wnętrzu samochodu podkreślał widoczne na jej twarzy napięcie.,—Już od dawna chciałam mu to powiedzieć.

— Mam nadzieję, że nie popełniam błędu, prosząc panią o wykonanie tego telefonu. Musi pani zdawać sobie sprawę z tego, że może to narazić panią na niebezpieczeństwo.

— Już jestem w niebezpieczeństwie. Muszę się bronić. Nie rozumiem jednak, dlaczego korzystamy z budki telefonicznej? Dlaczego nie możemy wynająć pokoju w hotelu i zadzwonić stamtąd? Byłoby znacznie wygodniej.

— Skoro pani ojciec ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa, z pewnością ma też urządzenia, umożliwiające wyśledzenie pochodzenia każdej rozmowy telefonicznej, jaką przyjmuje. Chciałaby pani, żeby w wynajętym przez panią pokoju pojawili się jego ludzie?

— Oczywiście... powinnam była o tym pomyśleć.

— Jest pan bardzo przewidujący — mruknął Denning.

Pittman potarł czoło.

— Ten środek ostrożności wydał mi się oczywisty — odparł  
1 przemknęło mu przez głowę, że chyba ma jakiś szczególny

374

talent do uciekania. Kiedy pomyślał, o jakich jeszcze swoich ukrytych talentach nie wie, rozboleła go głowa. Ze sklepu wyszła Jill z drobnymi na telefon.

— Lada chwila skończy się nam gotówka — oświadczyła.

— Wiem — odparł Pittman. — Co kupiłaś?

— Kawę i pączki dla wszystkich.

— Znowu niewłaściwie się odżywasz.

— Mam nadzieję, że kiedyś będę miała szansę się poprawić.

Dotknął jej dłoni, po czym odwrócił się do pani Page.

— Jest pani gotowa? Świetnie, więc do roboty.

Poszli razem do budki telefonicznej, stojącej w pewnym oddaleniu od wejścia do sklepu. Pittman wyjął z kieszeni listę numerów telefonicznych, które przepisał z komputera Briana Botulfsona. Po wrzuceniu kilku monet wystukał domowy numer Gable'a i podał słuchawkę pani Page.

Patrzyła przez szybę, jakby widziała za nią ojca.

— Tak, z Eustace'em Gable'em... rozumiem, pewnie nie chce, aby mu przeszkadzano. Proszę mu przekazać, że dzwoni jego kochająca córka — powiedziała i przez chwilę nerwowo stuknęła paznokciami w szybę. — Witam, kochany tato. Wiem, że się o mnie martwisz, dlatego dzwonię, aby ci powiedzieć, że jestem bezpieczna mimo wizyty, jaką złożyły mi tamte zbiry. — Roześmiała się gorzko. — Jakie zbiry? Faceci, których zatrudniłeś, żeby się mnie pozbyć. Przestań. Nie obrażaj mojej inteligencji. Naprawdę sądzisz, że uwierzę w twoje kłamstwa? Wiem, że pod wieloma względami cię zawiodłam, na pewno nie jestem doskonała, ale z jednego możesz być dumny: nie wychowałeś idiotki. Wiem, co się dzieje, i zamierzam uczynić wszystko co w mojej mocy, aby cię powstrzymać... O czym mówię? O Duncanie Kline, ojczu. Co się stało? Nagle nie masz nic do powiedzenia? Kiedy byłam młoda, zawsze przerywałeś mi, kiedy tylko zaczynałam mówić. Wreszcie zacząłeś słuchać... No właśnie. Duncan Kline. Akademia Grolliera. Śnieg... Zamordowałeś Jonathana Millgate'a, aby pozostało to tajemnicą, ale zamierzam ujawnić twój sekret. I niech cię diabli wezmą... mam nadzieję, że przez resztę życia będziesz cierpiał. Za to, co zrobiłeś matce.

375

Odwiesiła słuchawkę, popatrzyła na nią, wypuściła powietrze i spojrzała na Pittmana. — To było bardzo satysfakcjonujące.

— Będzie pani miała jeszcze wiele takich okazji. Chcę zacząć wywierać presję na pani ojca, na nich wszystkich — odparł Pittman. — Na razie jednak musimy szybko stąd odjechać, na wypadek gdyby pani ojcu udało się zlokalizować ten aparat.

Po dwudziestu sekundach światła sklepu zniknęły za nimi.

— Przejedziemy kilka kilometrów i znajdziemy następny telefon.

— Bardzo dobrze, bo teraz ja muszę zadzwonić — oświadczyła Jill. — Do Winstona Sloane'a. Już się nie mogę doczekać. Jakie to przyjemne móc stanąć wreszcie z nimi twarzą w twarz...

—

W końcu przyszła kolej Pittmana. Zatrzymał samochód przy budce telefonicznej na skraju pustego parkingu centrum handlowego w Fairfax w Wirginii. Wszedł do środka, wrzucił kilka monet, popatrzył na swoją listę i zaczął wystukiwać numer. Słuchawkę podniesiono po pierwszym dzwonku.

— Rezydencja pana Standisha — powiedział ktoś niskim głosem.

— Chcę z nim rozmawiać.

Odbierający zawahał się.

— Z kim mówię?

— Proszę dać mi go do telefonu. Na pewno jeszcze nie śpi, bo przed chwilą musiał dzwonić do niego Eustace Gable albo Winston Sloane... prawdopodobnie dzwonili obaj.

— Skąd pan to wie?

Pittman nie spodziewał się takiego pytania od służącego. Zawahał się — tak samo, jak przed chwilą zawahał się jego rozmówca. Jego plan opierał się na założeniu, że będąc pod presją, Wielcy Doradcy zaczną do siebie dzwonić i poczują się jeszcze bardziej przyciśnięci do muru, kiedy okaże się, że do każdego z nich ktoś telefonował, przekazując podobny komunikat. Był on jednoznaczny: „Wasza tajemnica została odkryta, coraz więcej osób wie o waszej przeszłości i o tym, co zrobiliście, aby to ukryć”. Wtedy być może zaczną działać nerwowo, popełniać błędy i...

377

— Proszę pana, jest pan tam jeszcze? — wyrwał go z zadumy głos mężczyzny po drugiej stronie linii. — Pytałem, skąd pan wie, że Winston Sloane i Eustace Gable dzwonili do pana Standisha?

— Ponieważ chciałem porozmawiać z nim o tej samej sprawie.

— To znaczy?

— Proszę pana, mam już tego dość. Proszę im przekazać: Duncan Kline, Akademia Grolliera. Proszę mu powiedzieć, że może porozmawiać o tym ze mną albo z policją.

— Obawiam się, że me rozumiem. Duncan Kline? Akademia Grolliera?

W pokoju, w którym odebrano telefon Pittmana, słychać było głosy kilku obecnych tam osób.

Ciekawe, co się dzieje u Standisha, pomyślał Pittman.

— Z kim rozmawiam? — spytał ponownie mężczyzna po tamtej stronie.

— Mam wrażenie, że nie jest pan służącym.

— Pan Standish nie będzie z panem rozmawiał, dopóki się nie dowie, kto dzwoni. Mógłbym poznać pana nazwisko, panie...

Pittman usłyszał, że ktoś po tamtej stronie mówi: „Poruczniku...”.

— Pan jest z policji, prawda? — powiedział.

— Z policji? Dlaczego pan tak uważa? Proszę się przedstawić, to będę mógł spytać pana Standisha, czy...

— Cholera, co się stało?

— Nic, proszę pana.

— Jasne. Dlatego w domu Standisha jest pełno policji.

— To tylko kilku gości.

— Gówna prawda! Próbuje się dowiedzieć, skąd dzwonię!

Jeśli pan mi nie pewie, co się dzieje, natychmiast odkładam słuchawkę. Co się stało?

— Obawiam się, że doszło do wypadku — odparł tamten.

—

Jill pochyliła się do przodu.



— Victor Standish nie żyje?

Pittman szybko wyjeżdżał z pustego parkingu.

— Jak to się stało? — spytała zdumiona pani Page.

— Policjant nie chciał mi tego wyjaśnić. — Pittman włączył się w ruch na Old Lee Highway. — Dziwne, że w ogóle cokolwiek powiedział. Najwyraźniej miał nadzieję, że uda mu się utrzymać mnie na linii wystarczająco długo, aż ustalą numer, z którego dzwonię.

Za ich plecami rozległo się wycie policyjnej syreny. Pittman spojrział we wsteczne lusterko i ujrzał migoczącego koguta radiowozu, przeciskającego się między samochodami.

— Może za późno odwieściłem słuchawkę...

Radiowóz zmienił pas, wykorzystał dziurę między samochodami i przyspieszył, a potem zjechał z autostrady.

Ściskające kierownicę dłonie Pittmana były wilgotne od potu i ślizgały się po plastiku.

— Chyba mam dość adrenaliny jak na jeden wieczór.

— Miło słyszeć, że nie tylko ja jestem już tym wszystkim zmęczona — stwierdziła pani Page. — Chętnie bym się położyła.

— Czy to nie wspaniałe? — odezwał się nagle ni stąd, ni zowąd Denning.

— Co?

379

— Trzech z nich nie żyje. Zostało już tylko dwóch. Padają jak muchy. O tym właśnie marzyłem. Nareszcie dostają to, na co zasłużyli. Proszę się zatrzymać! — rzucił Pittmanowi.

Musimy znaleźć następny automat.

Pittman nie bardzo wiedział, co powinien zrobić.

— Rób, co mówię! — krzyknął Denning. — Skręć na tę stację! Szybko!

Zdumiony tak gwałtowną reakcją, Pittman wykonał polecenie. Zatrzymał dusterą obok kompresora, z boku stacji. Wysiedli wszyscy i podeszli do budki telefonicznej, Denning wszedł do środka, pozostali słuchali.

— Sam teraz odbierasz telefony, Eustace? Zdenerwowany? Pytasz, kto dzwoni? Twój stary wróg. Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę ze śmierci Standisha. Drań zasłużył sobie na to... tak jak i ty zasługujesz. Znowu zacząłem wierzyć w boską sprawiedliwość. Powiedz mi, Eustace, czy sądzisz, że śmierć Victora ma coś wspólnego z waszą tajemnicą? Kiedy ludzie dowiedzą się o Duncanie Kline, twoja kariera będzie zrujnowana. Umrzesz w hańbie. A ja zatańczę na twoim grobie, skurwysynu! — powiedział Denning i huknął słuchawką o wi delki. Jego oczy błyszczały euforycznie, światło wpadające do budki z wielkiego okna stacji benzynowej ukazywało jego wykrzywioną w obłąkańczym uśmiechu twarz.

Z budynku wyszedł mężczyzna w roboczym kombinezonie i wytarł dłonie szmatą.

— Potrzebujecie państwo benzyny?

Pittmana tak bardzo zaabsorbował wyraz twarzy Denninga, że nie od razu zrozumiał, o co pyta ten człowiek.

— Nie, nie, chcieliśmy tylko skorzystać z telefonu — odparł

po chwili.

— Pana znajomy nie wygląda zbyt dobrze.

— Chyba ma pan rację... — przyznał Pittman. Jemu również nie podobała się nagle bladość Denninga.

— Muszę trochę odpocząć — wymamrotał Denning i nagle ugięły się pod nim kolana.

Pittman złapał go.

— Za dużo się działo. Muszę się położyć.

380

— Wezwać karetkę? — spytał pracownik stacji.

— Nie! — Pittman chciał zapewnić Denningowi pomoc, ale na wypadek, gdyby Gable namierzył miejsce ostatniej rozmowy, musieli szybko odjechać. — Moja przyjaciółka jest pielęgniarką. Weźmiemy go do samochodu. Zbada go i jeśli będzie trzeba, zawieziemy go do lekarza.-

Posadzili Denninga na tylnym siedzeniu, Pittman usiadł za kierownicą i wyjechali na szosę.

— Co z nim?

— Puls szybki, ale słaby i nierówny — odparła Jill.

— Co to znaczy? Ma zawał?

— Nie wiem. Mówi, że nie ma ani bólu zamostkowego, ani w lewej ręce. Ma ucisk w klatce. Wygląda to raczej na dusznicę. Gdybym miała czym zmierzyć ciśnienie... chyba nie powinnis my ryzykować. Wieź go do szpitala.

—

Siedzieli w poczekalni izby przyjęć i mrużyli oczy, oslepiane jasnym światłem, odbijającym się od białych ścian. Pittman przycupnął na metalowym krzeselku — posiniaczony bok w dalszym ciągu mu doskwierał, a nogi miał zeszywniałe od zbyt długiej jazdy samochodem. Pani Page sprawiała wrażenie znacznie starszej niż kilka godzin temu. Jej twarz wyglądała jak obciągnięta samą skórą czaszka.

Pittman popatrzył na ludzi czekających na informacje o najbliższych. W innych okolicznościach wizyta w szpitalu przywołałaby wspomnienie śmierci Jeremy'ego. Ostatnio jednak tak wiele się wydarzyło i musiał zajmować się tyłoma sprawami, że myśl o synu była tylko jedną z wielu. Ale tym razem nie traktował tego jako zdrady wobec Jeremy'ego. Uświadomił sobie, że fakt, iż zmarły syn nie zajmuje najważniejszego miejsca w jego głowie, wcale nie oznacza, że przestał go kochać. Zrozumiał, że rozpacz, w jakiej był pogrążony jeszcze tydzień temu, Jbyła wsysającym go powoli bagnem, a przecież jego zadaniem jest żyć — aby pamięć o Jeremym dalej trwała. Musi zrobić wszystko, żeby przeżyć.

Wahadłowymi drzwiami obok dyżurki pielęgniarek do poczekalni weszła Jill. Jej dzinsy i bluza były mocno wygniecione, a błękitne oczy zrzętały ze zmęczenia. Przeciągnęła palcami przez włosy i, podeszła do Pittmana.

— Coś nowego? — spytał.

382

— W dalszym ciągu go badają, ale jak na razie nic nie wskazuje na to, że miał zawał. — Ciężko usiadła na krześle. — Wstępna diagnoza to przemęczenie. Lekarze chcą go zatrzymać na noc na obserwacji.

— Powinien tu być bezpieczny. Nikt nie wpadnie na pomysł, aby szukać go w szpitalu w Fairfax.

— Pod warunkiem, że będzie trzymał buzię na kłódkę.

— Sądzę, że w tej chwili czuje się zbyt bezradny, żeby wpaść na pomysł wykonywania kolejnych telefonów i rozgłaszania, gdzie obecnie przebywa.

— Przypuszczam, że wszyscy jesteśmy tak samo przemęczeni jak on — stwierdziła pani Page szeleszczącym jak papier głosem i odwróciła się do swojego służącego. — George, miło mi, że zostałeś ze mną tak długo, ale myślę, że już czas, abyś pomyślał o sobie. Musisz odpocząć. Twoja rodzina będzie się o ciebie martwić. Zadzwoń i uspokój ich, a potem jedź do domu.

— Myśli pani, że to rozsądne? — zapytał z wahaniem George. — Ludzie, którzy panią ścigają, mogą obserwować także i moje mieszkanie. Mogą mnie wziąć w obroty.

— Przecież" nie będziesz wiedział, dokąd się udałam.

— George ma rację — wtrącił Pittman. — Zanim uwierzą, że nic nie wie, mogą go dobrze skatować. Jest tak samo zagrożony jak my wszyscy.

— Chętnie zostanę z panią — oświadczył George. — Wygląda na to, że potrzebuje pani mojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek. ? "

—

8

Holiday Inn, przy którym się zatrzymali, znajdował się na zachód od Fairfax, nieco w bok od Route 29. Pittman wybrał to miejsce, ponieważ stosunkowo niedaleko były posiadłości pozostałych- dwóch Wielkich Doradców. Z początku nie bardzo wiedzieli, jak zapłacić za pokoje — nie mogli użyć karty kredytowej Jill ani karty pani Page. W końcu Pittman doszedł do wniosku, że osobą, na którą nie będzie się raczej zwracać uwagi, jest służący pani Page. Mało prawdopodobne, aby policja i pozostali Wielcy Doradcy znali nazwisko kogoś, kto od lat występuje jedynie pod imieniem „George”.

Czekali w mroku parkingu, aż służący wyjdzie z recepcji z kluczami.

Do pokoi na pierwszym piętrze wchodziło się po schodach z zewnątrz budynku. Weszli na górę.

— Nie powinniśmy pozostawać zbyt długo w jednym miejscu — powiedział Pittman do pani Page i George'a. — Musimy odjechać stąd. o siódmej rano.

Pani Page popatrzyła na niego zdziwiona — najwyraźniej nie była przyzwyczajona do takiego rytmu dnia — nie zaproponowała jednak, wyprostowała się i kiwnęła głową.

— I pamiętajcie: żadnych telefonów — dodał Pittman.

Pani Page i George zgodnie kiwnęli głowami.

— Śpijcie dobrze.

— O niczym innym nie marzę — odparła pani Page.

384

Pittman i Jill weszli do swojego pokoju, postawili bagaże na podłodze, zamknęli i zaryglowali drzwi, popatrzyli na siebie i objęli się mocno.

Stali tak bardzo długo. Choć Pittman był bardzo zmęczony, miał wrażenie, że mógłby trzymać Jill w ramionach do samego rana.

Wkrótce jednak zaczęły się pod nim uginać nogi. Wziął Jill za rękę i usiadł na skraju łóżka.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to, że powoli zaczynam sądzić, że uda nam się z tego wyjść — powiedział. — Znowu mam nadzieję. Ostatnim razem, kiedy miałem nadzieję, gdy pragnąłem czegoś z całego serca, nie dostałem tego.

Jill pogłaskała go po policzku.

— Na pewno nam się uda — zapewniła go.

— Jasne — mruknął Pittman bez przekonania.

Pocałował Jill w policzek, wstał i zdjął marynarkę. Czterdziestkapiątka, której jeszcze nie miał czasu naładować, leżała w jego torbie. Za paskiem od strony pleców miał berettę. Wyjął ją i położył na stoliku obok telewizora. Bolały go miejsca, w których ostre kanty beretty wciskały się przez długi czas w ciało. Jill wskazała telewizor.

— Chyba powinniśmy rzucić okiem na CNN. Może powiedzą coś o Victorze Standishu.

— Dobry pomysł. — Pittman włączył telewizor i przez pół minuty oglądali reportaż o ratowaniu dziecka, które wpadło do studni.

— Jestem chyba tak samo brudna jak ten chłopiec — stwierdziła Jill.

— Może chciałabyś pierwsza skorzystać z prysznica?

— Chyba tak — odparła, po czym wzięła kilka rzeczy z walizki i zniknęła w łazience.

Po chwili usłyszał szelest zasuwanej zasłonki i szum wody. Wyjął z torby czterdziestkapiątkę i amunicję i naładował pistolet. Jednocześnie oglądał telewizję. Spiker streścił najważniejsze wydarzenia dnia na giełdzie, a potem zaczęły się reklamy. Po reklamach był reportaż o siedemdziesięcioletniej, która uzyskała doktorat.

385

Pittman popatrzył na zegarek. Dochodziła północ. Kończyły się zwykłe programy. Wkrótce, o pełnej godzinie, powinny zacząć się wiadomości.

Zdjął buty i zaczął rozmasowywać stopy.

Musiał zasnąć, bo kiedy otworzył oczy, leżał na plecach na łóżku, a Jill potrząsała nim delikatnie.

— Mhm...

— Przepraszam, że cię budzę — Jill poprawiła ręcznik, którym była owinięta — ale będziesz znacznie szczęśliwszy, idąc do łóżka wykąpany.

— Jeżeli nie zasnę pod prysznicem i nie utopię się.

Błękitne oczy Jill figlarnie zamigotały.

— Chcesz, żebym ci pomogła?

— Kusząca propozycja, ale obawiam się, że oboje możemy się poślizgnąć i zderzyć głowami.

— Masz ponure wizje.

— Ciekawe dlaczego? — mruknął Pittman.

Zebrał resztki energii, wziął torbę i poszedł do łazienki. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz się kąpał. Ostry strumień ciepłej wody był bardzo przyjemny. Kiedy wcierał we włosy szampon, pomyślał, że dawno nie doświadczał czegoś tak wspaniałego. Przypomniało mu się, jak

bardzo po śmierci Jeremy'ego nienawidził przyjemności, jaką daje prysznic, jednak szybko odepchnął od siebie tę myśl i oddał się relaksowi.

Po kąpieli wytarł się, umył zęby, owinał się ostatnim suchym ręcznikiem i wyszedł z łazienki.

Chłodniejsze powietrze sprawiło, że zaczęła go szczypać skóra na nagiej piersi. Nagle poczuł się skrępowany, bo uświadomił sobie, że w pokoju jest tylko jedno łóżko. Siedziała na nim Jill, podparta poduszkami i zakryta naciągniętą do ramion kołdrą. Wyglądała na nie mniej skrępowaną od niego. Jej spojrzenie wędrowało między ekranem telewizora a Pittmanem.

— Coś było w wiadomościach? — spytał, starając się, aby jego głos brzmiał obojętnie.

Pokręciła głową.

— Nic o Standishu? Nic o nas? " \*?

386

— Nie.

Podszedł do łóżka.

— Wszystko w porządku?

— Jasne — odparła, wpatrując się w telewizor.

— Na pewno?

— A co miałoby się dziać?

Usiadł na skraju łóżka.

— Hej... rozmawiaj ze mną.

— Ja...

— Jeżeli nie będziemy ze sobą szczerzy, nigdy się z tego nie wygrzebiemy.

— Popeliłam błąd.

Pittman ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Jaki? - \*

— Kiedy szedłeś pod prysznic, zażartowałam, że pójdę z tobą do łazienki, żeby ci pomóc.

— I co?

— To był kiepski żart.

— Dlaczego?

— Nie chcę zachowywać się jak flirciara. Nie chcę zachowywać się prowokująco.

— Czegoś tu nie rozumiem...

— Nie ty jeden.

Telewizor nadal dudnił i do Pittmana docierało jak z oddali, że mówią coś o odbywającej się właśnie w Genewie konferencji gospodarczej, nie odwracał jednak wzroku od Jill.

— W Bostonie rozmawialiśmy o wielu różnych rzeczach.

Kocham cię — powiedział cicho po chwili. — Nie mówię tego ot tak, traktuję to bardzo poważnie. Te słowa oznaczają dla mnie zobowiązanie.

— Dla mnie też.

— Nie żałujesz, że złożyłaś takie zobowiązanie? Nie sądzisz, że popełniłaś błąd? Może nasza wzajemna zależność

w stanie zagrożenia pomyliła ci się z miłością? Chcesz się z tego wycofać?

— Nie.

— W takim razie nie bardzo...

387

— Nie chcę się z niczego wycofywać. Kocham cię. Niczego bardziej nie byłam w życiu pewna.

— Więc w czym problem? — zapytał. Kiedy dotknął jej ramienia, poczuł, jak bardzo jest spięta.

— Ten pokój. To łóżko... — Zamilkła na chwilę. — Powie działał tylko, że nie chcę zachowywać się jak flirciara.

— O! Chyba zaczynam rozumieć, o co chodzi... Pewnie boisz się, że między nami mogłoby do czegoś dojść, prawda? Jill nic na to nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego.

— Jesteś zmęczona. Rozumiem.

Miał wrażenie, że jeszcze nikt w ten sposób na niego nie patrzył.

— Wszystko dzieje się tak szybko... — powiedziała cicho.

— Nic się nie dzieje. Myślę, że zacnie się dzieć dopiero wtedy, gdy nadejdzie czas.

— Naprawdę tak uważasz?

Kiwnął głową, a ona wyraźnie się rozluźniła.

— Seks nie powinien być obowiązkiem — dodał. — Nie powinien być czymś, co musimy robić, ponieważ okoliczności wywierają na nas taką presję. Zaczekamy. Kiedy oboje będzie my rozluźnieni, kiedy nadejdzie odpowiedni czas...

Ujęła go za rękę, a on pochylił się ku niej. Ręcznik, którym był owinięty, spadł z niego w tym samym momencie, w którym z niej zsunął się koc. Ich wargi się zetknęły, a ciała przycisnęły do siebie. Poczul na skórze dotyk gładkich piersi i serce załomotało mu tak szybko i mocno jak jeszcze nigdy w życiu. Przestał myśleć o wszystkim innym poza tym, jak bardzo kocha Jill.

Znacznie później, kiedy czas znowu zaczął płynąć, uświadomił sobie, że leżą obok siebie, obejmując się ramionami, a miłość nadaje sens jego życiu.

Jego euforyczny nastrój przerwał męski głos, dobiegający z telewizora.

— Wiadomości...

— No właśnie — mruknęła Jill. — Zapomnieliśmy wyłączyć telewizor.

— I bardzo dobrze. — Pittman gwałtownie usiadł. — Po-

388

śluchaj. Mówią właśnie o Victorze Standishu. — Serce znowu mu łomotało, ale tym razem z całkiem innego powodu. Na ekranie widać było radiowozy i karetki stojące przed wielką posiadłością, migające światła i policjantów, rozstępujących się, by przepuścić sanitariuszy, wywożących na wózku worek z ciałem.

— ...zostało potwierdzone, że szanowany dyplomata Victor Standish zmarł w wyniku samobójczego strzału — powiedział ponurym głosem spiker.

LLJ Q UJ  
CO

Pittman nie-mógł zasnąć. Szok spowodowany informacją, że Standish popełnił samobójstwo, nie pozwalał zasnąć im obojgu. Oglądali CNN do drugiej w nocy, poznając szczegóły długiej kariery Standisha, zilustrowane zdjęciami jego i pozostałych Wielkich Doradców. Wysportowanych młodzieńców, o stalowych oczach, którzy z czasem zamienili się w postarzałe ikony dyplomacji, w stojących na baczność staruszków o pomarszczonych twarzach i wyłysiałych albo posiwiałych głowach. Jedynie wyraz ich oczu świadczył, że przez lata ich ambicje ani trochę się nie zmniejszyły.

Kiedy zapowiedziano, że najświeższe doniesienia na temat śmierci Standisha zostaną podane dopiero rano, Pittman wyłączył telewizor. Leżał w ciemności i wpatrywał się w mroczny sufit. Oddech Jill w końcu zwolnił, co mogło świadczyć o tym, że przynajmniej jej udało się wreszcie wyłączyć umysł i trochę odpocząć. Pittmanowi nieustannie przypominało się ostatnie zdanie spikera: „...zmarł w wyniku samobójczego strzału”.

Nigdy by nie przypuszczał, że Standish mógł popełnić samobójstwo. Spróbował przeanalizować implikacje tego faktu. Najpierw Wielcy Doradcy zabili jednego ze swoich — Jona-thana Millgate'a — aby nie ujawnił informacji na ich temat. Ukrywanie prawdy i próby zrobienia z Pittmana kozła ofiarnego okazały się tak kłopotliwe i męczące, że kolejny Wielki Doradca — Anthony Lloyd — zmarł w wyniku udaru mózgu.

393

Teraz Victor Standish się zastrzelił — prawdopodobnie zrobił to ze strachu. Wczoraj wieczorem Denning powiedział ze złośliwą satysfakcją: „Trzech z nich nie żyje. Zostało już tylko dwóch”: Pittman nie podzielał jego entuzjazmu. Oczywiście powinni się cieszyć, że w otaczającym Wielkich Doradców murze pojawiła się rysa, ale jeżeli ukrywanie prawdy tak bardzo ich wykańczało, istniała obawa, że Eustace Gable i Winston Sloane również umrą, zanim zostanie ujawniona.

Cholera jasna, muszę coś z tym zrobić, pomyślał Pittman. I to szybko.

Kiedy ubiegłego wieczoru razem z Jill przyjechali do Waszyngtonu, czuł jedynie wściekłość i potrzebę wyrównania rachunków z Wielkimi Doradcami, ale rozmowa z Bradfordem Denningiem uświadomiła mu, jak niszczące mogą być takie emocje. Nienawiść i złość tak bardzo wpłynęły na Denninga, że utopił swoje życie w alkoholu. A minionego wieczoru omal nie umarł z wściekłości.

Po kilku dalszych minutach rozmyślał w ciemnym hotelowym pokoju Pittman doszedł do wniosku, że wściekłość Denninga i strach Wielkich Doradców to lustrzane odbicie tego samego zjawiska. Zarówno Denning, jak i Wielcy Doradcy niszczyli samych siebie z powodu obsesji na punkcie przeszłości.

Obiecał sobie, że w jego przypadku tak się nie stanie. To, co teraz robił, nie było spełnianiem życzenia śmierci. W ciągu tygodnia wszystko się zmieniło. Zaskoczyło go, jak bardzo to, co wydawało mu się wcześniej nieuniknione w jego przypadku, było szokujące, jeżeli robił to ktoś inny. Boże, jak bardzo chciał teraz żyć! Nigdy by nie przypuszczał, że kiedykolwiek jeszcze tak się poczuje...

Jego myśli przerwało nagle poruszenie się Jill. Usiadła. W ciemności widział zarys jej sylwetki.

— Co powiedziałaś? — zapytała.

— Nic.

— Przecież mówiłaś. Mamrotałaś coś pod nosem.

— Mamrotałem? Wydawało mi się, że śpisz.

— Nie mogłam zasnąć.

394

— Ja też nie. — Co mruczałeś? Coś o tym, że chcesz żyć.

— Musiałem głośno myśleć.

— W ciągu tygodnia przeszedłeś daleką drogę... od pistoletu w ustach do gorącego pragnienia życia.

— Myślałem o Denningu.

— Chyba powinniśmy zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się, jak on się czuje.

— Myślałem o tym, jak bardzo był ucieszony, że trzech Wielkich Doradców nie żyje.

— I przez to trafił do szpitala...

— Właśnie. Nie ma gwarancji, że pozostali dwaj Wielcy Doradcy też nie trafią z tego powodu do szpitala albo nawet nie umrą. Pomyślałem, że jeżeli Eustace Gable i Winston Sloane nie przeżyją i ja również zginę, nikt nigdy się nie dowie, że byłem niewinny. Wszystko dzieje się tak szybko... nie wiem, czy zostało mi dość czasu. Muszę...

— Co?

— Kiedyś byłem dziennikarzem śledczym. Umiem robić wywiady z ludźmi... To chyba jedyny sposób, aby nas uratować.

—

Tuż po świcie — powietrze było tak chłodne, że z ich ust leciała para — Pittman zaparkował przy automacie telefonicznym obok wejścia do kawiarni. Kiedy wysiadali z samochodu, z oddali dobiegały odgłosy ruchu ulicznego. W budce Pittman popatrzył na swoją listę telefonów, wrzucił do automatu kilka monet i zaczął wybierać numer.

— Rezydencja pana Gable'a — odezwał się po dwóch dzwonekch służalczo brzmiący męski głos, typowy dla kamer dynera bogatych i ważnych ludzi.

— Daj mi go do telefonu.

— Kogo mam zaanonsować, proszę pana?

— Powinieneś powiedzieć, że jest jeszcze za wcześnie, aby mu przeszkadzać.

— Słucham?

— Dochodzi szósta rano, ale podniosłeś słuchawkę bardzo szybko. Pewnie już od jakiegoś czasu jesteś na służbie. Trochę u was nerwowo, co?

— Nie wiem, co pan sugeruje. Jeżeli chce pan rozmawiać z panem Gable'em, musi mi pan powiedzieć, kim pan jest.

— Człowiekiem, którego próbował zabić.

W słuchawce zapadła cisza.

— Nie ociągaj się — syknął Pittman.

— Jak pan sobie życzy.

Pittman czekał i patrzył na Jill, której śliczna twarz, zwykle

396

promieniejąca zdrowiem, pobladła i ściągnęła się od stresu i zmęczenia.



pół minuty później w telefonie odezwał się stary i kruchy niczym suche liście głos mężczyzny:

— Eustace Gable przy telefonie.

— Matthew Pittman.

— Tak? — Głos Gable'a brzmiał, jakby miał trudności z oddychaniem. — Czytałem o panu w gazetach.

— Nie wygląda pan na zaskoczonego moim telefonem.

— W moim wieku nic już nie może zaskoczyć. Nie rozumiem jednak, dlaczego powiedział pan mojemu asystentowi, że jest pan człowiekiem, którego...

— Biorąc pod uwagę, ile osób próbował pan zabić, być może nie pamięta pan akurat tego zlecenia.

Gable zakaszał.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Cóż... tego właśnie należy się spodziewać od dyplomaty, znanego z umiejętności prowadzenia trudnych rozmów. Sądzę, że powinniśmy porozmawiać osobiście.

— Czyżby? Zamordował pan mojego przyjaciela i kolegę po fachu, więc nie sądzę, abym czuł się bezpiecznie w pana obecności.

— A ja tym bardziej, bo doskonale pan wie, że to nie ja go zamordowałem, ale pan.

— Panie Pittman, fantazjuje pan... najpierw mówi pan, że próbowałem zabić pana, a teraz, że zabiłem mojego przyjaciela.

— Na tej linii nie ma nikogo innego, więc może pan przestać stosować techniki dezinformacyjne.

— Zawsze zakładam, że na linii jest ktoś inny.

— I dlatego nie chce pan negocjować?

Gable znowu zakaszał.

— Mogę z dumą powiedzieć, że w czasie całej swojej kariery nigdy nie odrzuciłem propozycji negocjacji — oświadczył.

— W takim razie proszę posłuchać. Najwyraźniej sprawy wymknęły się panu spod kontroli. Nie oczekiwał pan, że uda mi się tak długo przeżyć. Nie spodziewał się pan, że w sprawę zamieszanych zostanie tyle osób.

397

Jedyną odpowiedzią był ciężki oddech Gable'a.

— Zniszczył pan moje życie, ale wiem wystarczająco dużo, żeby zniszczyć pańskie... — powiedział Pittman. — Nazwijmy to patem. Sądzę, że dla nas obydwu będzie lepiej, jeśli zniknę. Z funduszem emerytalnym. Milion dolarów i paszport na nowe nazwisko.

— Całkiem spory fundusz emerytalny, m,

— Taka jest moja cena. I paszport dla Jill Warren.

— Paszporty to dość trudna sprawa.

— Nie przy pańskich kontaktach w Departamencie Stanu. Proszę się nad tym zastanowić. Zniknę i skończą się pana problemy.

— Jeżeli zgodzę się na pańską propozycję, chcę, aby było

jasne, że nie przyznam się do jakiegokolwiek uczestnictwa w tym, o co pan mnie oskarża. Dyskutujemy o całkowicie teoretycznych zagadnieniach.

— Jeżeli poprawi to panu samopoczucie...

— Potrzebuję czasu do namysłu.

— A ja już za długo z panem rozmawiam. Zadzwońię o dziesiątej.

—

Pani Page otworzyła drzwi w chwili, gdy Pittman zapukał. Jej designerska suknia była pomięta i wyglądała dość dziwnie — zwłaszcza o tej porze, w podrzędnym motelu. Sama pani Page sprawiała wrażenie całkowicie przebudzonej.

— Oglądał<sup>ban</sup> poranne wiadomości?

— O samobójstwie Standisha? Oglądałem.

— Zawsze był najsłabszy z całej piątki. Mój ojciec był najsilniejszy. Musimy cały czas wywierać na niego presję.

— Już to rano zrobiłem.

— Jak?

Pittman opowiedział o swojej rozmowie z Gable'em.

— Niech pan będzie ostrożny. Mój ojciec to mistrz manipulacji.

— I do tego arogancko wierzący w swoje umiejętności w tym zakresie. Ale na to właśnie liczę. Mam nadzieję, że nie spodziewa się, że ktoś będzie próbował się z nim zmierzyć.

— A potrafi pan to zrobić? Podejmuje pan ogromne ryzyko.

— Nie wiem, czy potrafię, ale nie możemy się przez cały czas ukrywać. Powinniśmy atakować. Musimy wrócić do Waszyngtonu, bo chciałbym zatrzymać się w kilku miejscach. Przede wszystkim muszę spotkać się z dwiema osobami, z którymi robiłem kiedyś wywiad.

— Z kim?

— Z ekspertem od zabezpieczeń i broni.

399

— A jeśli ci ludzie pana rozpoznają i powiążą z artykułami w prasie i wiadomościami w telewizji?

— Z każdym z nich rozmawiałem przynajmniej pięć lat temu. Ważyłem wtedy więcej i miałem wąsy, więc może mnie nie rozpoznają. Muszę spróbować... bez względu na ryzyko. Bez ich pomocy nie da się zrealizować mojego planu.

Podszedł do następnych drzwi. Kiedy służący wyszedł ze swojego pokoju, zeszli we trójkę do samochodu, przy którym czekała już Jill.

— Dajcie mi klucze do waszych pokoi — powiedział George. — Zostawię je w recepcji i wymelduję nas.

— Spotkajmy się w restauracji, która jest na końcu tej ulicy, dobrze? — zaproponowała Jill.

Pani Page popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

— To przecież wcale nie jest restauracja!

— Proszę potraktować to jako doświadczenie poszerzające horyzonty. Jesteśmy pod taką presją czasową, że musimy wziąć coś na wynos i zjeść w samochodzie.

— Właśnie. Czas. Musimy znaleźć czas na coś jeszcze — oświadczyła pani Page. — Powinniśmy pojechać do szpitala i zobaczyć, jak czuje się Bradford.

Kiedy Jill wracała do nich po rozmowie z pielęgniarką siedzącą w dyżurce przed wejściem na oddział kardiologiczny, miała zmarszczone czoło.

— Co się stało? — Pittman poczuł nagle lodowate zimno na plecach. — Tylko mi nie mów, że Denning nie żyje.

— Nie ma go tu.

— Umarł? — spytała pani Page z poszarzałą nagle twarzą.

— Nie, ale po prostu go nie ma. Zniknął. Poszedł sobie. Pielęgniarka zajrzała do niego o piątej rano i łóżko było puste. Wyciągnął sobie dren z przedramienia, wyłączył urządzenie monitorujące pracę serca, aby nie zaalarmowało nikogo po oderwaniu elektrod od piersi, założył ubranie, które znajdowało się w szafce w jego pokoju, i wymknął się ze szpitala.

— Dziwne, że miał na to siłę — mruknął Pittman. — Co on zamierza?

George pokręcił głową.

— Wczoraj wieczorem tylko się zmęczył, ale jeżeli nie będzie ostrożny, dostanie zawału.

— Najwyraźniej uważa, że warto zaryzykować — powie działa Jill. — Pewnie chce odwiedzić pozostałych dwóch Wielkich Doradców. Nie sądzę, aby cokolwiek innego mogło go tak zmobilizować.

401

— No to mamy kolejną niewiadomą — stwierdził Pittman. — Może nam bardzo pokrzyżować szyki.

— Nie powinniśmy się nim zbytnio przejmować — wtrąciła pani Page. — Musimy działać.

— Czy ma pani jakieś wejścia do redakcji „Washington Post”? — zapytał Pittman. — Może mogłaby pani nakłonić kogoś z działu nekrologów, żeby wyświadczył nam przysługę?

Osiem godzin później, wieczorem Pittman był z powrotem w Fairfax w Wirginii. Szybko przejechał miasteczko drogą numer 29, a potem skręcił na północ, w drogę numer 15, i skierował się do rezydencji Eustace'a Gable'a. Podczas drugiej rozmowy telefonicznej, którą z nim przeprowadził — tak jak obiecał — dokładnie o dziesiątej z budki w Waszyngtonie, dowiedział się, jak ma dojechać do jego domu.

Mrużąc oczy, spojrzął we wsteczne lusterko i z zadowoleniem stwierdził, że mimo dużego ruchu szary ford z Jill za kierownicą wciąż za nim jedzie. Furgonetkę i sprzęt elektroniczny wynajęli, płacąc kartą kredytową George'a, i Pittman pomyślał, że służącemu należy się premia — ale żeby mógł ją dostać, muszą wszyscy przeżyć. Kiedy mijał farmy i laski złocące się w słońcu, modlił się, by mógł zobaczyć ten krajobraz ponownie i znowu ujrzeć Jill. Myślał o Jeremym i choć bardzo mu go brakowało, czuł, że syn jest niedaleko, pomaga mu. Daj mi siłę, poprosił.

Kiedy zobaczył tablicę z napisem EVERGREEN COUNTRY CLUB, o którym wspominał Gable, skręcił w lewo. Drzewa rzucały długie cienie. Po niespełna dwóch kilometrach skręcił

w prawo i pojechał wysadzaną dębami żwirową drogą. Gdy ponownie spojrzął we wsteczne lusterko, zobaczył, że Jill wjeżdża między rosnące przy drodze krzewy, tak jak się umówili.

Droga lekko się wznosiła, po bokach zieleniły się pola, ale trudno mu było cieszyć się tymi widokami — za bardzo się bał.

403

Wyraźnie czuł różnicę między obecnym niepokojem a obojętnością, jaką odczuwał przed tygodniem, kiedy zakradał się do posiadłości w Scarsdale, aby dowiedzieć się, dlaczego wywieziono Jonathana Millgate'a ze szpitala.

Wtedy jego jedyną motywacją było zdobycie materiału dla Burta Forsytha i uwolnienie się od zobowiązań wobec niego. Skradając się po terenie posiadłości w Scarsdale, ogarnięty obsesją samobójczą, bez strachu patrzył na Jonathana Millgate'a, pielęgniarkę, lekarza i Wielkich Doradców, zebranych w zamienionym w salę szpitalną pokoju, mieszczącym się nad garażem na pięć samochodów. Ponieważ nie dbał o to, co się z nim stanie, wszystko było proste, a poczucie zagrożenia nie istniało. Gotów na spotkanie ze śmiercią, był odporny na wszelkie ryzyko.

Ale teraz sytuacja się zmieniła.

Mijał oddalone od drogi rezydencje, przy których znajdowały się wybiegi dla koni, otoczone pomalowanymi na biało płotami. Z lewej strony widać było wysoki kamienny mur. Pittman dojechał do zamkniętej bramy z kutego żelaza i zatrzymał się w polu widzenia zamontowanej na murze kamery. Tak jak go poinstruowano, wychylił się przez okno i wystawił twarz do kamery.

Brama natychmiast zaczęła się otwierać. Pittman wjechał na teren posiadłości i we wstecznym lusterku zobaczył, że brama się zamyka. Pojechał brukowaną alejką, biegnącą między rozległymi trawnikami. Alejka prowadziła na wzgórze, za którym — wbudowany w zbocze — znajdował się parterowy kompleks, przypominający domy projektowane przez Franka Lloyd Wrighta. Sposób, w jaki łączył się z wapiennymi formacjami naturalnymi, sprawiał, że był niemal niewidoczny z położonego pod nim pola golfowego.

Od wjazdu na teren Pittman nie zauważył ani jednego ochroniarza. Jeśli ktoś patrzyłby na posiadłość z drogi, nie zauważyłby na jej terenie niczego podejrzanego. Dla postronnego obserwatora Pittman był zwykłym gościem — choć najwyraźniej zapowiedzianym, ponieważ natychmiast otwarto mu bramę. Im bliżej domu podjeżdżał, tym bardziej zdumiewał go brak jakiegokolwiek ludzkiej aktywności. Biorąc pod uwagę wielkość posesji, należało się tu spodziewać przynajmniej kilku ogrodników

405

oraz personelu porządkowego. Brakowało też kogoś zajmującego się końmi, chodzącymi po padoku znajdującym się obok długiej niskiej stajni, zbudowanej z wapienia i otoczonej jodłami. Cały teren wyglądał jak opustoszały. Nie było na nim również samochodów, które prawdopodobnie wstawiono do garażu po drugiej stronie domu.

Ochroniarzom pewnie kazano zniknąć, aby Pittman nie czuł się zagrożony i nie zmienił zdania. Być może chciano zwabić go w pułapkę. Ale jeśli zamierzano uspić jego czujność, osiągnięto całkiem przeciwny efekt: zamiast go uspokoić, panujący wokół spokój jeszcze bardziej nasilił jego niepokój, a układ nerwowy nieustannie wysyłał do mięśni polecenia, aby szykowały się do walki.

Wjechał na podjazd przed domem, zatrzymał się i wysiadł. Rozejrzał się po pustej okolicy. Gdzieś kapiała woda, prawdopodobnie w fontannie. W jodłach świstał wiatr. Zarżał koń.

Otworzyły się frontowe drzwi i Pittman, który właśnie spoglądał w stronę stajni na zboczu, odwrócił się gwałtownie. Na kamienny taras wyszedł starszy siwy mężczyzna w okularach, o

wąskiej, pomarszczonej twarzy. Był wysoki i szczupły, a granatowy trzyczęściowy garnitur dobrze pasował do jego sztywnej postawy. Pittman znał tego człowieka ze zdjęć i widział go w posiadłości w Scarsdale. Był to Eustace Gable.

— Dokładnie czwarta. Podziwiam pańską punktualność. — Nawet z daleka było widać, z jakim trudem unosi się jego pierś. — Proszę wejść, panie Pittman. Mamy wiele do omówienia.

Pittman rozejrzał się po raz ostatni i nie widząc żadnego zagrożenia, wszedł schodami na taras. Zmarszczył brwi, kiedy gospodarz wyciągnął do niego rękę na powitanie.

— To nie załatwi sprawy, panie Pittman — powiedział Gable. — Brak oglądy źle wróży negocjacjom.

— Nie nawykłem do uprzejmości ze strony ludzi, którzy próbują mnie zabić.

— Nawet negocjując z najbardziej zagorzałym wrogiem, należy go szanować i być dla niego grzecznym.

— Być może, ale dla mnie to hipokryzja.

406

Gable zakaszał i przyłożył do ust chusteczkę. Bolesne drżenie, które przeszło przez jego ciało, uświadomiło Pittmanowi, jak wiele wysiłku musi wkładać w zachowanie sztywnej dyplomatycznej postawy, z której był kiedyś znany.

Gospodarz znowu wyciągnął dłoń.

— Rytuał pozwala zapanować nad emocjami — stwierdził. — Ułatwia wprowadzenie porządku.

— Czy to właśnie pan sobie powiedział, aranżując zabójstwo Jonathana Millgate'a?

Twarz Gable'a stwardniała, zmarszczki przypominały pęknięcia w spróchniałym drewnie.

— A co z Burtem Forsythem? — dodał Pittman. — Z ojcem Dandridge'em? Nie wierzę, że ich zabicie ułatwiło wprowadzenie porządku.

Gable z trudem wciągnął powietrze.

— Porządek wyznacza pewne konieczności. W dalszym ciągu czekam...

W końcu Pittman podał mu rękę. Zrobił to z ostentacyjną obojętnością, ale wyraz zapadniętych oczu Gable'a świadczył o tym, że stary wyga uważa, iż zdobył punkt. Dał Pittmanowi znak, aby wszedł do domu.

Obawy Pittmana jeszcze wzrosły. Mało brakowało, a odwróciłby się i ruszył z powrotem do samochodu, żeby jak najszybciej opuścić teren posiadłości. Powiedział sobie jednak, że gdyby Gable miał zamiar go zlikwidować, jego snajper mógł to zrobić, kiedy wchodził na taras przed frontowymi drzwiami.

Plan. Musi zrealizować swój plan. Nie może ciągle uciekać. Zużył niemal wszystkie zasoby energii, a to być może była ostatnia szansa, jaka mu pozostała.

— Zna pan moje warunki — oświadczył.

— Ale nie słyszał pan jeszcze moich — odparł Gable, wykrzywiając wargi w grymasie, który być może miał być uśmiechem. — Proszę wejść.

Walcząc z narastającym niepokojem, Pittman wszedł do środka.

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, rozejrzał się po holu. Ściany były wyłożone boazerią, a sufit podierały grube belki z różnych egzotycznych gatunków drewna, w tym także z mahoniu i drewna tekowego. Oświetlenie zostało tak zainstalowane, że nie widziało się lamp, lecz w pomieszczeniu było bardzo jasno. A także bardzo gorąco. Mijając wiszący na ścianie termostat, Pittman zauważył, że nastawiono go na 32 stopnie Celsjusza. Nawet w zimie taka temperatura byłaby przesadna, lecz może miało to służyć zdrowiu Gable'a. Bardzo jasne oświetlenie mogło świadczyć o tym, że wzrok gospodarza słabł wraz z wiekiem. Pittmanowi nagle zrobiło się żal tego starego człowieka, zaraz jednak zdusił w sobie to uczucie. Gable zrobiłby wszystko, aby zdobyć choćby najmniejszą przewagę i być może jaskrawe światło i wysoka temperatura to część starannej aranżacji, mającej mu pomóc w tej rozgrywce.

Skręcili w lewo. Kiedy szli korytarzem, Pittman widział, z jakim trudem Gable stawia stopy. Weszli do dużego pomieszczenia z przeszkloną ścianą, przez którą widać było stawy i wypełnione piaskiem doły rozpościerającego się u stóp zbocza pola golfowego.

Ale uwagę Pittmana przyciągnęli czekający na niego dwaj mężczyźni. Jednego z nich rozpoznał. Był to nerwowo wiercący się na kanapie starszy mężczyzna, ubrany w trzyczęściowy garnitur, bardzo podobny do tego, jaki nosił Gable. Miał zapadnięte policzki, starannie przystrzyżone siwe wąsy i charak-

408

terystyczny dołek na brodzie, który z wiekiem się pogłębił — był to ostatni z piątki Wielkich Doradców, Winston Sloane.

Drugi mężczyzna miał metr osiemdziesiąt wzrostu i trochę ponad trzydzieści lat, a jego wyraziste rysy podkreślały ostrzyżone na zapałkę włosy. Jego szary garnitur nie był tak doskonale skrojony jak garnitury Gable'a i Sloane'a, a marynarka była zbyt obszerna i wybrzuszała się z lewej strony. Kiedy Pittman przyjrzał mu się dokładniej, stwierdził, że już go widział — był jednym z mężczyzn, którzy zaatakowali dom pani Page.

— Sądziłem, że będziemy sami...

— Nie można negocjować, jeżeli nie ma wszystkich zainteresowanych stron — odparł Gable. — Przedstawiam panu mojego kolegę: Winston Sloane.

Siedzący na kanapie mężczyzna zaczął się z wysiłkiem podnosić.

— Proszę nie wstawać — powiedział Pittman.

Gable wskazał drugiego mężczyznę.

— A to mój asystent, pan Webley.

Pittman kiwnął głową, próbując nie dać po sobie poznać, że go kiedykolwiek widział.

— Jestem pewien, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żeby Webley sprawdził pana.

Pittman nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

— Chce pan powiedzieć, że pana asystent ma mnie prześledzić? — zapytał po chwili.

— Spotkaliśmy się w dobrej wierze. Nie powinien pan mieć przy sobie broni.

— Więc dlaczego pański asystent jest uzbrojony?

— Ponieważ tego wymagają jego obowiązki. Mam nadzieję, że nie będzie z tym problemu — odparł Gable.

Pittman uniósł rękę.

Webley sięgnął po coś, co leżało na krześle za nim — był to mały detektor metalu — i zaczął przesuwając go wzdłuż ciała Pittmana.

U podstawy kręgosłupa Pittmana urządzenie zapiszczało. Webley sięgnął pod jego marynarkę i wyciągnął czterdziestkę-piątkę.

Gable syknął z dezaprobatą.

— Jak możemy negocjować, jeżeli przychodzi pan na spotkanie z pistoletem?

— Siła przyzwyczajenia. To, co działo się podczas minionego tygodnia, zmusiło mnie do noszenia przy sobie broni.

— Może po dzisiejszym wieczorze nie będzie pan już do tego zmuszony. — a —

— Mam taką nadzieję — odparł Pittman.

Webley dalej go sprawdzał. Detektor zapiszczał jeszcze kilka razy.

— Klucze i monety. Klamra paska. Długopis — poinformował Gable'a Webley.

— Sprawdź długopis. Upewnij się, czy nie ma w nim mikrofonu.

Webley zrobił, co mu kazano.

— Nie ma w nim niczego niezwykłego — oświadczył.

— Doskonale. Wobec tego usiądźmy, panie Pittman, i rozważmy pańską propozycję.

— Po co? — zapytał Winston Sloane. — Nie rozumiem, czemu mają służyć te tak zwane negocjacje. Zadzwońmy na policję i niech go aresztują za zamordowanie Jonathana.

— Tydzień temu być może bym się z tobą zgodził — odparł Gable. — Wszyscy byśmy się z tobą zgodzili... — Odchrząknął i zwrócił się do Pittmana: — Jak się pan z pewnością domyślił, naszym zamiarem było obwinienie pana o to, co musieliśmy zrobić z Jonathanem. Pańska niechęć do niego w przeszłości oraz samobójcze skłonności czyniły z pana idealnego kandydata. Nikt by nie uwierzył w pańską wersję wydarzeń... Oczywiście nie zamierzaliśmy dać panu okazji do zaprzeczania. Zaaranżowaliśmy wszystko tak, aby zginął pan, zanim policja by pana znalazła. ;

— Miał mnie zabić mężczyzna, który wdarł się do mojego mieszkania, tak?

Gable kiwnął głową.

— Przekupiliśmy policjanta, aby pozwolił się zastąpić na szemu człowiekowi.

Policzki Sloane'a zaczerwieniły się niepokojąco.

— Mówisz mi za dużo!

— Wcale nie — odparł Gable. — Jeżeli mamy cokolwiek osiągnąć, musimy być szczerzy. Prawda, panie Pittman?

— Przecież po to tu przyszedłem. Aby być szczerym i znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

— Właśnie.

— Nie rozumiem tylko jednego — dodał Pittman. — Dlaczego musieliście kogokolwiek obwinie o spowodowanie śmierci Millgate'a? Był stary, chory i trzymał się przy życiu jedynie dzięki tlenowi. Gdybyście odłączyli aparaturę, pozwolili mu

umrzeć, a potem podłączyli go ponownie, jego śmierć wyglądałaby całkiem naturalnie. Nikt by się o niczym nie dowiedział.

— Tak właśnie chciałem zrobić — odparł Sloane, którego policzki jeszcze bardziej się zaczerwieniły.

— Z początku miałeś rację — powiedział Gable. — Spróbuj jednak przypomnieć sobie kolejność wydarzeń. Im bardziej stan Jonathana" się pogarszał, tym bardziej bał się śmierci. Od kilku lat flirtował z religią... nigdy nie mogłem zrozumieć postawy Jonathana wobec ojca Dandridge'a. Ten przekłety ksiądz nękał nas podczas wojny wietnamskiej. Organizował demonstracje i zwoływał konferencje prasowe, krytykował każdy nasz ruch związany z Wietnamem. To przez niego Jonathan wycofał się z życia publicznego, bo jego wtrącanie się uniemożliwiałoby mu skuteczne działanie w rządzie. A potem, po dwóch dziesięcioleciach, Jonathan prosi go, żeby został jego spowiednikiem...

— Ojciec Daridridge sądził, że Jonathan Millgate potrzebuje spowiednika, który się go nie przestraszy, duchowego doradcy, który w rozmowie o sprawach ostatecznych nie ugnie się przed jego argumentami.

Spojrzenie Gable'a zrobiło się lodowate.

— Sprawy ostateczne... zapomniałem, że niedawno spotkał się pan z tym księdzem.

— Widziałem, jak go zamordowaliście.

— Nie powinien był mieszać się do nie swoich spraw. Nie powinien sprawiać nam kłopotów.

— Nigdy nie ujawniłby tego, co usłyszał w konfesjonale.

411

— Znałem wielu dyplomatów, którzy przekazywali najbardziej zaufanym osobom różne tajemnice, a potem dowiadywali się o nich od osób trzecich. Tylko Bóg jeden wie, co Jonathan zdążył wyznać temu księdzu, ale jestem przekonany, że to, co zamierzał mu powiedzieć na łożu śmierci, zniszczyłoby nas. Kiedy odwiedzałem go w szpitalu, mówił wyłącznie o tym, że musi się widzieć z ojcem Dandridge'em. Że musi oczyścić swoje sumienie. Uratować swoją duszę — powiedział z pogardą Gable. — A potem doszło do przecieku dokumentu, w którym była mowa o tym, że jest prowadzone śledztwo w związku z pogłoskami o istnieniu tajnego planu zakupu broni nuklearnej w byłym Związku Radzieckim. Wskazywano w nim na Jonathana, twierdząc, że jest pośrednikiem.

— Pośrednikiem? Niech pan przestanie chować się za sło wami. Jonathan Millgate był handlarzem broni — stwierdził z niesmakiem Pittman. — Broni najgorszego rodzaju. Co może usprawiedliwiać...

— Bezpieczeństwo świata — przerwał mu z oburzeniem Gable.

— Jasne. To wasza stała wymówka. Nieważne, co chcecie osiągnąć, zawsze mówicie, że chodzi o bezpieczeństwo świata.



— Czyżby naprawdę był pan tak naiwny i sądził, że upadek komunizmu i rozpad ZSRR oznacza koniec zagrożeń płynących z tego regionu?

— Oczywiście, że nie — odparł Pittman. — Rzeźnia w Bośni to wyraźny znak, że może się tam zdarzyć każde świństwo. Kraje byłego ZSRR po dziesięcioleciach represji też się pewnie rozejdą w różne strony i niedługo wszystkie mogą wymknąć się spod kontroli.

— I mieć dostęp do broni jądrowej, za którą nie odpowiada ani dotychczasowy rząd, ani rozsypujące się wojsko. — Gable zamachał rękami. — Jeżeli do władzy dojdzie nowy rząd, może zechcieć użyć tej broni do umocnienia swojej władzy. Co jest złego w próbie niedopuszczenia do takiego rozwoju wydarzeń?

— Przedstawił to pan w taki sposób, że pańskie racje nie budzą zastrzeżeń, ale zbyt długo byłem dziennikarzem, aby nie dostrzec tego, co kryje się między wierszami.

412

— O czym pan mówi?

-t- Raport Departamentu Stanu mówił, że Jonathan Millgate nie płacił za niszczenie broni atomowej w Rosji, ale ją kupował. Co zamierzał zrobić z bombami po ich zakupie? Przywieźć je do Stanów Zjednoczonych i zniszczyć na miejscu? Kosztowałyby to krocie, nie wspominając o niebezpieczeństwie, jakie niósłby ze sobą transport głowic. Kto miałby za to wszystko zapłacić? Amerykański rząd? Wątpię. Udział w czymś takim oznaczałby dla każdego polityka samobójstwo. Mielicie więc dwa problemy: jak zapłacić za bomby i co z nimi potem zrobić. Zastanawiałem się nad tym od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszałem o stawianych Millgate'owi zarzutach, ale w końcu się domyśliłem, że po prostu zamierzaliście je komuś sprzedać.

Gable zmrzął oczy.

— Jestem pod wrażeniem, panie Pittman.

— Ten komplement nie brzmi szczerze.

— Ale ja naprawdę jestem pod wrażeniem. Dostrzegł pan sedno sprawy. Zrozumiał pan błyskotliwość całej operacji...

— Błyskotliwość?

— Zagrożenie atomowe ze strony byłego Związku Radzieckiego zostałyby wyeliminowane i jednocześnie można by za chować równowagę sił w innych zagrożonych regionach. Nie jest tajemnicą, że Korea Północna cały czas pracuje nad wyprodukowaniem broni atomowej. Jak pan sądzi, co się stanie, kiedy jej się to uda? Zapanuje na całą Azję Południowo-Wschodnią. Jeżeli jednak w tym samym czasie broń atomową zdobędzie Korea Południowa, dojdzie do pata. Siły obydwu krajów się wyrównają.

— Nie. Zniszczą się nawzajem. I na dodatek mogą wciągnąć do konfliktu resztę świata.

— Niekoniecznie — odparł Gable. Wysiłek, jakiego wymagała ta rozmowa, sprawił, że oddychał ciężiej i nieco się przygarbił. — Jeśli chce się uratować świat, czasami trzeba podjąć ryzyko.

— Nie zapominając o powiększeniu konta o kilka zer. Ależ

z pana hipokryta! Udawaliście wszyscy bezinteresownych bohaterów służby publicznej, a od samego początku powojennej

413

antysowieckiej zimnej wojny aż po aferę Iran-Contras zbijaliście fortuny na łapówkach od przemysłu zbrojeniowego. Ile pan zarobił, aranżując wykorzystanie amerykańskich funduszy na zbrojenie Iraku, aby mógł stać się militarną przeciwwagą Iranu? Potem była wojna z Irakiem, a wy dostawaliście kolejne łapówki od producentów broni, ponieważ zalecaliście prowadzenie tej wojny. ~— s»

Złość sprawiła, że Gable się wyprostował.

— Nie zamierzam dyskutować o niuansach polityki zagranicznej ze zwykłym dziennikarzem. Nie ma pan dostępu do tajnych informacji. Pańska wiedza jest niewystarczająca, aby miał pan prawo oceniać negocjacje, które prowadziłem dla dobra Stanów Zjednoczonych i świata.

— Oczywiście. Zawsze ta sama wymówka. Zawsze istnieją tajne informacje, sankcjonujące wzbogacanie się za pomocą wszczynania kolejnych wojen i sprzedawania kolejnych partii broni.

— Te sprawy są poza granicami pańskiego pojmowania! Przybył pan tutaj tylko w jednym celu: aby załagodzić konflikt, wynikający z różnicy zdań, naprawić katastrofalne skutki wtrącania się w sprawy, które pana nie dotyczą. Po przecieku, sugerującym udział Jonathana w zakupie radzieckich bomb atomowych, lada chwila mogli się pojawić w szpitalu dziennikarze, mający nadzieję, że coś z niego wyciągną. Musieliśmy zabrać go ze szpitala, żeby nie powiedział im tego, co zamierzał powiedzieć księdzu. Był pan tam, kiedy moi ludzie go wywozili. Pojechał pan za nim do Scarsdale. Co pan robił w jego pokoju? Nic by się nie stało, gdyby pan nie wszedł do środka!

— Wysunęły mu się cewniki podające leki. Wypadła mu z nosa rurka od aparatu tlenowego. Dostał jakiegoś ataku. Byłem pewien, że umiera, więc chciałem mu pomóc.

— Właśnie o to chodziło — powiedział Gable z ledwie skrywaną irytacją. — Pożegnaliśmy się z nim i wyszliśmy z pokoju. Potem lekarz i pielęgniarka odłączyli go od aparatury i również wyszli. Miał spokojnie umrzeć, ale pan musiał włamać się do pokoju, i podłączyć wszystko na nowo. Wreszcie miał okazję się wypowiedzieć... Gdyby pielęgniarka nie weszła

w tym

414

momencie do pokoju, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, że Jonathan nas zdradził.

— Gdybyśmy wtedy nic nie zrobili... — wtrącił Sloane.

— Nie mogliśmy, bo musieliśmy założyć, że ten człowiek — Gable wskazał na Pittmana — widział naszą pierwszą próbę zabicia Jonathana. Na dodatek zdobył informacje, które mogły nas zniszczyć. Jeden z ochroniarzy eskortujących ambulans zauważył jadącą za nimi taksówkę. Kiedy zostałem o tym poinformowany, kazałem ją odnaleźć. Pasażer zniknął, ale udało się go zidentyfikować.

kować na podstawie czeku, jakim zapłacił za kurs. Proszę sobie wyobrazić nasz niepokój, panie Pittman, kiedy dowiedzieliśmy się, że jest pan dziennikarzem. Co mieliśmy robić? Pozwolić panu napisać artykuł o próbie zabicia naszego przyjaciela i sekretach, które panu wyjawiał? To nie wchodziło w rachubę. Szybko się dowiedzieliśmy, że siedem lat temu nękał pan Jonathana i że przeszedł pan załamanie nerwowe. Zaaranżowanie tego w taki sposób, aby wszystko wskazywało na to, że to pan zabił Jonathana, było dziecinnie łatwe. Mieliśmy pański czek. Mieliśmy pańskie odciski palców na drzwiach i sprzęcie medycznym. Dokonując jakiejś pokrętej osobistej wendety, zabił pan Jonathana, po czym powrócił do swojego planu popełnienia samobójstwa.

— Gdyby pańscy ludzie mnie złapali, mieli mi w tym pomóc, tak?

— Chyba że najpierw złapałaby pana policja. Wtedy zaaranżowałbym pańskie samobójstwo w areszcie.

— Jest pan bardzo pewny, że może tak manipulować systemem, aby wszystko szło po pańskiej myśli.

— Współtworzyłem ten system. Gwarantuję panu, że mój plan by się udał.

— Więc dlaczego się nie udał?

Gable wbił wzrok w podłogę.

— Dlaczego? — powtórzył Pittman.

— Gratuluję panu. Okazał się pan lepszy, niż można byłoby wnioskować z pana akt. Gdyby nie okazał się pan taki dobry, na pewno nie zgodziłbym się na tę rozmowę. Jak na kogoś zamierzającego popełnić samobójstwo potrafi pan doskonale dbać o swoje życie.

415

— Zmieniłem zdanie — oświadczył Pittman.

Gable popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Nie zamierzam się zabijać. Ze względu na pana.

— Mógłby pan to wyjaśnić?

-7- To, co próbował mi pan zrobić, tak mnie przestraszyło, że zadałem sobie pytanie, dlaczego tak bardzo chcę umrzeć, dlaczego uciekam. Czemu nie chcę pozwolić panu załatwić tej sprawy za mnie? Wmawiałem sobie, że chcę umrzeć w taki sposób, jaki sam wybiorę, nie pan, ale prawda jest taka, że zmusił mnie pan do określenia, dokąd w życiu dotarłem. Kocham mojego zmarłego syna i wciąż za nim tęsknię, ale pan na tyle odwrócił moją uwagę od rozpacz, że zamiast się jej poddawać, jestem w stanie ją zaakceptować.

Gable patrzył na Pittmana, jakby nie bardzo rozumiał, o czym ten mówi. W końcu westchnął.

— Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby moim ludziom udało się zastrzelić pana na terenie posiadłości w Scarsdale — powiedział.

Sloane iiniósł głowę.

— Najpierw Jonathan, potem Anthony... — jęknął. — A teraz Victor. Chcę, żeby to wreszcie zostało załatwione. Chcę, żeby to się skończyło.

— Właśnie po to się tu zebraliśmy — odparł Gable. — Żeby pozalać wszystkie sprawy.

Podczas całej rozmowy mężczyzna przedstawiony jako Web-ley stał oparty o ścianę po prawej stronie Pittmana, trzymał w ręku jego pistolet i obserwował ich wszystkich.

— Aby negocjacje się udały, każda ze stron musi coś osiągnąć — oświadczył Gable. — Proszę nam powiedzieć, panie Pittman, co otrzymamy od pana w zamian za milion dolarów i dwa paszporty.

— Bezpieczeństwo. Spokój ducha.

— Doskonale. Ale to bardzo ogólne stwierdzenie. W jaki sposób zamierza pan nam zagwarantować bezpieczeństwo i spokój ducha?

— Znikając.

— Jak?

416

— Zaranżuję wszystko tak, jakbym zrealizował mój wcześniejszy plan i popełnił samobójstwo. Zrobię to w taki sposób, aby nie dało się zidentyfikować ciała.

— Wolałbym trochę dokładniej...

— Można to zorganizować następująco: pańscy ochroniarze zobaczą mnie na jednym z pańskich jachtów tuż przed tym, zanim go wysadzę razem ze sobą. Moje ciało nigdy nie zostanie odnalezione. Rekiny i inne drapieżniki zjedzą to, co ze mnie zostanie. A o tym, że wszedłem na pokład, zaświadczą pańscy ludzie, którzy widzieli to z innego jachtu.

— To może się udać — mruknął Sloane.

— Chce pan wysadzić jeden z moich jachtów? — Gable zmrużył oczy. — Wymyśla pan sobie bardzo drogie sposoby zejścia z tego świata.

— To kolejny czynnik, który uwiarygodni tę historię. Biorąc pod uwagę, jak wiele pan stracił, policja nie będzie pana o nic podejrzewała.

— On ma rację — wtrącił Sloane.

Gable spojrzał na niego ze złością, po czym znowu popatrzył na Pittmana... /

— Proszę wybaczyć mojemu koledze te emocjonalne wybuchy. Zapomniał o jednej z podstawowych zasad negocjacji: nigdy nie pozwól, aby twój przeciwnik zorientował się, co sądzisz o jego argumentacji.

— Sądziłem, że mieliśmy być szczerzy — powiedział Pittman.

— Więc dlaczego pan nie był? Naprawdę sądzi pan, że uwierzę, iż po sfingowaniu samobójstwa zniknie pan i nie będziemy musieli się pana obawiać?

— Oczywiście.

— Jakie dostaniemy gwarancje?

— Już mówiłem. Chcę żyć. Nie chcę być ścigany. Chcę mieć święty spokój.

— Pod przybranym nazwiskiem?

— Tak.

— Z panną Warren?

— Tak.

417

— W Meksyku albo jeszcze\*4alej na południe? W kraju gdzie milion dolarów ma znacznie większą wartość niż w Stanach Zjednoczonych?

— Właśnie.

— No dobrze, ale jak zamierza pan nas ochronić przed ludźmi, którzy dzięki pańskiej wczorajszej akcji telefonicznej dowiedzieli się o naszych prywatnych sprawach? — spytał Gable.

— Na przykład przed pańską córką?

— Zwłaszcza przed nią.

— Wykonaliśmy te telefony, aby raczył pan zwrócić na nas uwagę — odparł Pittman. — Aby zgodził się pan na spotkanie i zechciał zakończyć to wszystko, zanim informacje rozejdą się jeszcze dalej. Pańska córka nie wie nic na pewno. Jeżeli zgodzi się pan na moje warunki, spotkam się z nią i...

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Kiedy zadzwonił po raz drugi, Pittman spojrzął w tamtą stronę.

— To faks w moim gabinecie — wyjaśnił Gable. — Jest podłączony do osobnej linii. Włącza się po dwóch dzwoneczkach. Pittman kiwnął głową.

— Jeżeli zgodzi się pan na moje warunki, spotkam się z panią Page i będę się tak zachowywał, że przestanie mi wierzyć. A samobójstwo, które potem popełnię, jeszcze ją w tym utwierdzi. Na pewno uzna, że jej podejrzenia, oparte na moich słowach, są absurdalne. !

— Mnie się to podoba — stwierdził Sloane. — Ma sens. Może nas wyciągnąć z bagna, w jakie wdepnęliśmy.

— Winstonie!. — Oczy Gable'a błysnęły wściekle. — Twoje ciągle wtrącanie się zmusza mnie do odstąpienia od protokołu. Nigdy przedtem nie zrobiłem tego podczas negocjacji, ale nie pozostawiasz mi wyboru. Muszę cię poprosić, abyś mi więcej nie przerywał.

— Ale...

— Winstonie! — krzyknął Gable. Jego pierś poruszała się z wysiłkiem.

Sloane spuścił głowę i wbił wzrok w swoje dłonie.

418

Oddech Gable'a powoli się uspokoił. Znowu popatrzył na Pittmana.

— A więc nie powiedział pan mojej córce wszystkiego...

— Zgadza się.

Gable z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Mam co do tego wątpliwości — stwierdził.

— Wątpliwości?

— Owszem. To przecież nielogiczne, że chcąc uzyskać od mojej córki pomoc, zachował pan pewne informacje dla siebie. Musiał jej pan wszystko powiedzieć. Zaczynam podejrzewać,

że całe to spotkanie było niepotrzebne. Co właściwie pan wie? Co mamy kupić? Co jest warte milion dolarów i dwa paszporty?

— Duncan Kline. Był nauczycielem w Akademii Grolliera. Gable uniósł krzaczaste siwe brwi.

— Lubił gromadzić wokół siebie najinteligentniejszych uczniów — kontynuował Pittman — namawiał ich, aby uczestniczyli w prowadzonych przez niego seminariach... Zajmował się ich wychowywaniem.

— Oczywiście. Wychowanie to zadanie każdego dobrego nauczyciela,^

— Ale dobrzy nauczyciele nie molestują seksualnie swoich uczniów.

Twarz Gable'a stężała, jego zmarszczki się pogłębiły.

— Duncan Kline bardzo starannie przygotowywał swoich wybranych uczniów — dodał Pittman. — Poświęcał im wiele czasu. W końcu stawał się tak ważną postacią w ich życiu, że przyjmowali jego zaloty. Pan i pozostali Wielcy Doradcy byliście przez niego molestowani seksualnie. To, co się działo w szkole, wywarło wpływ na całe wasze dalsze życie.

Pomarszczona twarz Gable'a przypominała kruszącą się grudę błota.

— Molestowani seksualnie? — powtórzył. — Naprawdę sądzi pan, że wziąłem na siebie to wszystko, aby ukryć, że byliśmy molestowani w Grollierze? Choć rzeczywiście byliśmy. — Gable uniósł wzrok do sufitu i wybuchnął śmiechem. Jabłko Adama podskakiwało mu jak szałwika, a wydobywający się z gardła dźwięk przypominał przesypywanie się żwiru. Nagle

419

jakby się zadławił, z grymaseiruhólu opuścił głowę, wyjął chusteczkę i zakaszłał w nią. — Oczywiście, że byliśmy molestowani — powiedział po chwili. — Gdyby ujawnił pan tę informację, bez trudu mógłbym ją wykorzystać, by zyskać sympatię mediów. W dzisiejszej Ameryce nic nie hańbi. Nie wie pan niczego, co może mi zagrażać, panie Pittman. Marnuje pan mój czas.

— Nie dał mi pan skończyć.

— Tak? Sugeruje pan, że ma informacje o większym znaczeniu?

Pittman poczuł ucisk w klatce piersiowej. Miał nadzieję, że Gable uzna za oczywiste, iż jego sekret został odkryty. Zakładał, że w trakcie rozmowy ujawni szczegóły, które według niego były znane obu stronom. Wiedział, że jego przeciwnik to mistrz negocjacji, ale nie spodziewał się, że nie potwierdzi niczego poza tym, co już od niego usłyszał.

8

Po plecach spływał mu pot. Choć mogło się to wydawać dziwne, było mu zimno. Ubranie przylepiło mu się do skóry i mimo że próbował to ukryć, cały czas dygotał. Przyszedł do Gable'a, ponieważ uważał, że jego największym atutem jest umiejętność przeprowadzania wywiadów. Nadszedł czas, aby udowodnić, że- naprawdę jest w tym dobry. Nadszedł czas, by zrobić wywiad ze światowej klasy negocjatorem.

Odwrócił się w stronę zajmującego całą ścianę okna. Próbował się skoncentrować i uporządkować myśli. Do pokoju wpadało tyle słońca, że musiał zmrużyć oczy. Skupił wzrok na widocznych przez okno jodłach — bardzo zielonych, wyraźnych i pięknych. U stóp

porośniętego lasem zбочa za domem liczni golfisci korzystali z pogodnego kwietniowego dnia. Mężczyzna na golfowym wózku mijał właśnie bunkier piaskowy i kierował się w stronę piłki, która wylądowała przy murze, oddzielającym posiadłość Gable'a od pola golfowego.

Pittman wpatrywał się w piaszczystą łachę i nie mógł pozbyć się myśli, jak ironicznym zbiegiem okoliczności jest to, że jego koszmar zaczął się tydzień temu tuż obok jednego pola golfowego, a teraz zakończy się w pobliżu innego.

— Panie Pittman, jeżeli ma pan jakieś istotne informacje, którymi chciałby się pan z nami podzielić, proszę to zrobić — powiedział Gable. — Jeżeli nie, obawiam się, że pan Webley

będzie musiał zadbać o to, aby paikjuż nigdy .z nikim niczym się nie podzielił. Pittman odwrócił się do niego.

— Poci się pan — stwierdził Gable. — Proszę dotknąć czoła... leje się z niego pot. Chyba się pan niczym nie zdenerwował? W trakcie negocjacji nie wolno okazywać emocji. Ja nigdy ich nie okazuję.

— To z powodu temperatury w tym pokoju. Jest za gorąco.

— Lekarz kazał mi utrzymywać w domu dwadzieścia siedem stopni ze względu na pewną niewielką dolegliwość... Jeżeli to panu przeszkadza, proszę zdjąć marynarkę. Ma pan na sobie grubą bluzę.

— Nic mi nie jest — zapewnił Pittman, ponownie koncentrując się na widoku za oknem. Mężczyzna na wózku golfowym zniknął za murem u stóp zбочa. — Ten faks, który przyszedł kilka minut temu...

— Co z nim? — zdziwił się Gable.

Pittman popatrzył na niego.

— Był do mnie.

Gospodarz przez dłuższą chwilę milczał.

— Do pana?

— Co to ma znaczyć? — spytał Winston Sloane.

— To absurdalne — powiedział Gable, ignorując swojego kolegę. — Dlaczego ktoś miałby tu przysłać panu faks? I jak mógłby to zrobić? Numer jest zastrzeżony.

— Tak samo jak numer pańskiego telefonu, a jednak córka wczoraj wieczorem do pana zadzwoniła. Moja przyjaciółka zadzwoniła również na pana zastrzeżony numer, panie Sloane. Potem zadzwoniliśmy na zastrzeżony numer Victora Standisha..! choć w tym przypadku okazało się, że zrobiliśmy to zbyt późno. Zdażył już palnąć sobie w łeb. Nie mógł dłużej wytrzymać ukrywania waszego wspólnego sekretu. Tak samo jak" zdobyłem wasze numery telefonów, tak samo zdobyłem numer pańskiego faksu. Właśnie przysłano nek rolog Duncana Kline'a. Jestem pewien, że wszystkich za interesuje.

Gable zmarszczył czoło.

422

— Panie Webley, proszę dopilnować, aby do mojego po wrotu z gabinetu nasz gość nie ruszał się z miejsca.

Webley uniósł pistolet Pittmana.

— Proszę się nie martwić. Nigdzie nie pójdzie.

Gable wstał z trudem, wyprostował się na tyle, na ile pozwalał mu wiek, i zniknął w korytarzu.

Pittman czuł, jak pot spływa mu po czole. Napięcie i wysoka temperatura sprawiały, że było mu niedobrze. Ponownie odwrócił się do okna. Słońce znowu go oślepiło. Jodły wydały mu się jeszcze piękniejsze. Strach sprawiał, że zieleń wiosennej trawy wydała mu się jeszcze doskonalsza. W oddali golfiści mijali drzewa, rosnące obok stawu.

Nagle jego uwagę zwrócił jakiś ruch u stóp zbocza na posiadłości Gable'a. Człowiek, który przed dwiema minutami przejeżdżał obok muru wózkiem golfowym, wspinał się teraz po zboczu w kierunku domu. Nie wiadomo, jakim sposobem pokonał mur, ale na pewno był to ten sam mężczyzna w białej czapeczce i czerwonej wiatrówce. Mimo sportowego stroju dało się zauważyć, że nie jest już młody. Poruszał się powoli, lecz z determinacją. Trzymał coś w prawej ręce. Kilka metrów wyżej można było już dostrzec, ile wysiłku kosztuje go ta wspinaczka — miał skrzywioną twarz. Zanim skrył się za jodłami, Pittman rozpoznał go. Zeszłego wieczoru postawił mu drinka i pojechał za nim do posiadłości pani Page, a potem, kiedy mężczyzna zasnął, zawiózł go do szpitala. Bradford Denning. Rano wymknął się z oddziału kardiologicznego i teraz pisał się z wysiłkiem ku domowi Gable'a. Pittman z przerażeniem patrzył na to, co Denning trzyma w ręku. Były dyplomata przyciskał do uda pistolet.

424

O, nie! Jeżeli Gable albo Webley go zobaczą, dojdą do wniosku, że wywiódłem ich w pole i nie można mi ufać, pomyślał Pittman. A kiedy zorientują się, że Denning jest uzbrojony, zastrzelą go.

10

Echo niepewnych kroków sunących po kamiennej posadzce oderwało go od tych myśli. Wyprostował się, odwrócił od okna i popatrzył na Gable'a, który właśnie wszedł do pokoju. Gospodarz wyglądał znacznie starzej i bardziej krucho niż w chwili, gdy wychodził. Z twarzą szarą jak popiół przyglądał się pojedynczej kartce papieru, którą trzymał w dłoni.

— Jak pan to zdobył?

Pittman nic nie odpowiedział.

Gable wyprostował się, próbując przyjąć władcą postawę.

— Jak pan to zdobył? — powtórzył.

Pittman nie znał treści przesłanej wiadomości. Wiedział jedynie, że jest w niej informacja, którą pani Page miała zdobyć dzięki swoim kontaktom w „Washington Post”.

— Z pewnością nie zapomni pan, że moją ostatnią specjalnością były nekrologi — powiedział, po czym podszedł do Gable'a i „sięgnął po kartkę.

Ale Gable nie oddał mu jej.

Cholera, jeżeli nie uda mu się tego przeczytać...

Nagle Gable puścił kartkę.



Pittman pozornie obojętnie rzucił okiem na tekst, jakby widział go już wiele razy. Był to fragment strony „Boston Globe” z nekrologami z 23 grudnia 1952 roku. Informacja o śmierci Duncana Kline’a.

426

Tak mocno pulsowało mu w skroniach, że znowu poczuł mdłości.

— Na pewno podjęcie tej decyzji nie było łatwe: czy umieścić skromną notatkę, czy duży nekrolog, jakiego należałoby się spodziewać w przypadku śmierci znakomitego pedagoga, którego kilku uczniów zostało wybitnymi dyplomatami. W pierwszym przypadku inni nauczyciele i uczniowie mogliby zrobić się podejrzliwi i być może zechcieliby dowiedzieć się czegoś więcej. Natomiast w drugim mogliby się dowiedzieć zbyt wiele. Tak więc poszłicie na roztropny kompromis...

W pokoju zapadła martwa cisza. Pittman niemal widział, jak Bradford Denning wspina się po zboczu. Prawdopodobnie nie był jeszcze na tyle blisko, aby stanowić zagrożenie, ale Pittmana niepokoiła jego determinacja.

— Z tego nekrologu nic nie wynika — oświadczył Gable. — Przez ponad czterdzieści lat był powszechnie dostępny. Gdyby było w nim cokolwiek dyskredytującego, ktoś już dawno by to odkrył.

— Tylko wtedy, gdyby wiedział, czego szukać — odparł Pittman. — Dunpan Kline zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Wcześniej w tym samym roku pojawił się niespodziewanie w Departamencie Stanu, żądając widzenia z wami. W lipcu. Eisenhower właśnie został nominowany na kandydata do wyborów prezydenckich. Byliście wtedy zajęci niszczeniem reputacji waszych rywali i jednocześnie przygotowaliście się do przeskoczenia z obozu demokratów do obozu republikanów, którzy — jak zakładaliście — zdobędą władzę. Wasza konserwatywna, antysowiecka postawa pasowała do owych czasów. Przyszłość należała do was. Ale wtedy pojawił się Kline i śmiertelnie was wystraszył...

Nie miał pojęcia, dlaczego Wielcy Doradcy bali się Kline’a, jednak napięcie, z jakim wysłuchali ostatniego stwierdzenia, przekonało go, że podąża właściwym tropem.

— Sądziście, że ten człowiek należy już do przeszłości, ale nagle się pojawił, narobił zamieszania i napędził wam strachu. Musiał was bardzo przerazić, zwłaszcza że właśnie próbowaliście przekonać Eisenhowera i jego ludzi, że powinni was wziąć

427

na pokład. Wzięliście więc sobie=»olne i pojechaliście wszyscy na zjazd absolwentów do Grolliera. W grudniu. Od lipca, od chwili pojawienia się w Departamencie Stanu, Kline musiał wywierać na was wielką presję. Pojechaliście na zjazd absolwentów, ponieważ spotkanie z waszym dawnym nauczycielem wyglądało tam bardziej naturalnie. Nikt by się nie domyślił, że przyjechaliście z nim negocjować.

Sposób, w jaki napięły się mięśnie twarzy Sloane’a, zdawał się potwierdzać te słowa. Ale twarz Eustace’a Gable’a pozostała nieprzenikniona.

— Potem Duncan Kline przestał uczyć — ciągnął Pittman. — Zamieszkał w Bostonie, lecz z jego nekrologu wynika,

że zmarł zimą w swoim domku letniskowym w Berkshire Hills. Nie muszę chyba dodawać, że to wzgórze w zachodnim Massachusetts, tuż za południową granicą Vermontu. W grudniu. Dlaczego, do diabła, mieszkający w Bostonie starszy człowiek spędzał zimę w górach w letniskowym domku? Ale pewnie pojechał tam po spotkaniu absolwentów w Grollierze, ponieważ sprawa, która miał z wami do załatwienia, nie została zamknięta, a w takim odosobnionym miejscu można było spokojnie porozmawiać.

Przerwał, próbując uspokoić oddech. Miał nadzieję, że nie widać po nim, jak bardzo jest rozdygotany. Aby jego słuchacze nie spojrzeli w kierunku okna i nie dostrzegli, co się dzieje na zewnątrz, przesunął się do stojących pod ścianą regałów. Zastanawiał się, jak blisko okna jest Denning.

Wskazał palcem fragment nekrologu, który trzymał w dłoni.

— Duncan Kline był Anglikiem. Przyjechał do Stanów na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku, po kilku latach pracy w Cambridge. — Kiedy to mówił, poczuł skurcz żołądka. Gdyby wcześniej wiedział, że Kline był Brytyjczykiem i przyjechał z Cambridge! — Jestem pewien, że w tak anglofilskiej szkole jak Grollier nauczyciel z Cambridge musiał być uważany za bardzo cenny nabytek. Ironiczne, prawda? Przez całe lata istnienia akademii jej absolwenci zostawali kongresmanami, senatorami, gubernatorami, a jednego nawet wybrano na prezydenta — nie wspominając o wybitnych dyplomatach, takich jak

428

wasza piątka — ale przy całym swoim ogromnym wpływie na amerykański system polityczny szkoła była związana z Wielką Brytanią i Europą. Widziałem konspekty prowadzonego przez Kline'a seminarium, na które uczęszczaliście. Jego specjalnością była historia. Nauki polityczne.

Twarz Winstona Sloane'a poszarzała.

— Tak więc wykładowca z Cambridge związał się z pięćdziesięciu ma wybranymi uczniami Akademii Grolliera i przygotowywał ich do kariery dyplomatycznej. Towarzyszyliście niemal każdemu rządowi od Trumana począwszy. Teorie, które Duncan Kline wam wpoił...

— Nie! Może kiedy byliśmy młodzi, ulegliśmy im — za oponował Winston Sloane. — Nigdy ich jednak nie reali zowaliśmy!

— Winstonie, dość! — syknął z wściekłością Gable.

— Posłuchaj, co on mówi! Dokładnie tego się obawialiśmy! Że zniszczy naszą reputację! Nigdy nie byliśmy komunistami!

To było to! Wreszcie nastąpiło to, na co Pittman tak bardzo czekał: że któryś z Wielkich Doradców niechcący ujawni jakąś informację. - Słowo „komunistami” przez chwilę odbijało się upiornym echem w pokoju, a potem zapadła całkowita cisza i wszyscy zamarli w bezruchu.

Eustace Gable wyjął chusteczkę i zakaszał w nią. Winston Sloane patrzył na swoje powykrzywiane artretyzmem palce. Zawstydzony swoim nierozważnym wybuchem, w końcu dostrzegł, jak bardzo podupadły jego słynne umiejętności negocjacyjne.

Webley nawet nie drgnął. Przez cały czas celował z czterdziestki do Pittmana.

Gable odchrząknął i schował chusteczkę. Mimo wieku i problemów ze zdrowiem wyglądał tak godnie, że mógłby prowadzić spotkanie w Białym Domu.

— Proszę dokończyć swoją myśl, panie Pittman.

— W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku Rewolucja Październikowa bardzo poruszyła wrogich establishmentowi brytyjskich intelektualistów. Liberalni wykładowcy na brytyjskich uniwersytetach, zwłaszcza w Cambridge, byli zafascyno-

wani teoriami socjalistycznymi. Efektem tego zauroczenia były siatki brytyjskich szpiegów — dawnych studentów, rekrutowanych w Cambridge przez profesorów pracujących na rzecz Rosjan. Guy Burgess. Donald Maclean. Kim Philby. Jeśli dobrze pamiętam, Burgess i Maclean uciekli w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku do Moskwy. Podejrzewano Philby'ego, że ostrzegł ich o mającym nastąpić aresztowaniu. Rok później w Departamencie Stanu pojawił się Duncan Kline, żądając widzenia z wami. Podejrzewam, że wiedzieliście, iż jest bardziej zaangażowany od Philby'ego i pozostałych. Philby'ego zwerbowało dopiero w latach trzydziestych, a Kline został sympatykiem komunistów dziesięć lat wcześniej. Musiał być wyjątkowym uwodzicielem... seksualnym i politycznym. Zresztą byliście bardzo młodzi i łatwo było wami manipulować. Skończyliście Grolliera w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku i zaczęliście studiować — część z was na Harvardzie, pozostali na Yale. Pogłębiał się kryzys gospodarczy. Biorąc pod uwagę panujący w kraju chaos, komunistyczne teorie Kline'a prawdopodobnie w dalszym ciągu was fascynowały. W końcu okazaliście się jednak lojalni wobec tradycji kapitalistycznej. Czyżbyście zrozumieli, że gdybyście w dalszym ciągu podążali drogą wskazywaną przez Kline'a i podkopywali establishment, podkopywalibyście podstawy własnego bytu? Przecież to wy mieliście tworzyć kolejny establishment.

Popatrzył na Gable'a i Sloane'a, ale żaden z nich nie zareagował.

— Moim zdaniem jesteście oportunistami. Przypuszczam, że gdyby władzę w Ameryce przejęli komuniści, staralibyście się dostać do najwyższych kręgów nowej władzy. Nagle jednak zaczęła się druga wojna światowa i komunizm stracił u nas popularność. Rosja Sowiecka zaczęła być postrzegana jako zagrożenie tak samo wielkie jak hitlerowskie Niemcy. Wkręciliście się więc do Departamentu Stanu. Nie tylko odrzuciliście prokomunistyczne sympatie, ale zaczęliście zdobywać coraz większą władzę, pozbywając się rywali, którym przypisywaliście komunistyczne skłonności — mówił Pittman, przez cały czas myśląc o ściskającym pistolet Bradfordzie Denningu,

430

powoli zbliżającym się do rezydencji. — Podczas antykomunistycznej histerii ery McCarthy'ego na początku lat pięćdziesiątych zbudowaliście swoje kariery na złamanym przez was karierach innych dyplomatów. Wtedy pojawił się Duncan Kline i zagroził, że was zniszczy. Co zrobił? Szantażował was? Groził, że jeżeli mu nie zapłacicie, ujawni, że byliście tak samo podatni na komunistyczne idee jak ci, których właśnie z tego powodu zrujnowaliście?

W pokoju zapadła taka cisza, że Pittman niemal słyszał pulsującą mu w uszach krew. Eustace Gable pokręcił głową.

— Wie pan znacznie więcej, niż sądziłem — stwierdził tonem, będącym mieszaniną podziwu i rozczarowania. — Wy kazał się pan wybitnymi umiejętnościami dziennikarskimi. Dlatego zresztą pozwoliłem tu panu przybyć... aby ocenić zakres pańskiej wiedzy. Niestety myli się pan.

— Nie sędzę.

— Duncan nie próbował nas szantażować. Nie chciał pie niędzy.

— A czego?

— Żebyśmy pozostali wierni zasadom, które nam wpajał. Był przerażony prowadzoną przez nas antyradziecką polityką. Chciał, żebyśmy się z niej wycofali i zarekomendowali rozpoczęcie współpracy z Sowietami. Był to oczywiście nonsens. Zrobiono z Rosjan takie potwory, że nie było mowy o tym, aby Ameryka zmieniła wobec nich stanowisko. Każdy polityk albo dyplomata, który by tego spróbował, popełniłby zawodowe samobójstwo. Jedynym sposobem zrobienia kariery było stać się bardziej antyradzieckim niż inni.

— A w końcu to wasze kariery przede wszystkim się liczyły — mruknął Pittman.

— Oczywiście. Nie da się niczego osiągnąć, jeżeli płynie się pod prąd.

— Tak więc, ponieważ doszliście do wniosku, że ważniejsze od Duncana Kline'a są wasze kariery...

— ...zabiliśmy go — dokończył Eustace Gable.

Pittmana znowu ogarnął niepokój. Ujawnianie informacji  
431

nie należało do zwyczajów Gable'a. Dlaczego teraz to zrobił? Aby ukryć swoją dezorientację, popatrzył na trzymany w dłoni nekrolog.

— Napisano tu, że Duncan Kline zmarł w wyniku wyziębie nia podczas śnieżnej burzy... — powiedział i nagle wszystko zrozumiał. — Śnieg...

— Zgadza się, panie Pittman—Śnieg. Duncan był alkoholi kiem. Kiedy spotkaliśmy się z nim w jego letnim domku, w ogóle nie chciał słuchać naszych argumentów. Oświadczył, że jeżeli nie złagodzimy polityki wobec Związku Radzieckiego, zdemaskuje nas jako byłych sympatyków komunizmu. Zapo wiadano burzę śnieżną. Zbliżał się dopiero wieczór, ale śnieg padał tak mocno, że nie było widać jeziora za domem. Zanim przyjechaliśmy, Duncan zdążył już sporo wypić i pił dalej w trakcie całej dyskusji. Podejrzewam, że gdyby był trzeźwy, nasza rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej... ale ponieważ nie był, postanowiliśmy zabić go za pomocą alkoholu. Za chęcaliśmy go do dalszego picia, udawaliśmy, że pijemy razem z nim, i czekaliśmy, aż straci przytomność. A przynajmniej mieliśmy nadzieję, że wreszcie straci przytomność. Muszę mu jednak wyrazić uznanie, bo w końcu, mimo stanu, w jakim się znajdował, zaczął podejrzewać, że coś jest nie tak. Odmówił wypicia kolejnej szklanki whisky, którą mu nalaliśmy. Musieliś my go do tego zmusić. Muszę też wyrazić mu uznanie za coś jeszcze: lata wiosłowania sprawiły, że był bardzo silny. Choć był pijany i miał ponad sześćdziesiąt lat, podjął z nami walkę. fiie miał jednak szans. Pomagałeś przytrzymywać mu ręce,

Winstonie, pamiętasz? Wlewaliśmy mu whisky do gardła. Wymiotował, a my laliśmy dalej.

Pittman słuchał tego z pełnym obrzydzenia zdumieniem. To, o czym mówił Gable, bardzo przypominało sposób, w jaki zamordował swoją żonę.

— Kiedy w końcu stracił przytomność, wynieśliśmy go na zewnątrz i zostawiliśmy w zaspie. Jego byli uczniowie i koledzy wiedzieli, że miał problem z alkoholem. Wzmianka o wyiębieniu brzmiała bardzo wiarygodnie. Domyślano się, że prawdopodobnie wyszedł pijany na dwór w samej koszuli i stracił

1

432

przytomność w zaspie. Nikt nie odkrył, że mu w tym pomogliśmy. Usunęliśmy wszystkie ślady naszej obecności w domku, wsiedliśmy do samochodów i odjechaliśmy. Śnieg szybko zasypał ślady opon. Gdy Duncan nie wrócił do Bostonu, jego kuzynka zaczęła się niepokoić. Policja stanowa pojechała do letniego domku, znaleziono stojący obok niego samochód, zaczęto przeszukiwać teren i w końcu ktoś zauważył wystającą spod śniegu bosą stopę. Jakies zwierzę zdarło Duncanowi but i odgryzło mu palce.

— A potem, niemal czterdzieści lat później, Jonathan Millgate zaczął mieć nocne koszmary w związku z tym, co wtedy zrobiliście — dodał Pittman.

— Zawsze był najdelikatniejszy z nas — odparł Gable. — Zachowywał się dziwnie niekonsekwentnie. Podczas wojny wietnamskiej doradzał niszczenie całych wiosek, podejrzewanych o związki z komunistami. Dobrze wiedział, że wszyscy mieszkańcy ^ostaną zabici, ale nigdy nie przeszkadzało mu to zasnąć. Jednak gdy trzeba było uśpić jego ulubionego psa, bo chorował na nerki, płakał przez tydzień. Pochował go we własnym ogrodzie. Widziałem kiedyś, jak mówił do nagrobka... dwa lata po śmierci psa! Sądzę, że mógłby pogodzić się z tym, co zrobiliśmy Duncanowi — bezkrwawą śmiercią, najgłębszym snem, ze śniegiem zamiast poduszki — gdyby nie te odgryzione palce. To okaleczenie zaczęło sterować wyobraźnią Jonathana. Tak, miewał koszmary nocne, choć przypuszczam, że po jakimś czasie się skończyły. Kilka lat temu znowu zaczął o nich mówić, co mnie dość zaskoczyło. Związek Radziecki się rozpadł, a Jonathan, zamiast się z tego cieszyć, oświadczył, że upadek komunizmu dowodzi, iż śmierć Duncana była niepotrzebna. Nie zgadzałem się z tym, ale takie stwierdzenie mogło okazać się dla nas niebezpieczne. Kiedy Jonathan zaczął otwierać swoją udęczonej duszę przed ojcem Dandridge'em, poczułem się naprawdę zagrożony.

— Wobec tego zabiliście go i teraz siedzimy tutaj, próbując ratować wasz brudny sekret — mruknął Pittman. — Czy to było warte tego wszystkiego, co mi zrobiliście? Życia ludzi, których zabiliście? Jesteście starzy i zniedołężniali i istnieje

433

duże prawdopodobieństwo, że umrzecie, zanim dojdzie do rozprawy.

Gable potarł chudy podbródek i znowu wbił wzrok w Pitt-mana. Jego oczy zdawały się mieć tysiąc lat.

— W dalszym ciągu nic pan nie rozumie. Choć wiele pan przeszedł i rozmawiamy już od dłuższego czasu, wciąż nie jest pan w stanie pojąć sedna sprawy-Oczywiście, że umrę, zanim sprawa trafi przed ławę przysięgłych. Nie dbam o to, czy zostanę ukarany. Prawdę mówiąc, nie uważam, żebym popełnił cokolwiek, co zasługuje na karę, ale zależy mi na mojej reputacji. Nie chcę, aby całe moje życie, poświęcone służbie publicznej, zostało wrzucone do rynsztoka i miało być osądzone przez ludzi z gminu tylko dlatego, że wyeliminowałem molestującego dzieci pijaka i komunistę. Duncan Kline był uosobieniem zła. W młodości oczywiście tak nie uważałem. Podziwiałem go. W końcu jednak zrozumiałem, jak bardzo jest godny pogardy. Jego śmierć nie oznaczała żadnej straty dla ludzkości. Moja reputacja jest warta sto tysięcy Duncanów Kline'ów. To, co zrobiłem dla tego kraju, jest moim dziedzictwem i nie zamierzam pozwolić, aby zostało unurzane w błocie z powodu aktu konieczności, który ochronił moją karierę.

— Pańską karierę...

— Właśnie. Nic innego się nie liczy. Obawiam się, że sprowadziłem tu pana pod fałszywym pretekstem. Milion dolałów i dwa paszporty... nigdy nie zamierzałem spełnić tego żądania. Chciałem tylko odkryć, co pan wie. Okazuje się, że całkiem sporo, ale bez dowodów to jedynie teoria. Nie stanowi pan dla mnie niebezpieczeństwa, jest pan jednak zagrożeniem dla mojej reputacji. Dzisiejsze zachowanie Winstona świadczy o tym, że on także. Nie potrafi pohamować języka. Na szczęście obydwie te problemy da się rozwiązać w ten sam sposób. Panie Webley...

— Tak jest, proszę pana!

Webley podszedł do Pittmana i stanął za jego plecami. Kiedy Pittman usłyszał trzask odciąganej kurki czterdziestkiątki, poczuł lodowaty ucisk w brzuchu.

— Nie! — krzyknął.

434

Lufa czterdziestkiątki wysunęła się zza jego pleców. Huk wystrzału był ogłuszający. Stojący po drugiej stronie pokoju Winston Sloane stęknął, jego ciało zostało pchnięte do tyłu, a z piersi i pleców trysnęła krew, opryskując kanapę. Stary człowiek zadygotał i zapadł się w sobie, jakby zrobiono go z kruchych patyków, które przestały się nawzajem podpierać. Jego głowa opadła i Winston Sloane zwałił się na podłogę. Pittman mógłby się założyć, że słyszy grzechot ocierających się o siebie kości.

Był przerażony, a jego twarz wyrażała pytanie, które bał się zadać: „Dlaczego?”.

— Jak już mówiłem, muszę eliminować problemy — oświadczył Gable. — Panie Webley.

Asystent ruszył w kierunku drzwi wejściowych. Zanim jednak do nich dotarł, zatrzymał się, odwrócił, odłożył czterdziestkiątkę Pittmana na stolik i wyjął spod marynarki inny pistolet.

— Być może wreszcie zaczyna pan rozumieć — powiedział Gable.

Jedyną drogę ucieczki blokował Webley. Pittman zdawał sobie sprawę, że jeśli się poruszy, zostanie zastrzelony. Jego jedyną obroną było dalsze mówienie.

— Sądzi pan, że policja uwierzy, że wszedłem tutaj, zastreliłem Sloane'a, a potem zostałem zabity przez pańskiego ochroniarza?

— Oczywiście. Przecież ta czterdziestkapiątka należy do pana. Po starciu odcisków palców wsadzimy ją panu do ręki i wystrzelimy, aby pozostawić na pańskiej dłoni ślady prochu. Dowody będą potwierdzać naszą wersję wydarzeń.

— Niestety ten plan się nie uda.

— Nonsens. Pańskie motywy są przecież oczywiste.

— Nie to mam na myśli — odparł Pittman schrypniętym ze strachu głosem, wpatrując się w wycelowany w niego pistolet Webleya. — Plan się nie uda, ponieważ nasza rozmowa była podsłuchiwana i nagrywana.

— Co?! — Otoczone zmarszczkami oczy Gable'a zwięzły się. — Co takiego?

435

— Pańskie podejrzenie było uzasadnione — dodał Pittman. — Przyszedłem tu z mikrofonem.

— Panie Webley!

— Widział pan przecież, że go dokładnie przeszukałem. Jest czysty. Nie ma żadnego mikrofonu.

— Więc zastrzel go!

— Zaczekajcie! — Pittmanowi dygotały kolana, że nie był pewien, czy nagle nie upadnie. — Posłuchajcie! Kiedy pan mnie przeszukiwał, coś pan pominął...

— Powiedziałem, że masz go zastrzelić, Webley! Asystent wahał się.

— Moja broń... Zanim tu przyszedłem, byłem u człowieka, z którym pięć lat temu przeprowadziłem wywiad. Jest ekspertem od spraw związanych z bezpieczeństwem. Na szczęście mnie nie poznał i nie zadawał niepotrzebnych pytań. Kupiłem od niego miniaturowy przekaźnik, który dał się ukryć w rękojeści czterdziestkapiątki. Wiedziałem, że broń będzie pierwszą rzeczą, jaką mi zabierzecie. Liczyłem na to, że nawet wam do głowy nie przyjdzie, iż pistolet może stanowić całkiem inny rodzaj zagrożenia. Sprawdził pan mój długopis, panie Webley, ale nie sprawdził pan pistoletu.

Webley złapał pistolet i wcisnął przycisk, zwalniający zatrząsk mocujący magazynek w rękojeści.

Choć Pittmana mdliło ze strachu, mówił dalej:

— Niedaleko czeka na mnie przyjaciółka w furgonetce pełnej elektronicznego sprzętu. Rejestrowała każde słowo, które pan powiedział. Przekazywała tę rozmowę dalej, do policji w Fairfax. Przesyłany sygnał zagłuszał wszystkie inne rozmowy na paśmie policyjnym. Przez ostatnią godzinę na komisariacie

w Fairfax i w każdym radiowozie słychać było tylko naszą rozmowę. Panie Gable, właśnie powiedział pan kilkuset funkcjonariuszom policji, że zabił pan Duncana Kline'a, Jonathana Millgate'a, Burta Forsytha i ojca Dandrige'a. Gdybym miał czas, być może doprowadziłbym także do pańskiego przyznania się do zabójstwa żony.

— Webley! — krzyknął Gable.

1

436

— Jezu, on nie kłamie... jest! — jęknął Webley i uniósł wysoko przypominający pocisk przedmiot.

— Niech cię piekło pochłonie! — wrzasnął Gable, z wściekłością patrząc na Pittmana.

— Jeszcze nie teraz. A pana już pochłonęło.

— Zabij go!

— Ale...

— Rób, co każę!

— Panie Gable, to nie ma sensu — zaprotestował Webley.

— Nie ma? Nikt nie będzie robił ze mnie pośmiewiska. — Ślina przyskała Gable'owi z ust. — Ten człowiek zrujnował moją reputację!

Ponieważ Webley w dalszym ciągu się wahał, podszedł do niego. Wyjął mu pistolet z dłoni, wycelował i...

— Neeee! — krzyknął Pittman.

...strzelił.

Kula trafiła Pittmana w pierś. Kiedy poczuł uderzenie, stęknął z bólu i zatoczył się do tyłu. Po chwili runął na podłogę, rozbijając sobie głowę. Na sekundę stracił przytomność, a gdy ją odzyskał, zaczął walczyć o powietrze.

Gable zakaszał i ruszył w jego kierunku. Pittman, oddychając z trudem, mógł go jedynie bezsilnie obserwować.

Pomarszczona twarz Gable'a zawisła nad nim. Wielki Doradca celował prosto w jego czoło.

Kiedy zaczął naciskać spust, Pittman nawet nie mógł wrzasnąć. '7L

Słyszając huk wystrzału, cały się skurczył. Ale to nie broń w ręku Gable'a wypaliła. Strzelono od strony zajmującego całą ścianę okna. Zagrzechotało rozpryskujące się szkło i rozległy się kolejne wystrzały. Twarz Gable'a zalała się purpurą, klatka piersiowa zadygotała. Pięć strzałów. Sześć. Gable stracił równowagę. Pistolet wypadł mu z ręki i zagrzechotał o podłogę. Następny pocisk trafił go w krtań, trysnęła krew i Gable ciężko zwałił się na ziemię. Od strony rozbitego okna doleciał triumfalny okrzyk Denninga.

Jego wykrzywiona szaleńczym grymasem twarz zaglądała przez dziurę w szybie.

437

Po drugiej stronie pokoju rozległ się jakiś hałas. Pittman przekręcił się z trudem i ujrzał podnoszącego się zza fotela Webleya, który celował w Denninga z czterdziestkapiątki.

Pistolet, który wypadł z dłoni Gable'a, leżał na podłodze. Pittmanowi było niedobrze i najchętniej by zwymiotował, ale resztkami sił złapał pistolet i kilka razy strzelił do Webleya. Nie celował, tylko raz za razeiff-pociągał za spust. Nie miał pojęcia, czy trafia, koncentrował się jedynie na trzymaniu pistoletu. Po chwili pistolet przestał strzelać i zrobił się zbyt ciężki,



aby dało się go utrzymać, więc Pittman wypuścił go z rąk. Jego pierś płonęła niemożliwym do wytrzymania bólem.

Czekał na reakcję Webleya, jednak odpowiedziała mu cisza. Z miejsca, gdzie tamten się znajdował, nie dobiegał żaden odgłos. Pittman z wysiłkiem uniósł się nieco, ale niczego nie dostrzegł.

Jeżeli go nie zabiłem, koniec ze mną, pomyślał.

Musiał to sprawdzić. Uniósł się nieco wyżej, przytrzymał krzesła i ujrzał Webleya leżącego w kałuży krwi.

Ulga trwała tylko chwilę, bo zza rozbitego okna doleciał bolesny jęk. Choć jego klatka piersiowa protestowała, Pittman odwrócił się. Denning trzymał się za pierś, a jego szaleńczy uśmiech zamienił się w grymas bólu. Oczy, które jeszcze przed chwilą wypełniał triumf, pociemniały z przerażenia i ze zdumienia. Po paru sekundach wypuścił pistolet z dłoni, opadł na parapet, zsunął się z niego i zniknął z pola widzenia.

Kiedy Pittman dokuśtykał do okna, Denning leżał na kwiatowej rabacie z otwartymi ustami i oczami. Po chwili przez jego nogi przebiegł ostatni dreszcz i ciało znieruchomiało.

Pittman pokręcił głową.

W. ^oddali wyla syrena, do której dołączyły następne. Wycie robiło się coraz głośniejsze.

Pittman oparł się o krzesło i zaczął rozpinać marynarkę. Kula, która trafiła go w pierś, częściowo wystawała z bluzy. Kiedy Gable poradził mu, żeby z powodu gorąca w pokoju zdjął marynarkę, i zdziwił się, że ma jeszcze bluzę, Pittman przestraszył się, że zacznie coś podejrzewać. Właśnie z powodu tej bluzy przed przyjazdem do rezydencji Gable'a musiał od-

wiedzie jeszcze jedną osobę, z którą przeprowadzał kiedyś wywiad.

Człowiek, od którego pożyczył bluzę, był doskonałym fachowcem. To, co w rzeczywistości było kamizelką kuloodporną, zostało uszyte tak, by wyglądało jak normalne ubranie.

Stanowią sumę ludzi, z którymi robiłem wywiady, pomyślał ponuro Pittman, patrząc przez rozbite okno na ciało Denninga.

Odwrócił się. Bolał go każdy oddech. Spec od ochrony ostrzegwał, że bluza zatrzyma pociski, ale nie złagodzi impetu uderzenia i może nawet dojść do połamania żeber.

Miał rację —? Pittman czuł się, jakby kopnął go koń.

Dźwięk syren nasilał się.

Pittman przekuśtykał przez pokój. Minął ciała Gable'a, Sloa-ne'a i Webleya. Odór kordytu i śmierci dusił go i musiał wyjść na świeże powietrze. Powłókł się korytarzem. Kiedy dotarł do frontowych drzwi, o żwir zazgrzytały opony pierwszego samochodu. Otworzył drzwi, wyszedł na taras i złapał wielki haust słodkiego, chłodnego powietrza. Z radiowozów wysiadali już policjanci. Z wyciągniętą bronią ruszyli w stronę Pittmana, więc natychmiast uniósł ręce. Zobaczył wśród nich Jill, która starała się dobiec do niego pierwsza i głośno wołała go po imieniu. W tym momencie zrozumiał, że wreszcie już nie będzie musiał się bać. Mocno przytulił Jill, nie zwracając uwagi na ból w klatce piersiowej.

— Kocham cię. Tak bardzo się bałam, że cię stracę...

— Nie dziś. —? Pocałował ją. — Dzięki Bogu nie dziś.

—

o

E

LU

Miłość to akt wiary, pomyślał Pittman. Ludzie chorują i umierają, giną w wypadkach drogowych, zarażają się salmonellą i umierają, spadają z drabin, skręcając sobie karki, tracą ochotę, aby się widywać, nie odpowiadają na telefony albo się rozwodzą. Istnieje wiele sposobów, aby miłość zamienić w torturę. W końcu jednak każda miłość, nawet najprawdziwsza i najwierniejsza, skazuje kochającego na najbardziej bolesną stratę — na śmierć najbliższej osoby. Miłość wymaga bardzo wiele optymizmu, ogromnej wiary w przyszłość. Pragmatyk może uznać, że wszelkie bezpośrednie korzyści płynące z miłości nie równoważą końcowego bolesnego wyniku. Może zaprzeczać swoim uczuciom, odrzucać potrzebę miłości, dusić ją w sobie i przejść przez życie w bezpiecznej, pozbawionej emocji próżni. Ja tak nie zrobię, pomyślał Pittman. Jeżeli miłość wymaga wiary, będę wierzył.

Trzymając Jill za rękę, szedł między szeregami nagrobków do swojego ukochanego syna. Znowu był czwartek — tydzień po wydarzeniach, które miały miejsce w posiadłości Eustace'a Gable'a, i dwa tygodnie po tym, jak Pittman próbował w Scars-dale uratować życie Jonathanowi Millgate'owi. Gdy policja znalazła ciała w zalanym krwią salonie Gable'a, Pittman i Jill zostali zatrzymani w areszcie. Jak się jednak spodziewał, przekazywana do policyjnych odbiorników rozmowa okazała się jego ratunkiem. Po długim przesłuchaniu jego i Jill oraz po-

443

twierdzeniu przez panią Page tych fragmentów wydarzeń, których była świadkiem, po zweryfikowaniu przez policję w Bostonie i Nowym Jorku kolejnych szczegółów (z pomocą policji stanu Vermont, która sprawdziła, co działo się tamtego dnia w Akademii Grolliera), Pittman i Jill zostali zwolnieni.

Stali teraz przy grobie Jeremy'ego i cieplej-słoneczne popołudnie sprawiało, że Pittmana znowu ogarnął smutek. Było czymś okropnie niesprawiedliwym, że jego syn już nigdy więcej nie ujrzy takiego pięknego dnia.

Objął Jill, szukając w tym geście pocieszenia, i jednocześnie przyglądał się zielonej trawie na grobie. Przypomniało mu się porównanie, którego w jednym ze swoich wierszy użył Walt Whitman — że trawa to włosy grobów. Włosy Jeremy'ego. Jedyne włosy, jakie teraz ma. Pomyślał jednak, że to nieprawda. Może było tak sto lat temu, kiedy trumny robiono z drewna i nie wkładano ich do wyłożonych betonowymi płytami dołów, zakrywanych betonową płytą. Dawniej trumna i ciało się rozkładały, łączyły z ziemią i stawały się podłożem dla nowego życia. Teraz, kiedy ciała wkładano do ziemi w szczelnych opakowaniach, śmierć nie dawała nowego życia. Gdyby była żona Pittmana zgodziła się na jego propozycję, ciało ich syna zostałyby skremowane, a prochy rozsypane nad łąką, porośniętą dzikimi kwiatami. Matka Jeremy'ego uparła się jednak, a Pittman był wtedy tak bardzo niestabilny emocjonalnie, że nie miał siły zaprotestować i ciało Jeremy'ego zostało pochowane w tradycyjny sposób. Sterylność tego pochówku była przerażająca i niemal doprowadzała Pittmana do płaczu.

Myśli o śmierci, które przez cały miniony rok dominowały w jego umyśle, ciążyły mu nadal. Ód chwili ucieczki z posiadłości w Scarsdale był świadkiem śmierci swojego najlepszego przyjaciela Burta, ojca Dandridge'a, kilku osób, które sam zabił, oraz masakry w rezydencji Gable'a. Często się zastanawiał, czy do swoich ofiar nie powinien zaliczyć także pozostałych Wielkich Doradców — zmarłego w wyniku udaru mózgu An-thony'ego Uoyda i Victora Standisha, który popełnił samobójstwo. No i Jonathana Millgate'a. Zaczął pisać nekrolog żyjącego

444

człowieka... może to właśnie pociągnęło za sobą śmierć wszystkich jego współpracowników?

Wielcy Doradcy byli złymi ludźmi, jednak i tak wkrótce by umarli, co może byłoby lepsze od ujawnienia ich wstrętnej tajemnicy i spowodowania tylu śmierci. Czy cokolwiek z tego

wszystkiego by się wydarzyło, gdyby nie uważał, że opinia publiczna ma prawo dowiedzieć się o nadużywaniu władzy? Gdyby siedem lat wcześniej nie prowadził śledztwa w sprawie Jonathana Millgate'a, Burt nie kazałby mu znowu pójść jego tropem dwa tygodnie temu. Przez cały czas krążyło mu po głowie pytanie<sup>^</sup> czy ponosi jakąś odpowiedzialność za to, co się stało.

Przekonywał sam siebie, że nie. Miał prawo szukać prawdy. Ci dranie uważali, że stoją ponad wszystkim i wszystkimi. Dopóki ich kariery się rozwijały, nie dbali o to, czy ktoś nie będzie z tego powodu cierpiał albo nie zginie. Zasługiwali na karę<sup>^</sup>— nie śmierci, to byłoby zbyt łatwe, ale na zdemaskowanie, potępienie, wyśmianie. W dawnych czasach zamknięto by ich w klatce, wystawiono na rynku i ludzie mogliby ich opluwać. Może byłoby to nauczką dla innych dyplomatów nadużywających władzy.

Zastanawianie się „co by było, gdyby” i „gdyby tylko”, było typowe dla Pittmana po śmierci Jeremy'ego. Wciąż wyobrażał sobie alternatywną rzeczywistość, w której gdyby tylko wydarzyło się to lub tamto, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale „gdyby tylko” nie nastąpiło. „Gdyby tylko” się nie liczyło. Liczyła się rzeczywistość. A rzeczywistość była bolesna.

Nie był przygotowany na miłość, którą odnalazł w Jill. Czuł jej bliskość. Miał ją w sercu. Tak, miłość jest skazana na bolesny koniec, ale teraz była antidotum na inny ból, na wszystkie niedoskonałości życia. Dwa tygodnie wcześniej był bliski popełnienia samobójstwa. Śmierć syna wtrąciła go w taką otchłań rozpacz, że nie chciał dalej żyć. Nie mógł dłużej znieść bólu. Teraz nadal czuł wielki smutek, nie zmniejszyły go łzy, które spływały mu po policzkach i rozmywały obraz skapanego w słońcu nagrobka. Jednak to, co przeszedł, sprawiło, że zamiast tkwić w przeszłości, zwrócił się ku teraźniejszości. Wiedział,  
445

że z Jill u boku, gotową dzielić jego ból tak, jak on był gotów dzielić z nią każdy jej smutek, będzie potrafił żyć.

Wydarzyło się zresztą także kilka dobrych rzeczy. Dzień po masakrze w rezydencji Gable'a gazeta, w której Pittman pracował i która miała zostać zamknięta, znalazła sponsora. Umierająca redakcja odżyła, a Pittmana zatrudniono jako wiodącego reportera śledczego — w zasięgu za setkę artykułów o jego perypetiach i o tym, czego dowiedział się o Wielkich Doradcach. Dla Pittmana mniej liczyło się prestiżowe stanowisko, a bardziej możliwość pisania o nadużywaniu władzy przez polityków.

Gdyby tylko Jeremy żył...

Gdyby tylko...

„Gdyby tylko” było jednak patrzeniem do tyłu, a w tej chwili, stojąc przy grobie Jeremy'ego, Pittman wiedział, że musi patrzeć do przodu. Był to jego obowiązek wobec Jill i wobec samego siebie.

Miłość to akt wiary.

Odwrócił się do Jill. Otarła mu łzy i pocałowała go.

— Przykro mi, że wciąż tak cierpisz — powiedziała.

— Hej, żyję. A ty jesteś ze mną. Łzy nie zawsze oznaczają, że człowiek jest smutny.

—

Polecamy thrillery Davida Morrella

INFILTRATORZY

Nazywają siebie „infiltratorami”. Nielegalnie badają stare, opuszczone budowle, przestrzegając zasady, by nie pozostawiać w nich nic oprócz odcisków stóp, i nie zabierać nic poza zrobionymi przez siebie fotografiami. Obiektem ich najnowszej eksploracji jest tajemniczy hotel Paragon, olbrzymi gmach wzniesiony na początku XX wieku przez

ekscentrycznego milionera, zaprojektowany na wzór piramid Majów. To godne wyzwanie dla profesora historii Roberta Conklina, dziennikarza Franka Balengera i trzech innych osób. Ale wyprawa okaże się bardziej niebezpieczna i przerażająca, niż mogli przypuszczać. Ktoś jeszcze kryje się w rozsypującym budynku -ktoś, kto ma własne plany wobec grupy. W korytarzach rozświetlanych snopami z latarek trwa wyścig, którego stawką jest ukryty skarb.

## ŁOWCA

Byłego policjanta, Franka Balengera, ponownie gubi zainteresowanie historią. Zaproszony wraz z przyjaciółką Amandą na wykład poświęcony kapsułom czasu, zostaje podstępnie uśpiony i przewieziony w pobliże spalonego hotelu Paragon. Po jasnowłosej Amandzie ginie wszelki ślad. Frank odkrywa, że wykładowca był w rzeczywistości podstawionym aktorem, a klub historyczny, do którego go zaproszono, w ogóle nie istnieje. Wkrótce dowie się, że Amanda stała się zakładniczką w grze wymyślonej przez genialnego psychopata. Jej uczestnicy mają zaledwie 48 godzin na odnalezienie ukrytego przed dziesiątkami lat skarbu - legendarnego Sarkofagu Ziemiści Namiętności. W „Łowcy” nikt nie uczestniczy dobrowolnie, a najdrobniejszy błąd kosztuje życie...